

Lekka muza i ciężkie pieniądze czyli bestsellery dr. Antoniego Marczyńskiego
W podziemiach Kartaginy, Czarna Pani, Świat w płomieniach, Upiory Atlantyku,
Gdy bestia się budzi, Władczyni podziemi. Strzał o świcie, Krwawy taniec
hiszpański. Tajemnice władców Abisynii—to tylko kilka spośród ponad
pięćdziesięciu tytułów powieści, które w latach 1926—1939 zawojowały
wydawniczy rynek, dokonały zwycięskiej kolonizacji serc i umysłów ogromnych
rzesz czytelników, młodych i starych, mężczyzn i kobiet. Były obecne wszędzie!
Wypełniały szpalty gazet i czasopism w całej nieomal Polsce: w Gdańsku i
Bydgoszczy, Łodzi i Zagłębiu, Krakowie i Poznaniu. Wabiły z księgarskich witryn
barwnymi okładkami, w ilościach wielokrotnie przewyższających nakłady innych
pisarzy. Przekroczyły granice Rzeczypospolitej, szukając wciąż nowych terenów i
nowych „wyznawców”: w Pradze, Kownie, Paryżu, Amsterdamie, Nowym Jorku i
Berlinie.

Nakręcono aż pięć filmów według powieści owego „urzędnika bankowego”, jak to ze
zdziwieniem i podziwem zarazem podkreślali recenzenci jego pierwszych książek.
Warto przypomnieć ich tytuły, atrakcyjne, obiecujące, pełne wymownej choć i
tajemniczej ekspresji: W szponach handlarzy kobiet (1929), Straszna noc (1931),
Kobiety nad przepaścią (1939), Bieda trucizna (1939), Szpieg w masce (1939).
Antoni Marczyński pochodzący z kupieckiej rodziny, pełen fantazji młodzieniec
(gimnazjum w Chyrowie, które ukończył w 1917 r., było jego piątą z kolei szkołą!),
potem student i z woli ojca „urzędnik” w Państwowym Banku Rolnym (1922—
1926), nawet doktor praw Uniwersytetu Jagiellońskiego, który to tytuł miał
usatisfakcjonować rodzinne ambicje („ślicznie wygląda takie Dr przy nazwisku na
klepsydrach i nekrologach”— mawiały jego ciotki), zadebiutował niezwykle
efektownie.

Jego sukces i późniejsza popularność były kwestią nie tylko talentu, sprawności,
kolosalnego tempa pracy, lecz i umiejętnego „sprzedania” towaru, a więc reklamy.
Marczyński — znany, lubiany, rozchwytywany — to w dużym stopniu zasługa
„Roju”, z którym u progu swojej kariery przewidująco się związał. Ten największy w
Polsce międzywojennej koncern wydawniczy umiał dbać o interesy firmy i swoich
kooperantów, szczególnie, gdy egzekwowali to tak skutecznie jak autor Niewolnic z
Long Island. Zarabiał więc w „Roju” jak chyba nikt dotąd, bo za każdą książkę
dostawał około 1500 zł, podczas

3

gdy dobrzy pisarze otrzymywali przeciętnie 300 zł, a niezaradna Irena Zarzycka
otrzymała za Dzikuskę tylko 150 zł! (Marczyński obliczył, że wydawca zarobił na
niej 70000 zł!).

Oto jak wyglądały reklamy towarzyszące karierze pisarza, znanego już z licznych,
gazetowych publikacji. Liczne anonsy w codziennej prasie przypominały, chwaliły,
obiecowały... Atmosfera sensacji była umiejętnie przygotowywana i podsycana:
„Cały świat literacki zelektryzowany został fenomenalną zaiste zapowiedzią
niebываłego rekordu literackiego: T—wo wyd. «Rój» ogłosiło wydanie 12 powieści
sensacyjnych D;ra Antoniego Marczyńskiego.”

„Marczyński w ciągu swej dwuletniej zaledwie twórczości opanował całą prasę
polską. I jesteśmy świadkami niezwykłego zjawiska: zanim ukazały się na półkach

księgarskich pierwsze książki Marczyńskiego, zanim ruchliwy „Rój” obwieścił «urbi et orbi», że w roku bieżącym wyda dziewięć jego powieści, otrzymał M. trzy oferty niemieckie i jedną angielską, przy czym pewna firma wiedeńska oświadczyła gotowość nabycia wyłącznych praw przekładu na języki obce wszystkich jego powieści”. We wszystkich wypowiedziach powracały wielokrotnie pełne zachwytu wyrazy: „zdumiewający”, „wyjątkowy”, „samorodny talent”, niewyczerpana w pomysłach bajecznie kolorowa fantazja” itd.

Wiadomo, iż reklama posługuje się szczególną retoryką, lubi hiperbole i efektowne zwroty, niemniej jednak również krytycy, dość wymagający i powściągliwi w wystawianiu dobrych cenzurek, wypowiadali się z aprobatą.

Tadeusz Sinko na przykład pisząc o polskiej powieści sensacyjnej, konkluduje: „W podziemiach Kartaginy i Perłę Szanghaju musimy uznać za powieść dobrze zbudowaną, z myślą ciągłego zaciekawienia czytelnika, a style ich i język za równie potoczny jak bezpretensjonalny.”

Dziś, z perspektywy ponad pół wieku, dostrzegamy jeszcze inne, psycho-socjologiczne uzasadnienie tej niezwyklej popularności pisarza. Antoni Marczyński pojawił się na literackiej mapie, gdy wysokoartystyczna powieść stawała się szczególnie elitarna (Gombrowicz, Schulz, Witkiewicz), a popularny romans chwilowo wyczerpał swe możliwości innowacyjne i poszukiwał dopiero nowej formuły kompozycyjnej. Istnieli natomiast konsumenci masowej kultury, spragnieni rozrywki, gotowi w każdej chwili rzucić się w ramiona lekkiej muzy. I spośród nich właśnie, czytelników ilustrowanych pism, bywalców kinematografu i kabaretów oraz po prostu — młodzieży szkolnej (choć statystyki milczą na ten temat) rekrutowali się wielbiciele Marczyńskiego.

Przygoda, sensacja, erotyka — to był ów niezawodny magnes. Silne emocje i niecodzienne wzruszenia... któż tego nie pragnął? Podróże bez paszportu po nieznanych lądach i morzach, mrozące krew w żyłach przygody, zapierające dech niebezpieczeństwa, a do tego wyrafinowane, demoniczne kobiety lub niewinne, anielsko czyste dziewice, których honor zręczny autor zawsze zdążył ocalić. Ileż można było przeżyć... Niczym w rycerskim romansie — pomagać bezbronnym i prześladowanym, walczyć z podłymi i podstępnyimi, których, dzięki szczęśliwym zrządzieniom losu, a przede wszystkim odwadze i umiłowaniu prawdy, udawało się na koniec skompromitować, upokorzyć, pokonać... słowem, po prostu — zwyciężyć! / Ta właśnie możliwość ucieczki od szarej rzeczywistości, szansa schronienia się przynajmniej w wyobraźni, gdzieś w egzotycznych krainach, nadzieja spełnienia choć w imaginacji marzeń i snów, które w dobie nadciągającego kryzysu nigdy nie będą spełnione, oto psychiczny azyl, który Marczyński ofiarował swoim czytelnikom, w zamian za co obdarzali go bezkrytycznym, wiernopoddańczym uwielbieniem.

Marczyński wprawdzie w 1938 r. wyjechał do Ameryki (i tam pozostał) lecz „casus Marczyński” nadal żył. Po wielu latach, kiedy nareszcie można było pisać i o rzeczach błahych a lubianych, Zygmunt Broniarek będąc w Stanach odwiedził autora książek swej młodości, niegdyś „ukradkiem pod ławką” czytanych. Opowiadając o tym spotkaniu, zwracał się raz po raz do czytelników „Przekroju” z sentymentalnym nieco, porozumiewawczym pytaniem: „pamiętacie...? pamiętacie...?”. Zapewne

trzydzieści lat temu można je było stawiać. Dzisiaj liczba tych co „pamiętają” jest znacznie mniejsza. To oczywiste, skoro nawet Encyklopedia nie notuje tego nazwiska. Jedynie „specjaliści”, badacze kultury masowej, znawcy literatury popularnej znają autora wielu egzotycznych powieści, jak choćby Księżę Wa-Tunga (powieść o współczesnym korsarzu z Borneo), Wyspa nieznana czy Aloha oraz sensacyjno-kryminalnych bestsellerów, zapoczątkowanych przez słynną trylogię: Niewolnice z Long Island.

Uważamy, że pora go przypomnieć współczesnym czytelnikom, bo jest to lektura miła, lekka i zabawna, na dobranoc, na weekend i na podróż. Może być i „na lekarstwo”... Książki Marczyńskiego nie ustępują współczesnym „szlagierom” masowej rozrywki, jak choćby telewizyjnym serialom (egzotycznym romanstom w stylu: Powrót do Edenu czy Niewolnica Isaura) czy odcinkom powieściowym. Mają natomiast niewątpliwą wyższość nad nimi: staromodny urok bezpowrotnie minionego czasu, świata prawdziwych dżentelmenów i wielkich dam, czarnych charakterów godnie ukaranych i niewinnych panienek cudownie ocalonych. Miłość jest tu piękna, gwałtowna i namiętna, a jeszcze częściej romantyczna, idealna, zdolna do wszystkich wyrzeczeń — nawet bezgłośniejszej adoracji! Tysiące przeszkód, które przychodzi pokonać kochankom, nigdy ich nie zniechęcają, a wręcz przeciwnie — uszczęśliwiają i mobilizują. Jakież to piękne!...

Dzisiejszego czytelnika powieści Marczyńskiego bawić będzie akcja pełna dynamiki i nieprawdopodobnych sytuacji, które niewiele mają wspólnego z logiką. Autor bowiem stroni od psychologii i w sposób nieskomplikowany, jednoznaczny stawia kropki tam, gdzie spodziewamy się je znaleźć. Bohaterowie nie przeżywają żadnych wahań i duchowych przełomów, są źli lub dobrzy, dzięki czemu ani na moment nie musimy zastanawiać się, po której stronie opowiedzieć się, z kim identyfikować, o kogo drzeć, z kim triumfować. Wszystko jest proste i nieskomplikowane w tym czarno-białym świecie wartości. Czujemy się bezpiecznie, niezachwiani w swoich sympatiach i racjach...

Ze to niemodne..^analne... płaskie i głupie? Oczywiście, ale przecież coraz częściej „czytamy” komiksy i wydaje się nam, że jesteśmy nowocześni...

A czyż egzotyczne powieści nie są gotowymi niemal scenariuszami filmowymi lub komiksami, obrazkowym? narracjami, które jak seria fotografii w kalejdoskopie przesuwiają się przed naszymi oczami.

Przeczytajmy w ten sposób Perłę Szanghaju, jedną z wczesnych powieści orientalnych. Poznali ją najpierw czytelnicy „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, później,

5

w 1927 r. wydał „Rój”. W 1929 ukazała się w Zamościu, a w 1942 w Krakowie. W 1930 przełożono ją na język czeski, a w 1936 na holenderski.

Podtytuł — powieść egzotyczna — nie był żadną nowością. Podobne utwory pisali w tym czasie: F. Goethel, F.A. Ossendowski, nie mówiąc o W. Sieroszewskim. Nowa, można powiedzieć, była technika. Egzotyzm w wersji Marczyńskiego to przede wszystkim wybór niezwyklej przestrzeni, malowniczych dekoracji, na których tle można rozsnuwać sensacyjno-kryminalny romans. Obcość terenu — to jego atrakcyjność, a także nieweryfikowalność. Gdzieś na końcu świata, w Indochinach,

na Borneo, na Hawajach czy dalekiej Atlantydzie może zdarzyć się wszystko! Mówi zresztą o tym jeden z narratorów w powieści: „Może moja opowieść (którą zapowiedziałem jako autentyczną) wyda się wam [...] mało prawdopodobną — zaczął — ale proszę wziąć pod uwagę, że akcja rozgrywa się na dalekim Wschodzie, gdzie wszystko możliwe [...]”. Dzięki takim „wyjaśnieniom” fantazja pisarza i czytelnika, nie skrepowane płaskim realizmem lub pokusą banalnej „prawdy”, bujały swobodnie w dzikich dżunglach i orientalnych miastach. Bohaterowie powieści też zwykli nie byli, lecz egzotyczni, szczególnie ci dalszoplanowi, wkomponowani w pejzaż, który często przypominał makietę czy folder z biura podróży.

Egzotyzm stroju, obyczajów, po prostu koloru skóry bywał zastępowany przez egzotyczność w znaczeniu „obcość” kultury, a więc moralności, etyki. Tę rolę grali ludzie marginesu, przestępcy, zbrodniarze, handlarze żywym towarem itp. Autor z reguły eliminował niepotrzebne detale. Wyraziście jakby jedną kreską zarysowane charaktery, sytuacyjny skrót, emocjonalnie nacechowany stereotyp — to sposoby szybkiego nawiązania kontaktu z odbiorcą. Później, można już było rzucić go w wir zdarzeń, zaaplikować silną dawkę emocji, odurzyć egzotyczną przyrodą, przerazić zbrodnią.

Marczyński był znakomitym fachowcem w tym względzie. Korzystał zresztą z doświadczeń innych. Uczył się rzemiosła—jak wspomina o tym w swej ironicznej autobiografii. Zanim zabrał się do pisania pierwszej powieści (a postanowił, że zostanie pisarzem i zarabiać będzie piórem, co zupełnie zbulwersowało ojca, rozsądnego kupca, który z pogardą i nieufnością traktował wszystkich „cyganów”), odpowiednio się do tego przygotował. Sprawdził w bibliotekach, jakie powieści cieszą się największą popularnością, przeczytał je, zanalizował, a potem ćwiczył się w opowiadaniu rozmaitych fabuł, np. w stylu modnego Dekobry. Późniejsze sukcesy były więc nie tylko sprawą talentu, wyobraźni, ale i warsztatowej sprawności. Na dodatek, jak wiemy, miał Marczyński nieprawdopodobny zmysł handlowy i tę samą książkę umiał wielokrotnie sprzedać, zmieniając tylko „opakowanie”. Na przykład egzotyczną powieść pt. Radża Bahadur Pagan, która ukazała się w wydaniu książkowym w 1937 r. (Warszawa), drukował wcześniej w trzech gazetach równocześnie (1935 r.), lecz za każdym razem dawał inny tytuł. Pierwodruk w „ABC” to — Zemsta Hindusa, w „Gazecie Kieleckiej” — Niewolnice maharadży, a w „Słowie”—Uczeń Gandhiego. Powieść miała zresztą ciągłdalszy. Część druga (Warszawa 1936, 1937) zatytułowana była W dżunglach Birmy, a trzecia — Cenna biała krew (Warszawa 1937). Podobne dowody pomysłowości autora można mnożyć. Nie ukrywał on zresztą swego komercyjnego spojrzenia na lekką muzę. Sam mówił: „pisarz powinien być raczej chytrym kupcem niż poczciwym głupcem”.

Szkoda, że w Ameryce, gdzie pozostał (zmarł w Nowym Jorku w 1968 r., mając 69 lat) nie udało mu się zdobyć fortuny. Widać byli tu lepsi spece od gry na literackiej giełdzie. Wydawał wprawdzie kilka pism (satyryczne i katolickie), pisywał artykuły i felietony (lecz głównie pod pseudonimem), anonimowo dostarczał fabuły do audycji radiowych i telewizyjnych, lecz wielkiej popularności jak w kraju nie zdobył.

Także drukowane w polskich gazetach po wojnie powieści przeszły bez większego rozgłosu. (Największa sensacja w dziejach Sleepyville. Powieść humorystyczna. „Wieczór” 1947 r.; Burza nad Nowym Jorkiem, „Wieczór Wybrzeża” 1957 r. oraz

Kłopoty ze spadkiem, „Kurier Lubelski” 1957 r.) Najlepsze lata Antoniego Marczyńskiego to bez wątpienia okres międzywojenny, gdy jego nazwisko było synonimem sukcesu i ogromnej popularności.

Przypomnijmy więc książki, które z zapartym tchem czytali nasi dziadkowie i rodzice. Powróćmy w lata dwudzieste, lata trzydzieste. Może i nas uwiedzie lekka, nawet może lekkomyślna muza Marczyńskiego.

Maria Bujnicka

TOM PIERWSZY

Rozdział I

Napad w wagonie sypialnym

Zbudził mnie przeraźliwy krzyk kobiety. Głos dobiegł gdzieś ' z bliska, jakby spoza ścianki przedziału i scichł nagle.

Dźwignąłem się na łokciu, nad słuchując uważnie. Nie!... To musiało być złudzenie.

Absolutna cisza panowała teraz w slipingu, tylko koła wagonów wystukiwały skrupulatnie przerwy między szynami, tylko mój przygodny towarzysz podróży, śpiący na dolnym łóżku, chrapał w najlepsze.

A jednak?

Tam, w drugim przedziale działo się coś niezwykłego. Nastawiwszy dobrze uszu, pochwyciłem zduszony jęk, jakieś szamotanie się gwałtowne, jakby odgłosy cichej, lecz zacieklej walki...

Zeskoczyłem na podłogę.

— Haben Sie gehört?*' — spytałem, tarmosząc bez ceremonii Wiedeńczyka.

Odepchnął mnie przez sen.

— Zostaw, stara — mruknął z wyraźną niechęcią i odwrócił się na drugi bok. Wydało mu się zapewne, że jest w swej małżeńskiej sypialni, że opędza się od pełnej temperamentu żoneczki.

Nie traciłem czasu na dalsze próby rozbudzenia śpiocha. Otworzyłem drzwi przedziału. Znalazłem się w lśniącym od czystości korytarzu wagonu sypialnego. Już wieczorem, wsiadając we Wiedniu do pociągu „Warszawa-Rzym”, zauważyłem niezwykle pustki.

Któż podróżuje w same święta Wielkanocne!... Nic zatem dziwnego,

*' Haben Sie gehört (niem.) — Czy pan słyszał?

9

że krzyk mej sąsiadki nie wywabił na korytarz nikogo, prócz mnie. Prawdopodobnie tylko trzy osoby jechały tej nocy w całym długim wagonie: korpulentny Niemiaszek, ja i ... ta zgrabna blondynka, której przyglądałem się wczoraj. Widziałem, że zajęła przedział sąsiedni, a pamiętając o tym, podsunąłem się teraz pod jej drzwi i dla ostatecznego upewnienia się, iż nie uległem złudzeniu, zacząłem raz jeszcze podsłuchiwać skrupulatnie.

Nagle... drzwi otworzyły się pchnięte od wewnątrz silną ręką. Straciłem równowagę i w tej samej chwili otrzymałem wściekły cios w głowę. Jakieś kleszcze stalowe pochwyciły mnie ogłuszonego za ramiona, wciągnęły w głąb przedziału. Runąłem na podłogę, na coś miękkiego, ale moja głowa znowu bęcnęła o posadzkę. Ktoś przeskoczył przeze mnie i drzwi zatrzasnął z impetem. Miałem jeszcze wrażenie, że coś się szamoce pode mną ... Straciłem przytomność.

Nieprędko przyszedłem do siebie. Uczułem najpierw miły chłód na skroniach. To mokry ręcznik. Potem jakieś paluszki delikatne, jedwabiste błędziły długo po mej twarzy, po głowie,... rozpięły pidżamę na piersiach.

— Gott sei Dank!* — usłyszałem cichy szept, a po chwili głośniejszy, po angielsku: — Otworzył pan oczy nareszcie... No tak. Nie ma przecież żadnego zranienia.

Opukałam pana dokładnie.

Ha, skoro mnie „opukała dokładnie” nie wypada leżeć dalej jak kłoda. Zacząłem się niezdarnie gramolić z ziemi, pomimo szalonego szumu w głowie.

— To przejdzie niebawem — pocieszała nieznajoma, układając mnie na dolnym łóżku przedziału.

Usiłowałem protestować. Przybiegłem z pomocą, spisałem się bardzo nieszczególnie, a teraz najwyższy czas wrócić do siebie, przyodziać się w coś bardziej przyzwoitego niż jedwabny sleepingdress i zaalarmować konduktorów. Tajemniczy bandyta nie wyskoczył zapewne z pędzącego pociągu, lecz ukrywa się w którymś wagonie.

Jeszcze będzie go można schwytać.

— Pan się myli — przerwała moje wywody. — Od chwili, kiedy napastnik wybiegł z przedziału, pociąg zatrzymywał się dwa razy. Za

Gott sei Dank (niem.) — Dzięki Bogu.

10

późno na pościg. Policja nieprędko go dostanie w swe ręce, a tymczasem zaczną się przesłuchiwanie, śledztwo i spóźnię się na statek.

Mówiła jeszcze dłuższy czas tak przekonywająco, że ustąpiłem... zwłaszcza, że tak mi tu było dobrze w tej chwili, tak bardzo dobrze. Jej dłonie miały skórę aksamitną i niezmordowanie manipulowały coś przy mej obolałej głowie.

— Jestem medyczką z trzeciego roku — rzekła, jakby usprawiedliwiając rozkoszny masaż paluszkami.

— Ach tak.

— Badam, czy pan nie poniósł jakiejś poważniejszej kontuzji.

— A pani?... Och, jakże późno o tym pomyślałem...

— Ja? Wysłałam cało, dzięki przytomności umysłu. Zbir wszedł do przedziału tak cicho, że zbudziłam się dopiero wówczas, kiedy podnosił mi głowę, aby lepiej pętlę na szyję zarzucić. Wtedy krzyknęłam ze wszystkich sił. Błyskawicznym ruchem wsunęłam lewą rękę aż po łokieć w kółko pętli, a prawą zaatakowałam draba... W zaciekłym szamotaniu się spadłam z łóżka na podłogę. On klęknął mi na piersiach, usiłując zacisnąć morderczą pętlę, lecz ręka ocaliła mnie od uduszenia, a... potem wpadł pan, mój zbawco...

— Och pani!

— Nie, nie! Proszę nie być skromnym, lub nie udawać takiego. Gdyby nie pan, nie zobaczyłabym Szanghaju...

Więc wybierała się aż do Szanghaju... Ładna podróż, ale niewesoło się zapowiadająca na wstępie.

Moja piękna towarzyszką rozgadała się na dobre. Rozpoczęła od wygłoszenia dłuższego peanu pochwalnego na moją cześć, sławiąc odwagę i rycerskość mężczyzny, który nie wahał się przyjść natychmiast z pomocą napadniętej kobiecie i guzy przy tym oberwał. Początkowo myślałem, że kpi. Strumień pochwał był

nieproporcjonalnie wielki w stosunku do mych zasług. Ale kiedy odsłoniła lampę, kiedy usiadła na kraju łóżka i mogłem dokładnie obserwować grę jej twarzyczki, zrozumiałem, że nie kłamie, że mam przed sobą typ kobiety, posiadającej żywą, bujną fantazję i skorej do entuzjazmowania się najdrobniejszym przejawem romantyzmu.

— Pani nie jest Angielką? — wtrąciłem w pewnej chwili, gdy skaleczyła okropnie język Szekspira i Byrona.

— Jestem Niemką — podkreśliła z dumą. — Wprawdzie matka moja była Angielką, lecz ja już jestem rodowitą Saksonką. A pan?

Wymieniłem swą narodowość. Zdziwiła się trochę nieprzyjemnie, co zdradziły jej żywe oczy, ale rzekła grzecznie:

— Nie dziwię się teraz, że pan pospieszył mi natychmiast z pomocą... Polacy to rycerski naród.

Ha, w takim razie oboje nie mieliśmy się czemu dziwić. Tylko młoda Niemeczka mogła się tak ckliwie rozwodzić nad moją „niepospolitą rycerskością”, tak pedantycznie omawiać szczegół po szczególe mego czynu.

— Niech pani mówi po niemiecku. Będzie pani wygodniej.

— A panu?

— Mnie wszystko jedno. Znam oba języki wystarczająco.

Była najwidoczniej zachwycona tą wiadomością. Zaczęła paplać z oszalamiającą szybkością. Na wstępie wyraziła życzenie, abym został w jej przedziale aż do białego dnia, gdyż boi się sama pozostać.

— Przystałbym na to z prawdziwą przyjemnością — odparłem całkiem szczerze: — lecz tutaj wchodzi w grę także...

— Opinia? — Parsknęła srebrzystym śmiechem.

— W Berlinie gwizdałam na opinię, mój panie, tam, gdzie miałam setki znajomych, a tu będę się liczyć? Teraz zwłaszcza, gdy jadę na daleki Wschód, na stałe?... O, to się pan pomylił! Zresztą, domyślam się, o co chodzi. Pan jest zmęczony i pragnie odpocząć. Rzecz jest do zrobienia. Prześpi się pan na dolnym łóżku, a ja sobie siadę tam przy oknie i będę czuwała. Niechże pan zrozumie, że mnie chodzi o to tylko, aby nie zostać samą, po tych strasznych przejściach dzisiejszych.

Zerwała się, podbiegła do okna, by wykonać swój zamiar. Nie mogłem na to pozwolić, oczywiście. Ślaniając się trochę na nogach, powróciłem do swego przedziału, zabrałem rewolwer oraz portfel, zamknąłem drzwi dokładnie i przeniosłem się do przedziału ładnej Niemeczki.

Była uszczęśliwiona. Dziękowała mi w przesadnie gorących słowach, a kiedy usiedliśmy razem na dolnym łóżku, oznajmiła z wylewną szczerością, że uważa mnie za prawdziwego dżentelmena, który nie zawiedzie jej zaufania w niczym... w niczym!

— Bo ja nabrałam do pana od razu ogromnego zaufania...

12

W tym miejscu omal nie zakląłem na głos. Psie szczęście, nic innego. Zawsze wszystkie kobiety miały do mnie ogromne zaufanie, ale z sympatiami było znacznie gorzej. „Czemuż nie jest na odwrót?” myślałem w duszy, ulegając powoli nastrojowi chwili. Bądź co bądź znajdowałem się sam na sam z piękną, młodą kobietą, w

slippingowyrh przedziale pociągu, gnającego poprzez ciepłą noc wiosenną ku słonecznej Italii. To było faktem niezaprzeczonem, ale również było „murowanym” faktem to, że ja, stary dzieciak, nie nauczyłem się jeszcze do tej pory rozpoznawać, kiedy kobieta uciekająca się pod opiekuńcze skrzydła mężczyzny chce, aby on był naprawdę dżentelmenem, a kiedy pragnie gorąco, aby on jej zaufanie zawiódł możliwie rychło i według tego klasyfikuje go albo -jako „skończonego mężczyznę” albo jako jeszcze bardziej skończonego niedołęgę.

Więc rzekłem głosem zrezygnowanym:

— Będziemy rozmawiali — (cóż innego pozostawało?)

— Tak, tak... Będziemy sobie gwarzyć we dwójkę. Opowiem panu coś niecoś o genezie dzisiejszego napadu. Bo to nie był bynajmniej jakiś napad rabunkowy, mój drogi zbawco... Co pan sądzi o tej chusteczce, na przykład?

Podawała mi wielką chustę, zwiniętą jak do gry w ślełą babkę.

— Powiem, że jest jedwabna — odparłem bez zainteresowania.

— No, oczywiście, ale czy pan wie, że tę chustkę właśnie zaciskał napastnik dookoła mej szyi?

— Co?

Chwyciłem lśniąca tkaninę w dłonie.

— Tym panią duszono? Jest pani pewna? Wzruszyła ramionami nad naiwnością mego pytania.

— Czy nie zauważyła pani i nie zapamiętała twarzy zbrodniarza?— poprawiłem się szybko.

Nie. Nie zauważyła, gdyż lampa była zgaszona, a w przedziale panowały ciemności, lekko rozwidnione wdzierającymi się przez firankę blaskami najbliższej lampy korytarzowej. Utkwiło jej tylko w pamięci, że napastnik był wysokiego wzrostu i palce miał bardzo długie, kościste, jakby brunatne czy czarne.

Zamyśliłem się głęboko. Przywołałem na pomoc wszystkie wspomnienia z przeczytanych w młodości romansów egzotycznych. Po-

13

grzebałem myślą w zakamarkach pamięci. Tak, tak... Było coś w tym rodzaju. Była pewna sekta hinduska, nienawidząca śmiertelnie białych najeźdźców, zdobywców. Członków jej zwano Tugami. Tugowie mordowali na cześć Durdy, bogini miłości i śmierci, schwytanych Europejczyków. Szczególnie dawali się we znaki Anglikom, w okolicach Delhi, w okresie powstania indyjskiego w roku 1857 i później. Ofiary duszono za pomocą j e d w a b n e j c h u s t y. To był jedyny rodzaj wykonywania wyroków śmierci, jakie starsi wydawali w podziemnej świątyni.

Lecz w miarę jak popisywałem się swymi wiadomościami, mniej dokładnymi niż można znaleźć w najgorszej encyklopedii, zacząłem pojmować cały,ogrom nedorzecznosci mej hipotezy. Przecież Tugów wytepliono w Indiach doszczętnie jeszcze przed pięćdziesięciu laty, a jeśli nawet jakiś fanatyczny niedobitek pozostał, to z pewnością nie grasuje w Europie, nie podróżuje pospieszonymi pociągami, nie napada Bogu ducha winnej studentki medycyny, która jego brzydkiej bogini Durdze żadnego afrontu nie uczyniła, gdyż nawet o niej nie słyszała. Jednym słowem zagalopowałem się szpetnie i rozpocząłem czym prędzej strategiczny odwrót. Lecz najniespodziewaniej w świecie, piękna towarzyszka podróży zapaliła się do mej

kruchej hipotezy.

— Niech pan teraz nie zbija tego, co pan przedtem mówił — zaczęła z ożywieniem

— Pan miał najzupełniejszą rację. To był Hindus. Widziałam go nawet w Berlinie. To on, na pewno on.

Potem widząc moje zdumienie, zaproponowała:

— Najlepiej będzie, jeśli panu opowiem całą historię mej podróży, od początku...

Dobrze?

Przystałem bez zastrzeżeń. Mieliśmy przecież gawędzić do białego rana. Tylko gawędzić, niestety.

\

Rozdział 11

List z dalekiego Wschodu

— Nazywam się Charlotte von Nardewitz — zaczęła: — Ojciec mój, Joachim von Nardewitz, rotmistrz pierwszego pułku czarnych huzarów, bawił przed laty w pewnej misji w Anglii, gdzie poznał Edytę Smoot, moją późniejszą matkę. Wspominałam już panu, jak mi się zdaje, że moja matka była Angielką. Rodzice mieszkali początkowo w Saksonii, tam się urodził mój starszy jkrat Karol Fryderyk, potem zakupili wielkie dobra w Provinz Posen, gdzie ja na świat przysłam. Jako Polak, musiał pan chyba słyszeć o rodzie Nardewitzów.

Co prawda nic nie słyszałem o tym rodzie, ale będąc zgodny z natury, kiwnąłem głową poważnie.

— Wszystko szło jak najlepiej aż do wybuchu wojny. Wówczas nieszczęścia zaczęły się na nas sypać jedno po drugim. Brat mój padł jak bohater na polach Flandrii, walcząc za naszą niemiecką ojczyznę. Mama przeżyła go ledwie o kilka miesięcy. Umarła po prostu z rozpacz. Niech pan pomyśli tylko... straciła jedyne go syna, a trzy tygodnie później przysłała druga wieść hiobowa, że mój ojciec został ciężko ranny. Kula porwała mu płuco na strzępy. Pomimo to dociągnął do końca wojny, dożył pokoju wersalskiego, ale niknął w oczach i na wiosnę roku 1920 ... —machnęła rączką wymownie. Smutne wspomnienia wywołały łzy w jej oczach... Mimowolnie wyciągnąłem rękę, uściśnięłem jej palce współczująco. Podziękowała mi głębokim spojrzeniem, ujęła mą rękę w obie dłonie i jakby zapomniawszy ją wypuścić z tej miłej niewoli, snuła dalej swą opowieść:

— Ach panie, co ja wówczas przesłam! Dalszej rodziny, osiadłej w Saksonii, prawie nie znałam. Majątek ziemski objął przyrodni brat ojca, mój opiekun... Zaczęło się ciężkie, bardzo ciężkie życie sieroty. Tak... Ciężkie ono było, to prawda, ale zahartowało mnie, rozpieszczoną jedynaczkę bogatych rodziców. Muszę przyznać, że mój biedny braciszek nigdy nie był w takich łaskach u papy, który mnie też zawsze nazywał jedynaczką.

-JJkończywszy gimnazjum we Wrocławiu, przeniosłam się do Berlina. Tam zaczęłam studiować medycynę. Opiekun przysyłał mi pieniądze z Polski dość regularnie, ale niech mu Bóg wybaczy truciznę jego listów... Jak się pan zapewne domyśla, dzięki traktatowi wersalskiemu dobra nasze znalazły się poza granicami państwa niemieckiego. Więc mój „przyjemny” stryjasek nie omieszkał pisywać do mnie, że Polacy zamierzają nas wywłaszczyć, że jeśli nawet on, dzięki swym, wyłącznie swym stosunkom, zdoła coś ocalić, to zniszczenia dokona polska reforma agrarna.

Cały dochód z majątków, pochłaniają olbrzymie podatki, tak, że to, co on mi łaskawie posyła na utrzymanie, idzie z jego kieszeni i że kiedyś będziemy się musieli gruntownie rozliczyć.

Nie wierzyłam oczywiście tym bajkom, a kiedy mi się sprzykrzyły, doradziłam mu, aby starał się wszystko spieniężyć, potrącić z uzyskanej sumy swoje „wydatki”, a resztę w Niemczech ulokować.

Namyślał się z miesiąc nad odpowiedzią, wreszcie odpisał, że nie może uzyskać pozwolenia jakiegoś tam ziemskiego urzędu na sprzedaż. Musiałam go jednak dobrze zaszachować, gdyż ton jego listów stał się znacznie uprzejmniejszy.

Rok temu stałam się pełnoletnia.

— Mogła więc pani dochodzić swych praw majątkowych—wtrąciłam, korzystając z małej przerwy.

Wydęła wargi lekceważąco.

— Mogłam i nie mogłam... Zdawałam sobie sprawę z trudności i kosztów, jakich taka kampania wymaga. Zresztą miałam wówczas inne plany w głowie... Zaręczyłam się z pewnym studentem, kończącym medycynę, ale... to się rozleciało tej zimy.

Zdawało mi się, że na twarzyczkę Lotty von Nardewitz wypełzły silne rumieńce.

— Nie chcę pana nużyć opowiadaniem — ciągnęła dalej — i przechodzę do faktów, które poprzedziły mój wyjazd.

16

Zeszłego roku, we wrześniu, wyczytałam ku swemu zdumieniu w „Berliner Tageblatt” swoje nazwisko i imię ojca. Konsulat angielski poszukiwał jego adresu. Zaciekawiona zgłosiłam się zaraz nazajutrz i po wylegitymowaniu się oraz udowodnieniu, że jestem jedyną spadkobierczynią zmarłego w roku 1920 Joachima von Nardewitz, otrzymałam potężną kopertę, opatrzoną łąkowymi pieczęciami. Był to list od brata mej nieboszczki matki.

Timotheus Smoot, poczciwy, kochany wujaszek Tim, mój chrzestny ojciec w dodatku, odwiedzał nas co trzy lata w Niemczech, oczywiście przed wielką wojną, bo potem stosunki się urwały. Przecież on jest Anglikiem. Dzisiaj Niemcy i Anglia zrozumiały, że należą do jednej, potężnej rodziny germańskiej, ale wówczas oni nas chcieli blokadą wygłodzić, a my wołaliśmy zgodnym chórem: „Gott strafe England*’...

— Hmm — mruknąłem pod nosem. — Czyście wtedy tylko wołali „Gott strafe England”, czy też robiło się coś więcej?

— Pan coś mówił? Ach nie... Przepraszam. Otóż wujaszek Tim przypomniał sobie teraz znowu swą ukochaną siostrzenicę, oraz chrze-śniaczkę w jednej osobie i wypisał do ojca ogromny list, zapraszający go wraz ze mną do Szanghaju „na jakiś roczek”.

— Aha, dlatego pani tam podąży.

— Tak, ale wówczas nie myślałam na serio o podróży, zwłaszcza wobec narzeczeństwa z Kurtem. Mieliśmy się pobrać tego lata, skoro Kurt otrzyma doktorat. Ale że lubię pisać, odpisałam natychmiast sążnistym listem, doniosłam o śmierci ojca (o bohaterskim zgonie Karola Fryderyka i śmierci swej jedynej siostry, a mojej matki, wiedział wuj Tim już dawno), doniosłam o mych studiach, o stosunkach finansowych nieświeżych, słowem o wszystkim. Nadmieniłam w końcu, że chętnie bym

skorzystała z uprzejmego zaproszenia, ale po pierwsze nie mam pieniędzy, po drugie jestem zaręczona, wobec czego może kiedyś... kiedyś, bardzo kiedyś, o ile to, tamto i owo, wybierzemy się wraz z mężem na daleki Wschód, odwiedzić kochanego wuja. W pierwszych dniach stycznia nadszedł drugi list z Szanghaju, już nie przez konsulat, lecz pod adresem uniwersytetu. Wie pan z pewnością,

*' Gott strafe England (niem.y^Soze s

Perła Szanghaju

17

jak się odbywa manipulacja z odbiorem poczty przez słuchaczy. Otóż kwitując odbiór mego listu, zauważyłam, że boczny kant nosi ślady, jak gdyby przecięcia i niezbyt zgrabnego zaklejenia. W domu porozcinawszy kopertę przekonałam się, że moje spostrzeżenie było trafne. Więc kogoś interesowała treść listu wysłanego do mnie. Ślady sklejenia były jednak stare, musiano zatem „cenzurować” pisanie wujowe albo na miejscu w Szanghaju, albo gdzieś w drodze, a nie tu, w Berlinie. Zapomniałam rychło o tym drobiazgu, pogrążona w lekturze listu.

Wuj Tim dziękował mi w serdecznych słowach za szybką odpowiedź, wyrażał współczucie z powodu zgonu ojczulka (przyzna pan, że kondolencje dobrze spóźnione), wreszcie ponawiał swą prośbę o odwiedzenie go w Szanghaju. Przynależał, że przyśle pieniądze na podróż dLM mnie i dla Kurta, który—jego zdaniem — robi lepszy interes jako biznesmen w Chinach, niż jako „felczer” w Niemczech. To wyrażenie rubasznego zawsze wujaszka ubodło Kurta kiedym mu list dała przeczytać. W każdym razie zalecał mi wuj pośpiech jak największy, gdyż czuje się chory, samotny, opuszczony, a obecność jego „sweet Lotty” odniosłaby najlepszy skutek.

Rozpoczęły się długie debaty na temat: jechać, czy nie jechać. Mnie osobiście nęciła przemożnie wielka podróż przez lądy i morza, perspektywa zobaczenia naocznie ludów Wschodu, które znałam dotychczas tylko z egzotycznych powieści lub z filmów, kręconych niestety pod Berlinem czy w Hollywood. Kurt był w opozycji. Rzucać tyloletnie studia, tuż przed ich ukończeniem dla zupełnie niepewnej kariery gdzieś w Chinach, uważał za zupełny nonsens. Mawiał wówczas:

— Ja nie skorzystam z łaski twego wujaszka, w każdym razie, a ty, jeśli mnie kochasz, pozostaniesz tutaj. Zechciej zrozumieć, że twoja obecność w Berlinie teraz właśnie, jest dla mnie kwestią całej kariery. Jakże mógłbym mieć głowę spokojną przy mej wyteżającej pracy, gdybym sobie wspomniął, że ty, słaba kobieta, bez żadnej opieki, odbywasz wariacką podróż gdzieś na krańce świata dla kaprysu zdziwaczałego wuja.

O, bo Kurt był o mnie szalenie zazdrosny, co mu nie przeszkadzało zresztą rozgrzeszać siebie z „kawalerskich” czynów. A miał ich sporo na sumieniu sporo, oj sporo...

18

Wahałam się więc, sprawa stanęła prawie na martwym punkcie, kiedy nagle zaczęły się dziać rzeczy niesamowite...

Ktoś przysłał mi paczkę broszur niemieckich oraz angielskich, traktujących o niebezpieczeństwach, jakie grożą Eirropejczykowi na Wschodzie. Ustępy o malarii, były opisywane czerwonym ołówkiem. Ktoś telefonował do mnie ustawicznie po

angielsku, przestrzegając mnie przed podróżą i grożąc mi wręcz śmiercią na wypadek, gdybym jego rad nie słuchała... Początkowo podejrzewałam Kurta o autorstwo tych figli, lecz dał mi słowo honoru, że ani mu na myśl nie przyszło, aby się uciekać do takich argumentów.

Pewnej nocy, kiedy znajdowaliśmy się na dansingu medyków, włamano się do mego mieszkania.

I co pan na to, że złodziej, który fatygował się do skromnego pokoju studentki, nie ruszył ani jej sukien, ani złotego zegajka, ani żadnego z futer po mamie odziedziczonych słowem niczego cenniejszego nie tknął, natomiast ukradł oba listy wuja Tima i szukając za czymś gorączkowo, przewrócił każdy kąt pokoju do góry nogami. Niezwykły złodziej, prawda?

No, po tym incydencie, nie mogłam dłużej podejrzewać Kurta. Do takich występów nie był zdolny absolutnie.

Pewnego dnia nieznajomy prześladowca zatelefonował do mnie znowu. Zaznaczył na wstępie rozmowy, że zupełnie niepotrzebnie alarmowałam policję w sprawie dokonanego włamania, gdyż sprawca, czyli on, jest nieuchwytny. Następnie, wyczerpawszy zwykły zapas pogroźek, zapytał mnie całkiem poważnie, czy zdecydowałam się na podróż do wuja. Odpowiedziałam w przesadnie uprzejmych słowach, że wprawdzie ostatecznej decyzji nie powzięłam, ale skoro tak wytworny dżentelmen jak on, usiłuje mi' z pomocą nader wersalskich metod podróży, odradzić a nawet obrzydzić, to prawdopodobnie... pojedę. Taka już ze mnie przekorna dziewczyna.

— Pożałujesz, nieszczęsna! — grzmiał grobowy głos w słuchawce. — Przyszły dla ciebie pieniądze przez filię Cooka. Podjąć je możesz, ale wara jechać! Ostatni raz cię ostrzegam...

Podskoczyłam z radości. Nareszcie jakaś nić w rękach. Już dawno doniosłam policji o ustawicznych nagabywaniach tajemniczego przeciwnika mej egzotycznej podróży. Teraz miałam nareszcie cenną wska-

19

zówkę w rękach. Skoro on wjedział wcześniej ode mnie o nadejściu pieniędzy przez Cooka, to znaczy, że tam, w tym biurze, należało szukać sprawcy, lub choćby jego sprzymierzeńca. Pan zna firmę Thos, Cook & Son?

— Znam, oczywiście — przytaknąłem. — Żadnej jeszcze podróży nie odbyłem bez ich pomocy. Nawet mój dzisiejszy bilet do Rzymu zakupiłem w wiedeńskiej filii Cooka przy Stefansplatz 2.

— Więc, proszę pana — kontynuowała niezmordowana Lotte von Nardewitz swe opowiadanie — w towarzystwie Kurta oraz agenta policji udałam się do Weltreisenbureau-Union przy Unter den Linden, które to biuro jest stałym korespondentem Cooka. Tu zrobiono wielkie oczy. Żadne pieniądze dla mnie nie nadeszły. Ośmieszyłam się więc na razie, ale trzy dni później dostałam od nich list, wzywający do podjęcia przekazanej gotówki.

Tym razem przyjęli mnie bardzo uprzejmie, wypłacili równowartość dwustu funtów szterlingów, ponadto zapowiedzieli mi, że w myśl polecenia nadawcy, pana Timotheusa Smoota, otrzymam w dniu wyjazdu akredytywę na wiedeńską filię Cooka, opiewającą na dalsze tysiąc funtów.

— Aha, to na koszty podróży?

— Nie, proszę pani, na drobne wydatki w czasie podróży. Wszelkie slipingi w ekspresach i kabina luksusowa na okręcie będą pokryte z konta Timotheusa Smoota, klienta firmy Cook. Pani tylko wybierze marszrutę i określi dzień wyjazdu, resztę my załatwimy.

Byłam trochę odurzona, ale Kurt, obecny przy całej rozmowie, dostał wręcz szkarłatnych wypieków.

— Przepraszam — wyrwał się dość niespodziewanie — czy mogliby mi panowie powiedzieć coś bliższego o wuju mej narzeczonej? Jakie są mianowicie jego stosunki majątkowe.

Urzędnik Reiseunionu uśmiechnął się pobłaźliwie:

— Zapewniam pana, że są dobre... więcej powiedzieć nie mogę. Na ujicy Kurt przycisnął silnie moje ramię do swojego.

— Lotte! — mówił z niezwykłym ożywieniem — twój wuj, to jakiś milioner! Tysiąc dwieście funtów na fatalaszki, a cała podróż ekstra! Tysiąc dwieście funtów! Prawie 6 000 dolarów! No moje

20

kochanie, takiego wujaszka lekceważyć nie można. Toż to „Erbonkel”^{*} powieściowy.

Zrobiło mi się przykro. Nie przypuszczałam nigdy, że Kurt jest tak wrażliwy na... no, nie chcę rzeczy nazywać po imieniu... Jego podwójna uprzejmość i czułość raziła mnie ogromnie. Zapomniałam wówczas nawet o prześladowcy, który miał lepsze oraz wcześniejsze informacje, niż dyrekcja berlińskiego Reiseunionu.

Kilka dni po otrzymaniu owej gotówki, zostałam zaproszona na obiad przez rodzinę Kurta, która mnie dotychczas ignorowała zupełnie i była mocno przeciwna przyjęciu mej osoby do swego „dostojnego” grona.

„Dziedziczka in partibus infidelium” zwano mnie tam do tej pory ze względu na moje dobra w Polsce.

Teraz nastąpiła gwałtowna zmiana nastroju. Rodzice Kurta, nie wliczając pół tuzina otępłych ciotek, roztkliwiali się nad moją urodą, prawym charakterem, skromnością i Bóg wie jakimi jeszcze zaletami. Cała zacna „Bürgerfamilie” była zdania, że należy skorzystać z zaproszenia hojnego wuja.

— Cieszyłabym się bardzo, moje drogie dziecko, gdybyście się jednak przedtem pobrali — zaproponowała mama Weissmüller, przy zgodnym akompaniamencie ciotycznego areopagu.

To mnie silnie zaskoczyło. Uniknęłam wyraźnej odpowiedzi, zastrzegając sobie czas do namysłu.

Nazajutrz rozpoczęłam starania o paszport. Mój prześladowca przycichł na czas dłuższy.

Przestałam oczywiście uczęszczać na wykłady, natomiast zaczęłam się bawić. Był to bowiem karnawał. Chodziliśmy z Kurtem z balu na bal, z dansingu na dansing... chociaż nie zawsze z Kurtem. M5ał przecież tyle roboty... Więc chodziłam z przyjaciółką... lub sama nareszcie. Chciałam się wytańczyć i za wszystkie czasy i na zapas, na spodziewane nudy przy Szanghaj skim wujaszku.

Wówczas zbliżył się do mnie pewien młody lekarz, którego znałam tylko z widzenia.

Podobaliśmy się sobie wzajemnie, tańczyliśmy ze sobą coraz dłużej, coraz częściej... słowem, obopólna sympatia wzrastała.

Erbonkel (niem.) — bogaty wujaszek.-

21

— Przyznaję, że on działał na mnie...

Lotte von Nardewitz zarumieniła się tej nocy po raz wtóry. Zamyśliła się dłuższą chwilę, jakby szukając słów odpowiednich. W końcu ruszyła szybko:

— Są to sprawy właściwie osobiste, a jednak wiążą się dość ściśle z moją podróżą... i nie mogę ich pominąć milczeniem.

Pewnego razu Kurt miał jakiś nocny dyżur i nie mógł iść ze mną na dancing, na który miałam wielką ochotę. Wiedząc, że robiłby mi gwałtowne sceny zazdrości, zapewniłam go, iż pójdę spać, a w rzeczywistości skorzystałam z towarzystwa owego lekarza, który mi był tak sympatyczny...

Znowu nastąpiła przerwa w opowiadaniu. Jakoś trudno było pięknej Lotte przebrnąć poprzez te wspomnienia:

— Bawiliśmy się jak nigdy. Piłam wiele, och bardzo wiele. Nie mam pojęcia, ile szklaneczek szampana wychyliłam wtedy. Potem... znaleźliśmy się... w separacie, tonącej w kwiatkach...

Nagle, w czasie najbardziej szampańskiej zabawy, drzwi wyleciały z hukiem. Na progu stanął Kurt, blady jak trup, a tuż za nim niby widmo złowrogie, wysoki mężczyzna o wyglądzie Hindusa.

— Nie okłamałem pana — rzekł po angielsku egzotyczny przybysz i dodał z patosem: — Kurcie Weissmüller, pomścij zniewagę! — Wcisnął w dłoń mego narzeczonego duży rewolwer, wskazując równocześnie na mnie...

— Strzelaj! — usłyszałam jeszcze jego głos.

Zerwałam się na równe nogi z otomany. Teraz dopiero rozjaśniło mi się w głowie. To był głos mego prześladowcy, znany mi dobrze z tyłu rozmów telefonicznych. Tak, bez wątpienia... Podpatrzył, gdzie jestem, co robię i sprowadził Kurta, licząc, że pod wpływem zazdrości wpadnie w szal, że mnie zamorduje.

— To on! — krzyknęłam rozpaczliwie.

Kurt ani spojrzał w moją stronę. Postąpił kilka kroków, mierząc w lekarza, który był zupełnie zaskoczony i nie wiedział, co z sobą począć.

. — W nią! — syknął Hindus, kierując rękę Kurta i broń w moją stronę.

Przymknęłam oczy...

22

Ktoś przyskoczył nagle z tyłu i podbił rewolwer, prawie w momencie strzału.

Rozległ się dźwięk stłuczonego szkła... Kula strzaskała lustro.

Zbiegła się służba hotelowa, pokojówki, kelnerzy, kierownik, później goście.

Rozbrojono mego Kurta w mgnieniu oka. Hindus ulotnił się nie wiedząc jak ani kiedy.

W ten sposób doszło do zerwania pomiędzy mną a Kurtem, który nazajutrz w pojedynku poszczerbił trochę rywala. Pomimo usilnych starań, nie udało się uniknąć skandalu. Przesłuchiwania w policji oraz u sędziego śledczego spowodowały przeszło miesięczną zwłokę. W międzyczasie nadeszła sążnista depesza od wuja, przynaglająca mnie do pośpiechu. Odtelegrafowałam, że nie będę mogła wyjechać

wcześniej, jak w same święta Wielkanocne.

Jak pan widzi, moje obliczenia były bardzo ścisłe. Och, ileż to formalności wymaga bezduszny biurokracyzm konstytucyjnego państwa, zanim biedny obywatel będzie mógł wyjechać za granicę. Pan to zna zapewne. U was, w Polsce ma być jeszcze gorzej...

Przytaknąłem bardzo skwapliwie, bo aczkolwiek w zagranicznych podróżach pamiętam zawsze o zasadzie angielskiej: „right or wrong, my country”, ale dla trudów w uzyskaniu paszportu, od których zółć w człowieku wzbiera, odstępuję od patriotycznej maksy i narzekam gdzie mogę, ile mogę...

Nastąpiła chwila bardzo długiego milczenia. Lotte von Nardewitz zdawała się być zmęczona długim opowiadaniem, a ja również nie zabierałem głosu, usiłując przeniknąć myślą mroki zagadki.

Było jasne, że komuś zależało na tym, aby Lotte nie dotarła do Szanghaju, aby nie skorzystała z zaproszenia wuja. Przedtem, zanim otrzymała owe listy, nikt nie interesował się jej osobą. Tajemniczy prześladowca ostrzegał ją najpierw, straszył niebezpieczeństwami, jakie grożą Europejczykowi na Wschodzie, potem groził, nawet włamywał się do jej mieszkania, a kiedy to wszystko nie odnosiło skutku, dopomógł Kurtowi schwycić narzeczoną na gorącym uczynku niewierności, wcisnął rewolwer w jego dłoń i skierował broń w piersi Lotte. Nie w owego lekarza, lecz w nią. Widocznie tylko na jej śmierci mu zależało.

Wreszcie napad dzisiejszy...

23

Dlaczego jednak nie pchnął śpiącej sztyletem? Przecież był to dużo prostszy sposób, niż zarzucanie na szyję pętli.

Znowu powróciłem myślą do szczupłych wiadomości o Tugach. Przypomniałem sobie, że członkom tej sekty nie wolno było mordować swych ofiar inaczej, jak tylko przez uduszenie jedwabną chustą. Więc zbrodniarz był Hindusem, tym samym Hindusem zapewne, którego Lotte widziała wówczas w Berlinie.

Teraz należało odgadnąć, dlaczego tajemniczemu wyznawcy Buddy zależało na tym, aby Lotte von Nardewitz nie dotarła do Szanghaju. I tutaj mogłem sobie postawić cały tuzin wyrazistych pytań. Daremnie przebiegałem w myśli wszelkie możliwe kombinacje. Chwytałem się każdej hipotezy i każdą odrzucałem po namyśle. Wreszcie postanowiłem spytać o pewien szczegół mą towarzyszkę. Zwróciłem oczy w jej kierunku i ku niemałemu zdumieniu spostrzegłem, że śpi. — Śpi lub udaje — szepnąłem, przysuwając się do zgiętej, skulonej sylwetki. Spała... Na pewno spała. Nie obudziła się nawet, kiedy delikatnie dotknąłem jej ramienia. Teraz dopiero zauważyłem, że noc minęła. Przez brązową firankę, zasłaniającą szerokie okno, wdzierały się pierwsze blaski wschodzącego słońca. Światło elektrycznej lampy żółkło, jakby z zazdrości, na widok szczerzłoty promieni słonecznych.

Dźwignąłem się z łóżka bardzo ostrożnie, aby Lotty nie zbudzić. Obrzuciłem ją pożegnalnym spojrzeniem i z ręcznie wysunąłem się na korytarz. Kiedy powróciłem do swego przedziału, widok chrapiącego Wiedeńczyka wzbudził we mnie szczerą zazdrość. Tak bym się chętnie przespał! Łóżko kusiło tak potężnie... A jednak nie położyłem się mimo zmęczenia i dziwnego bólu w kościach. Dręczyła mnie obawa,

że Hindus może się jeszcze znajdować w pociągu, może powrócić do swej ofiary, która zdrzemnęła się z całą ufnością, że „rycerski Polak” nad nią czuwa. Ogarnęło mnie niespodzianie uczucie jakiejś tkliwości, prawie rozrzewnienia.

— Śpij spokojnie, małeńka... Będę czuwał nad twym bezpieczeństwem— szeptałem, narzucając na siebie zarzutkę.

Usiadłem w korytarzu, tuż pod drzwiami obu sąsiadujących przedziałów. Zaspanym wzrokiem spoglądałem na wspaniałe górskie krajobrazy, defilujące przed oknem.

Pociąg wspinał się pod górę, ciężko

24

sapiąc z wysiłku. Spojrzenia moje ześlizgiwały się wraz z wezbranymi, spienionymi nurtami potoków z nagich skał w podłużną dolinę, rozciągającą się u stóp naszej drogi i tonącą w świeżej, soczystej zieleni. Wszakże to była wiosna...

W końcu korytarza pojawiła się ciemna sylwetka austriackiego konduktora. Szedł widocznie do konduktora wagonu sypialnego. Obrzucił mnie wzrokiem bardzo zdziwionym. Nie mógł się powstrzymać od zapytania:

— Czy się panu źle spało, czy też chciał pan zobaczyć wschód słońca? Nic ciekawego, proszę pana. Słońce tu, czy tam, zawsze jednakowo wschodzi.

— Nie spałem w ogóle. Wagon prawie pusty... Lękałem się jakiegoś napadu — rzekłem szybko, chcąc przerwać obszernie się zapowiadający wykład o wschodzie słońca...

Wyszczerył* żółte zęby w szerokim uśmiechu:

— Napadu? Pierwszy raz słyszę coś podobnego. U nas? W Austrii? Nie, mój panie.

Kiedy się podróżuje przez Austrię, tak mocno obciążoną obecnie, można spać przy otwartych drzwiach, a portfel wystawić na korytarz razem z trzewikami.

Nie miałem oczywiście zamiaru wtajemniczać pocziwego gadułę w szczegóły przygody Lotty von Nardewitz, no i mojej ostatecznie. Toteż poczęstowałem go papierosem i zapytałem, czy daleko jeszcze do włoskiej granicy.

— Za godzinę staniemy w Tarvis, czy Tarvisio, jak mówią „Talja-nie”.

Drzwi przedziału mej sąsiadki odsunęły się do połowy.

— Pani już nie śpi? — rzekłem, zrywając się z ławeczki. Zauważyłem, że zwichrzone przedtem włosy zdołała przyprowadzić do porządku i narzuciła na siebie jedwabny szlafroczek.

— Obudził mnie odgłos rozmowy.

Austriacki konduktor zmrużył oko filuternie, podkreślił jasnego wąsa i poszedł w swoją drogę.

— Jeżeli nie jesteśmy śpiący — zaszczebiotała Lotte z czarującym uśmiechem — to proszę się ubrać i przyjść do mnie. Zapraszam pana serdecznie. Granica już niedaleko, jak słyszałam, więc o spaniu nie będzie mowy. Przyjdzie pan, „nicht wahr”?

25

Oj, to niemieckie „nieprawdaż” może zepsuć najmiłszy nastrój. Lecz Lotte była tak śliczna w owym momencie, jej kokieteryjne przechylenie główki miało w sobie tyle wdzięku, że przyrzekłem przyjść do niej za kwadrans.

Rozdział III

Anonim

Już trzeci dzień trwa moja znajomość z Lotte von Nardewitz.

— Gdzie zajedziemy? — spytałem przedwczoraj, kiedy pociąg nasz zbliżał się do „wiecznego miasta”.

— W Berlinie polecono mi hotel „Victoria”. Ma tam być czysto, schludnie i niedrogo. Ten ostatni argument nie powinien być mieć znaczenia dla Lotty, podróżującej na koszt bogatego wujaszka, ale widocznie zaważył na szali nawyk niemieckiej oszczędności.

Więc zajechaliśmy do „Victorii”. Sprawiedliwość wymaga przyznać, że informacje berlińskie były ściśle. Hotel miał wszystkie trzy wymienione przed chwilą zalety, a nadto czwartą — świetne położenie, w najzdrowszej, bo górnej części miasta. Okna mojego pokoju wychodziły na Corso d'Italia, a dalej na ogrody ciągnące się w stronę Villa Borghese i na lewo, ku niezapomnianemu Monte Pincio, skąd widok się roztacza przepiękny na całą połąć Rzymu, aż hen ku potężnej kopule kościoła św. Piotra. Przypuszczam jednak, że mej pięknej towarzysze podróży zalecono „Victorie” przede wszystkim z tej prostej przyczyny, że właściciele tego hotelu nazywają się pan Thiele i pan Wirth. O tym pamiętano w Berlinie. Spojrzałem na zegarek w pewnym momencie. Brakowało siedem minut do piątej. O szóstej mamy się spotkać z Lotta w Koloseum, by doczekać tam chwili zachodu słońca.

Czułem jakąś radość w sercu. Kocham Rzym cały, z jego nieprzebranymi skarbami pamiątek, lecz muszę się przyznać, że nic nie wywiera na mnie tak silnego wrażenia, jak imponujące ruiny Koloseum. Widziałem

27

r

je już nieraz o wschodzie czy zachodzie słońca, w dni pogodne, j pochmurne, oglądałem je w srebrnej poświacie księżyca, raz nawet zapędziłem się tam w czasie burzy i przymknąwszy oczy brałem odgłosy grzmotów za ryki zgłodniałych lwów, w podziemiach na igrzyska oczekujących, a mimo to spieszę tam zawsze, ile razy mogę, z jednakową ciekawością, radością.

A jednak muszę wyznać, jeśli mam być szczerzy, że tym razem ciągnie mnie do ruin przede wszystkim świadomość, że znowu zobaczę Lottę.

Bo przywiązałem się do tej dziewczyny niezwykle silnie, jak na tak krótką znajomość. Polubiłem jej gadatliwość, którą nazywam pta-szęcym szczebiotem, polubiłem jej nadmierną szczerłość, o brawurę zatrącającą, która mnie razila początkowo; strawiłem nawet jej nieodzowne „nieprawdaż”, ba, co gorsza, sam zaczynam kończyć zdania tym mało krasomówczym zapytaniem.

Jeśli zaś tak łatwo poszło z ujemnymi stronami, co mówić o zaletach? Spojrzenia jej przeźroczytych oczu wnoszą mi w serce spokój jakiś przeogromny, jakąś rzewną radość. Uśmiech jej usteczek, które wyglądają jak mała, purpurowa plama, a szczególnie jej głębokie, koleżeńskie podanie dłoni roztkliwia mnie, może... wzrusza nawet. Odczuwam doskonale znaczenie takiego uścisku. Lotte chce przezeń wyrazić, że w mej obecności nie lęka się zupełnie tajemniczego wroga, że z całą ufnością powierza bezpieczeństwo swej osoby „drogiemu zbawcy”, jak mnie zwykła nazywać bez odcienia najlżejszej choćby żartobliwości.

Nie chcę sobie pochlebiać, broń Boże, ale mam wrażenie, że to młode, sentymentalne dziewczątko niemieckie podkochuje się trochę we mnie i będzie bardzo, bardzo

smutne, kiedy nadejdzie godzina rozłąki.

A nadejdzie niebawem...

Za pięć dni wpłynie do portu neapolitańskiego okręt „Albion”, który uwieźmie moją czarującą podróżniczkę na daleki Wschód, gdy ja tu pozostanę. Mam wprawdzie zamiar przejechać się na jakieś trzy tygodnie do Egiptu, ale cały kwiecień chcę spędzić na Sycylii. Hm!... Czy nie byłoby lepiej zrobić na odwrót? Teraz jeszcze nie ma w Egipcie takich upałów, jakie będą później... Stop! To jest myśl przednia. Nasza znajomość z Lotte stałaby się przez to dłuższa o 3 do 4 dni... Warto za tę cenę zmienić pierwotny plan spędzenia urlopu. Tak... jutro pójde do

28

Konsulatu, lecz w tajemnicy przed nią. Sprawię jej niespodziankę, jak mniemam, przyjemną.

Znowu spojrzałem na zegarek. Dopiero pięć po piątej. Och, czemuż nie jest później! O godzinie pierwszej po południu jedliśmy wspólnie lunch w restauracji hotelowej. Koło drugiej Lotte wyszła załatwić kilka sprawunków. Więc ledwie trzy godziny trwa nasza rozłąka, a mnie się zdaje, że chyba z tydzień. No, no! Te symptomy tęsknoty zaczynają być zatrwajające. Gotów bym kto pomyśleć, że i ja się także podkochuję. Nie! Tak źle nie jest. Po prostu zwykle przyzwyczajenie się do miłego towarzysza podróży, nic więcej.

Jakże szpetnie teraz skłamałem. Mój sąsiad z wagonu sypialnego jest tutaj także. Widziałem go dwukrotnie w towarzystwie jakiejś młodej osóbki. Z niego także był miły kompan podróży, a nie mogę powiedzieć, bym za nim tęsknił choć odrobinę. Więc sympatia ku Lotte, to coś więcej niż przywyknienie do osoby przygodnie poznanej w podróży?

Wzrok mój biegnie ku sporej wiązance kwiatów, które kupiłem przed chwilą dla niej. Zawiozę je taksówką do Koloseum. Już widzę jej rozradowaną twarzyczkę, jej uśmiech dziękczynny...

Czemu czas biegnie tak powoli? Dopiero kwadrans na szóstą...

Ktoś puka do drzwi.

— Proszę wejść.

Dostałem mały, pachnący liścik. Przyniesiono go przed chwilą do portiera. Pismo wybitnie kobiece. Może od niej? Nie znam jeszcze jej pisma.

Szybko rozdarłem kopertę. Cała stronica była pokryta dużym, wyraźnym pismem. Zacząłem czytać:

Panie!

Zanim dojdzie między Wami do zupełnego zbliżenia, radzę zwrócić się do któregośkolwiek biura informacyjnego w Berlinie z zapytaniem, kim jest Charlotte von Nardewitz. Dowie się Pan wówczas wielu ciekawych szczegółów z barwnej przeszłości pięknej awanturnicy, oraz jej egzotycznego przyjaciela.

Należy ubolewać nad Pańskim niedoświadczeniem, że tak łatwo pozwolił się Pan omotać. Metody Lotte von N. (używam jej obecnego nazwiska, a ma ich więcej) w robieniu znajomości są wprawdzie bardzo oryginalne, ale równie naiwne i łatwe do zdemaskowania. W mej obecności opowiadała Lotte tu, w Rzymie, w jaki sposób poznała Pana w slipingu.

29

Pozostaje mi jeszcze wyjaśnić, dlaczego piszę do Pana, którego nie znam nawet z widzenia, na którym mi nic absolutnie nie zależy. Oto rewanżuję się pięknej Lotte za pewien figiel, jakiego mi wypłatała jeszcze w tym czasie, kiedy była na utrzymaniu barona Grimma. Może jej Pan to wręcz powiedzieć, przedtem jednak radzę napisać do biura wywiadowczego.

Czułem się jak po uderzeniu pałką w głowę. Przeczytałem kilkakrotnie anonim, zawierający tak niezwykle informacje. Czy informacje prawdziwe?

Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, zacząłem przebiegać w myśli dzieje mej znajomości z Lotte, od samego początku, badać szczegół po szczególe z systematycznością, godną lepszej może sprawy. Układałem sobie w głowie szereg pytań w następującym porządku:

1. Czy kobieta słabej na ogół budowy ciała, napadnięta w czasie snu przez zbrodniarza, który z całą premedytacją zamierza zgładzić swą ofiarę... czy taka kobieta mogłaby się bronić w taki sposób, jak Lotte to opisywała, czy raczej zemdlałaby z samego przestרחu?
2. Czy po takim wstrząsie (przyznając, że napad nie był żadnym trikiem) mogłaby napadnięta gawędzić swobodnie noc całą?
3. Dlaczego nie przystała na zaalarmowanie służby pociągu i nie chciała spowodować pościgu za zbrodniarzem?
4. Dlaczego nie pokazała mi nigdy listów od wuja? Prawda! Niezwykły złodziej, który wzgardził futrami, złotym zegarkiem etc, etc. złakomił się na bezwartościowe pisma. Jak to wszystko zręcznie obmyślono! Ale telegram... Wspomniała o telegramie, który nadszedł w ostatnich dniach. Czy dla niego zrobiono powtórne włamanie?
5. Dlaczego zasnęła tak podejrzanie szybko po ukończeniu swej pomysłowej historyjki? Czy chciała mnie w ten sposób ośmielić do zaczepki? I dziwny to był sen, którego nie przerwało moje gramolenie się z łóżka, w rogu którego zasnęła, lecz przerwał natychmiast odgłos rozmowy z konduktorem, prowadzonej za drzwiami. A Lotte, ukazując się w drzwiach przedziału, była już uczesana i z grubsza „ogarnięta” mówiąc potocznie.
6. Wreszcie jej opowiadanie o zerwaniu z narzeczonym. Kurt miał j' zaskoczyć w separacie, w niewinnej separacie restauracyjnej. Tymcza sem na odgłos jego strzału zleciały się przede wszystkim pokojówek hotelowe. O, ja mam pamięć dobrą!
„Zerwałam się z kanapy” mówił

30

V

Lotte. A cóż ten mebel tam porabiał? Czy owa scena, o ile w ogóle miała miejsce, nie rozegrała się raczej w pokoju hotelowym? A poza tym Lotte musiała się znajdować w sytuacji wcale niedwuznacznej, skoro Kurt, lekarz, człowiek zapewne zrównoważony, nie wahał się użyć broni. Tak, tak... Piękna awanturnica sprytnie to wszystko obmyśliła, upiększyła może nawet rzeczywistymi wspomnieniami z bujnego swego życia, ale w ferworze zaplątała się trochę i sama rzuciła cień na opinię studentki medycyny, panny z towarzystwa, solidnej narzeczonej lekarza. I ja stary... (nie chcę się sam obrzucać zasłużonymi epitetami) nie domyślałem się niczego, aż dopiero anonim jakiejś Lotte nr 2 musi mi oczy otwierać...

Kierując się pierwszym porywem gniewu, chwyciłem bukiet kwiatów ze stołu i rzucałem go w kąt pokoju. To mi trochę ulżyło.

Na zegarku, dwadzieścia pięć minut po piątej. A niech będzie sobie nawet szósta! Nic mnie to nie obchodzi...

Nic?

Przypomniałem sobie kilka epizodów z wczorajszej naszej wycieczki do Watykanu. Z jakim wzruszeniem słuchała Lotte wykładu oprowadzającego nas guida. Jak gorąco modliła się ona, protestantka, w rzymsko-katolickiej bazylice... Poza? Komedia? Nie! Niemożliwe! Zbyt uważnie śledziłem grę jej wyrazistej twarzyczki...

Długi czas biłem się z myślami, nie wiedząc, co sądzić o mej towarzysze. Duża wskazówka zegarka zbliżała się nieuchronnie do rzymskiej dwunastki. Brakowało ledwie pięć minut jeszcze...

Zdecydowanym ruchem ręki wyciągnąłem dłoń po kapelusz. Rozwarłem notes i naprędce zredagowałem depeszę do znanego mi biura wywiadowczego „Hans Raage” w Berlinie, prosząc o przesłanie odwrotnej odpowiedzi na „poste restante” do Neapolu. Należało bądź co bądź sprawdzić, kim jest Charlotte von Nardewitz. Pozory mogą mylić...

Podniosłem kwiaty z ziemi.

— Ja także potrafię się maskować — rzucałem głośno wyzwanie nieobecnej Lotte — lecz jeśli ty, mała, jesteś rzeczywiście zwykłą awanturką, to szkaradnie spudłowałaś tym razem. Źle zarzuciłaś wędkę. Ja jestem tylko biednym literatem, a w dodatku wiem już, kim ty jesteś. Szpetnie chybiłaś, moja Lotte, ale na razie zabawmy się ślepą babką...

Ukończywszy ten monolog, opuściłem pokój z miną triumfatora.

Rozdział IV

Nowa znajomość

Cztery dni minęły od chwili otrzymania anonimowego listu, który tak silnie podkopał kredyt Lotty von Nardewitz w mojej opinii. Nazajutrz wyjechaliśmy do Neapolu. Na wszelki wypadek jednak załatwiłem w Rzymie formalności paszportowe. Ona nie wie o tym nic oczywiście i jest przygotowana na rozstanie w Neapolu.

Nie straciliśmy tych trzech dni, spędzonych razem w najpiękniejszym mieście portowym Europy. Na pierwszy ogień poszła wycieczka do krateru Wezuwiusza.

Utartym i wygodnym szlakiem turystów udaliśmy się do Puglione, a stamtąd w górę aż do Hotelu „Ermo”, gdzie zjedliśmy lunch na wysuniętej werandzie. Potem porwał nas wagonik „Funicular Railway” i wspinając się po pochyłości dochodzącej do 30 stopni nachylenia, wyrzucił nas kwadrans później blisko szczytu potężnej góry.

Dobrze wydeptaną ścieżką podeszliśmy aż na samą krawędź starego krateru, a potem nad precudną zatokę, u naszych stóp rozlaną...

Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy mej pięknej towarzyszkii, gdy błędziła zachwyconymi spojrzeniami po okwitających gajach pomarańczowych, po szafirowej toni spokojnej zatoki, zasłoniętej od pełnego morza skalistą barierą Capri, objętej z lewej strony przez wygięte ramię półwyspu Sorrento, z prawej przez Bałę...

Przyciszonym głosem zaczęła Lotte deklamować jakieś wiersze niemieckie. Dwie czyste łzy zaślśniły w jej cudnych oczach.

— Nie! — pomyślałem wówczas. — To nie może być zwykła awanturka. —

Pochwyciłem jej dłoń i do ust podniosłem... Nastrój

32

zepsuł, jak zwykle, natrętny przewodnik, który przewracając białkami oczu, z kiepsko odegranym entuzjazmem, zawołał: —

— Vedi Nepoli e poi moru... See Naples and dié!...

Miałem uzasadnione obawy, że przełoży nam stary frazes także na inne języki, więc szybko zapytałem go o godzinę odjazdu kolejki „Circumvesuviana”.

Drugi dzień pobytu w Neapolu był dla mnie bogatszy w miłe wspomnienia. Od samego rana aż do lanczu wałęsaliśmy się wśród ruin Pompei. Wynajęta motorówka przeniosła nas szybko do Sorrento, gdzie zapewniwszy sobie nocleg w hoteliku, wypożyczyliśmy czym prędzej małą łódeczkę na dwa wiosła, by w niej błędzić aż do nocy, wzdłuż stromych brzegów... Sorrento!... <

Sorrento, znane powszechnie i oklepiane straszliwie, a przecież tak niezrównanie piękne, jakby stworzone do tego, by w nim oddychać tylko miłością.

Księżyc wyszedł krótko potem, jak odbiliśmy z przystani, lecz od czasu do czasu przysłańały go małe, niby z białej wełny utkane obłoczki. Morze było zupełnie spokojne, lśniło jak brokat, jak i „na srebrzysta, lub na przemian stawało się ciemne, granatowe, w miarę jak miesiąc ukazywał się albo znikał na niebie. Z willi, domków, hoteli, pensjonatów, błyskały światła. Gdzieś w oddali kręciła się monotonicznie lampa morskiej latarni. Biały język światła prześlizgiwał się szybko po gładkich nurtach i ginął poza skalnym cyplem. Gdzieniegdzie snuły się czółna przybrane kolorowymi lampionami. Dochodziły z nich dźwięki gitary, mandoliny i śpiew.

I&tte przesiadła się na moją ławeczkę. Wiosłowaliśmy teraz wspólnie, każde jednym wiosłem. Powietrze przeszły zachrypty, lecz przeraźliwy ryk syreny okrętowej. Od strony Capri zbliżał się statek wycieczkowy, oświetlony rzędami kolorowych lampek. Sygnałem ostrzegał czółna zakochanych par, aby mu ustąpiły z drogi i zostawiły dostęp do przystani.

— To „Helena”... znam dobrze ten parowiec — rzekłem:

— Jutro rano zawiezie on nas do Marina Grande, dc „Lazurowej Groty”.

— Tak, tak... Lecz jutro wieczorem odwiezie nas z powrotem do Neapolu, a pojutrze... rozstaniemy się na zawsze.

3 Perla S/anghuju

33

Głos Lotty zadrżał dziwnie, scichł, kiedy wymawiała ostatnie wyrazy. Przestała wiosłować. Główkę opuściła nisko na piersi. Głębokie westchnienie wydarło się z jej piersi. Ogarnęło mnie wielkie wzruszenie, tkliwość i jakieś trudne do zdefiniowania uczucie, jakiego doznawałem często w ciągu pierwszych dni naszej znajomości, zanim nadszedł... anonim przekłety... Nie zdając sobie sprawy, co czynię, objąłem prawą ręką smukłą kibić dziewczyny, objąłem bardzo lekko, delikatnie... Pochyliła się ku mnie i wsparła główkę na moim ramieniu.

— Tak mi dobrze i czegoś smutno zarazem — szeptała: — Mam przeczucie, że moja podróż na Wschód źle się skończy. Nie bałam się niczego, dopóki ty byłeś ze mną. Nie! Słuch mnie nie zwodził. Zamiast „Sie” powiedziała „du”. Pierwsza zaczęła mnie „tykać”. Usta mnie paliły, by jej powiedzieć, że posiadam już wizę, że odprowadzę ją aż do Port Saidu, ale równocześnie wzrosła podejrzliwość wywołana anonimowym

listem. Czyżby jej żal z powodu rozłąki ze mną miał być nowym trikiem? Czy w ten sposób chciała mnie nakłonić do dalszej podróży?

Przechyliłem głowę. Spojrzałem przenikliwie w półprzymknięte, zasmucone oczy Lotte... —Albo ją krzywdzę posądzeniem, albo jest świetną aktorką — pomyślałem. —Telegram!... Przypomniałem sobie teraz dopiero i postanowiłem ją zapytać o depeşe, którą otrzymała od wuja. Ale w chwili, kiedy otworzyłem usta, by spytać ją, nadbiegła pierwsza fala, którą wykroił ostry dziób zbliżającego się parowca. Łódź zakołysała się gwałtownie, a moje wargi spadły na rozchylone usta Lotte. Małe, pachnące usteczka nie cofnęły się bynajmniej i słodki pocałunek trwał długo, bardzo długo, dopóki silne kołysanie się czółna nie zmusiło nas do pochwycenia za wiosła. Wycieczkowy parowiec „Helena” mijał nas właśnie.

Już od dłuższej chwili kapał księżyc swój lśniący warkocz w morzu i wielu turystów z „Heleny” musiało widzieć czułą scenę, jaka rozegrała się na małej łódeczce, bo usłyszeliśmy głośne wiwaty:

— Niech żyje miłość! — huczał jakiś bas z górnego pokładu.

— Niech żyje! Niech żyje! — odpowiedział srebrzysty głosik mej towarzyszki.

Na brzegu rozpalono kilka wielkich ognisk. Rozpoczęła się zwykła seria ogni sztucznych, jakimi wita zazwyczaj piękne Sorrento tych,

34

którzy wracają z Capri. Na pokładzie parowca zagrała orkiestra jakąś rzewną piosenkę neapolitańską. Jej dźwięki pochwycił głos jeden, piąty, dziesiąty i w mgnieniu oka zorganizował się przygodny chór śpiewaków.

— Jakie to piękne! — Przytuliła się do mnie ruchem rozpieszczonego dziecka...

— Awanturnica. Zwyczajna awanturnica — niby rój brzęczących owadów, dźwięczały mi w uszach słowa anonim.

— Pojutrze o tym czasie ja będę już daleko. Pozostanie tylko niezapomniane, wspomnienie dzisiejszego wieczoru. — W głosie jej brzmiała skarga, smutek, a zarazem przeogromne pragnienie dalszych pocałunków... Wibrującym szeptem ciągnęła dalej:

— Tobie zawdzięczam, że dziś oglądam te cuda. Gdyby nie ty, zginęłabym wówczas. Pomyśl... on ukląkł mi na piersiach i zaciskał jedwabną pętlicę dokoła mej szyi. Wtedy nadbiegłeś z pomocą... ty...!

Zanim mogłem przeszkodzić, usta Lotte von Nardewitz przylgnęły do mojej dłoni. Prysłły nagle wszelkie podejrzenia, skrupuły. Znikł ostatni cień nieufności. — „Ona nie jest awanturnicą, a jeśli nią nawet kiedyś była, to cóż mnie to może obchodzić”

— zadecydowałem. Wyśnione tło, upojna woń kwiatów niesiona od brzegu na skrzydłach lekkiego wietrzyku, słodkie tony mandolin, gitar, śpiewy par zakochanych i obecność, bliska, bezpośrednia obecność tej pięknej, sentymentalnej, łaknącej pieszczot dziewczyny złożyły się na nastrój, któremu całkowicie uległem.

Przypuszczam, że gdyby Lotte była nawet zbrodniarką i gdybym o tym wiedział, byłbym ją wówczas, w tę cudną noc księżycową, całował tak samo gorąco, jak ją rzeczywiście całowałem.

Wróciliśmy do hotelu krótko przed północą.

.Odprowadziłem Lotte aż pod drzwi jej pokoju, lecz kiedy chciałem próg przestąpić, powstrzymała mnie ruchem bardzo łagodnym, lecz stanowczym.

— Nie! — rzekła krótko, a po chwili dodała: — dobranoc ci, kochanie. — Chciałem jeszcze prosić, błagać, nalegać... Pogroziła paluszką zartobliwie i zamknęła mi drzwi przed nosem. Posłyszałem zgrzyt klucza, dwukrotnie w zamku przekreślonego. Dzisiejszego ranka wsiedliśmy na pokład „Heleny”.

— Te ostatnie dwa dni, jakie nam pozostały, będziemy się bawić

35

w parę narzeczonych — mówiła Lotte von Nardewitz z uśmiechem, wsuwając swą szczupłą rączkę pod moje ramię. I przytuleni do siebie staliśmy na przedzie parowca dobre pół godziny. Nikt się nie dziwił tak czulej pozie. Brano nas za młode małżeństwo, za kochanków lub narzeczonych, pozdrawiano uśmiechem życzliwym, wyrozumiałymi spojrzeniami, słowem... sympatyzowano z nami, jak się sympatyzuje we Włoszech z każdą parką młodych.

Statek zatrzymał się w odległości może stu pięćdziesięciu metrów od skalistego brzegu. Otoczył nas rój maleńkich łódek, podążających w kierunku schodków, jakie opuszczano właśnie z dolnego pokładu. Na parowcu zrobił się ruch. Stadka wycieczkowiczów najrozmaitszych narodowości skupiały się dokoła swych przewodników, rzekłbyś: strwożone owce koło pasterza.

Nie pierwszy raz w życiu odbywałem tę wycieczkę, toteż umieściłem się wraz z moją towarzyszką wcześniej w pobliżu barierki, zamykającej drogę do schodków. Tuż za nami sunął spocony, zziębnięty guid biura „Thos. Cook & Son”, wiodąc trzódkę wygolonych jankesów, ślicznych ladies i girls. Z tej właśnie grupy oderwał się jakiś kościsty dżentelmen uzbrojony w aparat fotograficzny oraz sążnistą lornetę i wskoczył do czółna, w którym siedzieliśmy oboje z Lotte.

Skrzywiłem się trochę. Łódeczki przeznaczone do zwiedzania „Błękitnej groty” zabierają oprócz wioślarza dwóch, a najwyżej trzech pasażerów. Przypuszczałem, że popłyniemy w dwójkę, że w czasie prześlizgiwania się przez niski tunel wiodący do groty będę mógł sobie przypomnieć posmak wczorajszych pocałunków. Inwazja nieproszonego sąsiada przekreślała te obliczenia oczywiście. Więc niezbyt życzliwymi spojrzeniami obrzuciłem przybysza i zacząłem mu «ię przyglądać. Trudno było określić jego wiek na pierwszy rzut oka. Mógł mieć równie dobrze lat dwadzieścia osiem, jak trzydzieści osiem, a może więcej. Oczy przysłaniały mu ogromne, amerykańskie okulary, w rogowej oprawie o szklach ciemnozielonych, jakich używają np. Europejczycy, niedawno przybyli do Afryki i nie oswojeni z oślepiającą białością tła krajobrazów. Krótko przystrzyżony, gęsty, ciemny wąsik ocieniał wybitny łuk górnej wargi. Spod kraciastej dżokejki wymykały się na policzki czarne paski bokobrodów, a długi daszek czapki zjeżdżał na okulary, aż na orli nos prawie.

36

Uderzyło mnie od razu, że dżentelmen był wspaniale opalony, jak gdyby co dopiero powrócił z Egiptu, czy Arabii, czy innych południowych okolic. Widocznie ten kolor skóry żenował go nawet, gdyż dostrzegłem ślady pudru na jego twarzy i na długich dłoniach.

— Państwo wybaczą — odezwał się niskim, jakby przytłumionym głosem, przerywając moje obserwacje: — wolelibyście zapewne jechać we dwójkę do „Blue Grotto”, ale ^przyglądałem się wam na pokładzie i postanowiłem was zdjąć razem.

Fotografuję pasjami wszystko, co zajmujące, a czy może być wśród tej boskiej przyrody coś bardziej „interesting”, jak prześliczna parka młodych spoglądających ustawicznie na siebie?

Nie czekając naszego pozwolenia cofnął się aż ku ławeczce wioślarza, wyjmując z eleganckiego pokrowca swój aparat. Jego powiedzenie: „prześliczna parka młodych” tak pochlebilo mej towarzyszce, że przytuliła się do mnie silnie i poleciła mi zrobić „przyjemny wyraz twarzy”. Mam wrażenie, że niezbyt się to powiodło, lecz Anglik był zachwycony.

— Jutro odjadę prawdopodobnie do Egiptu — zaczął znów swym grobowym głosem: — ale to zdjęcie wywołam zaraz na statku i dam państwu kilka odbitek.

— Pan jutro wyjeżdża do Egiptu? Czy może na pokładzie „Albio-nu”?

— Tak, proszę pani. Na pokładzie „Albionu”.

— W takim razie będziemy towarzyszami podróży.

Skarciłem Lotte wzrokiem. W jej położeniu należało być ostrożniejszym i nie zwierzać się z zamiarów na przyszłość, wobec obcego człowieka. Ale już Anglik zahuczał basem:

— Jakże się cieszę! Więc państwo również do Egiptu, czy może gdzieś dalej? Wnioskując z kierunku spojrzeń czarnych okularów, pytanie było do mnie zwrócone. Aby uniknąć odpowiedzi, zacząłem gwałtownie zagadywać pasażerów czółna, wskazując dłonią na wylot grotu, koło którego kłębiło się kilkanaście łódek, które formowały właśnie tak popularny w czasie wojny „ogonek”.

Lecz właściciel bokobrodów, lornety oraz ślicznego aparatu, uczepił się oburącz Egiptu. Ani myślał przeskakiwać na inne tematy.

37

Jak pan sądzi — pytał: — czy zdobędę jeszcze jaką porządną kat na „Albionie”?

Państwo zamówili sobie zapewne wcześniej miejsc;

— Nie zamówiliśmy do tej pory — odparłem sucho, przecim dalszą dyskusję na ten temat: — być może, że pojedziemy następn okrętem. Nie spieszy się nam wcale. Uczułem, nie patrząc w jego stronę, że przygląda mi się uważ: spoza okrągłych tarcz swoich szkła. Lótte omal głośno nie zadem strowała swego zdziwienia. Uściśnąłem jej dłoń porozumiewawczo

Czółno nasze ustawiło się w ogonku. Z niskiej czeluści wychyr cztery łódki, potem zaczęły wpływać do środka nowo przybyłe: jed druga, trzecia, czwarta, piąta itd. Nasza była ósma i przyszła na kolejka. Przykucnąwszy między ławeczkami, pochyliśmy głowy, by zawadzić o sklepienie krótkiego lecz bardzo ciasnego tunelu. Wic wyciągnięte leżały tuż obok. Woda ściekała z nich, kropla za kroi Nasz wioślarz klęknął na przedzie czółna i chwytając rękoma za łańc zwisający przy lewej ścianie przesmyku, wciągnął łódkę do wnętrza

Ogarnął nas półmrok. Wiosła zanurzyły się znowu w przeźroc stych, niebieskawych nurtach, załamując się przedziwnie. Mogliś z powrotem zająć miejsca na ławeczkach. Anglik zawodził monoton że nie zabrał ze sobą magnezji, a na robienie zdjęć bez niej, światło słabe. Lotte zachwycała się głośno pięknnością ogromnej grotu i koi stając z momentu, kiedy znaleźliśmy się dość daleko od kilkuna łódek, musnęła mój policzek gorącymi wargami. Anglik był w o chwili zajęty rozmową z wioślarzem. Dobrą godzinę później wylądowaliśmy w Marina Grandę. N przygodny znajomy z

wycieczki do „Błękitnej Groty” stracił się z oc Prawdopodobnie pomaszerował razem ze stadkiem, prowadzon przez przewodnika z Thos. Cook & Son.

Młody, śniady dorożkarz podciął batem swą szkapę, ozdobił ją bażancim piórem i zawiózł nas do Anacapri przepiękną drogą, prz; pioną do stromego zbocza góry i zawieszoną nad morzem.

Wieczorem spotkaliśmy się z naszym Anglikiem w dużej kaji „Heleny”. Odbitki dzisiejszego zdjęcia były już gotowe, a kilka ki szków czerwonego wina „Capri” dopomogło skutecznie do staja pierwszych lodów. Już nie krępowaliśmy się rozmawiać o podróży Egiptu. Lotte patrzyła na mnie ze zdziwieniem, lecz po chwili uwierz;

38

że i ja także mam zamiar towarzyszyć jej do Port Saidu, co ją ogromnie ucieszyło. Ponieważ jednak nie byłem do tej pory zdecydowany, czy będę jej towarzyszył i ponieważ z drugiej strony chciałem jej oszczędzić zawodu, skorzystałem z momentu, kiedy Anglik odszedł do bufetu, aby zadysponować trzy koktajle według własnej recepty i rzekłem:

— Nie umiesz się maskować, kochana Lotte. Przejęty obawami

O twoje bezpieczeństwo, wietrzę w każdym człowieku twoich wrogów

I dlatego właśnie rozgłaszam, że dalszą podróż odbędziemy razem, ale to...

— Jak to? —przerwała mi szybko — więc ty nie pojedziesz? A tak się już cieszyłam.. Zasmuciła się w sposób aż nadto widoczny. I ja tę dziewczynę mogłem chociaż przez chwilę podejrzewać!

— Rozchmurz się maleńka. On wraca. Że też ty nie potrafisz zapanować nad maską swej łagodnej twarzyczki.

Dalsze zachowanie się Lotty von Nardewitz zmartwiło mnie mocno. Piła dużo, zatrważająco dużo i gadała, gadała bez przerwy. Moje ostrzegawcze spojrzenia, chrząkania odnosiły skutek wręcz przeciwny zamierzeniom. Wyciągnąłem nogę pod stołem, chcąc takim sposobem „zadepeszować” niestety moja stopa natknęła się na potężną barierę, którą były przedziwnie długie nogi Anglika. Wszelka komunikacja była zatem przerwana. Byłem zrozpaczony, zwłaszcza gdy zauważyłem, że po każdym moim „telegramie optycznym” Lotte wprost sili się na mówienie rzeczy niecenzuralnych. Była to widoczna brawura, chęć zrobienia mi na złość. Pochwaliła się od razu wujaszkiem z Szanghaju, oświadczyła, że jedzie tam właśnie, wreszcie zaczęła najniepotrzebniej w świecie opowiadać o swoich berlińskich przeżyciach.

— Może wyjdziemy na pokład — przerwałem jej dość ostro: —dojeżdżamy właśnie do Sorrento. Warto zobaczyć.

— Idź drogi przyjacielu, jeśli masz ochotę. My tu sobie zostaniemy w kajucie. — Mówiąc słowo: „my”, obrzuciła właściciela potężnych bokobrodów tak zalotnym spojrzeniem, że uczułem cierń zazdrości w sercu. Zostałem z nimi, tłumacząc się sam przed sobą, że czynię to, aby przeszkodzić bardziej nieostrożnym zwierzeniom. Ale jak mogłem przeszkodzić?

39

Anglik był zachwycony opowiadaniem. Co chwila wykrzykiwał: „very interesting”, lub notował coś w swym dzienniku podróży.

— Mój przyjaciel Allan będzie miał wspaniały temat do nowego „criminal romance”.

Nie omieszkać mu opowiedzieć — mówił.

Wreszcie zrozumiałem grę Lotty. Przymilając się do Mr Harveya, chciała mnie ukarać lub zmusić do towarzyszenia jej w podróży do Port Saidu. Uczułem do niej najpierw żal jakiś, a potem ożyły uśmiech wczoraj podejrzania. Treść anonimu znałem prawie na pamięć! więc powtarzałem sobie słowo po słowie i niechęć wzrastała na nowo.

Mr Jack Harvey zabrał głos z kolei. Zaczął opowiadać o Egipcie, Indiach, Japonii i Chinach. Wszędzie już był, wszystko zwiedził, znał każdy z tych krajów na wylot. Jego zdaniem Wschód kryje dziś jeszcze wiele przykrych niespodzianek, nawet niebezpieczeństw dla człowieka białej rasy. Nieraz można paść ofiarą pomyłki, najniewinniej w świecie...

O, gdybym był wówczas przewidział, jakie proroctwa zawierały te słowa! Nie chcę uprzedzać wypadków, ale gdy sobie wspomnę choćby ową fatalną omyłkę w Egipcie, nie mogę odmówić słuszności Mr Jackowi Harveyowi.

Przybyłem do Neapolu w humorze jak najgorszym. Zjedliśmy wieczorny obiad we dwójkę, po czym odprowadziłem Lotte. jak zazwyczaj, aż do drzwi jej pokoju.

Zacząłem się żegnać bardzo zimno, ceremonialnie. Pochwyciła obie moje dłonie.

Roześmiała się swobodnie, wesoło:

— Brzydki zazdrośniku — mówiła: —myślisz, że nie zauważyłam, jakimi spojrzeniami obrzucałeś naszego Anglika? Ha, ha, ha... Gdyby te spojrzenia mogły choćby lekko skaleczyć, biedny Mr Harvey leżałby już w szpitalu.

— Znalazłby uroczą samarytanę, jak mniemam. Lotte droczyła się ze mną w dalszym ciągu:

— Cóż chcesz, mój kochany... Młoda dziewczyna, wybierająca się sama w tak daleką podróż, szuka przyjaznej duszy. Skoro dotychczasowy, najmiłszy zresztą opiekun mnie porzuca, muszę sobie znaleźć innego. Jak widzisz, jestem na najlepszej drodze...

— O tak! Wykazujesz w tym kierunku zadziwiające zdolności. Radbym tylko wiedzieć, gdzie będzie... Sorrento... Mam na myśli...

40

— Wstydź się! —przerwała mi z szkarłatnymi wypiekami na twarzy. —Tego się nie spodziewałam... Żegnam.

. Przeciągnąłem strunę. Rzeczywiście moje odezwanie się było co najmniej niedelikatne, jeśli nie nazwać tego gorzej.

— Lotte — zawołałem, usiłując ją zatrzymać. Na nieszczęście kilka osób przechodziło właśnie korytarzem. Drzwi pokoju Lotte zatrasnęły mi się znowu przed nosem, tak jak wczoraj, lecz jakaż była różnica między tymi dwoma wieczorami...

Rozdział V

Odjazd z Neapolu

Nazajutrz zbudziłem się bardzo późno, z bólem głowy. Najwidoczniej mieszanie koktajli z młodym winem, było kiepskim pomysłem. Kelnera, który przyniósł mi śniadanie, zapytałem czy panna von Nardewitz śpi jeszcze.

— O, nie! —brzmiała odpowiedź. —Przed dobrą godziną widziałem ją w hallu.

Zdaje się, że wyszła już.

Przystojna, kruczowłosa pokojówka zapewniała, że signorina dopytywała o mnie kilkakrotnie. Mały, sprytny lift-boy widział jakiegoś > „Inglese”, który rozmawiał dłuższą chwilę z signorina.

— Skąd wiesz, że to był Anglik?

— O, signore... to nie mógł być nikt inny, jak Inglese. Miał duże okulary, kraciastą czapkę i aparat fotograficzny.

— A jak mówił? W jakim języku — zapytałem, rozbawiony trochę odpowiedzią chłopca.

— Mówił bardzo po cichu, ale to był na pewno Anglik. Bardziej konkretne wiadomości czekały mnie u portiera hotelowego.

Panna von Nardewitz poleciła mi oświadczyć, że wyjeżdża na kilka godzin w kierunku na Pozzuoli, Cumae, Baia, w towarzystwie Mr Harveya i cieszyłaby się bardzo, gdybym za nią pospieszył. Pojadą bardzo powoli... ' >

— A jedźcie sobie nawet bardzo szybko — mruczałem z wściekłością, znalazłszy się przed bramą hotelową. — Prędkoście się zwąchali, moi drodzy... Ale niedoczekanie wasze, żebym was gonił... Nie... Chwała Bogu, że dzisiaj ostatni dzień naszej znajomości. Odetchnę.

42

Czułem doskonale, że jestem nieszczerzy wobec siebie, że wcale nie odetchnę, skoro dzisiejszego wieczora Lotte odpłynie na pokładzie „Albionu”, że przeciwnie będę wzdychał długo, kto wie jak długo...

Szedłem bezmyślnie przed siebie. Znalazłem się na ruchliwej i bogatej w nęcące okna wystawowe via Roma, potem skręciłem automatycznie na prawo. Same nogi zniosły mnie do gmachu głównej poczty. Od tego zaczynam zresztą każdy dzień powszedni za granicą. Stanałem w krótkim ogonku przed okienkiem „poste restante”, czyli „sportello delie lettere ferme in posta”.

Doczekawszy swej kolejki, pozdrowiłem uprzejmie zaszuszoną urzędniczkę. Z wyjątkiem wczorajszego dnia, odwiedzałem ją przed południem i po południu, więc znała mnie zarówno z widzenia, jak z nazwiska, które przekreślała straszliwie. Znajac jej biurokratyczną pedanterię, wymieniłem od razu swoją „godność”.

— Passaporto. — To wydarzyło mi się po raz pierwszy, czego nie omieszkalem zaznaczyć. Niemniej jednak podałem jej swój paszport.

Sroga niewiasta porównała fotografię paszportową z oryginałem, stojącym w pokorze za okienkiem. Porównywała długo i akuratanie. Badanie wypadło chyba pomyślnie, gdyż rzekła z łaskawym uśmiechem:

— Tak... To rzeczywiście pan... —(Nadzwyczajne odkrycie!).

— Pochlebiam sobie, że to ja.

— Widzę właśnie, ale był tu dzisiaj inny pan, który podawał to samo nazwisko i chciał podjąć pańską pocztę.

— Co? Któż taki? Jak wyglądał? I wydała mu pani pocztę? Zaszuszona mumia z okienka „fermo in posta” zmierzyła mnie

pogardliwym wzrokiem. Z huraganowego ognia mych pytań wybrała ostatnie:

% — Ja miałabym wydać pocztę komuś innemu niż adresatowi? Co pan sobie wyobraża? Ja tu już dwadzie... dwanaście lat urzęduję.

Szybko wyraziłem moje zdumienie. Jak to? * Tak młoda istota miałaby już dwanaście

lat być urzędniczką? (Udałem, że nie słyszałem niefortunnego wyrwania się z lat dwudziestką.) Burza przeszła bokiem szczęśliwie. Mumia żałowała zapewne, że zamiast dwanaście nie powiedziała dwa lata. Zdołałem ją rozruszać... Okazało się więc, że dzisiejszego ranka zjawił się przy tymże okienku jakiś młody, wysoki mężczyzna, pytając o pocztę dla mnie przeznaczoną. Mumia od razu poznała, że to

43
nie ja jestem, lecz ktoś obcy. Ostro tedy zapytała uzurpatora, który nie j zmieszał się bynajmniej ale oświadczył, że przybywa z mego polecenia, i ponieważ leżę chory. — Musiała pani chyba zauważyć, że go wczoraj również nie było. I Dzisiaj prosił mnie o wyświadczenie tej grzeczności, więc przycho- i dzę — mówił tajemniczy dżentelmen.

— W takim razie proszę przynieść jego pełnomocnictwo oraz] paszport — brzmiała stanowcza odpowiedź z okienka „fermo in posta”. «

Wówczas uzurpator zrejterował z placu, głośno przeklinając włoską i biurokrację.

— Jak on wyglądał? — przerwałem mumii.

— Już panu mówiłam. Wysoki, szczupły, lat może trzydzieści, bez i zarostu, bardzo starannie wygolony, cera oliwkowa, oczy ciemnoorzechowe o palących spojrzeniach, nos trochę orli, włosy zdaje się czarne. Ubrany był w raglan, barwy ciemnego piasku, miał miękki kapelusz, duńskie rękawiczki, na przegubie lewej ręki bardzo oryginalną branso- i letkę z samych maleńkich, trupich czaszek.

Spojrzałem z niekłamanym zdziwieniem na urzędniczkę pocztową.] Żaden detektyw nie potrafiłby chyba poczynić więcej spostrzeżeń] w ciągu kilkuminutowej rozmowy, w półmrocznej sali. I te „palące i spojrzenia”!...

<Nie mogłem jej niestety wyrazić głośno mych zachwytów, gdyż i stojący za mną Amerykanin począł się niecierpliwie w sposób widoczny. \ Więc wykonawszy najpiękniejszy z ukłonów, odsunąłem się od okienka, by podumać w skupieniu ducha, kim jest tajemniczy osobnik, interesu- i jacy się moją korespondencją i jaki cel jego poczynań, kiedy nagle j dziewczica z okienka wydała pisk donośny:

— Signore! Lettera... raccomandata.

W ciągu ożywionej konwersacji mumia zapomniała o najważniejszej i rzeczy, mianowicie o poleconym liście, jaki przyszedł wczorajszą pocztą i i czekał na mnie. Amerykanin stojący już przy okienku splunął soczyście na znak oburzenia.

Wreszcie wydostałem się z gmachu poczty, unosząc otrzymany list. I List polecony, od firmy „Hans Raabe” z Berlina.

Owładnęło mną niewytłumaczalne uczucie lęku, kiedy ostrzem i scyzoryka rozcinałem kant koperty. Ręce mi drżały. Za kilka sekund i

dowiem się, kim jest Charlotte von Nardewitz... Pomimo wczorajszego zatargu i dzisiejszych brawurowych odezwań się o tej dziewczynie, dusza moja modliła się gorąco, by informacje biura „Hans Raabe” zadały kłam treści anonimu.

Nagłówek listu zawierał oprócz dokładnego określenia firmy i zakresu jej działania, także stereotypowe zastrzeżenie, że przesłanych informacji o danej osobie udziela się bez żadnego obliiga. Potem następowała treść listu:

„Grete, Charlotte von Nardewitz urodziła się dnia 15 czerwca 1904 r. w Chemnitz, w Saksonii, jako drugie ślubne dziecko Joachima, Hansa von Nardewitz, majora rezerwy, przedtem rotmistrza I pułku czarnych huzarów,... oraz Edyty z domu Smoot.

Jej starszy, a zarazem jedyny brat Karol, Fryderyk poległ na polu chwały dnia..."

I

> Tu następowało nieraz dosłowne powtórzenie tego wszystkiego, co było mi już znane z opowiadań Lotty, więc o Hugonie von Nardewitz, przyrodnim bracie zmarłego w roku 1920 Joachima, o zatargach pomiędzy nim, jako opiekunem a przedsiębiorczą pupilką, o narze- ' czeństwie z Kurtem Weissmullerem, które się rozleciało z powodu skandalu w hotelu S., o wyjeździe do wuja Timotheusa Smoota, zamieszkałego w Szanghaju... itd., itd.

Reasumując zdobyte Wiadomości, pisało biuro „Hans Raabe” w ten sposób:

„Panna Grete, Charlotte von Nardewitz cieszyła się w tutejszych kołach towarzyskich opinią jak najlepszą, toteż incydent w hotelu S. był dla wszystkich, którzy ją znali, prawdziwą niespodzianką.

Jej profesorowie uważali ją zgodnie za niezbyt wprawdzie pilną, ale nader zdolną uczennicę i dziwią się, jak mogła przerwać studia, mając siedem semestrów wysłuchanych.

Co do stosunków majątkowych panny von N., to:

1) wobec niepewności utrzymania stanu posiadania dóbr rycerskich „Nardewitz heim, Łapanów, Schzawy”, położonych w Polsce...

2) wobec niemożliwości uzyskania w tak krótkim czasie informacji, czy bogaty kapitalista angielski, Mr Timotheus Smoot, zamieszkały w Szanghaju, nie posiada spadkobierców bliższych stopniem pokrewieństwa, niż wymieniona panna von N....

45

/ • 3) i wobec wyjazdu wymienionej na Wschód,... zaleca się wielką ostrożność w udzielaniu pannie von N. kredytu..."

W tym miejscu wybuchnąłem śmiechem. Biuro „Hans Raabe” nie mogło się najwidoczniej zorientować, czy panna von N. łapie męża i kandydat pragnie się dowiedzieć czegoś o jej przeszłości, czy też po prostu chodzi o udzielenie jakiejś pożyczki, toteż na wszelki wypadek udzieliło informacji wszechstronnych. Spoważniałem jednak natychmiast i przechodząc do porządku . 1 dziennego nad poprzekręcanymi nazwami polskich wiosek: „Łapanów” , oraz „Szczawy”, pobiegłem myślami ku złotowłosej Lotte.

Do serca napłynęła mi fala wielkiej radości, że anonim zawierał stek j oszczerstw. Bo cóż mogłem teraz zarzucić mej przemilej towarzyszce 1 podróży? Nic, albo drobnostki. Nie powiedziała mi, że jej właściwe, 1 pierwsze imię brzmi Grete. Ależ to zupełnie zrozumiałe. Młoda, piękna I dziewczyna woli uchodzić za Charlotte niż za pospolitą Gretes, naszą i oklepaną Małgosię. Że scena z lekarzem odbyła się w hotelu, a nie j w restauracji, domyśliłem się już dawno. Lotte nie miała żadnego 1 obowiązku spowiadać się przed obcym człowiekiem... Powiedziała I nawet za wiele, jak na świeżą naszą znajomość. Te dwa niewinne j kłamstewka były do wybaczenia. Jakież zatem cel miał autor anonimu, wypisując niesłychane oszczer- j stwa i powołując się z tupetem na opinię któregośkolwiek z biur wywiadowczych w Berlinie?

•! Łatwo znalazłem odpowiedź na to pytanie. Anonim wysłał niewątpliwie tajemniczy prześladowca dziewczyny, ów przeciwnik podróży do j Szanghaju, a zamiarem jego było wzbudzić we mnie podejrliwość,] niechęć do Lotty, odstręczyć mnie od

zamiaru towarzyszenia jej j w dalszej podróży. Wiedząc, że już w Berlinie zamówiła kabinę na i „Albionie”, że „Albion” przybędzie do Neapolu i odpłynie za pięć dni, j (od daty | wysłania anonimu), mógł się bezpiecznie powoływać na | świadectwo biur wywiadowczych. Obliczył zapewne w ten sposób: jeżeli, I ja zdecyduję się rzeczywiście na zainterpelowanie jakiegoś biura, to jako i Słowianin będę się przynajmniej dzień lub dwa namyślał. Dwa dni 1 pójdzie mój list do Berlina, dwa nowe z powrotem, a jeszcze trzeba j uwzględnić czas na zdobycie informacji o Lotte tam, na miejscu. Młoda j

46

studentka to nie żaden bank lub wielkie przedsiębiorstwo akcyjne, 0 którym każde biuro wywiadowcze posiada w swych szufladach gotowe wiadomości, potrzebne do udzielania natychmiastowych referencji. Tajemniczy Hindus przeliczył się jednak. Nie przewidział, iż pół godziny po otrzymaniu jego listu będę telegrafował do Berlina, nie wziął w rachubę sprawności biura „Hans Raabe”. Oto już po czterech dniach -miałem odpowiedź w rękach i mogłem powziąć decyzję przed przybyciem „Albionu”. Tak, tak... Gdyby nie jego tupet w anonimie, nie , byłbym zapewne wpadł na pomysł zaciągania referencji o pannie von Nardewitz. Nurtująca mnie nieufność byłaby sprawiła, że pozostałbym w Neapolu. Teraz zrozumiałem cały ogrom niebezpieczeństwa grożącego pięknej Lotte. Już raz przeszkodziłem mordercy. Chce się więc mnie pozbyć zxa wszelką cenę. Wstrząsnął mną dreszcz przerażenia... Boże! Ja tu sobie spokojnie roztrząsam tajniki zagadki, a w tej chwili Lotte może... Ach prawda! Nie pojechała sama, lecz w towarzystwie Mr Harveya.. Cóż jej się może wydarzyć w biały dzień, na ruchliwej drodze Neapol-Baia, zwłaszcza, skoro znajduje się w męskim towarzystwie... Lecz z drugiej strony, jakie mogę mieć zaufanie do Mr Harveya, którego znam ledwie od wczoraj? Kto wie, co to za indywiduum... Niby „globetrotter”, niby chory na „spleen” gentelman, ale co zacz w rzeczywistości?

Wskoczyłem do przejeżdżającej taksówki.

— Galleria Vittoria! —rzuciłem krótko.

Pięć minut później „wylądowałem” w Thos. Cook & Son's Office 1 zażądałem kabiny pierwszej klasy na „Albionie”.

— Do Bombaju, czy do Colombo?

— Port Said.

— Cała kabina, czy jedno miejsce?

— Jedno miejsce.

— Pański paszport?

— Proszę.

• — All right.

Opuszczałem Galleria Vittoria z wielką ulgą. Lotte może się znowu czuć bezpieczna. Pojedziemy razem i będę nad nią czuwał aż do... Port Saidu. A co dalej? Port Said, to zaledwie piąta część jej,drogi do

47

Szanghaju, nawet mniej niż jedna piąta. Ha, gdybym miał pieniądze, nie zastanawiałbym się ani chwili... Niestety! Dojechałbym do Indii, ale jak wrócę? Nastrój optymistyczny prysł bardzo szybko. Pełen smutnych myśli usadowiłem się w

maleńkim „fiacie”, który pomknął żwawo przez piękną Riviera di Chiaia. W oddali zarysowała się potężna górską bariera Monte di Posilipo. Potem via Piedigrotta i ogarnęły mnie mroki długiego tunelu. Olbrzymie wozy dwukołowe, obładowane kopiasto i ciągnięte przez maleńkie osiołki zatarasowały doszczętnie drogę. Taksówka wlokła się na pierwszym biegu... Zdawało mi się, że przeprawa przez tunel trwa wieczność... Wreszcie wydostaliśmy się na szosę. Właściciel samochodu, ognisty neapolitańczyk, postanowił odro-L bić zwłokę i gnał teraz jak szalony. Na boku zostało Agnano ze swoją sławną „Psią grota”. W pędzie minęliśmy Pozzuoli, gdzie ongiś lądował św. Paweł. Prздеfilował obok nas świetnie zachowany amfiteatr. Przejeżdżaliśmy właśnie obok kawiarenki, z wielką werandą, kiedy posłyszałem wesoły okrzyk niewieści.

— Stop! — ryknąłem na zacieklego automobilistę, poznając popielaty kostium Lotty. Złota, kochana dziewczyna! Pozostawiwszy swego towarzysza przy stoliku, zbiegła na dół po schodach z wyciągniętymi ramionami.

— Przyjechałeś nareszcie, kochany śpieszku — mówiła zdyszczonym głosem. — Tak się stęskniłam... Mr Harvey nudzi mnie już od pół godziny, by jechać dalej. Obiecuje mi pokazać jakiś średniowieczny zamek w Baia, ale ja się uparłam czekać na ciebie. Ucałowałem jej dłonie z wdzięcznością. Jak się to pocziwe stworzenie do mnie przywiązało! Nie puściła mej ręki, dopóki nie podszedłem do ich stolika.

Mr Jack Harvey przywitał się bez entuzjazmu. Uścisnął mi końce palców i natychmiast schował swą opaloną dłoń do kieszeni raglanu. Trzeba przyznać, że jego garderoba była w pierwszorzędnym gatunku. Choćby ten raglan koloru piaskowego... Stop!

Gdzieś już dzisiaj była mowa o raglanie barwy ciemnego piasku... Zaraz, zaraz... Nie! Musiało mi się wydawać... Zresztą nie mogłem skupić myśli przy akompaniamencie ustawicznego trajkotania Lotty. j --Rozmawialiśmy właśnie przed chwilą o podróży do Egiptu.

48

Wielka szkoda, że pan nie jedzie z nami —zahuczał Mr Harvey niskim basem. Zerknąłem w stronę Lotty. Moja śliczna, niepoprawna gaduła musiała i to także powiedzieć. Spostrzegła widocznie mój wzrok karcący, bo spuściła oczy, robiąc rminę urwisa, którego przychwycono na gorącym uczynku płatania psych figlów.

— Namysłilem się i pojedę z wami.

— Naprawdę?

— Naprawdę, Lotte... Oto bilet.

Sprawdziła datę biletu, a potem przyskoczyła do mnie i nie robiąc sobie nic z obecności innych wycieczkowiczów siedzących przy sąsiednich stolikach, ucałowała mnie w oba policzki.

— Jakże się cieszę! Ogromnie się cieszę — mrucał Mr Harvey, usiłując zrobić uprzejmy wyraz twarzy. Wyczułem doskonale nutę nieszczerości w jego głosie. Czyżby to była zazdrość o względy Lotte? Ha, w takim razie szybko go „pograżyła” urocza figlarka. Być może zresztą, że dystyngowany dżentelmen zgorszył się jej ostatnim wybrykiem, który był dla mnie zupełnie wytłumaczalnym, powiedziałbym nawet konsekwentnym objawem jej impulsywnej natury. Być może zresztą, że gdyby była pocałowała nie mnie lecz jego, nie uważałby tego za wybryk. Och, męski

egoizm!

Gawędziliśmy jeszcze z pół godziny, potem postanowiliśmy odprawić jedną dorożkę, a drugą pojechać do Baia. Lotte wybrała „fiata”, którym przyjechałem, „fordzik” miał powrócić do Neapolu. Regulując swoją część rachunku zauważyłem nagle, że nie mam listu z firmy „Hans Raabe”. Włożyłem go przecież do lewej kieszeni marynarki.

— Zapomniałeś pieniędzy?

— Nie, Lotte. Tylko wypadł mi gdzieś list, jaki dziś właśnie otrzymałem.

Mówiąc to rozglądałem się na wszystkie stor/y... Dostrzegłem, że Mr Harvey schyla się ku ziemi, że coś podnosi... jakby papier .

— Och sir, czy znalazł pan może mój list?

— Właśnie podnoszę — odpowiedział z flegmą: —ale to mi wygląda na pustą kopertę.

Rzeczywiście koperta była pusta. Zdziwiająca! Mógłbym przysięgać, że list tkwił w środku. Mam ten zwyczaj, że po przeczytaniu,

4 Perła Szanghaju

49

wkładam każde pismo do odnośnej koperty, a porządkuję korespondencję dopiero po powrocie do domu. Po wyjściu z poczty wpadłem do biura Cooka i zaraz potem wsiadłem do taksówki. W hotelu już nie byłem. Głośno wyraziłem swe zdumienie.

— Więc musi być w pańskiej kieszeni.

— Ależ powiadam panu, Mr Harvey, że go nie ma. Przeszukałem dokładnie.

— Well. Już wiem, co pan zrobił. Zamiast koperty wyrzucił pan po prostu sam list.

— Tak roztargniony nie bywam, Mr Harvey, a poza tym kopert nigdy nie wyrzucam. To ciekawe... Hm...

— Wnioskuje, że musiało to być coś bardzo ważnego, skoro się pan tak zaniepokoił. Szukajmy więc... Jak powiadają: „szukajcie a znajdziecie”.

Ale daremnie szukaliśmy na werandzie, na schodach i koło samochodu. Pismo biura „Hans Raabe” zniknęło jak kamień w morze rzucony. Wkrótce było mi dane przeniknąć tę zagadkę i wiele, wiele innych...

Biła piąta, kiedy samochód hotelowy wyrzucił nas na kamienne moło przystani.

Kadhib potężnego parowca sterczał wysoko ponad dachy portowych magazynów i budynku celnego. Nie potrzebowaliśmy pytać o drogę. Powierzywszy walizy czarnemu jak węgiel „facchino” i nie spuszczać go z oka (na wszelki wypadek) ruszyliśmy w kierunku okrętu bez pośpiechu, mając całe pół godziny czasu.

Dziesięć minut później zostaliśmy dopuszczeni przed oblicze głównego stewarda, urzędującego w sali jadalnej drugiej klasy.

— Ach, to pani! Kabina zarezerwowana, oczywiście — zawołał, zrywając się z miejsca. Z grzecznym ukłonem wręczył mej towarzyszcze jej paszport oraz kartę okrętową: —Signora zechce pójść za tym chłopcem... On wskaże kabinę.

Lotte von Nardewitz skinęła mi głową na odchodnym:

— Przyjdź na najwyższy pokład, skoro się ulokujesz. Będziemy wspólnie żegnać piękny Neapol — rzekła.

Chciałem coś odpowiedzieć, lecz w tej samej chwili zagadnął mnie steward, dokąd jadę.

— Port Said... Oto paszport i bilet.

/

— Jedno miejsce w pierwszej klasie?

— Yes.

— Zaraz, zaraz... Miałem tu już dzisiaj jednego pasażera pierwszej klasy do Port Saidu... Aha! Jest! To doskonale. Równocześnie się oba miejsca opróżnią i cała kabina będzie do Egiptu wolna. A zatem numer 213. Zrobione. Proszę następny. t Prowadzony przez małego boya w liberii i eskortowany przez taszczącego moje dwie walizki „facchino”, przybyłem przed drzwi wyznaczonej kabiny. Były zamknięte od wewnątrz. ,

— Hallo! Proszę otworzyć!

— Zaraz, u licha. Pali się czy co? Nawet się człowiek przebrać swobodnie nie może...

— odparł dźwięczny, młodzieńczy głos.

— Prowadzę panu towarzysza podróży — wyjaśnił boy.

— Ach, przepraszam! Już otwieram.

Oślupiałem zupełnie... Przede mną stał Mr Jack Harvey. Osobliwy traf... Więc jego przeznaczyły mi losy na współlokatora małej kajuty.

Anglik był zaskoczony nie gorzej ode mnie. Cofnął się w cień czym prędzej, porwał jakiś ręcznik i zaczął nim sobie twarz obwiązywać.

— Niemożliwy przeciąg — narzekał — a ja tak cierpię na zęby... Hej, „facchino”, zamykaj drzwi u licha!

.Lecz mimo natychmiastowego wykonania jego rozkazu, grzmiał w dalszym ciągu, kręcił się pod ścianą jak lew w klatce zamknięty i nie przyzwyczajony jeszcze do ciasnego więzienia. I pomimo, że niebezpieczeństwo rzekomych przeciągów przestało zagrażać, bandażował sobie całą głowę, aż wreszcie rzucił się na swoje łóżko.

— Tamto, pod oknem zostawiam panu.

— Doskonale. Jest mi to zupełnie obojętne.

Po wyjściu pakiera i chłopca okrętowego, zapanowało kłopotliwe milczenie. Jeśli ja nie byłem w duszy zachwycony towarzyszem podróży, to Anglik nie taił bynajmniej swego niezadowolenia. Nie mówiąc słowa, spoglądaliśmy na siebie ukosem. W końcu opuściły mnie skrupuły. Niewątpliwie krępowałem go swym towarzystwem w tym momencie. Przebierał się zapewne, lub czynił jakoweś zabiegi dokoła upiększenia swej osoby, kiedy zjawił się niepożądany intruz. Są mężczyźni, którzy się krępują przy toalecie obecnością nawet swego przyjaciela, a cóż dopiero

51

obcego... Przypomniałem sobie nadto, że umówiłem się z Lotta na górnym pokładzie. Uzbroiłem się więc w lornetę i wyszedłem z kabiny.

Po drodze przypomniałem sobie ciekawy szczegół, o którym zapomniałem pod wpływem nieoczekiwanego spotkania z Harveyem. Oto przez dwa dni naszej znajomości podziwiałem grobowy bas Anglika. Bas ten wydawał mi się chwilami nienaturalnie niski... Tymczasem kiedy przed chwilą zapukał boy do drzwi, z wnętrza kajuty zabrzmiał głos świeży, pełen energii, wysoki, dźwięczny baryton... Bądź co bądź zadziwiająca mutacja.

— Endlich!... Długo każesz na siebie czekać — przerwała Lotte moje dumania —

Zaraz odpływamy... Patrz, już mostki ściąają.

Rzeczywiście „Albion” gotował się do opuszczenia portu neapoli-tańskiego. Żelazne kółka trzech ciężkich mostków zaturkotały na kamiennych płytach mola. Zaborczy hak wielkiego elewatora uniósł w powietrze ostatni ładunek sześciu potwornych kufrów, linami ze sobą związanych, zatoczył łuk i opuścił ciężkie brzemie na dno statku, przez otwór, wycięty w przednim pokładzie.

Syrena okrętowa, umieszczona na szczycie drugiego komina, zaczęła się krztusić, chrapać, wreszcie zawyła przeraźliwie, tryskając fontanną skroplonej pary wodnej. Trzeci sygnał...

Warknęły dwa walce, pędzone parą, nawijając dokoła siebie grube liny, przywiązane do kotwic, które zarzucono w odległości kilkudziesięciu metrów od betonowej grobli. W miarę zwijania lin, statek odsuwał się bokiem od brzegu. Wąska zrazu szpara stawała się z wolna szczeliną, wąwozem, jarem szerokim, na dnie którego przewalały się spienione nurty tłustej, nieprzezroczystej, mętnozielonej wody.

Wreszcie wyciągnięto obie kotwice. Wzdłuż drugiego boku „Albionu” przedefilował maleńki parowiec, zasmolony niemożliwie od szczytu komina aż do linii zanurzenia się w wodę. Wprzągnięto karzełka w jarzmo ciężkiej pracy i maleńki holownik zaczął taszczyć na linie olbrzyma.

Wyminęliśmy jakiś naładowany po brzegi okręt handlowy, grupę żaglowców rybackich, dwa parowce wycieczkowe, wreszcie „baggery”, statki służące do pogłębiania dna w porcie. Latarnia, o szybkach kolorowych, osadzona na końcu ochronnego wału kamiennego, zbliżała się z każdą sekundą. „Albion” minął ją wreszcie i wypłynęliśmy na

52

czyste wody zatoki, pożegnawszy najpierw parową barkasę, która nas wywindowała z przystani. Płynęliśmy teraz o własnych siłach. Okręt nabierał rozpędu. Jego wielki kadłub drżał lekko od miarowych uderzeń potężnej śruby. Jego ostry dziób pastwił się niemiłosiernie nad karłowatymi falami, które zabiegały mu drogę, pobuntowane, namówione przez wieczorny wietrzyk swawolny. Chorągiewki zdobiące szczyty masztów furczały, trzepotały się rozpaczliwie, chcąc zerwać sznurki i pobiec na skrzydłach wiatru z powrotem do brzegu.

Pasażerowie, którzy wsiedli w Neapolu, cisnęli się jeszcze przy poręczach pokładów, powiewali chusteczkami, choć sylwetki pozostałych żon, mężów, sióstr, braci, czy znajomych rozplynęły się dawno i zlały w jedno, z tłem portowych budynków.

Lotte wsunęła rękę pod moje ramię. Oparła się silnie... Wskazała bez jednego słowa na różową lunę zorzy wieczornej.

Słońce skryło się, zaszło już przed chwilą, bo dzień kwietniowy jest krótki wszędzie jednakowo. Morze przybrało na się szatę ciemnoszafirowego aksamitu. W jednym z górnych okien Castel Sant Elmo zamigotało żółte światelko. Było to jakby umówione hasło. Natychmiast zabłyśły latarki sygnałowe w porcie, zajaśniały okna gmachów niżej położonych, potem uliczne latarnie i wnet całe tarasowato położone miasto wraz z okolicą, świeciło nieprzejrzanym mnóstwem punkcików.

Ochrypli ryk syreny przeszył znów powietrze. Gdzieś blisko odezwał się głos podobny, lecz o oktawę wyższy, o niebo przeraźliwszy.

Naprzeciw nas spieszył statek powracający z codziennej wycieczki na Capri,

„Helena”. Z jego pokładu dobiegały dźwięki orkiestry, nad głowami muzykantów kołysały się barwne lampiony.

— Tym statkiem jechaliśmy wczoraj — szeptała Lotte, przytulając się do mnie całym ciałem. — A przedwczoraj pamiętasz?... Sorrento.

Trzymając się za ręce, odprowadziliśmy wzrokiem „Helenę”, aż dopóki jej kontury nie zatarły się w oddali, dopóki dwie lampki czerwone zawieszono na jej masztach, nie zginęły wśród mrowia światełek przystani „Santa Lucia”.

Coraz szczelniej otulał nas ciemny płaszcz nastającej nocy. Olbrzymi sierp wybrzeża znaczył się tylko milionem błyszczących punkcików. Wszędzie światła i światła. Od Cumae, Baia, Pozzuoli, poprzez grzbiet

53

Monte Posillipo, poprzez rozległy Neapol i Herculanium... wzdłuż całego łuku brzegów aż do pięknego Sorrento... nic, tylko roje świętojańskich robaczek. Nawet potężny stożek Wezuwiusza, okryty peleryną gajów pomarańczowych i winnic, przecięty był od wierzchołka do podstawy prostą kreską lamp. Tam biegły szyny kolejki „Funicola-re”.

— Czy będę tu znów kiedyś? Mam jakieś nieokreślone przeczucie, że nie wrócę już nigdy do Europy, że to będzie pierwsza i ostatnia moja podróż...

Po raz drugi już mówiła o swych przeczuciach.

— Ależ to przeczulenie, nie żadne przeczucia, droga Lotte — mówiłem, starając się rozproszyć jej myśli ponure. Potem zażartowałem:

— Bardzo zresztą możliwe, że nie wrócisz tu nigdy. Wyjdziesz za męża w Szanghaju, będziesz się tam czuła doskonale, zapomnisz o biednej Europie. Już tam wujaszek bez przyczyny po ciebie nie depešował. Pewnie ma jakąś świetną partię upatrzoną... Nie wiem, dlaczego moje słowa ją aż tak uraziły. Uwolniła swe palce z mych dłoni, odsunęła się ode mnie i podeszła do barierki. Nie przysuwałem się, sądząc, że szuka samotności...

Księżyc wzeszedł tymczasem. Chwilami przysłaniały go mafóchmur-ki, lecz pierzchały szybko w stronę ładu, spychane podmuchem zachodniego wiatru.

Wreszcie misternie utkany welon obłoków przedarł się na dobre i bładzi księżyc mógł skąpać swój srebrzysty warkocz w granitowym morzu, które z aksamitnego stało się znowu lśniące niby suknia z dżetów. W mlecznych blaskach miesiąca posiwił szczyt wulkanu, wybielały szare kontury nadbrzeżnych skał, a ciemne gaje, które zostawialiśmy po lewej ręce, pojaśniały i były jako oliwki, srebrnym obsypane liściem. Nawet zasmolone szczyty kominów naszego okrętu stały się czystsze. W tej chwili zabrzmiał gong okrętowy. Sygnał, że pora zejść do kabin, przebrać się w smokingi i wieczorowe toalety, do wieczornego obiadu.

— Lotte! Zaczyna być chłodno... Nie mogę pozwolić, byś się zaziębiła. Zresztą dzwonią na obiad.

— Po cóż więc mówisz o zaziębieniu, skoro jesteś głodny i masz na myśli „dinner”...

54

— Obiad swoją drogą, a możliwość nabawienia się kataru, swoją.

— Twoja troskliwość mnie zadziwia... po tym, co przedtem powiedziałeś.

Cóż ja u diabła „przedtem powiedziałem”? Nie mogłem sobie przypomnieć w żaden sposób. Zadałani jak młode małżeństwo, które się pierwszy raz sprzecza, zesłaliśmy

na dolny pokład, gdzie nasze drogi się rozchodziły. Tu znajdowały się „luksusowe apartamenty”, z których jeden zajmowała Lotte. Chcąc się dostać do kabin pierwszej klasy, musiałem zejść jeszcze jedno piętro niżej, w labirynt ganków, korytarzy i małych hallów.

— Tu mieszkam. Sądzę, że mimo wszystko przyjdiesz po mnie i razem wejdziemy do sali jadalnej.

— Ależ oczywiście, Lotte. Tylko co oznacza to „mimo wszystko”, zechciej mnie łaskawie objaśnić.

Znowu nie otrzymałem odpowiedzi... ,

W kabinie nr 213 czekała mnie niespodzianka. Mój współlokator wyprowadził się w międzyczasie. Nie życzył sobie widocznie mojego sąsiedztwa. Bynajmniej mnie to nie zmartwiło, przeciwnie byłem wesoły jak szczygieł i w doskonałym humorze słuchałem sprawozdania czystej, apetycznej pokojówki, szczerzącej do mnie w stereotypowym uśmiechu swe nazbyt wielkie, nazbyt angielskie zęby:

— Sir, przypuszczam, że pan będzie z tego zadowolony i tamten pan również. Miejsce dosyć na okręcie, a samemu jakoś zawsze swobodniej.

(W tym miejscu uśmiech stał się bardziej wymowny, rzekłbym: obiecujący).

— Na mnie trzeba dzwonić dwa razy. Na imię mi: Maud... Proszę zobaczyć, jakie łóżeczko wygodne... Będzie pan spał jak w domu. Przygotowałam wszystko, teraz wychodzę. Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę zadzwonić. Sir, proszę zadzwonić...

I

m

Rozdział VI

Przez Morze Śródziemne

„Dinner” wraz z czarną kawą włókł się nieomal do dziesiątej. Potem i przeszliśmy do salonów, skąd dobiegały dźwięki ognistego „jazz- 1 -bandu”. Dansing przeciągnął się późno w noc i biła czwarta, kiedy 1 odprowadzałem Lotte do drzwi jej kabiny.

Skutkiem tego spałem też odpowiednio długo, a zbudziłem się 1 dopiero, gdy

„Albion” wkraczał w północny wylot messyńskiej cieśni- i ny-

Ubrawszy się pośpiesznie, wybiegłem na pokład, by poić się pięknym | widokiem. 1 Stratto di Messina!

Po prawej ręce blisko dwustutysięczna Messyna, ze swoją starą | katedrą, dziewięć wieków na barkach dźwigającą, z sędziwym uniwersytetem, potężnymi fortyfikacjami, z olbrzymimi magazynami południowych owoców, na eksport przygotowanych. Nieco później, po lewej stronie, Reggio di Calabria, starożytne Rhegium, dzisiaj jedno z ognisk wyrobów jedwabnych. Jedno i drugie miasto tętniące żywym pulsem I handlowego portu, jedno i drugie zmartwychwstałe po straszliwym j trzęsieniu ziemi z roku 1908. Dziś nie widać już śladów pamiętnej j katastrofy, przynajmniej z okrętu.

Ktoś dotknął delikatnie mego ramienia, przerywając zadumę. Odwróciłem się szybko na pięcie. Przede mną stał Mr Jack Harvey, uśmiechnięty, słodki jak pocukrzona konfitury.

— Sir!—zaczął — czuję się w obowiązku wyjaśnić, dlaczego pole- | ciłem przenieść moje manatki do innej kabiny.

— Ależ, proszę pana...

— Nie, nie... Pan mógł to źle zrozumieć... Otóż przede wszystkim kierowałem się troskliwością o pana...

— Troskliwością? O mnie?

— Tak jest Mam brzydki zwyczaj, że gadam przez sen, a co gorsze chrapię niemożliwie. Oka by pan przy mnie nie zmrzył. Poza tym...

— Myślę, że to już zupełnie' wystarczy.

— Poza tym — ciągnął niezrażony — w czasie prawie czterodniowej podróży przez czarujące Morze Śródziemne mógłby który z nas nawiązać sympatyczną znajomość, he he he... Mieszkając w jednej kabine, krępowalibyśmy się nawzajem...

— Naprawdę, nie ma o czym mówić, Mr Harvey.

Muszę przyznać, że przez cały dzień Anglik był wobec mnie»; uprzedzająco grzeczny. Zapewne chciał w ten sposób naprawić, zatrzeć wrażenie wczorajszej, naglej wyprowadzki z kabiny nr 213.

„Albion" skręcił na lewo. Płynął teraz w kierunku południowo-wschodnim, mierząc ostrym dziobem wprost w odległą Aleksandrię.

Znikły nam niebawem z oczu przekwitłe, lub przekwitające gaje Sycylii, pomarańcze, migdały, cytryny. Jeszcze przez jakiś czas odprowadzały nas po lewej ręce południowe brzegi Kalabrii, żegnały nas rozłożyste pinie, lub gdzieś tam rosnące żałobne cyprysy, aż rozplyły się w dali, rzekłbyś: w morze zapadły...

Europa zniknęła z oczu. 'j

Pierwszy dzień podróży nie obfitował w ciekawe wypadki.

Rankiem drugiego dnia zjawiała się Maud, zapytując czy nie mam czegoś do odprasowania.

— Owszem... Są trzy krawaty.

Ale przystojna pokojówka przysłała najwidoczniej na pogawędkę, nie po „coś do prasowania". Ułożywszy krawaty na stole, kręciła się po całej kabine, poprawiała ubranie przewieszane niedbale przez krzesło, uporządkowała rozrzucone kołnierzyki, wreszcie nie mogąc znaleźć żadnego tematu rozmowy, zapytała wprost, czy nie mam jakichś innych życzeń.

— Czy panienka umie robić papierosy?

— Naturalnie.

— Więc proszę... Tu jest tytoń i gilzy.

— Myślałem, że zabierze pudełko i wyniesie się za drzwi. Gdzie tam!

57

Przysunęła krzesło blisko do mego łóżka, położyła sobie pudełko I z tytoniem na kolanach, wreszcie zabrała się do fabrykowania papiero- 1 sów z takim „pośpiechem", że miałem uzasadnione wątpliwości, czyfl skończy setkę do południa.

— Zapowiada się śliczna pogoda na dzisiaj —zagała.

— Tak?... To dobrze.

Niezrażona moją powściągliwością zaczęła z innej beczki:

— Mr Harvey, który tutaj miał z panem mieszkać to bardzo 1 oryginalny człowiek.

— Z czego to wnosimy? — spytałem łaskawie.

— Och, z wielu rzeczy... Przede wszystkim umie głoś zmieniać jak I jakiś brzuchomówca. Raz przemawia grubym głosem, a czasem zupełnie | innym, jak

gdyby nie ten sam człowiek.

— Jak też to Maud szybko zauważyła!

Pochlebstwo poskutkowało, gdyż natychmiast usłyszałem drugą J nowinę:

— Po drugie wygląda na słabego, chorowitego niedołęgę, a silny jest i jak atleta.

Och, jaki silny!

Tam u diabła! Spostrzeżenie co do zmian brzmienia głosu było 1 całkiem trafne, ale skąd mogła wiedzieć, że jest silny „jak atleta”? Nie i urządził chyba z pokojówką treningu w walce francuskiej czy w „catch 1 as catch can”. Czyżby więc?... hum. Należało rzecz zbadać bliżej. | Rzuciwszy kilkanaście krótkich, szybko po sobie następujących pytań, i a dotyczących osoby Anglika, zagadnąłem znienacka:

— Podobno chrapie i gada przez sen okropnie...

— To nieprawda. Nie zauważyłam zupełnie...

A to się wsypała! Musiała zauważyć domyślny uśmieszek, błakający i się na moich wargach, bo poczerwieniała po uszy i rozpoczęła nieudolną 1 rejteradę:

— Mówię: „nie zauważyłam”, gdyż wczoraj zdrzemnął się po 1 lunchu i polecił się zbudzić o piątej. Weszłam więc do kabiny o oznaczo- ,1 nej godzinie i faktycznie... spał cichuteńko.

Nędzny wykręt. Od czwartej do szóstej graliśmy wczoraj razem 1 z Harveyem w Mah-Jonga. Sympatyczna Maud musiała się zapewne 1 w innej porze przekonać, że Mr Jack Harvey nie chrapie, nie mówi przez i sen i jest bardzo silny. No, no! Szybko doszli do porozumienia...

!HM

— Pan na długo do Egiptu? — podtrzymywała nie klejącą się konwersację...

— Przypuszczalnie na 3 tygodnie. Nie wiem jeszcze... Może się zdecyduję jechać dalej — odparłem wymijająco, licząc się z zupełnym prawdopodobieństwem, że moje słowa dotrą do „silnego” Mr Harveya.

— Z nami? Ach, to doskonale! Bardzo się cieszę. Lubię takich gości jak pan, którzy nie uważają biednej pokojówki za coś gorszego od zwykłego człowieka i pozwalają na małą pogawędkę.

W tym miejscu osoba nie gorsza od zwykłego człowieka poruszyła się w ten sposób na krześle, że czarna spódniczka podwinęła się, pojechała w górę, ukazując bajecznie zgrabne nóżki do kolan włącznie.

— Proszę wierzyć, że jestem bardzo ucieszona. Mr Harvey pojedzie z nami prawdopodobnie aż do Colombo. Wspominał coś wczoraj... Więc pan na pewno nie zatrzyma się teraz w Egipcie?

Może byłbym jej szczerze odpowiedział, ale zraziło mnie ustawiczne powoływanie się na Anglika i sama metoda nieudolnej indagacji. Aby więc uniknąć odpowiedzi, a zarazem położyć kres dalszej rozmowie, ziewnąłem od ucha do ucha i przeciągnąłem się na łóżku, udając śpiącego.

— Może pana głowa boli... Zrobię kompres.

— Dziękuję... Nie trzeba.

— Gdyby pan sobie życzył zrobić manicure, polecam się pamięci. Pracowałam niegdyś w dużym zakładzie fryzjerskim. Więc jeśli...

— Thank you. Nie trzeba również — przerwałem jej głosem zdradzającym zniecierpliwienie.

Dobry kwadrans siedziała w milczeniu, na czym zyskała przede wszystkim fabrykacja moich papierosów. Wreszcie sięgnęła do repertuaru tajemniczości: —| Ja bym panu coś powiedziała w zaufaniu, gdyby... Ha, to „gdyby” zawierało jakiś warunek, lub cenę... Nie! Uprzejmie dziękuję. Miałem już dość dotychczasowej rozmowy z okrętową bajczarką. Niech sobie plotki schowa dla Harveya, lub dla kogoś innego. „Najgorzej pozwalać służbie na spdufalenie się ze sobą” myślałem, nie przewidując, że byłbym usłyszał rzeczy bardzo ciekawe, o których dowiedziałem się z ust tejże Maud wiele tygodni później. Gdyby nie moje uprzedzenie do

59

wchodzenia ze służbą w konszachty, byłbym zapewne uniknął wielu niemiłych niespodzianek. Ale mądry Polak po szkodzie...

Maud zrozumiała wreszcie, że nie w smak mi z nią rozmowa. Szybko, och, zadziwiająco szybko ukończyła robienie papierosów, przerzuciła sobie moje trzy krawaty przez ramię i z wyniosłą miną opuściła kabinę.

Tegoż dnia wieczorem zdarzyło mi się coś bardzo dziwnego.

Przebierałem się właśnie do obiadu i wypróżniając kieszenie smokingu z małych rachunczków baru okrętowego oraz z wykałaczek, które mam zwyczaj wkładać przez roztargnienie do kieszeni, natknąłem się dłonią na jakiś papier, złożony we czworo. Wyciągnąłem go i głośno krzyknąłem ze zdumienia. To był list biura informacyjnego Hans Raabe, który zgubiłem w czasie przejażdżki automobilowej, gdzieś na szosie Neapol—Pozzuoli.

Niesłychane! Przecież pakując swe rzeczy w hotelu „Riviera” przetrząsałem jak najdokładniej obie walizki. Co ważniejsze jednak, to to, że każdego wieczora przywdziewając smoking, przeglądałem kieszenie dokładnie. Tak było również wczoraj. Więc list podrzucono mi dzisiaj, lub na wczorajszym dansingu... Nie! To bardzo mało prawdopodobne... Raczej byłem skłonny uwierzyć (nie bez dużych trudności), że pisma biura Hans Raabe nie zgubiłem wcale, lecz zarzuciłem je gdzieś wśród ubrań czy bielizny i teraz się nań natknąłem. \

Opuściłem kabinę, wyrzucając sobie brak pamięci oraz roztargnienie, godne emerytowanego profesora matematyki. Godzinę później zapomniałem o całym incydencie.

Lotte była smutna tego wieczora bardzo smutna...

— Jeszcze dwa dni — mówiła — potem drogi nasze rozejdą się na zawsze...

— Cóż począć, moja droga. Mam nadzieję, że nasza przyjaźń nie skończy się jednocześnie z chwilą rozłąki, że... będziemy do siebie pisywać...

— Pisywać — powtórzyła bezdźwięcznie — tak, zapewne... będziemy z sobą korespondować... o ile dojadę żywa do Szanghaju...

— Ależ dojedziesz, dojedziesz. Niepotrzebnie denerwujesz siebie i drugih. Twój tajemniczy nieprzyjaciel pozostał w Europie.

— Skąd wiesz o tym?

60

— To jasne. Czy przypuszczasz, że on rozporządza taką ilością gotówki, by i w pościgu za tobą objechać połowę kuli ziemskiej? Wykluczone! Napastował cię w Berlinie, zapędził się do Austrii (mam na myśli ów napad w slipingu), zapuścił się aż do Rzymu, ale —

— Do Rzymu?... Nie rozumiem cię... Skąd posiadasz takie informacje?

W odpowiedzi wyjąłem portfel i wyciągnąłem zeń sławetny anonim.

— Nie sądzę, aby te oszczerstwa powypisywał ktoś inny, jak on. Lotte nie odpowiedziała, pochłonięta całkowicie lekturą listu.

Główka jej poruszała się ruchem poziomym, w miarę jak oczy przebiegały rządkami pisma. Szkarłatne rumieńce okraśliły policzki, a palce drżały nerwowo.

— Dlaczego nie wspomniałeś mi dotychczas o tym anonimie? —zapytała wreszcie i nie czekając odpowiedzi zaczęła mówić szybko, gorączkowo: —Słuchaj!... Więc ty, po przeczytaniu tego wszystkiego... nie odwróciłeś się ode mnie... nie spytałeś nawet, lecz byłeś nadal moim najlepszym przyjacielem, zmieniłeś program spędzenia wakacji, by mnie odwieźć do Egiptu, by jeszcze kilka dni czuwać nade mną. Nie, najdroższy! Twoja rycerskość przekracza wszelkie granice... Nie przerywaj mi, proszę... Boże, Boże! Czemże ja mu się odpłacę za jego dobroć...

— Lotte, dziecinko, uspokój się. Patrzą na nas.

— Niech patrzą. Nie dbam... Gwiżdżę na nich wszystkich.

— Słuchaj! Powiedz mi szczerą prawdę. Miałeś chwile wątpliwości? To zrozumiałe... Musiałeś je mieć. Ha ha ha... Awanturnica; utrzy- J manka jakiegoś barona Grimma... Ha ha ha ha — spoważniała nagle: ^? — Andrzej, wierzysz chyba, że matkę moją kocham i czczę jej pamięć. •Więc na duszę matki, ojca, brata zaklinam się i przysięgam, że nigdy

w życiu nie znałam żadnego Grimma, po raz pierwszy słyszę to nazwisko. Wierzysz mi?

— Wierzę, kochanie.

— Ale- przyznaj, że były chwile, kiedyś się wahał. Tak, tak. Na pewno!

Przypominam sobie twą powściągliwość w ostatnim dniu pobytu w Rzymie... No powiedz!

— Nie przeczę. Rozumiesz to chyba, że anonim musiał wyrzeć pewne wrażenie, lecz tylko chwilowe. Potem przyszedł kryzys...

- 61

— Kiedy? Gdzie?

— W Sorrento...

— Umilkliśmy oboje, ogarnięci falą czarownych wspomnień. Sala jadalna opróżniała się powoli. Pasażerowie przenosili się do „smoking--room” na cygaro, do gabinetów przeznaczonych do gry w karty, do wielkich salonów na dansing.

Wargi mnie paliły, by wyznać Lotte całą prawdę, by nie przedstawiać się w jej oczach lepszym, niż byłem w rzeczywistości, i powiedzieć, że zasięgałem o niej informacji w biurze Hans Raabe. Lecz słowa te nie chciały mi przejść przez gardło... Czułem, iż nimb szlachetnej rycerskości ucierpiałby znacznie. I miłość własna czy „męski egoizm” zwyciężyły na całej linii. Nie powiedziałem ani słowa...

— Pora wstawać. Patrz...,Sami zostaliśmy przy stole...

— Tak. Lotte... Pójdziemy zatańczyć. Musisz się rozerwać.

— Och, nie! Dziś chcę być od ludzi jak najdalej...

— To znaczy, moja obecność także zbyteczna...

— To znaczy, że chcę być z tobą sam na sam.

Udaliśmy się na najwyższy pokład. Tam, przy frontowej barierce było nasze ulubione

miejsce.

Znowu noc była księżycowa. Znowu błady miesiąc przeglądał się w lekko zmarszczonej toni. Od lewej strony, gdzieś od Krety, którą mijaliśmy właśnie w dość znacznej odległości, dał miły, orzeźwiający wietrzyk i chłodził rozgrzaną za dnia atmosferę. Ruchliwe fale śpiewały swą tęskną, odwieczną melodię, którą szumem morza nazywamy...

•— Do kabiny! —zadysponowała Lotte całkiem niespodzianie.

— Już? —Nie tailem bynajmniej rozczarowania.

Wskazała dłonią na dwie czule parki, które wychyliły się właśnie spoza masywu potężnych kominów i zatopione w marzeniach sunęły w nasze stronę.

— Czy nie widzisz? —szepnęła. —Ludzie! Znowu ludzie... A ja chcę być od nich dzisiaj daleko... daleko...

Lotte przekreśliła klucz w zamku. Otworzyła drzwi szeroko. Z wnętrza kabiny wionął mi w nozdrza zapach trochę przywiedłych kwiatów, tych kwiatów, które darowałem mej pięknej towarzyszce podróży wyjeżdżając z Neapolu, zapach pudru, wody kolońskiej, kremów, perfum rozmaitych, jak oklepany „Chypre”, maki kalifornijskie, stor-

62

czyki, fiołki i wielu innych. Bukiet woni odurzających, jaki wypełnia buduar, czy sypialnię każdej pięknej, eleganckiej kobiety i jaki i działa przedziwnie na każdego mężczyznę. W przelotnym spojrzeniu zobaczyłem jedwabną pidżamę, zwisającą z łóżka, czepek koronkowy i walające się w miłym nieładzie małe pantofelki, popołudniową suknię, haleczkę, pończochy, wymowne ślady pośpiesznego przebierania się do obiadu. Zwłaszcza jedna pończoszka, cielistą, przezroczystą, przewieszoną przez poręcz krzesła przykuła wzrok mój jak magnes...

Zacząłem się szybko żegnać. Tortura była zbyt wyrafinowana, jak na mój system nerwowy. Lotte zasłoniła sobą wnętrze eleganckiej kabiny. Podała mi obie dłonie do ucałowania, a kiedy przylgnąłem do nich gorącymi wargami, przyciągnęła mnie poprzez próg ku sobie...

Ile sekund, minut, godzin upłynęło... nie wiem. Któż mierzy zegarkiem zawsze za krótkie chwile upojenia...

Przez uchylone okienko ślicznej bombonierki dobiegały dźwięki grającej do tańca kapeli, akiedy milkła na kilka minut, w długi korowód upojnych bostonów, skocznych charlestonów, shimmy, black-botto-mów, słodkiego walczyka wiedeńskiego, czarownego tanga... wplatała się rzewna kołysanka szemrających fal... Milczeliśmy oboje zasłuchani... Zresztą powiedzieliśmy sobie ustami i pieszczotą tak wiele, że teraz słów brakło. A jednak? Jednak patrząc na purpurowe, od tysięcznych pocałunków nabrzmiące wargi Lotty, na jej małe lecz pełne piersi podnoszące się w przyspieszonym oddechu, na obnażone, krągłe, białe jak alabaster ramiona... miałem na ustach pytanie, które cisnęło się gwałtem, lecz nie śmiało spłynąć, w obawie, że nastrój pryśnie... Aż wreszcie padło:

Lotte... do kogo należałaś przede mną?

Drgnęła. Mała chmurka niezadowolenia osiadła na jej białym czole, lecz pierzchła na szczęście szybko.

— Przed tobą nie mam tajemnic... Prócz ciebie, należałam tylko do jednego... tylko

jeden raz.

Na tym powinienem być poprzestać... Tak mi się wydaje dziś, gdy retrospektywnie spoglądam w swą przeszłość, gdy przerzucam kartki księgi mego życia, w której jeden z rozdziałów nosi tytuł: „Lotte”. Ale wówczas...

63

— Tym szczęśliwcem był Kurt Weissmüller, twój narzeczony... > — rzekłem.

— Nigdy!

— Nie? A więc ów lekarz...

— Także nie. Może byłoby doszło do czegoś, lecz jak wiesz wpadł wówczas Kurt z tajemniczym Hindusem...

Usiadłem na łóżku ze zdumienia.

— Więc kto? — wybełkotałem chrapliwym głosem...

— Kto? — powtórzyła — On już nie żyje dawno. To ci powinno wystarczyć... A zresztą... powiem. Było to w roku 1918. Prawie pods koniec wojny. Zaczęłam właśnie piętnastą wiosnę... Nie gorsz się, "zazdrośniku... Każda niemiecka dziewczyna byłaby postąpiła tak samo aa moim miejscu. On miał lat osiemnaście. Z gimnazjum wzięto go do wojska. Był synem kasjera w dobrach moich rodziców. Jego batalion, j kwaterujący w Poznaniu, miał nazajutrz wieczorem wyruszyć na front i francuski, skąd się wówczas nie wracało, lub wracało kaleką na całe życie... Znajomy porucznik, szef jego kompanii, dał mu dzień urlopu, dla pożegnania rodziców. Kasjer, dumny z syna wojaka przyprowadził i go do nas, do pałacu. Janek kochał się we mnie od dawna, lecz z daleka. I Nie wiem, czy dwa razy rozmawialiśmy ze sobą... I kiedy przyszedł! wówczas się pożegnać, wyczytałam w jego źrenicach psie skomlenie.!

O jeden, siostrzany uścisk dłoni, o jedno muśnięcie ustami czoła... I

I wyczytałam mu z oczu, że zginie niebawem... Serce mi się ścisnęło, uczułam przenikliwy ból w piersiach, zagryzłam wargi do krwi, by nie I wybuchnąć łkaniem. Ale nauczono mnie od dziecka panowania nad] sobą. Podeszłam do niego, dumna, wyniosła, jak na córkę dziedzica I przystało. Jak przystało na jedynaczkę Joachima von Nardewitz, | rotmistrza huzarów śmierci...

— Życzę panu szczęśliwego powrotu — wycedziłam z chłodną I uprzejmością. A kiedy nadęty kasjer podszedł do mego ojca, siedzącego w fotelu, dodałam szeptem: — za dwie godziny w parku, przy wielkim dębie. Rozumiesz? Rozkazuję ci przyjść. "Patrzył na mnie rozszerzonymi od zdumienia oczami, nie wiedząc, czy upaść do nóg, czy wzgardliwym uśmiechem podziękować zaj szyderstwo... Tak. On myślał, że natrząsam się z niego, lecz mimo to przyszedł, przeskoczywszy przez wysokie ogrodzenie parku. Kiedy

64

ce...

przybyłam na to moje pierwsze „rendez vous”, czekał już przytulony do szerokiego pnia stuletniego drzewa...

Czy uwierzysz, Andrzej, że ja go musiałam prosić, aby mnie wziął? Padł na kolana i ze szczęścia płakał, jak małe dziecko... Nie śmiał mnie nawet pocałować. Gdy prośby nie pomogły, rozkazałam... Wtedy dopiero usłuchał. Taka jest natura młodego żołnierza, Niemca... Musi być rozkaz. A

I szumiały nam liście olbrzymiego dębu, który wieki przeżyła I śpiewały nam słowiki zaszyte w gęstwinie krzewów parkowych... ; J / I pachniały nam róże, rezedy, goździki w rabatkach, klombach rosną-

A kiedy na granatowym niebie wykwitł różowy wachlarz jutrzeńki, ucałowałam Janka w usta i w dziurkę munduru wpięłam mu pęczek pąsowej róży.

Dwa tygodnie później przyszła wiadomość... Janek padł na polu chwały, podziurkowany jak rzeszoto kulami mitraliezy. Jakiś czas potem otrzymał zapłakany kasjer święte relikwie, przesłane przez owego porucznika: nie skończony list do rodziców, fotografia matki, notes z nieudolnym sonetem na cześć jakiejś Lotty i zwiędłe płatki pąsowej róży... To wszystko, co po nim zostało, bo ciało pogrzebano we wspólnym grobie żołnierskim.

Tak, Andrzeju... Tam, gdzieś we Francji spoczywa snem wiecznym mój bohater, mój pierwszy kochanek... Innych do dzisiaj nie miałam.

Umilkła i cisza nastąpiła w kabinie. Tylko morze szumiało za oknem, tylko gdzieś z górnego pokładu dobiegały przytłumione dźwięki tanga... Tam jeszcze tańczono widocznie...

Powoli, powoli zacierało się wrażenie zasłyszanej opowieści. Bliskość marmurowego ciała młodej dziewczyny zaczęła działać przemożnie. Przywarłem wargami do nagiego ramienia, lecz Lotte odsunęła moją twarz łagodnie:

— Idź już Andrzeju... Moje myśli są teraz przy biednym Janku.

5 Perta S/anghaju

Rozdział VII

W Egipcie

W sobotę, dnia 17 kwietnia 1926, o godzinie siódmej rano zawinęliśmy do portu Aleksandrii. Lotte wysiadła wraz ze mną. Według planu, ustalonego poprzedniego wieczoru, mieliśmy pojechać koleją do Kairu i przeprowadzić się do Gizeh, pozostać tam aż do nocy, by podziwiać! piramidy także przy świetle księżyca, następnie powrócić do Kairu i tam przenocować. W międzyczasie „Albion” opłynie łukiem pas wybrzeża zwanego deltą Nilu, przebędzie kanał sueski i zatrzyma się po raz ostatni przed długą podróżą.

— Jutro o dwunastej opuszczamy Suez. Proszę się więc nie spóźnić, Miss Nardewitz — mówił kapitan statku, którego Lotte zdołała całkiem wicie „pograżyć” w ciągu trzy i półdniowej podróży.

Oczywiście, że się nie spóźnimy. Odwiozę ją jutro do Suezu, pożegnaj serdecznie i będę stał długo, długo na grobli portowej, dopóki „Albion” nie wypłynie na fale „Morza Czerwonego”, dopóki jego kontury nie rozpląną się w oddali i nie zatrze się smuga dymu z jego kominów...

Tak się przedstawiały nasze plany, zamiary, lecz rzeczywistość! zgotowała niespodzianki...

— Patrz! Mr Harvey także wysiadł — rzekła Lotte, stawiając nóżkę * na stopniu taksówki. — A mówił, że prawdopodobnie nie będzie opuszczał pokładu, aż w Indiach.

Oglądałem się szybko. Rzeczywiście, to był Harvey. Z nieodstępną! fajką w zębach przeciskał się w stronę szeregu czekających taksówek,! Wymieniliśmy z daleka nader chłodne ukłony. Dlaczego chłodne? Ot|

posprzecaliśmy się wczoraj trochę... Od samego początku naszej znajomości razila mnie jego natrętna ciekawość, ale wczoraj straciłem już cierpliwość. Cóż jego może obchodzić moja osoba lub to, czy pojedę z nimi do Indii, czy pozostanę w Egipcie. Najwidoczniej chodzi mu o względy Lotty i chciałby, się jak najprędzej pozbyć szczęśliwego rywala. Zabawny okaz... i bardzo naiwny, skoro sądzi, że mógłby się choć przez chwilę podobać mej złotowłosej przyjaciółce. Pokojówka Maud, powinna mu w sam raz wystarczyć, ale Lotte... To bezczelność! Nic też dziwnego, że dałem mu wczoraj należytą odprawę.

— Jakie przykre nieporozumienie — narzekał z obłudnym uśmiechem. — Jeżeli pytałem, czy pojedziemy dalej razem, to tylko dlatego, ponieważ uważam pana za przemilego towarzysza podróży i byłbym szczerze zmartwiony, gdybyśmy się mieli jutro pożegnać.

Ta hipokryzja oburzyła mnie do żywego.

— Pomimo pańskich zapewnień jestem nadal głęboko przekonany, że byłby pan szczerze zmartwiony, gdybym właśnie nie pozostał w Egipcie. Tak, proszę pana — odparłem wyzywająco i w zaciętrzewieniu zagalopowałem się trochę: — pańskie umizgi do Miss Nardewitz są spóźnione, gdyż jest ona moją narzeczoną. Tak, panie... moją narzeczoną! Jutro pojedę do Kairu załatwić formalności paszportowe przed dalszą podróżą, a gdybym nawet nie zdążył, to pospieszę za wami najbliższym okrętem. Zechce pan to, co powiedziałem, przyjąć do łaskawej wiadomości.

Mierzyliśmy się przez dłuższą chwilę nieprzyjawnymi spojrzeniami. Wreszcie Harvey spostrzegł, że Lotte, w towarzystwie kapitana „Albio-nu” zbliża się w naszą stronę.

— Przepraszam — rzekł krótko — nie wiedziałem, że Miss Nardewitz jest pańską narzeczoną i uważam dzisiejszy drobny incydent za zlikwidowany.

Od tej chwili nie rozmawialiśmy ze sobą więcej.

Nie ma się zatem czemu dziwić, że ukłon jaki wymieniliśmy dzisiaj był bardzo chłodny.

Auto ruszyło z miejsca i pomknęło chyżo w stronę dworca pomimo ożywionego ruchu ulicznego. Półmilionowa Aleksandria, z arabska Iskanderieh zwana, rozbrzmiewała okrzykami poganiaczy mułów, klątwami woźniców, dźwiękami trąbek automobilowych, dzwonków

tramwajowych, wrzaskami przekupniów ulicznych, przeraźliwymi krzykami kolporterów, sprzedających poranne wydanie dzienników, jednym słowem: kipiała nerwowym, gorączkowym życiem, jak na główny port urodzajnego Egiptu wypadało. A było to przecież jeszcze bardzo wcześnie, kwadrans na ósmą zaledwie.

Przybyliśmy do Kairu kilkanaście minut przed dwunastą. W sam raz starczyło czasu na znalezienie dwóch pokojów (trzeci sezon nie skończył się jeszcze), na umycie się i przebranie, by zdążyć na lunch. Dziwnym zbiegiem okoliczności Mr. Hervey zajechał także do hotelu „Majestic”, lecz udał się na lunch gdzie indziej. Widziałem, zjeżdżając windą do hallu, jak wychodził na ulicę.

Na werandzie restauracji hotelowej wybraliśmy jeden ze stolików, stojących przy olbrzymich oknach, by nawet przy jedzeniu nie tracić czasu i obserwować ruch uliczny. Szybko doznaliśmy rozczarowania. Hotel nasz znajdował się w dzielnicy

europejskiej, więc widok nie mógł być malowniczy. Auta i auta... Niekiedy tylko przedefilował zmęczony osiołek, dźwigający na grzbiecie dostojną sylwetkę Araba, który kiwał się zabawnie w miarę stąpania swego maleńkiego wierzchowca i zginał nogi w kolanach, by sandałami nie włożyć po bruku.

A oba chodniki przedstawiły się nam nie lepiej od jezdni. Małe toczki eleganckich dam, korkowe lub słomkowe hełmy dżentelmenów, czasem mundur angielskiego oficera, czasem stożkowato ku górze zwężony fez mahometanina, ubranego po europejsku albo niekiedy nie osłonięta, z grzebieniem nie obznajomiona czupryna negra.

— Zwiedzimy później uliczki arabskie — odezwałem się, widząc rozczarowaną minę mej towarzyski — one zachowały w pełni swój charakter. Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie na mnie wywarły „souks” tuniskie, czy algierskie. Tak, Lotte...

Rozchmurz się, gdyż

[zobaczysz niebawem typ wschodniego miasta.

— Wierzę ci — odparła — ale nawet piramidy nie wpłyną na po- I prawe mego dzisiejszego nastroju, gdy pomyślę, że pozostało nam zaledwie dwadzieścia dwie godziny. Jutro, o tym czasie będę już gdzieś hen, na Morzu Czerwonym... sama... Zupełnie sama...

Posmutniałem także. Ledwie zaczęta rozmowa urwała się od razu i milczeliśmy oboje aż do końca lunchu. Miałem właśnie zamiar przywołać płatniczego, kiedy na werandę wkroczył nowy gość. Był to

68

BMTfINK*.- dflftWJIWwillł r»i ifflW | |»aw—..' ^tmm

Arab, w charakterystycznym haiku czyli selhamie, który zazwyczaj burnusem nazywamy. Przybyły rozglądał się po sali i bez wahania skierował się w stronę naszego stolika. Złożywszy poważny, lecz pełen godności ukłon, wręczył mi najzwyklejszy w świecie bilet wizytowy. Rzuciłem nań okiem i przeczytałem głośno: „Ahnted el Baharieh, ben hadzi Othman Baharieh authorised guide — interpreter”. No, no... Niezwykła przenikliwość... Byliśmy tak samo ubrani jak wszyscy Europejczycy przy innych stolikach, a jednak sprytny przewodnik zwierzył na pierwszy rzut oka, że to my właśnie jesteśmy obcy i jego usługi mogą nam być potrzebne. Zresztą być może, że tę intuicję zawdzięczał informacjom portiera hotelowego.

Ubiwszy targu, opuściliśmy dziesięć minut później werandę hotelową w towarzystwie Ahmeda i wsiedliśmy do pierwszej z brzegu taksówki. Jakiś natrętny żebrak odprowadził nas aż do drzwiczek auta. Rzucając mu kilka miedziaków na odczepnego, obejrzałem się mimowolnie i spostrzegłem, że dwaj mężczyźni, którzy nam się przyglądali uporczywie przy wejściu z hallu, wsiedli do następnej dorożki. Nie mogłem się powstrzymać od uśmiechu... Przypomniałem sobie swoje przybycie do Tunisu przed dwoma laty. Tam również mój polski paszport wywołał porozumiewawcze spojrzenia portowych urzędników francuskich, tam także zjawił się na oczekaniu „autoryzowany przewodnik”, narzekający bardzo naiwnie na władców kolonii, a ubrany po cywilnemu agent policji politycznej łąził za mną krok w krok przez trzy dni, dopóki nie nabrał przekonania, że jestem tylko turystą. Jeżeli więc nasi francuscy sprzymierzeńcy otaczali mnie tak czułą opieką, cóż

dziwnego, że Anglicy posłali za obywatelem polskim aż *dwóch aniołów stróżów. Nie lękajcie się, dżentelmeni!

Nie jestem bolszewikiem i nie przyjechałem tu w celu nawiązania kontaktu z tajnymi organizacjami tubylców.

— Lotte — rzekłem szeptem w pewnej chwili — nie ma najmniejszej wątpliwości, że nasz Ahmed el Baharieh jest szpiclem angielskim. Na wszelki wypadek, nie rozczulaj się więc nad nędzą Fellahów, kiedy będziemy zwiedzać ich uliczki. Z Anglikami nie ma żartów...

69

Potem, widząc jej zdumienie, zacząłem się z nią dzielić swymi a spostrzeżeniami. Na którymś zakręcie obejrzelśmy się dyskretnie pozał siebie. Samochód naszych opiekunów był oczywiście na posterunku.

Lotte zaniepokoiła się bardzo. Musiałem jej tłumaczyć, że spokojnemu turyście nic absolutnie nie grozi, że z drugiej strony wzmozona działalność agentów Moskwy zmusza Anglików do czujności, że] skutkiem tego obserwują uważnie zachowanie się każdego przybysza, zwłaszcza o ile nim jest Słowianin.

Nasz wysoki przewodnik poszwargotał coś z szoferem i auto stanęło. Wysiedliśmy, rozglądając się ciekawie. Znow rozczarowanie... Znajdo-* waliśmy się gdzieś w zaułkach miasta, na jakimś prawie pustym placu! Nigdzie arcyciekawych bazarów wschodnich, które chciałem przede j wszystkim pokazać mej towarzysze. Zapytałem więc ostro przewodnika.

— O, panie! — odparł z godnością: — Ahmed już od dwudziestu lat oprowadza turystów, ale nigdy nie słyszał takich słów. Zawsze zaczyna od tego miejsca.

— Lecz cóż jest tutaj godnego widzenia? Pusty plac, tam dalej jakieś S koszary, słowem nic. Mówiłem Ahmedowi, że wyjeżdżam jutro, że ł chcemy jeszcze wieczorem jechać do Gizeh, więc nie ma czasu na I oglądanie byle czego. N

— Byle czego?... Sir, czy kawiarni arabskiej nie uważa pan za coś | godnego widzenia?

Więc o kawiarnię chodziło! Co prawda, widziałem ich już kilka- 1 dziesiąt w życiu, ale ze względu na Lotte dałem się przekonać. Każdy I przewodnik otrzymuje cichcem pewien procent od właścicieli sklepów, j bazarów, kawiarenek, fabryk dywanów czy perfum. Widocznie Ahmed był cichym wspólnikiem tej kawiarni, skoro nas tutaj przyprowadził.

Na chodniku stało kilkanaście-stolików, o tej porze jeszcze nie zajętych. Weszliśmy do wnętrza lokalu, jeśli lokalem można nazwać dużą izbę, pozbawioną zupełnie stołów, stołków czy krzesel, której jedynym umeblowaniem była brudna lada i kilkadziesiąt mat z halfy lub z wikliny, rozesłanych wzdłuż ścian, na półmetrowym podwyższeniu.

Zastaliśmy tylko dwa towarzystwa. W jednym rogu siedział stary, siwiuteńki jak gołąb Arab, zawodowy opowiadacz bajek, a dokoła niego pięciu mężczyzn, zasłuchanych, pograżonych w tak głębokiej

70

zadumie, że nie zauważyli nawet naszego wejścia, że ręka niosąca do ust filiżankę z dawno ostygłą kawą wstrzymała się w pół drogi i zamarła w bezruchu. A założyłbym się, że słyszeli owe bajki już tysiąc razy w życiu... .

Drugie kółko stanowili nałogowi gracze... w warcaby. Tu gwar panował taki jak na bazarach. Zarówno dwaj partnerzy, jak i garstka kibiców krzyczała, gestykulowała, kłóciła się ze sobą zawzięcie, wyrывая sobie nawzajem barwne kamyki, zastępujące figury i wtykając je do zagłębień nader prymitywnej szachownicy. Usadowiliśmy się z daleka od rozkrzyczanego towarzystwa. Ahmed wyciągnął się na brzuchu. Lotte usiadła z nogami podwiniętymi pod siebie. (próbując naśladować słuchaczy bajek). Gospodarz przyniósł nam grube, białe filiżanki z kawą doskonałą w smaku, niestety zanadto słodką.

Kilka minut po nas wszedł do kawiarni jakiś młody Arab i przysiadł się do hałasujących graczy. Zwróciło to moją uwagę, że przycichli natychmiast i zaczęli szeptem coś szwargotać, spoglądając od czasu do czasu ukradkiem w naszą stronę. Ahmed podniósł się z maty, mówiąc, że ma coś do pogadania z gospodarzem. Szedł zapewne zainkasować swój procent.

— Ho, panie? — zawołał jeden z graczy, zwracając się w moją stronę.

— Co tam?

— Musisz kupić ode mnie kilka starych monet.

Mówił po angielsku tak samo biegle jak Ahmed el Baharied, toteż zdziwiło mnie określenie: „musisz kupić”. Pomimo to kazałem mu się zbliżyć.

Podsunał mi pod sam nos swą wąską, długą i przeraźliwie brudną dłoń, na której spoczywały „osobliwe, srebrne, nigdzie nie widziane” monety.

— Prawdziwe egipskie, z czasów Ramzesa — zapewniał. Doświadczenie zdobyte przy zawieraniu podobnych transakcji

z arabskimi chłopcami w Tunisie oraz Algierze nauczyło mnie ostrożności, toteż z wielką uwagą obejrzałem zaoferowany sobie towar i spostrzegłem, że monety nie są bynajmniej srebrne, a wszelkie rysunki na nich są całkowicie zatarte.

71

— Nie kupię tego — rzekłem. , . Przygodny sprzedawca łypnął złowrogo białkami oczu. Lotte wmieszała się do rozmowy:

— Kup, Andrzej. Kup, dla mnie! Jemu źle patrzy z oczu. Może pijany...

— Pijany? Czy nie wiesz, moja droga, że prorok zabronił „wiernym” używania wina?

— Wiem... Dlatego też piją whisky, o której Koran nie wspomina. Nasza krótka rozmowa, prowadzona w niemieckim języku zniecierpliwiała natręta.

— No kupisz, czy nie? — wołał, a w jego głosie dźwięczała groźba.

— Może kupię, o ile będziesz grzeczniejszy. Jaka cena? — dodałem, pragnąc go się jak najprędzej pozbyć.

— Jakie masz pieniądze? Funty, piastry czy dolary?

To mnie rozśmieszyło. Postanowiłem wy badać matematyczne zdolności kontrahenta.

— Mam dolary. Ile więc żadasz za to wszystko?

— Za jeden srebrny pieniądz pięć dolarów, o ile kupisz wszystko. Inaczej dwa razy drożej.

Lotte musiała mieć rację. Na podobną bezczelność mógł się zdobyć tylko człowiek kompletnie pijany... A przecież moje wrażliwe nozdrza nie poczuły zapachu alkoholu. Tylko woń tytoniu fajkowego, bardzo ordynarnego gatunku, zalatywała od zuchwałego przekupnia monet. ,

— Bierzesz nas, przyjacielu, za małe dzieci. Żadasz pięć dolarów za to, co warte

ledwie pół szylinga.

— Co?! — ryknął na całe gardło. — Przyszedłeś nas tutaj obrażać... psie niewierny?! W kawiarence zrobiło się jak makiem zasiał. Lotte zbladła, stary opowiadacz bajek umilkł, jego słuchacze dźwignęli się i razem z graczami w warcaby przysunęli się w naszą stronę...

— Ahmed! Wychodzimy stąd! W ładną spelunkę nas wciągnąłeś! Ale nadaremnie szukałem wzrokiem przewodnika, na próżno go przyzywałem. Ahmed el Baharieh „syn pielgrzyma do Mekki, Othmana el Baharieh” znikł jak kamień wrzucony w żółto-mętne nurty Nilu... Natrętny handlarz chwycił mnie brutalnie za ramię. Tego mi już było

72

za wiele. Ścisnąłem mu dłoń z całej siły, wykręciłem ją w bok, a uprzedzając uderzenie jego drugiej ręki, palnąłem go pięścią w twarz.

— To za „niewiernego psa”, pijaku!

Zatoczył się i upadł pod nogi zwartego szeregu towarzyszy...

— Pomścijcie mnie! — ryczał, trzymając się za nos, z którego krew broczyła obficie. Zauważyłem podejrzany ruch wśród bywalców zakazanej kawiarni. Chcieli mnie zająć z obu boków i z tyłu. Błyskawicznym ruchem wyciągnąłem rewolwer.

— Odstąpić pod tamtą ścianę, albo kula w łeb!

Moje energiczne wystąpienie zaskoczyło przeciwników. Spoglądali po sobie pytająco. Młody Arab, który najpóźniej przyszedł do kawiarni, rzucał szeptem jakieś gorączkowe rozkazy.

Nagle usłyszałem przenikliwy krzyk Lotte; spóźnione ostrzeżenie. Rewolwer wyslizgnął mi się z palców, opisał łuk w powietrzu i spadł na ziemię. Ręka mi zwisała jak przetrącona. Zrozumiałem: zaszedł mnie któryś z boku, uderzył bardzo silnie od dołu w łokieć, wytrącił browning z odrętwiałych palców. Byłem rozbrojony, zdany na siłę swych pięści, a raczej jednej tylko pięści.

Rzucili się hurmem na mnie. Kopnąłem najbliższego w brzuch, innego zajechałem w skroń kułakiem, ale przyciśnięty do kamiennego podwyższenia, na którym przedtem siedziałem, straciłem równowagę i runąłem na wznak.

— Stop! Stop! — zabrzmiał jakiś głos od progu. Napastnicy odskoczyli w mgnieniu oka.

— Co się tu dzieje, by devil?! '

Uniosłem głowę, nie bez wysiłku. Sala była próżna jak wymiótł. Któreśdy, jak i kiedy drapnęli gracze w warcaby, słuchacze bajek i ich sędziwy narrator, nie miałem się nigdy dowiedzieć. W drzwiach stali dwaj agenci, których zauważyłem przed hotelem „Majestic”. Jeden z nich trzymał mocno za kark sprzedawcę monet.

— Kto pan jest? — spytał drugi.

Podąłem mu paszport i zacząłem sobie poprawiać przekrzywiony w szamotaniu krawat.

— Czyj to rewolwer leży na ziemi?

— Mój...

73

— O, to się przedstawia poważniej, niż sądziłem w pierwszej chwili.,.

W tej chwili Arab, któremu dałem zasłużoną nauczkę, podniósł wrzask nie ludzki:

— iTen łotr — wołał, wskazując na mnie — udefzył mnie, wiernego syna proroka w twarz i chciał strzelać!

— Dobrze, dobrze... Wszystko wyjaśnimy w naszym office — uspokajał go agent. Ładna historia! Nie dość, że straciliśmy niepotrzebnie tyle cennego czasu, jeszcze nowa zwłoka... Przesłuchiwanie, protokoły!

Próbowałem wytłumaczyć nieoczekiwanym zbawcom, że nie wyjeżdżam jeszcze z Egiptu, że stawię się chętnie do przesłuchania kiedykolwiek, byle nie dzisiaj, że dziś właśnie jestem bardzo zajęty... Wszystko na próżno.

— To nie potrwa zbyt długo — zapewniali mnie obaj.

Przed kawiarenką stały już dwa auta. Pomimo głośnych protestów rozdzielono mnie z Lotta.

— Pańska towarzyszka była świadkiem zajścia, więc jako świadek musi być aż do chwili przesłuchania odseparowana od obwinionego.

— Co?! Ja mam być obwiniony? Za to, że mnie wciągnięto do jakiejś spelunki, że mnie opadnięto całą gromadą? To skandal!

Samochód, w którym siedziała Lotte i jeden agent, ruszył pędem z miejsca. Pobitego przeze mnie Araba umieszczono obok szofera w drugim aucie, ja z agentem zajęliśmy tylne siedzenie. Kilkunastu gapiów odprowadziło nas wzrokiem aż do zakrętu.

W pewnej chwili pierwsze auto znikło mi z oczu, zasłonięte rzędem pojazdów.

Ogarnął mnie nagły niepokój. A może to nie są wcale agenci policyjni, lecz wspólnicy tajemniczego wroga Lotty. Zażądałem więc bardzo kategorycznym tonem od mego sąsiada, wylegitymowania się.

Anglik uśmiechnął się wzgardliwie:

— Późno pan o tym pomyślał, ale proszę... Oto legitymacja. Odetchnąłem z ulgą przeogromną. To był rzeczywiście urzędnik angielski. Papiery miał w porządku.

Dziesięć minut później auto zatrzymało się przed dużym gmachem. Drugi samochód stał przed bramą, lecz Lotty już w nim nie było.

74

Minęliśmy mocno spadziste schody, jakiś ponury korytarz, znowu schody, wreszcie przestronną sień.

— Jesteśmy na miejscu — rzekł agent, z jakimś nieokreślonym uśmiechem i otworzył drzwi najbliższe z brzegu.

Znalazłem się w izbie zupełnie pustej, wyposażonej tak skąpo w sprzęty, że nie wyglądała nawet na przeciętną celę więzienną. Jedyнным „meblem” była obrzydliwa ława, jak się nieco później przekonałem, przyśrubowana do podłogi. Światło dzienne wpadało przez małe, zakratowane okienko, osadzone blisko powały.

Jeszcze nie zdołałem ogarnąć wzrokiem wszystkich szczegółów tej mało interesującej izby, kiedy posłyszałem głośne trzaśnięcie drzwiami. Pospieszyłem w tę stronę i zdziwiłem się bardzo nieprzyjemnie. Drzwi nie posiadały od wewnątrz klamki. Więc to cela więzienna?

Przez dziesięć minut zachowywałem się zupełnie spokojnie, ale później zacząłem się niecierpliwić. Na moim zegarku dochodziła czwarta.

W małym otworze, umieszczonym w drzwiach, który więźniowie nazywają

zazwyczaj „judaszem”, coś się poruszyło. Acha... Oko obserwatora. Śledzą moje zachowanie.

Nagle drzwi znowu otworzyły się. Wepchnięto do celi jakiegoś starszego jegomościa, który usiłował bezowocnie przekonać dozorcę, że wcale nie jest pijany. Za plecami cerbera ujrzałem twarz jednego z agentów.

— Co to znaczy, właściwie? — zawołałem panując jeszcze jako tako nad wzburzeniem głosu. — Czy jestem aresztowany?

— Ale skądże! Tylko doprowadzony, celem przesłuchania w sprawie dzisiejszego zajścia.

— Więc proszę mnie już raz przesłuchać, u licha!

— Spokojnie, spokojnie. Mr Tinsel telefonował, że przyjdzie za godzinę. Przesłucha pańską towarzyszkę, Araba, potem pana. Mamy ;zas.

— Aleja go nie mam — wrzasnąłem.

— Tym gorzej dla pana — brzmiała odpowiedź i znowu drzwi :atrasnęły się z hałasem.

Przekłeta historia! Godzinę czekać na przybycie urzędnika! „No, ja nu wygarne verba veritatis!” odgrażałem się w duchu i z kolei zacząłem

75

myśleć o Lotte. Jak się tam biedna, kochana dziewczyna musi niepokoić!

W tej chwili wstawiony towarzysz niedoli zagadnął mnie o coś. Odburknąłem niechętnie. Nie dałem się wciągnąć w pogawędkę. Pod wpływem rozdrażnienia wydało mi się nagle, że wszyscy ludzie, z którymi się w tym pechowym dniu zetknąłem, to szpicle, prowokatorzy, agenci... Dziś, kiedy rozpamiętuję „na zimno” i przebiegam w myśli treść pytań, zadawanych mi przez niby pijanego towarzysza, muszę stwierdzić, że moje podejrzenia nie były nie uzasadnione. Tak... To był z pewnością agent, który miał mnie pociągnąć za język, a równocześnie pilnować i nie dopuścić, bym zniszczył jakieś kompromitujące papiery, których oczywiście nie posiadałem. Z tego też powodu śledzono mnie początkowo przez zdradziecki lufcik w drzwiach.

Minuty wlokły się bardzo leniwie...

Zacząłem spokojnie obliczać.

Przypuśćmy nawet, że urzędnik policyjny stawi się punktualnie o piątej, że cała komedia nie potrwa dłużej jak godzinę, to i tak przed szóstą nie opuścimy tych przeklętych murów. Lotte nie ujrzy już arabskich uliczek ani arcyciekawych bazarów. Trzeba będzie z tego wszystkiego zrezygnować, na rzecz dużo ciekawszej wycieczki do Gizeh. Och, przekłete zajście i przekłety przewodnik, który miał niefortunny pomysł zaprowadzić nas do takiej spelunki!

O godzinie kwadrans na szóstą zostałem dopuszczony przed obliczem jakiegoś rumianego grubaska, który od razu zaczął mnie świdrować na wylot kłującymi spojrzeniami swych małych oczu. Obok siedział młody protokolant, całkowicie pochłonięty wyławianiem włosów z kałamarza. Pod ścianą zajęli miejsce obaj agenci.

W krótkich słowach opowiedziałem przebieg zajścia. Zażywny Mr] Tinsel potakiwał głową dobrotliwie, wreszcie spytał:

— Więc pan twierdzi, że przewodnik go zaprowadził do kawiarni „Pod trzema

wielbładami"?

— Nie wiem, jak się ta spelunka nazywa, ale faktem jest, że zaprowadził mnie tam guid...

— Bez pańskiego wyraźnego polecenia?

— Oczywiście. Jestem pierwszy raz w Egipcie. Przyjechałem tutaj na kilka tygodni. Ponieważ jednak moja towarzysząca wyjeżdża już jutro

76

wziąłem przewodnika i poleciłem mu, aby nam pokazał pobieżnie największe osobliwości Kairu. Wieczorem mamy jechać do piramid.

— Hm... hm... To ciekawe! Wprost trudno uwierzyć, aby przewodnik z własnej inicjatywy prowadził eleganckich turystów w takie zaułki... Turystów, którym się spieszy, którzy chcą zobaczyć największe osobliwości Maser el Kahira. Hm, hm... Cóż to był za przewodnik?

Wręczyłem grubasowi bilet Ahmeda.

Rzucił nań okiem pobieżnie i wyjął z szuflady spory arkusz papieru, pokryty równymi rzędkami pisma maszynowego.

— Nie, proszę pana — rzekł po chwili. — Takiego nazwiska na liście przewodników nie znajduję. W ogóle po raz pierwszy widzę, by guid na swym bilecie umieszczał nazwisko ojca. „ben hadzi Othman el Baha-rieh" Phi! Nie byle kto ten ojciec... hadzi, pielgrzym, zielony zawój. No, no...

— Baharieh — wtrącił jeden z agentów — to nazwa oazy w pustyni libijskiej. Pięć dni drogi od Fajum.

— Zaraz mi to podejrzenie wyglądało... Baharieh, Baharieh, gdzie ja to już słyszałem — mówił w zamyśleniu Mr Tinsel.

Pogrzebał w innej szufladzie, wyjął jakieś zapiski i nagle spoważniał, najeżył się groźnie:

— Sprawa zaczyna się komplikować. Sir, proszę mi szczerze powiedzieć, w jaki sposób zawarł pan znajomość z Ahmedem el Baharieh.

A kiedy odpowiedziałem wyczerpująco na jego pytanie rzekł:

— Miss Nardewitz zeznała podobnie, niemniej jednak będę zmuszony porozumieć się w tej sprawie z moim zwierzchnikiem... Potem przeskoczył nagle na inny temat:

— Więc wyjeżdżając z Polski, nie miał pan zamiaru zawitać do Egiptu?

— Z czego pan to wnosi?

— Ponieważ w wizę zaopatrywał się pan dopiero w Rzymie. Hm, hm, hm...

Znaczące chrząkania zaczęły mnie denerwować. Z kolei nastąpiła dłuższa seria pytań na temat: jak długo zamierzam zostać w Egipcie, gdzie będę mieszkał, po co tu przyjechałem właściwie, kogo tutaj znam,

77

dlaczego zjechałem do takiego, a nie innego hotelu itd. itd. Moja anielska cierpliwość była narażona na próbę ogniową.

— Mam wrażenie, że pańska indagacja odbiegła od właściwego tematu — przerwałem mu w pewnej chwili. — Zostałem wciągnięty w zasadzkę, napadnięty zdradziecko, za co mam prawo żądać satysfakcji. Tymczasem pan interesuje się szczegółami, dotyczącymi mej osoby. Skoro konsul angielski udzielił mi wizy, a władze portowe w Aleksandrii nie sprzeciwiły się wylądowaniu, nikt nie ma prawa

niepokoić mnie pytaniami, które...

— Sir, moje pełnomocnictwa są bardzo szerokie...

— Być może, jednakże pan indaguje mnie w taki sposób, jak gdybym był przestępcą politycznym. Chyba nie wzmieni pan we mnie, że działa pan, urzędnik kryminalny, z polecenia i upoważnienia War-Office.

— O! pan jako Polak wie co to jest War-Office i zna jego kompetencje?

— Tak, proszę pana — odparłem rozdrażniony do ostateczności. — U nas w Polsce uczą, że Galicja to nie to samo co Cylicja, o czym niej wiedział Mr Lloyd George i że policja kryminalna angielska nie ma prawa wchodzić w kompetencje War-Office'u.

— Piękny i mądry kraj — westchnął obłudnie Mr Tinsel i dodał po chwili: — pozwoli pan więc jeszcze kilka pytań odmiennej treści.

— Słucham, lecz proszę o[^] pośpiech. Jestem dzisiaj bardzo zajęty. Wyjeżdżam do Gizeh.

Zauważyłem, że wszyscy czterej porozumieli się wzrokiem, a je-] den z agentów przygryzł wargę, jakby wybuch śmiechu hamując.! Te symptomy zaniepokoiły mnie trochę, lecz już posypały się pytania:

— Jaki jest stosunek pana do Miss Nardewitz?

— To moja... znajoma.

— Aha, znajoma. Czy Miss Sonja Protopow jest'także pańską znajomą?

— Kto taki? Pierwszy raz słyszę to nazwisko.

— Hm, hm. Nie zna pan Miss Protopow.

— Nie, panie. Z brzmienia nazwiska i imienia wnioskuję, że chodzi o jakąś Rosjankę.

78

nmmm#&MMrn mm

— Otóż to właśnie... Rosjanka... —Małe oczka przeszły mnie na wylot.

— Oświadczam kategorycznie, że nie znam takiej pani.

— Zapišemy to; oczywiście, że zapišemy.

— Kwadrans później podpisałem protokół, przeczytawszy go najpierw uważnie.

— Więc mogę już panów opuścić? — spytałem, powstając z krzesła.

— Niestety, jeszcze nie, Sir. Jak już przedtem nadmienilem, jestem zmuszony skontaktować się z moim przełożonym.

— Jak długo to potrwa?

Uśmiech godny Sfinksa i bezradne rozłożenie rąk, były odpowiedzią. Widząc, że w tej sprawie niczego się nie dowiem, poprosiłem o pośpiech i zagadnąłem o Lottę.

— Czy ją także bezprawnie więzicie?

— O tym nie ma mowy. Ona jest tylko świadkiem, zresztą jej osoba nie budzi żadnych...

— Podejrzeń — dokończyłem. —To znaczy, że ja jestem podejrzany! Czy tak? Znowu „uprzejme" milczenie było wymowną odpowiedzią.

— Czy mogę się rozmówić z moją towarzyszką? Oczywiście, w obecności panów.

— Ach, gdyby się to tylko dało, ale ona wyszła stąd przed godziną.

— Więc wyszła do hotelu z pewnością. Proszę zatelefonować lub posłać kogoś na mój koszt.

— Namysłę się nad tym.

Odprowadzono mnie do jakiejś irtnej izdebki, która wyglądała na prawdziwą celę

więzienną. Był tam tapczan, okryty kocem, mała ławeczka i stolik, a na nim dzbanek wody, miska z jakąś podejrzanie wyglądającą kaszką, oraz kawałek chleba. Jednym słowem wieczerza dla aresztanta.

— Nie panowie! — mruczałem pod nosem, spoglądając ze wzgardą na więzienną kolację. — Wasza troskliwość o mój żołądek mnie rozczuła, ale z niej nie skorzystam. Za godzinę będziecie mnie przepraszać, a ja sobie skonsumuję w restauracji coś lepszego.

Byłem jak najlepszej myśli, lecz dzisiejsze przejścia wyczerpały mój organizm. Zwłaszcza nerwy miałem rozstrojone do ostateczności.

79

Postanowiłem sobie odpocząć z pół godzinki. Ale gdzie odpocząć? Ławka nie nęciła bynajmniej. Podeszedłem do tapczanu i uniosłem róg derki. Legowisko było bardzo skromne, lecz bezwzględnie czyste. Rzuciłem się więc na posłanie, wyciągnąłem nogi wygodnie i najniespodziewaniej w świecie zasnąłem, nie wiedzieć jak ani kiedy.

Rozdział VIII

Gdzie Lotte???

Spałem twardo i długo.

Obudziłem się zziębnięty, z obolałymi kośćcami. Przez otwarte okienko mej celi wdzierał się chłód, wiejący od Nilu, oraz wąska wstęga światła księżycowego. Przez pierwsze dziesięć czy dwadzieścia sekund nie mogłem się zorientować, gdzie jestem właściwie. Wreszcie przypomniałem sobie i zerwałem się z tapczanu na równe nogi... Więc noc już zapadła? Tak. Niestety, tak. Gdyby nie kosmyk srebrnych włosów miesiąca, które prześliznęły się poprzez pręty zakratowanego okna, w celi byłoby zupełnie ciemno. Spojrzałem na zegarek. Obie wskazówki stały na rzymskiej dwunastce. Północ! Wydało mi się, że śnię chyba. Uszczypnąłem się w rękę raz, drugi, trzeci. Nie, to nie był sen. Jakiś niezbyt widać odległy zegar wieżowy zachłysnął się i zaczął wybijać dwunastą.

Runąłem z wściekłością na drzwi celi. Walilem pięściami, kopałem w deski, ryczałem jak w ataku furii. Odpowiedziały mi głośnie wyzwiska i klątwy z obu sąsiadujących klatek, lecz te objawy gniewu aresztantów, którym zakłóciłem spokój nocny, podnieciły mnie tylko.

Kilkuminutowe, intensywne bombardowanie drzwi przywabiło wreszcie dozorcę. Zaspany cerber nie umiał mi dać żadnych wyjaśnień, dlaczego do tej pory nie wypuszczono mnie na wolność, natomiast przyrzekł solennie, że jeśli się natychmiast nie uspokoję, wezwie kilku pomocników, skuje mnie i ulokuje w ciemnicy, gdzie będę się mógł wykrzyknąć do woli.

Ton głosu dozorca i dobór soczystych słów przekonały mnie

6 Perłą Szanghaju 81

wystarczająco, że groźba może być bardzo łatwo w czyn wprowadzona. Więc nolens volens uciszyłem się trochę, a przede wszystkim obniżyłem skalę głosu o całą oktawę, ale to przymusowe tłumienie wściekłości kosztowało mnie bardzo wiele.

Była to chyba najgorsza noc, jaką do tej pory spędziłem.

Przekonałem się szybko, że ruch przynosi mi niejaką ulgę. Zacząłem tedy przemierzać celę wzdłuż i w poprzek. Pierwsze minuty były poświęcone obmyśleniu

zemsty na perfidnym Mr Tinselu. Ślubowałem w duszy, iż nie puszcę płazem niesłychanego postępowania ze spokojnym turystą, że zażądam satysfakcji, że wniosę zażalenie, choćby mi do samego Sirdara pójść przyszło.

Kiedy na kościelnym zegarze wybiło pół do pierwszej, okres „białej pasji” zaczął przemijać. Cóż mi z tego, że poruszę niebo i ziemię, dla ukarania urzędnika policyjnego? Czy mi to zwróci utracone godziny? Wycieczka do piramid przepadła bezpowrotnie. Jedyłą moją troską stało się z kolei, by Mr Tinsel wypuścił mnie na wolność jak najwcześniej, bym zastał jeszcze w hotelu Lottę i mógł ją odprowadzić do Suezu.

Minuty wlokły się beznadziejnie. Po trzeciej zaprzestałem nużącej wędrówki po mej klatce. Usiadłem na tapczanie, ale nauczony smutnym doświadczeniem pilnowałem się dobrze, by znowu nie zasnąć.

I nie zasnąłem i przesiedziałem tak aż do godziny szóstej.

Wreszcie!...

Wreszcie pochwyciłem odgłos zbliżających się kroków, usłyszałem szczęk zamka. Och, nigdy jeszcze grający na nerwach zgrzyt klucza w zardzewiałym zamku nie wydał mi się tak miły, jak wówczas. Był on jak najpiękniejsza muzyka, jak kojący balsam spłynął na moją duszę... Nareszcie!

Zmęczenie ustąpiło w mgnieniu oka. Umysł stał się jasny, pamięć świeża, jak nigdy. Przypomniałem sobie od razu jakiś pamiętnik sybiraka, przeczytany w latach chłopięcych i przed oczyma stanął mi jeden z najważniejszych dogmatów więzienia: „z dozorcą należy żyć w zgodzie, bo od tego zależy bardzo wiele”. f

Więc przystąpiłem do mojego cerbera, pozdrowiłem go uprzejmie i poczęstowałem papierosem, rzucając mimochodem pytanie, czy Mr Tinsel już przybył, czy też przybędzie dopiero o ósmej. — Bo mam być zaraz wypuszczony — dodałem.

82 N . \ 1

Cerber zmierzył mnie ironicznym spojrzeniem od stóp do głowy:

— Ani Mr Tinsel nie przybędzie, ani pan dzisiaj nie będzie wypuszczony.

— Co????! — Nie mogłem więcej wydobyć z gardła.

— Pan zdaje się o jednym zapomniał: It is Sunday, today.

— Co mnie może obchodzić niedziela?

— Ale nas obchodzi! Bardzo obchodzi! — warknął żarliwy protestant. Potem widząc, że zmieniłem się na twarzy, dodał dobrotliwie:

— Przyniosę panu biblię.

Nie pamiętam już, czym w niego rzuciłem. Zdaje się, że pół bochenkiem chleba więziennego.

Och nadaremnie się dziś silić, aby opisać to, co wówczas przeżyłem. Pamiętam tylko, że w kulminacyjnym punkcie mej wściekłości, kiedy rozpocząłem systematycznie demolować skromne urządzenie celi, wkroczyło trzech dozorców. Co było dalej nie pomnę. Uderzony podczas szamotania się w głowę, straciłem przytomność, a kiedy przyszedłem do siebie, leżałem w jakiejś innej celi, z rękami uwięzionymi w nieskończenie długich rękawach dziwnego chałatu. Więc aż do Egiptu trzeba było zajechać, by zawrzeć bliższą znajomość z... kaftanem bezpieczeństwa.

W południe odwiedził mnie dozorca, by mnie nakarmić.

— Pięć po dwunastej — powiedział, kiedy go zapytałem o godzinę. Pięć po

dwunastej! W tej chwili „Albion” opuszcza Suez. Lotte stoi zapewne na pokładzie i spoziera z wyrzutem w stronę niegościnniej ziemi, gdzie bezprawnie Uwięziono jej szczerego przyjaciela. Jej twarzyczka jest smutna, jej usteczka szepczą może moje imię. A ja muszę tkwić w przeklętej norze więziennej i jestem zupełnie bezsilny. Och, Boże, Boże!!!

Przyrzekłem dozorczy, że będę spokojny. Odprowadzono mnie z powrotem do dawnej celi. O tak. Będę zupełnie spokojny. Gniew mój nie zda się na nic. Stało się. Jest trzydzieści minut po dwunastej. „Albion” już zrobił kilka mil morskich, pruje fale Czerwonego Morza. Nie ujrzę już nigdy Lotty, z którą wrogi los nie pozwolił mi się nawet pożegnać...

Pierwsza.

Wpadłem w zupełną apatię. Nie spojrzałem nawet na południowy

83

posiłek, choć zacząłem odczuwać dziwną czczość w żołądku i pewne osłabienie całego organizmu. Może to zresztą następstwa dzisiejszych zapasów z trójcą cerberów.

Usiadłem na łóżku, twarz ukryłem w dłoniach, starając się nie myśleć w ogóle o niczym. W takiej pozycji zdrzemnąłem się, ale sen miałem bardzo niespokojny.

Trapiły mnie jakieś zmyry, widziadła, zadziwiająco jedno do drugiego podobne.

Bohaterką ich była Lotte, a treścią niebezpieczeństwa, jakie moja droga przyjaciółka musiała przechodzić. Jedna z tych scen utkwiła mi w pamięci mocniej od innych.

Wydało mi się, że chodzę nerwowym krokiem po grobli portowej. Nagle przystaję. Z oddali płynie mała łódka, zbliża się szybko do brzegu, choć popycha ją tylko jedna para wiosł. Na przodzie czołna stoi Lotte, wsparta o swój kufer podróży. Powiewa chusteczką w moją stronę. Gdzieś spomiędzy gęstwy drzemiących na kotwicy statków wypływa łódź motorowa i sunie równoległe do grobli. Zadaję sobie pytanie, który z tych dwóch stateczków stanie pierwszy w punkcie krzyżowania się ich dróg.

Niewątpliwie czołno. Chociaż?... Motorówka przyspiesza biegu. Mknie po gładkich nurtach brudnej wody portowej jak mewa, która J ujrzy z daleka parowiec i wietrzy ucztę obfitą. Nie! To jest szaleństwo ze strony sternika motorówki! Powinien zwolnić, lub zatoczyć łuk. Inaczej nastąpi zderzenie. Chcę krzyczeć, nie mogę... Chcę podnieść rękę do góry i ostrzec wioślarza Lotty, nie mogę. Ręka z kamienia, przysrubowana do kieszeni raglanu... Nagle! Trzask, plusk, mały wodotrysk...

Motorówka pędzi dalej, lecz gdzie czołno? Przewrócone. Chcę rzucić się do wody, spieszyć na pomoc i znów nie mogę. Jakieś tajemnicze elektromagnesy pochwyciły gwoździe mych butów i nie puszczają... Jest Lotte! Płynie, choć widać, że ciężar płaszcza napojonego wilgocią ciągnie ją w głąb... Słyszę jej głos: „Andrzeju, Andrzeju”!...

Zbudziłem się z zimnymi kropelkami potu na skroniach i do samego ranka nie zmrużyłem więcej oka.

W poniedziałek około dziesiątej zaprowadzono mnie powtórnie do biura pana Tinsela.

Byłem obojętny na wszystko, jak gdyby znieczulony. Nie ucieszyła mnie nawet wiadomość, że jestem wolny i mogę się udać, dokąd pragnę, lub pozostać w Egipcie miesiąc, jak opiewa wiza konsularna. Piąte przez dziesiąte słuchałem wyjaśnień

grubaska:

84

— Nie ma pan chyba do nas pretensji — mówił, uśmiechając się obleśnie. — Służba, służba. Otrzymał pan doniesienie, że jest pan agentem bolszewickim, musieliśmy przedsięwziąć, co należało. Rewizja pańskich rzeczy w hotelu nie poparła bynajmniej denuncjacji, a nazwisko jej autora okazało się zupełnie fikcyjne. Porozumiawszy się więc z moim przełożonym, zwalniam pana w tej myśli, że nie będziemy zmuszeni w przyszłości zetknąć się ze sobą powtórnie.

Nie byłem w stanie ocenić subtelności dowcipu, zawartego w końcowych słowach przemówienia. Nie wiem nawet, jak i kiedy powróciłem do hotelu.

Tu spoglądano na mnie spode łba. Aresztowanie i rewizja rzeczy zepsuły mi opinię u wszystkich, od menażera zaczynając, na pokojówce kończąc. Nie lubię ponurych twarzy dokoła siebie, zażądałem więc natychmiast, aby mi przygotowano rachunek i poszedłem spakować manatki. Po chwili zapukał ktoś do drzwi.

— Kto tam?

— Bill* — brzmiała odpowiedź.

Rachunek opiewał na dwa funty i dwanaście szylingów. Wysokość sumy zdziwiła mnie trochę, na co nie omieszkalem zwrócić uwagi. Inkasent zrobił zgorszoną minę:

— Sir, ja sądzę, że za dwa pokoje przez dwie doby, to bynajmniej nie za wiele.

— Jak to, dwa pokoje? Przecież Miss Nardewitz spała tutaj tylko jedną noc.

— Jeśli chodzi o ścisłość, to ani jednej, gdyż po raz ostatni była w hotelu w sobotę przed wieczorem. Ponieważ jednak pozostawiła swoje rzeczy, uważaliśmy, że pokój zajęty.

U portiera wręczono mi małą walizeczkę Lotty, zawierającą nocną pidżamę oraz przybory toaletowe. To było wszystko, co zabrała ze sobą na jednodniową wycieczkę do Kairu, pozostawiając kufry w kabinie „Albionu”.

Zapłaciłem więc rachunek bez słowa protestu i przeniósłem się do drugorzędnego pensjonatu, na skraju dzielnicy europejskiej.

Dopiero we wtorek przygnębienie zaczęło się przesilać. Zgoliłem

* Bill (ang.) — rachunek

85

starannie trzydniowy zarost i wzięłem kąpiel. Potem położyłem się na sofie.

Chciałem przerzucić ranne gazety, lecz lektura znudziła mnie prędko. Myśli biegły uporczywie w jednym kierunku, ku jednej osobie, ku Lotte. Bądź co bądź jej roztargnienie było niezwykle. Pamiętałem doskonale, jak była przeczulona na tym punkcie, by wszystko za siebie płacić. Tam, gdzie już nie wypadało regulować rachunku z« osobna, rzuciła badawcze spojrzenie na przyniesioną przez kelnera notę, z niemiecką dokładnością dzieliła sumę na dwie połowy i wręczała mi później swoją część. Żadne protesty nie pomagały. Głupiej wody sodowej nie pozwalała sobie „zafundować”. A tym razem zapomniała nie tylko o rachunku hotelowym, ale zostawiła nawet swoją walizeczkę. Dobrze jeszcze, że Mr Tinsel wypuścił mnie tak „szybko”, bo gdybym był posiedział z miesiąc, byłby kłopot nie lada z uregulowaniem rachunku hotelowego.

Tak, tak... Musiała się biedaczka przejąć mym aresztowaniem. Dobrze jeszcze, że nie spóźniła się na parowiec.

Zdażyła oczywiście, lecz dlaczego się tak spieszyła? Powinna była przenocować w hotelu, w niedzielę rano udać się do więzienia, prosić

o widzenie ze mną, a gdyby go odmówiono, napisać list do mnie

i odjechać do Suez. Tymczasem odjechała już w sobotę. Starła się widocznie schwycić okręt jeszcze w Port Saidzie... To było dziwne, lecz bardziej dziwne było to, że nie pozostawiła choćby kilku słów pożegnania. Na tyle czasu, ile miała, chyba, że nie chciała pisać... Nie! To niemożliwe! To niepodobne do mojej słodkiej Lotty. Jakaś nowa zagadka...

Zerwałem się i pobiegłem na pocztę. Nadałem do Lotty, pasażerki pierwszej klasy statku „Albion” krótką depezę, zawierającą słowa pożegnania i prośbę o kilka słów odpowiedzi, gdzie zdeponować, względnie dokąd wysłać zapomnianą walizeczkę. Nie wiedząc, czy będę stale mieszkał w pensjonacie, poleciłem adresować na poste restante.

Według pobieżnych obliczeń „Albion” musiał się znajdować gdzieś w połowie długości Morza Czerwonego. O ile więc stacja odbiorcza okrętu nie jest bardzo przeciążona, Lotte odbierze telegram przed lunchem.

Do późnego wieczora snułem się po ulicach bez celu. Zapomniałem nawet, że mam się udać na pocztę, by spytać, czy nie nadeszła

86

odpowieź. Kiedy sobie to wreszcie uprzytomniłem, kiedy przybiegłem do przestronnego hallu pocztowego, okienko „poste restante” było zamknięte. Za późno! W środę wybrałem się tam za to już o dziewiątej rano. Na myśl, że prawdopodobnie otrzymam jakąś wiadomość od Lotty, serce waliło mi młotem. Nie byłbym nigdy przypuścił, że wspomnienie złotowłosej dziewczyny zapuści w moim sercu aż tak głębokie korzenie.

Przyszła. Przyszła depezar Rozerwałem blankiet trzęsącymi się palcami i przetarłem oczy ze zdumienia:

„Miss Nardewitz sprzedała kabinę Mr Izaakowi Manger stop odebrała swoje walizy dnia 17 bm. w Port Said, gdzie pozostała stop adres jej nieznany stop.

Kapitan”, j

Więc ona jest tutaj?

— Majestic! — ryknąłem na całe gardło, wskakując do przejeżdżającej taksówki.

W hotelu zrobiono wielkie oczy. Miss Nardewitz wyszła przed wieczorem w sobotę, o czym mi już przedwczoraj powiedziano. Prawda! Po co ja wogóle tu przyjechałem? Gdzie indziej należy szukać śladów. Lotte nie mogła w tak krótkim czasie znaleźć bez pośrednika amatora na swoją kabinę.

— Cooks Office! — krzyknąłem w ucho szofera.

W biurze Cooka znalazłem nitkę, bynajmniej jednak nie prowadzącą do przysłowiowego kłębka. i

Miss Nardewitz była tutaj o szóstej po południu, kiedy biuro było nieczynne (sobota). Przedsiębiorcza Lotte trafiła szybko do prywatnego mieszkania dyrektora.

— Pani chce odprzedać kabinę luksusową do Szanghaju? Świetnie się składa. Na „Albionie” takie przepelnienie, żejrnuśieliśmy jednemu z naszych najlepszych klientów dać drugą klasnę. Zaraz doń zatelefonuję.

W rezultacie wszyscy byli zadowoleni:

Mr Izaak Manger, bogaty żydowski przemysłowiec, ponieważ nie potrzebował jechać z „hołotą”, lecz miał luksusowe apartamenty na statku.

Lotte, bo sprzedała z małą stratą swą kabinę, a chcąc pozostać w Egipcie, mogła być narażona na to, że bilet jej zupełnie przepadnie.

87

Thos. Cook & Son, gdyż zarobił za „darmo” od Lotty i za bilet od Izaaka.

Lecz najbardziej szczęśliwy czułem się ja sam, mając oczywisty dowód miłości i przywiązania Lotty. Przecież przerwała swą podróż, by mnie ratować i nie odjechać bez pożegnania.

A równocześnie z uczuciem radości ogarnęła mnie fala obaw, dziwnego lęku o ukochaną dziewczynę. Dlaczego nie wróciła do hotelu, gdzie się obraca przez te cztery dni, czyjej nie spotkało jakie nieszczęście.

Przypomniałem sobie moje aresztowanie, przesłuchiwanie, wreszcie zagadkowe słowa urzędnika kryminalnego. Mr Tinsel napomknął wyraźnie, że doprowadzono mnie i przytrzymano na skutek doniesienia, że jestem agentem bolszewickim.

Denuncjacja okazała się oszczerczym anonimem. Nazwisko autora było fikcyjne. A więc sprawcą był niewątpliwie ów tajemniczy wróg Lotty, a cel donosu przedstawiał mi się zupełnie przejrzysto. Chodziło tu o odseparowanie mnie od dziewczyny, bym nie przeszkadzał zbrodni.

Na tę myśl ścierpłem i poleciłem szoferowi pędzić na policję.

Udałem się przede wszystkim do biura, że tak powiem, meldunkowego.

Nic!... Żadnego śladu... Aha, jest coś. Miss Lotte Nardewitz mieszkała przez jeden dzień w hotelu „Majestic”. Ech, o tym wiedziałem doskonale.

Urzędnik wzruszył ramionami. Jest mu niewymownie przykro, lecz innych wskazówek udzielić nie może. Nic mu ponadto nie wiadomo.

— Ha, więc pójdziemy do starych znajomych — zdecydowałem, znalazłszy się w korytarzu ponurego gmachu.

Mr Tinsel nie umiał ukryć zdumienia, jakie wywołały moje odwiedziny, ale wysłuchał cierpliwie, przeczytał kilka razy depezę, nadaną z „Albionu”, zrobił szereg notatek i poprosił o mój adres.

— Sprawa, z którą pan przychodzi, nie należy wprawdzie do mojej kompetencji, jednak zajmę się nią chętnie. Proszę oczekiwać mego telefonu.

Mr Tinsel spisał się dobrze. Już w godzinę później zadzwonił do mego pensjonatu. Wiadomości były nieoczekiwane. Zatrwożyły mnie mocno:

— Miss Nardewitz uległa nieszczęśliwemu wypadkowi w czasie

88

przeprawy łódką przez jezioro Menzale. Leży w prywatnej klinice w Port Saidzie.

— HHHo7jaka klinika? Chcę tam zaraz jechać.

— Notuj pan: dr Patrick Greyhound, ulica Nelsona. Każdy przechodzień wskaże.

— Thank you! Jeszcze jedno pytanie: Czy kontuzja Miss Nardewitz jest poważna?

— Zdaje się, że tak. Przy zderzeniu czółna z jakąś motorówką upadła i uderzyła głową o kant łodzi. Bliższych informacji zasięgnie pan 'na miejscu.

Och, mój sen proroczy! Czółno Lotty najechane przez tajemniczą motorówkę!

O godzinie czwartej po południu wysiadłem przed dużym, białym domem i wkroczyłem do lśniącego od czystości hallu kliniki.

— Pragnę mówić natychmiast z doktorem Greyhoundem.

— Właśnie nadchodzi — odparł portier, wskazując w kierunku klatki schodowej. Rzeczywiście, po szerokich stopniach schodził przeraźliwie chudy dżentelmen, w białym płaszczu lekarza.

Podbiegłem naprzeciw, przedstawiłem się i wyłuszczyłem, o co chodzi.

— Pan jest krewnym Miss Nardewitz?

— Ja... Jestem narzeczonym.

— Tam do licha! Już drugi — rzekł z uśmiechem.

— Zapytałem go, co znaczą słowa „już drugi”.

— Ponieważ w niedzielę zgłosił się do mnie pewien dżentelmen i przedstawił się jako narzeczony Miss Nardewitz. A teraz pan znów oświadcza to samo.

— Nie, to jakaś mistyfikacja! Proszę zapytać pannę Lotte.

— Impossibility. Pacjentka śpi teraz. A jak panu na imię?

— Andrzej.

— Weil. Wszystko w porządku. Ona wymawiała to imię kilka razy. W krótkich słowach opisał mi dr Patrie Greyhound stan zdrowia pacjentki. Sama rana nie przedstawiała się groźnie. Uderzenie o burtę czółna spowodowało zdarcie naskórka na przestrzeni kilku centymetrów w okolicy skroni. Gorsze skutki wywołała przymusowa kąpiel w jeziorze. Wioślarz wyciągnął Lotte na brzeg nieprzytomną. Z wielkim

89

trudem ją odratowano, lecz intensywne zastosowanie sztucznego oddychania, masaże, wypompowanie wody i inne zabiegi lekarskie wyczerpały organizm do tego stopnia, że chora będzie musiała przeleżeć kilka tygodni, zanim jej pełnia sił powróci.

— Początkowo obawiałem się innych jeszcze komplikacji, lecz dzisiaj mogę pana zapewnić, że życiu pacjentki nic nie grozi.

— Czy mogę z nią mówić dziś lub jutro? ,

— Mówić? No, Sir. Chyba za cztery lub pięć dni.

— A zobaczyć ją?

— Z daleka, tak.

I pięć minut później stałem na progu pokoju Lotty, patrząc ze współczuciem i tkliwością na jej zabandażowaną główkę. Ogarnęło mnie nagle tak wielkie wzruszenie, że lekarz, który cały czas bacznie grę mojej twarzy obserwował, pociągnął mnie za rękaw na korytarz.

— Obawiam się, że jej pan sen przerwie — rzekł, jakby na usprawiedliwienie.

Uspokojony słowami lekarza co do stanu zdrowia Lotty, zainteresowałem się z kolei osobą tajemniczego „narzeczonego”.

— Czy nie mógłby mi pan doktor go opisać? >

— Sir, przykro mi bardzo, lecz fizjonomistą nie jestem. Nic panu więcej nie powiem ponad to, że pański zagadkowy rywal jest wysokiego wzrostu i nosi duże, rogowe okulary. Zresztą on tu przychodzi dwa razy dziennie, więc... a otóż i on... —dodał głośno, wskazując ręką na szczupłego jegomościa, który wkraczał właśnie do hallu. Przystanąłem w miejscu, zdumiony do ostatecznych granic. To był Mr Jack Harvey. No, lecz jeśli ja byłem zaskoczony, to on przypominał w owej chwili żonę Lota po pamiętnej metamarfozie w słup soli.

Dr Greyhound, przyglądając się nam uważnie, wpadł w doskonały humor. I

— Panowie narzeczeni znają się, jak widzę... Jeśli nie, mogę dokonać prezentacji.

— Stop, doktorze!—zawołałem. — Ja tego pana znam rzeczywiście i pragnę z nim natychmiast pomówić.

— Weil, my gentlemen. Ja odchodzę. Przypominam jednak, że w mojej klinice należy zachować ciszę. Jeżeli więc chcecie porozmawiać' ze sobą głośno lub dosadnie, to wyjdźcie lepiej na ulicę.

90

Tak też zrobiliśmy na wszelki wypadek.

— Mr Harvey! —zacząłem ostro. —Wolno wiedzieć, od kiedy jest pan zaręczony z moją narzeczoną?

— Jestem winien panu wyjaśnienie. Proszę mnie tylko zechcieć spokojnie wysłuchać. '

Ochłonął już, czego ja o sobie powiedzieć nie mogłem.

— Przede wszystkim proszę odpowiedzieć na moje pytanie..

— Dobrze... Otóż dowiedziawszy się o aresztowaniu pana, postanowiłem przerwać podróż, aby panu przyjść z pomocą.

— Jestem rozczulony, Mr Harvey, ale jak pan widzi, dałem sobie radę bez pańskiej interwencji.

— Widzę to rzeczywiście, lecz w sobotę sądziłem inaczej. Miss Nardewitz także postanowiła pozostać w Egipcie. Zabraliśmy więc swoje kufry z „Albionu" i pojechaliśmy...

— Razem?—przerwałem.

— Nie. Ja wcześniej, ona później. W hotelu „Majestic" dowiedziałem się w niedzielę rano, że pańska narieczona nie przyjechała z Port Saidu. Tknięty złym przeczuciem powróciłem tutaj natychmiast i dowiedziałem się, że uległa nieszczęśliwemu wypadkowi i leży w klinice dr Greyhouna.

Rozumie pan dobrze, że obcemu człowiekowi nie udzielono by tak łatwo wyjaśnień, toteżpozwoliłem sobie odegrać pańską rolę i przedstawiłem się jako narieczony.

W poniedziałek telefonowałem do policji w Kairze w pańskiej sprawie.

Odpowiedziano mi, że został pan wypuszczony na wolność. Wobec tego przestałem się interesować pańską osobą, natomiast dwa razy dziennie zachodziłem do kliniki, zapytując o stan zdrowia sympatycznej towarzyszki podróży.

Aż dzisiaj zostałem przez pana zdemaskowany...

Cóż miałem uczynić? Wypadało tylko podziękować Mr Jackowi Harveyowi za troskliwość e nas oboje, co też niezwłocznie uczyniłem.

Rozstaliśmy się w najlepszej harmonii, wyznaczając sobie spotkanie następnego ranka w hallu kliniki.

Czwartego dnia rozmawiałem po raz pierwszy z Lotta. Rozmawiałem? Właściwie był to tylko cały szereg krótkich monologów, wygłoszonych przeze mnie. Moja złotowłosa dziewczyna była jeszcze zbyt

91

osłabiona i "nie pozwolono jej ust otworzyć. Przy łóżku, niby cerber złowrogi, warowała stara, korpulentna pielęgniarka. Pomimo to udało mi się w pewnym momencie obejść ostrą cenzurę.

— Andrzej, to nie wypadek—wyszeptała Lotte, przechylając główkę w moją stronę.

— On nas umyślnie najechał.

— Proszę nie rozmawiać —warknęła czujna siostrzyczka.

W środę, 28 kwietnia, oświadczył mi portier kliniki, że jakiś człowiek dopytywał kilkakrotnie o Miss Nardewitz, względnie o kogoś z jej rodziny.

— Ma znowu przyjść za pół godziny

Zaczekałem. Przyszedł punktualnie. Był to wioślarz, który przeprowadzał się z Lotta przez jezioro Menzale i wyratował ją z nurtów.

— Przychodźcie po zapłatę za przewóz?

— To także, ale ja chciałem powiedzieć, że „Mewa” nie najechała nas przez wypadek, Panie, ja rybak, Trzydzieści lat znam się z czółnem. „Mewa” nas najechała umyślnie. Mogła lekko wyminąć.

— Więc poznaliście motorówkę? To ważne, bardzo ważne. Trzeba zaraz dać znać policji.

— Stary Smith nic nie winien, panie. Przyszedł do niego jeden gość, zapłacił za dwie godziny jazdy, dał dobry napiwek, a kiedy Smith chciał usiąść przy sterze, kazał mu wysiadać. „Sam chcę jechać”. „To złoż pan kaucję”, Smith na to. Złożył, pojechał i więcej się nie pokazał. Łódź znaleziono przy brzegu z nadwyreżonym dziobem. Już tam moje czółenka nie z papieru, ale z twardego drzewa. „Mewa” ma dobrą pamiętkę.

— I cóż Smith na to?

— A nic. Nawet rad, bo kaucja była dość wysoka i przepadła tamtemu według umowy.

— Nie zgłosił się po odbiór?

— Oczywiście, że nie.

— Hm... Jeżeli tak było, jak powiadacie, to Smith nie potrzebuje się obawiać śledztwa. Przeciwnie, jego zeznania mogą dużo pomóc w odszukaniu sprawcy. Pamięta chyba jego rysopis.

Nakłoniłem wioślarza, by mnie zaprowadził do Smitha, po czym w trójkę udaliśmy się do urzędu policji. Tam opowiedziałem szczegółowo wszystko, co mi było wiadome o tajemniczym wrogu Lotty, o jego

92

występach w Berlinie, o napadzie w slipingu, o oszczerczej denuncjacji, która miała na celu pozbawienie Lotty opiekuna, wreszcie o ostatnim wypadku z motorówką...

Rychło pożałowałem swego kroku. Policja nie wpadła oczywiście na trop zbrodniarza, natomiast zamęczała mnie oraz Lottę ustawicznymi przesłuchaniami, konfrontacjami z całym legionem rozmaitych indywiduów, rozpoznawaniem fotografii. W tych warunkach cztery tygodnie spędzone w Egipcie nie pozostawiły nam tak sympatycznych wspomnień, jakie mogły pozostawić.

Tak, to prawda. Cztery tygodnie przeszły nie wiedzieć kiedy. Lotte opuściła klinikę i przeniosła się do Kairu. W ciągu tego czasu zaprzyjaźniliśmy się dość serdecznie z Mr Herveyem. Razem urządzaliśmy wycieczki w okolice, podróżując przeważnie nocami, gdyż majowe upały dawały się dobrze we znaki. Mr Harvey okazał się przemiłym towarzyszem, miał tylko jedną wadę, mianowicie nazbyt się narzucał swoją osobą. Nie odstępował nas ani na krok, z czego ja osobiście nie byłem

zadowolony. Przez jego natręctwo przepadło wiele pięknych chwil, jakie mogliśmy spędzić we dwoje.

Pewnego poranku przeglądałem gruntownie zawartość swego portfela i zanuciłem marsza pogrzebowego. Pięciotygodniowy pobyt w bardzo drogim Egipcie spłukał mnie doszczętnie. Z pobytu w Sycylii należało zrezygnować i na bliższe drogi przez Konstantynopol żeglować czym prędzej do ojczyzny.

Lotte zamierzała od płynąć okrętem, odchodzącym z Suezu 31 maja. Będą ją więc musiał wcześniej pożegnać, gdyż skarb mój pusty, a na pożyczkę zewnętrzną lub wewnętrzną liczyć nie mogę.

Zamajaczyła mi w wyobraźni opalona twarz Mr Harveya. Och, jakże nienawidziłem go w tej chwili za to, że nie potrzebuje się liczyć z groszem, że może podróżować, podróżować bez końca, że przede wszystkim będzie nadal towarzyszem Lotte, kiedy ja będę wracał „na ojczyzny łono”.

— Można? — zapytał w tej chwili młody, świeży głosik za drzwiami. Weszła Lotte, roześmiana, wesoła, śliczna, jak rozkwitający pączek róży.

— Jak się masz, darling—rzekłem, przyciskając wargi do atlasowej skóry jej wypielegnowanych starannie dłoni.

93

— Ja, świetnie, ale ty, kochanie, masz wygląd ponury... Lotte płosi, by Jędluś się nie dąsał i jesce płosi, by ją pocałował tak, jak umie — szczebiotała z rozkoszną minką rozpieszczonego dziecka.

Kiedy indziej byłbym ją serdecznie wycałował za ten ptaszęcy świergot, ale nie teraz właśnie", kiedy przeżuwałem myśl o bliskiej, nieuchronnej rozłące.

— Więc nie pocałujesz mnie wcale? — naprzykrzała się jeszcze.

— Obawiam się, że lada chwila zapuka do drzwi nasza nieodstępna przyzwoitka, Mr Harvey. Nie chcę cię kompromitować.

— Czyż nie jesteś moim narzeczonym?

— Uchodzę wprawdzie za niego, lecz nie jestem nieste...

— Dokończ!... Chciałeś powiedzieć: niestety. To znaczy, że chciałbyś nim być, że chciałbyś mnie za żonę?

Mówiła całkiem poważnie. Ton jej głosu nie miał już w sobie ani cienia zwykłej zartobliwości.

Podprowadziłem ją do kanapy. Usiedliśmy obok siebie, trzymając się za ręce.

Zrozumiałem, że najniespodziewaniej w świecie nadeszła chwila stanowczej rozmowy, która musiała prędzej czy później nastąpić.

— Droga Lotte — zacząłem z należyтым patosem, który się załamał po pierwszych słowach. — Po co mówić o rzeczach niemożliwych do spełnienia. Wiesz jak bardzo cię kocham i domyślasz się chyba, że poczytywałbym sobie za szczęście największe, gdybyś mogła zostać moją żoną. Ale dzieli nas przepaść nieprzebyta. Ty jesteś bogatą dziedziczką klucza w Poznańskim, jesteś przypuszczalną spadkobierczynią milionera wuja z Szanghaju, podczas gdy ja jestem bardzo skromnym literatem. Więc choć jesteś pełnoletnia i możesz dowolnie rozporządzać swą osobą, więc choćbyś ty powiedziała: tak, ja tego słowa nie powtórzę... Nie pozwolą mi na to moje zapatrywania na życie, moje pojęcia, ambicja, nazwij to nawet fałszywą miłością

własną. Poza tym rozdzieli nas niebawem odległość blisko pół obwodu kuli ziemskiej wynosząca, a to także coś znaczy...

— Nic nie znaczy! — podjęła z wielką energią. — Zabawię tam kilka miesięcy i wrócę. -

— Sama w to nie wierzysz.

— Zaczęła protestować tak gorąco, że aż jej łzy w oczkach stanęły.

— Jesteś niedobry — mówiła z wyrzutem — i przesadzasz, jak na

94

literata przystało... Dziedziczka, dziedziczka! Rodzina Kurta także mnie dziedziczką nazywała, dodając zupełnie zasłużone określenie: „in partibus infidelium”... Już tam stryjaszek położył swą ciężką łapkę na moich folwarkach i zgarnie sumiennie to, co wasza reforma rolna pozostawi. A na szanghajskie sperandy nigdy nie liczyłam.

Zanadto kocham wujka, bym mogła się choćby w myśli mienić wyczekiwaczką na spadek. Nie, Andrzej! Nie mówisz prawdy. Wyznaj lepiej, że mnie nie kochasz, że nie chciałbyś się ze mną zenić, a nie zasłaniaj się togą fałszywej ambicji.

Rozpłakała się na dobre. Musiałem ją uspokajać, zapewniać o swej gorącej miłości, aż w końcu zapytałem głosem bardzo drżącym:

— I zgodziłabyś się pojechać ze mną do Polski? Chciałabyś dzielić ze mną dołę i niedolę?

— Tak, Andrzej.

Potem słów nam brakło. Oczy dopowiedziały resztę... Kiedy minęły chwile pierwszego wzruszenia, Lotte przytuliła się do mnie i udając grymaśną dziewczynkę, zaczęła „nudzić”:

— Jeśli Jędluś ją kocha, da słowo honolu, że coś zlobi, o co ona popłosi.

— O ile to będzie tylko coś możliwego do spełnienia, kochana dziecinko.

— Całkiem możliwe.

— Więc?

— Więc jedź ze mną teraz do Szanghaju.

Przypomniałem sobie opłakany stan moich finansów i wybuchłem śmiechem. Bądź co bądź komiczna sytuacja. Lotte domyśliła się od razu przyczyn mej nienaturalnej wesołości. Ofiarowała się z pożyczką.

— Dzisiaj otrzymałam oczekiwaną dawno depeszę od wuja. Jeszcze leżąc w klinice wysłałam do niego obszerny list pocztą lotniczą. Doniosłam mu o wszystkim, co zaszło w międzyczasie, o tobie także pisałam. W tych dniach mam otrzymać dwa tysiące funtów. Podzielimy się sprawiedliwie. Później mi oddasz oczywiście — dodała szybko, widząc mój przeczący ruch głową.

— Łatwo ci powiedzieć, lecz skąd ja później wytrzasnę taką sumę? Toż to majątek. Nie, kochanie! Interes jest nie do zrobienia.

Ale któż przegada kobietę. Zaczęła mi dowodzić, że taka podróż,

95

zobaczenie tylu krajów, ludzi tylu ras, poznanie ich obyczajów będzie dla mnie niewyczerpanym źródłem twórczości, że po powrocie do Europy wybije sobie tę sumę z procentami od wydawców mych powieści. (Droga, zacna lecz naiwna dziewczyna nie wiedziała oczywiście, jakim niewdzięcznym stworzeniem jest osobnik, zwany popularnie „wydawcą”.)

Pomimo wszystko, obronne mury moich skrupułów zaczęły się kruszyć, a runęły doszczętnie, kiedy Lotte wprowadziła do walki najsilniejszy taran.

— Więc znów fałszywa ambicja? Dla niej gotów jesteś poświęcić nasze szczęście...

Udajesz, że nie rozumiesz, co mam na myśli. Czy zapomniałeś już o napadzie w slipingu i o wypadku z motorówką? I ty przypuszczasz, że tajemniczy zbrodniarz, który się na to poważył w cywilizowanej Europie, lub tutaj pod skrzydłami sławnej angielskiej policji, będzie dla mnie względniejszy tam, gdzie nieudolność władz bezpieczeństwa zapewni mu zupełną bezkarność? Pomyśl, jak wielka podróż stoi przede mną. Pomyśl, że droga wiedzie wzdłuż Indii, Indochin i kotła chińskiego. Ale cóż cię to może obchodzić... Niech tam zamordują Lotte, byle moja przeczulona ambicja nie poniosła jakiegoś szwanku... Och, męski egoizm!

Wobec tak niesprawiedliwych zarzutów musiałem ustąpić, lecz zastrzegłem sobie oprócz przelicznych drobiazgowych warunków jeden, całkiem odmiennej treści:

— Musisz mi dać słowo, że ani piśniesz przed Harvayem. Chcę się już raz pozbyć jego towarzystwa. Wyjedziemy niespodzianie, inaczej powlecze się za nami.

— Domyślam się, dlaczego nie pragniesz jego towarzystwa, ty kochany zazdrośniku, lecz chętnie przyrzekam dyskrecję.

A telaz — dodała, przechodząc w swój przemiły szczebiot — Jędluś psepłosi, że był niegzezny i bendzie całował baldzo, baldzo...

Niestety, załedwie prolog przeprosin dobiegał końca, zapukano do drzwi. Lotte

znalazła się momentalnie na odległym od kanapy krześle i zawołała: „proszę”. r

Weszła pokojówka. Przelotnym, ciekawym spojrzeniem zmierzyła dystans, dzielący nas oboje od siebie, prześlizgnęła się wzrokiem po

96

zwichrzonych włosach Lotty, potem spuściła oczy ku podłodze z oznakami wyraźnego zgorszenia:

— Mr Harvey zapytuje państwa, czy nie zechcą z nim zrobić bardzo ładnej wycieczki.

Spojrzeliśmy z Lotta równocześnie na siebie i jak na komendę parsknęliśmy śmiechem. Nasza „przyzwoitka” dawała znać o sobie. Ha, trudno mu odmówić tej przyjemności. Na szczęście jego kuratela skończy się niebawem.

— Proszę oświadczyć Mr Harveyowi, że jesteśmy zachwyceni jego propozycją i nie omieszkamy z niej skorzystać — rzekłem do cnotliwej pokojówki.

Perła S/anghaju

Rozdział IX

Wschodnia opowieść

Dłuższy czas nie mogliśmy się pogodzić z Harveyem co do kierunku wycieczki. Jego propozycja, by płynąć w górę rzeki i dotrzeć do Assuanu, lub nawet dalej, była nie do przyjęcia ze względu na bliskość dnia, w którym mieliśmy opuścić Egipt. Nie wyjawiając właściwego powodu odmowy, zacząłem dowodzić, że im dalej na południe, tym gorsze będą upały i zaproponowałem przejażdżkę do Dumjat. Lotte poparła mój projekt, a przegłosowany Anglik musiał przystać, rad nie rad:

Takim sposobem popłynęliśmy w dół Nilu, zwiedziliśmy Damietę, potem wzdłuż wąskiej mierzei, która morze od jeziora oddziela, pożeglowaliśmy do Port Saidu. Tu mieliśmy przenocować, ulegając namowom Harveya.

— Zapewniam państwa — huczał swym nienaturalnym basem — że wschód słońca nad jeziorem pozostawi wam niezatarte wspomnienia na całe życie. W tym czasie, kiedy pani leżała w klinice doktora Grey-hounda, zasiedziałem się pewnej nocy w kawiarence arabskiej aż do świtu i wychodząc na ulicę, ujrzałem wschód słońca. Od tej chwili każdy ranek spędzałem na wodzie, lub na grobli portowej. Och, it was wonderful, eharmful!

Postanowiliśmy pójść do łóżka bardzo wcześnie, aby się należycie wyspać. Odprowadziwszy Lottę do jej pokoju, wyszedłem jednak raz jeszcze do miasta, by wynająć motorówkę na jutrzejszą wycieczkę. Skierowałem się przede wszystkim do starego Smitha.

— Bardzo się cieszę — zawołał — „Mewa” już dawno naprawiona.

98

— To doskonale. Co poza tym słyhać? Mielicie dużo nieprzyjemności z policją? >

— Były nieprzyjemności, były i korzyści.

— Jakże to?

— Ano wynudziły mnie dobrze te przeróżne agenty, ale opłaciło się, bo jak gruchnęła w Port Saidzie wiadomość, że u starego Smitha jakiś tajemniczy zbrodniarz łódź wynajmował, tak już nikt nie chce jeździć inną motorówką jak „Mewą”... he he he he. Ludzie jak to ludzie. A jeszcze ten da cygaro, tamten postawi szklaneczkę whisky, piękne ladies przyniosą cukierków dla dzieci. To wszystko ekstra, żeby tylko Smith opowiadał, ja"k to było, jak ten gość wyglądał, czy panna była ładna i tak w kółko. Ja zaś opowiadam, he he he he, choć żem nawet tej nieboraczki na oczy nie widział.

— Zobaczycie ją jutro — odrzekłem i potraściłem mimowolnie, że Lotte jest moją narzeczoną, a jutro będzie pasażerką „Mewy”. Ucieszył się ogromnie. Przewidywał już, jakie stąd korzyści wypłyną dla interesu. Będzie o czym opowiadać mieszczańskim snobom z Port Saidu. •

— Więc państwo są niby narzeczeni i chcą jutro oglądać wschód słońca... Hm, hm, hm. To może stary Smith niepotrzebny do kompanii. Zawsze co w dwójkę, to w dwójkę. Hm, hm. Policja mi zakazała najmować motorówki bez mechanika, ale pan przecież nie będzie nikogo najeżdżał jak tamten. Da pan kaucję, a ja pokażę, jak się motor puszcza, czy zatrzymuje. To łatwo.

— Nie, przyjacielu — odparłem rozweselony. — Pojedzie z nami jeszcze jeden dżentelmen. Wy będziecie czwarty.

— Tak, to co innego.

Kiedy nazajutrz opuszczaliśmy hotel, było ciemno/Miasto spało. Szybko znaleźliśmy się w dzielnicy portowej. Tu i ówdzie płonęły jeszcze latarnie. Tu i ówdzie otwały się z trzaskiem drzwi jakiejś podejrzananej spelunki, z wnętrza buchnęły kłęby dymu tytoniowego, wyziewy zepsutego powietrza, dobiegł strzęp melodii, lub krzyk podchmielonej prostytutki', wyleciał jak z procy pijany majtek, wyrzucony na chodnik przez kelnerów, drzwi zatrzaśnięto z powrotem i nikt by nie przypuścił, że poza tymi deskami mieści się portowa tawerna, gniazdo zgnilizny, upadku, zbrodni, że wrze tam jeszcze zabawa...

99

— Hallo, Smith! —zawołałem, kiedy znaleźliśmy się w pobliżu umówionego miejsca.

Harvey przystanął zdziwiony.

— Kogo pan szuka po nocy?

— Prawda! Zapomniałem wam powiedzieć, że wczoraj wynająłem łódź motorową. W tym momencie stary Smith odezwał się gdzieś w pobliżu.. Parę minut później siedzieliśmy w łodzi.

Wschodnia połać nieba pojaśniała w międzyczasie. Podczas gdy nad Afryką wisiał jeszcze strop granatowy, prawie ciemny, podczas gdy nad naszymi głowami wznosił się baldachim z szafirowego aksamitu, który jakby wyszarzał, wypłowił... ponad Azją grały już żywsze kolory. Więc lazur wpadał niespostrzeżenie w seledyn, seledyn w perłową barwę, potem biegł spory pas topazów i bursztynów wachlarz.

Przy akompaniamencie stukającego motoru płynęliśmy wolno, ostrożnie przez labirynt stojących na uwięzi okrętów, łodzi, czółen, żaglowców, „bagger”, poprzez opar wilgotnej mgły, z której raz po raz wynurzały się kontury olbrzymich parostatków.

Lotte pierwsza przerwała milczenie:

— Oto znów wypływam na jezioro, któreomalże nie stało się mym grobem.

— I co więcej, darling, znajdujesz się w tej samej motorówce, która wówczas najechała twoje czółno.

Harvey syknął przez zęby, widocznie na znak zdziwienia, natomiast Lotte wołała głośno: (

— Naprawdę? Więc to jest „Mewa”? Pamiętam, opowiadałeś mi o niej. A „mądra” policja, która z powodu czyjegoś oszczerstwa więziła cię bezpodstawnie, nie potrafi odnaleźć zbrodniarza.

Rozmowa zeszała na tajemniczego Hindusa. Harvey przysłuchiwał się wymianie słów w milczeniu, aż wreszcie zagadnięty o coś przez Lotte, odpowiedział pytaniem na pytanie:

— A czy nie przyszło pani nigdy na myśl, że jej przeciwnikiem mogą kierować jakieś szlachetniejsze pobudki? Zajście w slipingu wskazuje, iż, nie był to ani napad rabunkowy, ani odruch erotomana. Napastnik przekonawszy się o bezskuteczności swych berlińskich ostrzeżeń, chciał panią podczas snu udusić. Po prostu zabić, tylko zabić, nic więcej.

100

— Myślę, że to dosyć.

— Nie, nie, Miss Nardewitz. Moje wyrażenie wywołało może efekt komiczny, lecz wbrew woli. Chcę mówić całkiem poważnie. Przecież on mógł panią przedtem okraść lub... Zresztą przychodzi mi jeszcze inna hipoteza do głowy. Może on chciał panią tylko dobrze nastraszyć i w ten sposób obrzydzić zamiar wyjazdu do Szanghaju. Pani się uśmiecha, Miss Nardewitz, a jednak moje ostatnie przypuszczenie ma duże szanse prawdopodobieństwa. Przecież napastnik mógł panią pchnąć sztyletem podczas snu, zamiast bawić się w mozolne zakładanie chusty na szyję. Czy nie zastanawiała się pani nad tym nigdy?

— Owszem, zastanawialiśmy się z narzeczonym niejednokrotnie. Właśnie Andrzej mi wytłumaczył, że napastnik nie mógł używać innych narzędzi zbrodni, ponieważ jest Hindusem i Tu... Tu... och, zapomniałam.

— Tugiem? N' — Tak.

Harvey zwrócił się do mnie z kolei:

— Pan słyszał o Tugach? —zapytał z ożywieniem. |— Tak, owszem, słyszałem coś niecoś.

Zaniepokoiłem się poważnie, że skompromituję się z moją erudycją wobec tego człowieka, który (jak mówił) wiele lat w Indiach spędził. Na szczęście Anglik załatwił się szybko z Tugami, oświadczył, że od kilkudziesięciu lat nic o nich nie słyhać w Indiach, więc skąd by się" mieli wziąć w Europie i powrócił do pierwotnego tematu rozmowy:

— Idźmy dalej. Wypadek w slipingu nie odstraszył pani od zamiaru kontynuowania niebezpiecznej podróży. Przybywa pani do Egiptu, lecz zagadkowy prześladowca idzie jak cień za swoją ofiarą. Powoduje aresztowanie pani narzeczonego, chcąc was w ten sposób rozłączyć. Chodziło mu najwidoczniej o to, by pan Andrzej nie zdążył do Suezu, nim „Albion” odpłynie. Kiedy zaś pani zdecydowała się przerwać podróż dla uwolnienia narzeczonego, następuje z kolei drugi zamach na panią, tu na tym jeziorze.

Zastanawiając się nad całokształtem zagadkowych wypadków, które rozgrywają się dokoła osoby pani, Miss Nardewitz, przychodzę do przekonania, że jej przeciwnik nie jest bynajmniej pospolitym zbrodniarzem, lecz jest człowiekiem upartym, stanowczym, który dla nieznanego

I

||

101

nam pobudek dąży do tego, by pani do Szanghaju nie dojechała, który nie cofnie się przed niczym, byle dopiąć celu, słowem jest przeciwnikiem, którego lekceważyć nie należy. Podziwiam pani odwagę, że po dotychczasowych doświadczeniach nie zrezygnowała pani jeszcze z dalszej podróży.

— O, przeciwnie! —zawołała Lotte. —Występy zwariowanego maniaka podniecają mnie tylko — potem mówiła spokojniej: —Gdyby on był przyszedł do mnie w Berlinie lub później nawet, gdyby mi był wyłuszczył, dlaczego nie powinnam jechać do wuja, gdyby te przyczyny były ważne, słowem gdyby mnie przekonywały, to z pewnością usłuchałabym dobrej rady. Odpisałabym wujowi, że nie mogę przyjechać i koniec.

Tak, Mr Harvey. Dwunastoletniej dziewczynce mówi się: „nie chodź z chłopcami do lasu, bo ci nie wolno, bo mama będzie się gniewać”; ale dorosłej dziewczynce mówi się, dlaczego nie powinna chodzić, inaczej poleci choćby z ciekawości.

Tak jest i w moim wypadku. Poważne, rozsądne słowa, życzliwe rady mogły mnie powstrzymać od wyjazdu na Wschód, ale nigdy pogróżki, _ intrygi, włamanie do mieszkania, napady i inne metody mego wroga.

Harvey potrząsnął głową niedowierzająco:

— To się tak mówi, Miss Nardewitz, to się tak' mówi tylko. Olbrzymia podróż na pokładzie najbardziej luksusowych okrętów, perspektywa zobaczenia Egiptu, Indii, wreszcie Chin, dłuższy pobyt w cudnym Szanghaju, o którym marzy każdy Europejczyk i do tego pobyt nie zatruty poszukiwaniami za chlebem, za posadą, ale gościna w domu bogatego wujaszka, co spełni każdy kaprys swej przyszłej spadkobierczynie... o, to są wszystko ważne argumenty dla młodej, żadnej wrażeń

panny. Nie zachwiałyby nimi życzliwe rady ani ostrzeżenia obcego człowieka. Dlatego, acz nie pochwalam jego metod, nie dziwię się, że się do nich uciekł... Skoro już zabrnęliśmy aż tak daleko w naszych rozważaniach i ja przyjąłem na siebie niewdzięczną rolę obrońcy zagadkowego przestępcy, pozwolę sobie zadać jedno jeszcze pytanie...

— Słucham.

— Czy gdyby pani wiedziała, że swym wyjazdem na Wschód wyrządzi pani nieobliczalną krzywdę całej rzeszy bardzo biednych,

102

nieszczęśliwych istnień ludzkich, że uniemożliwi pani naprawienie jakiegoś zła, czy wówczas wyrzekłaby się pani tej podróży?

— Nie rozumiem absolutnie, jaki związek ma pańskie pytanie z...

— Nie ma żadnego związku — przerwał jej Harvey szybko — jest to pytanie zupełnie luźne. Po prostu chcąc rozwiązać zagadkę, stawiamy najbardziej fantastyczne hipotezy. Więc proszę mi odpowiedzieć. Proszę odpowiedzieć szczerze.

— Możecie panowie być pewni r— odparła Lotte głosem uroczyście poważnym — możecie być pewni, że gdyby zaistniały okoliczności, o jakich pan wspomniał, nie ruszyłabym krokiem z Berlina. Nie chcę się chwalić, ale jako mała dziewczynka nigdy nie łapałam motyli, nie torturowałam much, jak to inne dzieci czynią. Nie potrafiłabym skrzywdzić nikogo, żadnego stworzenia, ani tym bardziej człowieka. Harvey poruszył się na swej ławeczce tak gwałtownie, że aż łódź się zakołysała. Chciał jeszcze o coś zapytać, lecz przerwał mu stary Smith:

— Spójrzcie państwo w stronę Port Saidu.

Odwróciliśmy głowy i z piersi naszych wyrwał się równoczesny okrzyk zachwytu. Pochłonięci całkowicie rozmową na temat tak dla nas aktualny, nie zwracaliśmy do tej pory żadnej uwagi na piękno przyrody.

A było na co patrzeć.

Pomarańczowa zorza poranna pierzchała właśnie przed złotym rydwanem Heliosa. Wraz z nią uchodziła z pola walki bladoróżowa mgła, wisząca dotychczas nisko nad nurtami jeziora. Zasmagana, podziurawiona szkarłatnymi wrotami wschodzącego słońca, unosila się coraz wyżej, rzedła, rozpadała się na strzępy prawie przezroczystej liliowej gazy. Wtedy natarł na nią drugi nieprzyjaciół, figlarny wietrzyk poranny. Jednym podmuchem stłamsił owe strzępy delikatne i zapędził je do niewoli w stronę Arabii, czy dalej, do stóp tronu władcy-słońca.

A wielka, gorejąca kula wyłoniła się właśnie w całej okazałości spoza wzgórza. Z monarszym gestem rozsiała wokół siebie bezmiar wspaniałej purpury. Ozłociła żółte piaski wydm, ławic pagórków. Obsypała krociefn szmaragdów •pióropusze dumnych palm, ciemnozielone by japis listeczki akacji, szare kasuariny i rzadkie, kępy pustynnej trawy. Wybieliła kopułę małego meczetu i strzelistego minaretu wieżyczkę, że lśniły jak śniegi Libanu.

103

Szkarłatne promienie przebiegły wąskie uliczki dzielnicy arabskiej Port Saidu, padły na gładkie ściany domków z niepalonej cegły lub mułu nilowego sklecone, odnalazły małe zakratowane okienka i poprzez misternie rzeźbioną koronkę „muszarabij” wdarły się do wnętrza maleńkich izb, gdzie na matach z „halfy” śpią biedne istoty,

przez proroka duszy i praw pozbawione,... piękne kobiety Arabów.

— Zaiste! —zawołała Lotte ze szczerym entuzjazmem, zwracając się w stronę Harveya. — Miał pan doskonały pomysł! Jestem zachwycona.

Potem zaczęliśmy rozmawiać, dzielić się wrażeniami i zwracać sobie wzajemnie uwagę na coraz to nowe szczegóły odwiecznego, niezrównanego cudu budzenia się przyrody ze snu, po gwieździstej nocy afrykańskiej.

Poważny zazwyczaj Harvey był tym razem niezwykle ożywiony. Mówił za czterech, przeskakiwał z tematu na temat, aż wystąpił z nowym projektem:

— Na breakfast wracać za wcześnie, zresztą nie jesteśmy jeszcze głodni.

Przynajmniej ja nie. Więc jeśli chcecie, opowiem wam jakąś wschodnią historię. Zgoda?

— Ależ z największą przyjemnością. Cóż to będzie? Baśń, klechda, czy rapsod rycerski?

— Nic z tego, Miss Nardewitz. Po prostu opowieść o wypadkach, jakie miały rzeczywiście miejsce, a w dodatku niezbyt dawno temu. Historia pewnego Anglika, który...

— Anglika? —powtórzyła Lotte głosem, zdradzającym wyraźne rozczarowanie. — Myślałam, że bohaterami będą jakieś egzotyczne postacie.

— Będą, Miss Nardewitz, będą. Anglik odegra tylko rolę „czarnego charakteru”. Inne postacie oraz tło, sam egzotyzm...

— Więc dobrze. Słucham z uwagą.

— Może by jednak kazać Smithowi zamknąć motor — wtrąciłem. Wniosek mój przeszedł jednogłośnie. Ustał monotonny turkot maszyny. Nabranym rozpędem „Mewa” ślizgała się jeszcze przez chwilę po opałowym zwierciadle jeziora, potem zaczęła zwalniać, izwalniać, aż przystanęła i pozwoliła się kołysać maleńkim falom, ku zdziwieniu

104

#

s

podejrzliwych mew,- które pływały poprzez czyste powietrze nad naszymi głowami. Lotte wsparła głowę na moim ramieniu. Harvey odchrząknął, przygotowując się widocznie do dłuższej oracji...

— Może moja opowieść (którą zapowiedziałem jako autentyczną) wyda się wam, drodzy państwo, mało prawdopodobna — zaczął — ale proszę wziąć pod uwagę, że akcja rozgrywa się na dalekim Wschodzie, gdzie wszystko możliwe, że dalej pierwszy akt miał miejsce w Indiach przed kilkudziesięciu laty.

Po tym wstępie przechodzę do samej opowieści i będę się starał być zwięzłym.

„Na zachód od górnego biegu Gangesu, od północnych stoków gór Arawalli począwszy, rozciąga się księstwo Jeypore lub Jaipur, albo jak chcą Anglicy „Dźaipur”, jedno z dwudziestu państweczek, wchodzących w skład wielkiej krainy Rajputana. Państweczko to niewielkie, gdyż ledwie dwa i pół miliona ludności liczące, ale jakże za to bogate! Zamożni wieśniacy, majątni mieszczanie, arystokracja bogata, a skarbiec radży tak pełen, jak skarbiec władcy Kaszmiru.

Stary radża, -co mu szósty szedł krzyżyk, sływał na całe Indie z zamięłowania do drogich kamieni, a przede wszystkim do ładnych okazów pereł. Strzegł zazdrośnie

swych zbiorów, pokazując je na widok publiczny tylko raz do roku, w czasie, gdy jego pan hołdowniczy, wicekról Indii, jadąc do nadmorskich prowincji, odwiedzał wasali po drodze. Wszak z Delhi do Jaipur ledwie trzysta kilometrów.

Wówczas, prócz świty wicekróla, prócz tłumów wiernych poddanych ciągnęły do stolicy księstwa rzesze kupców, kramarzy, bazarników, falangi turystów-obejźwiatów, mnóstwo ciekawych próżniaków, bez których się żadne zbiegowisko nie obejdzie. Wszyscy oni spieszyli do Jaipur, by napaść oczy widokiem bagactw, znanych chyba z bajek arabskich. c—\

Lecz chodziły słuchy, że stary radża nawet w czasie dorocznej uroczystości nie wszystkie klejnoty na widok publiczny wystawia, że w głębi pałacu ukrywa skarb najcenniejszy, najpiękniejszą perłę Indii. Takie słuchy chodziły, ale prócz wiernych eunuchów nie wiedział nikt, że \ wspominając o owej perle z zagadkowym uśmiechem, miał radża na ; myśli najmłodszą swą małżonkę^

105

7

. Księżniczka Mirza, córka niespokojnych, wojowniczych Gurków z Nepalu, tych Gurków, którzy stanowili najlepszą część wojska brytyjskiego w czasie wojny światowej, liczyła w chwili, gdy się me opowiadanie zaczyna, siedemnaście wiosen. Trzyletnie pożycie ze starym, zazdrosnym małżonkiem, trzyletnia niewola w pałacowym haremie wystarczyła w zupełności, by jej świat i chęć do życia obrzydzić. Jedyną rozrywką dla niej, jak i dla wszystkich kobiet pałacowych były odwiedziny miejscowych lub przejezdnych przekupniów. Wówczas z kwefem na twarzy zbliżały się do stosów jedwabnych szat, szalów kaszmirskich, szalów chińskich, ręcznie malowanych w desenie, do pudeł z błyskotkami, świecidełkami i porywały, co pod rękę wpadło. Wówczas opasły eunuch zliczał zakupione towary w pocie czoła, a stary radża płacił, postępując z wrodzonego skąpstwa.

Aż raz, w grupie nowej hordy przekupniów zjawił się młody kupiec, Europejczyk. Był to Anglik tak urodziwy, że rozgadane niewiasty umilkły jak urzeczzone, że siaka taka zapomniała „azar” na twarz naciągnąć, a piękna Mirza upuściła z rąk wielką wazę chińską...

Anglik ów, nazwijmy go na przykład „Snake”, był nie tylko przystojny, ale i bardzo odważny. Pod warstwą szklanych bransolet ośmielił się przemycić fajki dziwnego kształtu i małe brunatne kuleczki. Dawno już temu lelarz pałacowy uzyskał od radży edykt tej treści, że bastonadą będzie ukarany, kto przyniesie do haremu mleczny sok > przeklętej rośliny...

Toteż Snake w oczach kobiet urósł niebawem na bohatera, stał się przedmiotem rozmów, zachwyty i marzeń. Kochały się w nim wszystkie; nie tylko, iż był piękny jak posąg, ale przede wszystkim dlatego, że nie dbając o własne bezpieczeństwo przynosił ukradkiem opium, co sny czarowne sprowadza.

Dni i tygodnie płynęły spokojnie, lecz czujny lekarz zaczął coś; wietrzyć. Z jego polecenia rewidowano służbę wysyłaną do miasta, przetrząsano skrupulatnie sakwy, kieszenie, tobołki przybywających przekupniów. i

Popłoch padł na kobiety z haremu radży. Zapasy brunatnych kulek] wyczerpały się już dawno, a Snake, który przedtem przychodził co kilka dni, teraz nie pokazywał się wcale. Przez zaufanego gońca odpowiedział,

że o dalszym przemycańcu „słodocy” do pałacu nie może być mowy, przynajmniej na razie.

Więc biedne istoty, pozbawione zwykłych dawek upojnej trucizny, wiły się w mękach, były bliskie obłądu, a najwięcej cierpiała piękna Mirza, która stała się w międzyczasie niewolnicą strasznej nałogi.

Pewnego dnia przysłał Snake liścik z wiadomością, że wynalazł doskonałą kryjówkę w gąszczu leśnym na „Wyspie lotusów”, gdzie będzie nazajutrz oczekiwał amatorów opium. Przy końcu nadmieniał przelotnie, że wobec olbrzymich trudności w dostawie, wobec zwiększenia się ryzyka, wobec prawdopodobieństwa rychłego wyjazdu na czas dłuższy do Kalkuty, cena narkotyku będzie trzy razy wyższa niż dotychczas, co jednak z pewnością nie zrobi różnicy „cudnym kwiatom najbogatszego radży Indii”...

Mirza odebrała liścik, lecz otrzymanymi wieściami nie podzieliła się z żadną z towarzyszek. Nie! Postanowiła wszystko, cały zapas, zakupić wyłącznie dla siebie i z nikim się nie dzielić.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, w towarzystwie nieodstępnej świty, złożonej z gwardzistów, eunuchów oraz dworek, wybrała się na całodzienną wycieczkę.

— Dokąd? Dokąd? — wypytywały podejrzliwie kobiety.

— Zawieźć trochę żywności do osady trędowatych — brzmiała odpowiedź.

Tam się nikt nie kwapił, bo i cóż za przyjemność, patrzeć z wyniosłego skalnego tarasu na męki powolnego konania ludzi, dotkniętych nieuleczalną, przeklętą chorobą.

Dla zachowania pozorów odwiedziła Mirza rzeczywiście wioskę trędowatych, poleciła zrzucić do ich kotliny przywiezioną żywność, po czym kazała się nieść w stronę rzeki.

Umieściwszy przestronną, zasłoniętą zewsząd lektykę nad brzegiem, cofnęła się świta aż pod las palmowy i z daleka ustawiła się w tyralierę, by nie dopuścić intruzów do rzeki, by niczyje oko nie patrzyło na kąpiącą się księżniczkę.

Mirza poleciła dworkom pozostać przy lektyce, a sama rzuciła się w nurty i popłynęła ku „Wyspie lotusów”. Pochłonięta przez jedną, jedyną myśl: „zdobyć opium za wszelką cenę”, zapomniała, że nie ma na

sobie żadnej szaty i tak jak wyszła z rzeki, ociekając wodą, pobiegła w gąszcz krzaków.

Snake był słowny. Czekał na małej polance, jak przyrzekł. Podniósł głowę, kiedy zaszeleściły krzewy paproci, powstał zdumiony, gdy poznał uroczą rusałkę. Bo mimo murów wysokich, mimo eunuchów i kwefów, kto umie się zabrać do rzeczy, a dłoń przy tym szczodra posiada, tenl ujrzy twarz kobiety więzionej w haremie.

Toteż Snake zdziwił się niezmiernie, lecz podziw rychło ustąpił miejsca zachwytowi, pożądaniu, zadowoleniu i dumie, że młoda, przecudna księżniczka tak szybko uległa jego urokowi. Więc zdobywczym ruchem pochwycił ją w ramiona, ale w tym momencie odleciał w tył, odepchnięty z siłą, jakiej się po szczupłej kobiecie nie spodziewał.; Mirza uprzytomniła sobie dopiero wówczas, gdzie jest, z kim, na jakie straszne niebezpieczeństwo się naraża, w razie gdyby ktoś ujrzał ją tutaj i doniósł do

pałacu. Uwolnwszy się zatem z objęć Anglika, uskoczyła; w krzaki i wzburzonym głosem zażądała, by przyniesione zapasy opiumj złożył na środku polany oraz, aby odszedł czym prędzej.

— A zapłata? —warknął szorstko, dotknięty w miłości własnej. I —; Pieniądze są w lektyce. Zostawię ci je w umówionym miejscu.

— He he he!... Najpierw żebym na taki interes w ogóle nie przystała po wtóre ja dzisiaj nie pragnę pieniędzy.

— Tylko?—

— Chcę... ciebie.

Obsypała go deszczem wyzwisk, pogroźek, lecz Snake nie przejął się tym wcale. Usiadł na środku polany, dobył fajkę z plecaka, jakieś szklane naczynie, jakieś pudełko...

— Zakładam palarnię na wyspie — zażartował, śledząc spod oka zachowanie się swej towarzyszki. —Nazywać się będzie „Pod lotusem”,! Przypuszczam, iż piękna księżniczka będzie na uroczystym otwarciu lokalu. Tak, tak... jeszcze kilka minut... Osobnych zaproszeń rozsyłała się oczywiście nie będzie z powodu braku reflektantów na bastonadę.] — urwał nagle, gdyż w pobliżu miejsca, gdzie przed chwilą stała Mirza,] rpnął się chrzęst łamanych gałązek... Przestraszył się trochę, nawet powstał z trawy, lecz natychmiast parsknął żywiołowym śmiechem.! Z kępy krzaków wysunęła się Mirza, zasłaniając się wstydliwie wachla-j rzem, złożonym z narwanych naprędcy, dużych liści paprociowych. Zej

108

wzrokiem utkwionym nieruchomo w brunatną gałkę, która osadzona >rzy cybuchu fajki, skwierczeć zaczynała, szła jak lunaticzka w stronę rwycięsko uśmiechniętego mężczyzny...

— Daj choć jedną fajkę... choć pociągnąć!

— A zrzucisz ten niezwykły listek figowy?

Rozplotła palce, wachlarz rozleciał się w mgnieniu oka... Wyciągnę-a drżące dłonie po upragniony narkotyk. Pozwoliła się opasać ramie-liem i muskać po karczku ustami, gotowa była przyzwolić na wszystko, >yle jej nie odbierano słodkiej trucizny.^

Silnym szarpnięciem wyrwał jej Snake z rąk fajkę.

— A zapłata? —powtórzył jak przedtem.

Oczy jej błyszczały fosforycznie, palce drżały, trzęsły się niby v ataku febry, jej wargi wyszeptały cichutko:

— Oddaj!... nie odbieraj... Potem wszystko, co zechcesz... Dziwiły się dworki, gwardziści, eunuchy, że kąpiel trwa aż tak długo, dziwili się jeszcze bardziej, gdy "nazajutrz musieli asystować lek-yce w tę samą okolicę, gdy wycieczki zaczęły się powtarzać coraz zęściej.

Snake znał się na interesie. Nie sprzedawał swej klientce nigdy większych ilości opium, jak dawkę dwu-, najwyżej trzydniową, a równo-ześnie cena narkotyku wzrastała w zastraszający sposób. W bardzo krótkim czasie większa część kosztowności młodej księżniczki powędrowała do bezdennej plecaka Anglika. Potem Mirza zaczęła kraść dejnoty swych towarzyszek, wreszcie z zachowaniem wszelkich ostroż-ności dobrała się do skarbcza mężowskiego. Z pierwszej wyprawy

>rzyniosła tylko trzy perły, ale Snake nie umiał ukryć zachwytu. W ten wieczór później niż zwykle powróciła Mirza do pałacu, dziwnie denerwowana, niespokojna... Któregoś dnia gruchnęła wśród kobiet radży wieść hiobowa, że irodziwy bazarnik angielski Snake zwinął swój kram i przez piaszczys-y, pustynny Tharr wyruszył na zachód, do Pendżabu. Łatwo zrozumia-y smutek zapanował w haremie po odjeździe dostawcy „słodkich nów”. Ale w końcu rzecz poszła w niepamięć, zwłaszcza wobec bliźania się terminu dorocznego święta...

Aż pewnej nocy stała się rzecz straszna.

Sędziwego radżę znaleziono w kałuży krwi na progu komnaty

109

sąsiadującej ze skarbcem. Dogorywał, kiedy nadbiegli lekarze. Dwa słowa zdołał wykrztusić przed śmiercią: „Uwięzić Mirzę”!

Teraz dopiero spostrzeżono tajemnicze zniknięcie najmłodszej, najukochańszej małżonki zamordowanego władcy. Ktoś zauważył, że zamaskowane w ścianie drzwi od skarbcza są rozchylone. Pospieszono tam natychmiast i znaleziono szal Mirzy. A więc była tutaj także i nie sama zapewne, gdyż na zakurzonych półkach widniały dwojaki ślady: ślady wąskich paluszków młodej kobiety oraz odciski wielkich łap męskich.

Bez trudu odtworzono sobie przebieg nocnej tragedii. Osoba doskonale obeznana z rozkładem pałacu i zwyczajami domowników, służby, gwardzistów oraz samego radży, a więc bez wątpienia Mirza, wpuściła mordercę przez furtkę parku haremowego, przeprowadziła go bezpiecznie aż do komnat swego małżonka, potem dalej do skarbcza. Tu, przy świetle świecy wybierali co najcenniejsze klejnoty, ale w pośpiechu potracili dzban kryształowy, który runął na podłogę, rozbił się w kawałeczki, a łoskot obudził księcia.

Ufny w swoje własne siły nie przyzwał straży, lecz uzbroiwszy się w miecz i pistolet pospieszył w kierunku źródła głosu. W drzwiach zderzył się z uchodzącą parą, a widok umiłowanej małżonki w roli współniczki złodzieja tak nim wstrząsnął, że nie zasłonił się przed ciosem sztyletu i legł na progu, zagrządzając sobą drogę. Zbrodnicza para musiała przejść po jego ciele.

Tak więc przeniknięto zagadkę na wylot, ale na tym się skończyło. Nadaremnie wysłano oddziały pościgowe we wszystkie strony, na próżno sam wicekról, pragnąc pomścić śmierć „wiernego przyjaciela i wasala korony”, wydał odpowiednie polecenia swej policji. Mirza i jej tajemniczy współnik wpadli jak kamień w wezbrane nurty Gangesu ciśnięty i ślad o nich zaginął na zawsze...

Na tym, moi drodzy, kończy się pierwszy akt dramatu; akt najdłuższy ze wszystkich, przedstawiający, w jaki sposób skromny kupczyk doszedł do* dużego majątku z niczego, dzięki przeklętej truciźnie, która zdeprawowała duszę i serce biednej, słabej kobiety.

Akt drugi rozgrywa się w Kalkucie. Mr Snake wypływa tutaj na szersze wody jako hurtownik, handlujący wielkimi partiami rozmaitych towarów, przede wszystkim zaś opium. Kapitał potrzebny zdobył przez;

110

Sr* 3*

spieniężenie skarbów, skradzionych ongiś radży z Jaipur. A Mirza? Mirza nie

opuszczała prawie małego mieszkania w Howrah, odległej dzielnicy Kalkuty, ciągnącej się po prawym brzegu Jugli i cały swój czas poświęcała jednemu dziecku. Maleńki Singh stał się jasnym promykiem życia opuszczonej kobiety i, czego Snake nie oczekiwał bynajmniej, stał się jej wybawicielem z pęt zgubnego nałogu. Mirza dała sobie wyperswadować lekarzom, że zatruwając się w takim tempie, jak dotychczas, ^{jpocig}nie .jeszcze najwyżej rok, lub półtora. Więc przez miłość dla swej dzieciny poddała się kuracji, rozpoczynając ją tak radykalnym wstępem, jak odesłanie wszystkich fajek oraz zapasów gałek do mieszkania kochanka. Snake zdziwił się niezmiernie, raczył nawet własną osobą przybyć do Hawrah i spędził tam kilka godzin, bawiąc się z małym Singhem. Potem przypomniał sobie jakąś ważną konferencję. Wyszedł czym prędzej, przyrzekając, że w najbliższych dniach wpadnie znowu.

Przybył też rzeczywiście, jak obiecał, lecz później jego wizyty były coraz rzadsze, coraz krótsze, aż urwały się na długo. Rockefeller powiedział, że najtrudniejszą rzeczą jest zdobyć pierwszy milion, bo następne płyną już same, a Snake w owym kalkuckim okresie mozolił się właśnie nad zbiciem pierwszego miliona. Więc zabiegał o kredyty, zakładał spółki, odbywał lądowe czy morskie podróże, przesyłając z miejsc postoju drobne upominki dla Mirzy lub Singha.

A lata biegły z wartkim strumieniem czasu.

Akt trzeci rozpoczyna się listem z Batawii..Singh miał już wówczas osiem lat, chodził do szkoły angielskiej i mógł ojcowskie pisanie sam przeczytać. Snake zapowiadał w liście, że przyjedzie do Kalkuty niebawem, że przywiezie ze sobą niezwykle upominek. Kilka tygodni później duży samochód zajechał przed domek Mirzy w Howrah. Z wnętrza wysiadł Snake, prowadząc za rękę może czternastoletniego-chłopca.

— Singh, oto twój braciszek. Macie się kochać wzajemnie... Teraz pokaż mu swoje zabawki, ja chcę porozmawiać z mamą.

Singh umierał z ciekawości, co będzie przedmiotem rozmowy rodziców. Wysypał więc przed przybyłym chłopcem całe pudło zabawek, a sam poszedł podsłuchać. Ojciec mówił właśnie:

— Nie możesz mieć chyba żalu do mnie. Jego matkę poznałem na

111

kijka lat przed przybyciem do Indii. Pochodziła z Djokjokarta, umarła, kiedy malec miał dwa lata. Oddałem go wówczas do przytułku holenderskiego, a potem do szkoły Jezuitów-misjonarzy. Tam ochrzczono mojego Jawańczyka. Otrzymał chrześcijańskie imię: Geor-ge.

Mirza! ten chłopiec nie pamięta swej matki, nie wie, co to matka, zrozum, pomyśl... gdyby tak twój Singh... Więc przywiozłem ci go, niech się razem chowają, niech kończą szkoły, by mogli później zostać rozumnymi kierownikami moich przedsiębiorstw.

Singh odskoczył od drzwi przerażony. Ktoś zaszedł go z tyłu i dłoń mu położył na barkach. Był to ów chłopiec, podobno braciszek...

— Jak możesz podsłuchiwać, co starsi mówią? —rzekł z bardzo łagodnym wyrzutem, potem objął Singha, ucałował go serdecznie, przepraszając, że pozwolił sobie na wymówkę. Ten drobny incydent zadzierzgnął więzy szczerzej przyjaźni

pomiędzy braćmi.

Interesy Snake'a rozwijały się świetnie. Już mu Indie nie wystarczały. Za mały procent ludności chciał się tutaj truć dobrowolnie. Poszukał więc nowych rynków zbytu: Indochiny, Malakka, Siam, olbrzymi archipeląg malajski, a przede wszystkim Chiny. Och w Chinach „papaver somniferum” miało zawsze zbyt wielki. - Snake opuścił Kalkutę. Przeniósł się na stałe na daleki Wschód. Do którego miasta, nie wiadomo. Pekin, Han-Kou, Su-Czou, Kanton, Hong-Rong, oto nazwy, które powtarzały się w jego listach.

Kiedy George miał lat dwadzieścia cztery, wezwał go ojciec do siebie. Singh zaczął wówczas uczęszczać na uniwersytet w Kalkucie. Pewnego wieczora zastał matkę leżącą bez przytomności na ziemi. Przeraził się, wezwał lekarza, a matkę przeniósł na swoich rękach do jej sypialni. Tu uderzył go w nozdrza jakiś nieznan zapach. Powietrze było ciężkie, duszne. Przybyły lekarz wyjaśnił szybko powody omdlenia Mirzy. Oto długich lat osiemnaście nie zdołało zatrzeć wspomnień upojnych snów, w narkozie i od kilku tygodni matka Singha truła się systematycznie co dzień, co wieczór, jak ongiś, gdy w haremie radży z Jaipur zjawił się angielski bazarnik, Snake. Rok później umarła Mirza, przed śmiercią opowiedziała synowi historię swego życia i zaklęła go, by zawsze czcił, kochał ojca, choćby ten nawet popełnił więcej takich zbrodni, jak ongiś w Jaipur. Singh

112

przysiągł, pochował matkę, lecz długo jeszcze po jej śmierci rozmyślał nad zasłyszana opowieścią... , •

Akt czwarty znowu rozpoczyna się listem, tym razem z Hang--Czou. Snake wzywał Singha, by przybył natychmiast objąć placówkę po Georgu, „który się okazał niewdzięcznikiem, zwariowanym filantropem, maniakiem”.

W Hang-Czou wyjaśniła się zagadka. Oto George posprzeczał się z ojcem, w toku kłótni nazwał go trucicielem milionów niewinnych ludzi i opuścił dom rodzicielski na zawsze.

Celem wypróbowania kupieckich zdolności drugiego syna, powierzył mu Snake kierownictwo małej, nowo założonej filii swego przedsiębiorstwa w Suj-Czou, gdzie górską rzeką Min-Ho wpada do mętnej Jangcy-Kiang.

W Suj-Czou spędził Singh dwa lata, rok w Tien-Tsinie, rok dla odmiany w Kantonie, kilka miesięcy w podróży, aż zdobywszy zaufanie wymagającego ojca, objął kierownictwo największego z oddziałów, z siedzibą w Pekinie.

Pewnego dnia zaanonsował mu sekretarz niezwykle gościa. Był nim młody misjonarz, brat Jerzy.

— Singh, bracie najmilszy! —zawołał przybyły, przekraczając próg gabinetu dyrektorskiego. , (

— George!... Ty w sutannie?

—"Jak widzisz... Lecz nie -myśl, że ograniczyłem się tylko do niesienia poganom „dobrej nowiny”. O, nie! Prowadzę także zawziętą walkę przeciwko naszemu ojcu, przeciw tobie i innym, co...

— Walkę? Przeciwko mnie? —zdziwił się Singh, sadowiąc gościa w wygodnym fotelu klubowym. —Nie pojmuję braciszku, co masz na myśli. Jakaś przenośnia zapewne...

— Żadna przenośnia! Prowadzę walkę przeciwko tym wszystkim, którzy napychają sobie portfele i safes kosztem życia setek tysięcy niewinnych ofiar. Zakładam szpitale dla nałogowycli palaczy opium, przytułki dla sierot po rodzicach, których wyście wymordowali, na zimno, z premedytacją, jak na zawodowych złoczyńców przystało, wygłaszam odczyty o szkodliwości narkotyków dla organizmu ludzkiego, pisuję artykuły, kwestuję, wydaję ulotki i anemiczne, przez nikogo nie finansowane pisemka... jednym słowem walczę,

8 Perła S/anghaju

113

wciąż walczę, taką bronią, jaką mogę, ze względu na sukienkę zakonnika.

Tymi mniej więcej słowy zaczęła się pierwsza poważna rozmowa między braćmi, a rozmów tych było wiele, bo zakonnik przedłużył swój pobyt w stolicy olbrzymiego państwa Czung-Hua-Min-Kuo. Wywierał on zawsze, przemożny wpływ na młodszego brata, więc i tym razem zdołał go bez trudności pozyskać dla swych szlachetnych zamiarów, a przed samym odjazdem zaprowadził go jeszcze do wielkiego szpitala dla umysłowo chorych i pokazał mu setki ofiar strasznego nałogu. Ten widok wstrząsnął Singhem do głębi. Wspomnił sobie opowieść umierającej matki... Pochwycił brata w ramiona...

— Dziś jeszcze zdepeszuję do ojca, że zrezygnowałem z posady— wołał porywczo
— rzucam wszystko i spieszę w twoje ślady.

George musiał sobie dużo trudu zadać, nim go uspokoił. Ciężkie jest życie misjonarza. Chwilowy zapał nie świadczy bynajmniej o powołaniu, a kto nie ma powołania oraz żelaznej woli, ten załamie się już w nowicjacie. Więc on, George, nie przywiązuje żadnej wagi do słów brata, wypowiedzianych w chwili wzruszenia. Zresztą Singh może być najlepszym sprzymierzeńcem świętej sprawy, pozostając równocześnie na dotychczasowym stanowisku... Właśnie na tym-stanowisku. Ofiarnych misjonarzy nie brak, lecz uczciwych kupców znikoma ilość. Tu wtajemniczył Singha w swoje plany i rzekł na zakończenie:

— Nasz trzeci brat mnie usłuchał, sądzę więc, że i ty...

— Trzeci brat? Nie rozumiem? Zakonnik uśmiechnął się dobrotliwie:

— Ja także przez dłuższy czas nie wiedziałem, że ojciec ma trzeciego syna. Nazywa się Lo-Ming, ma dziewiętnaście lat.

— Chińczyk?

— Acha. Jest nas, uważasz, trzech synów, każdy innej narodowości. Ty, Hindus, on, Chińczyk,... ja, Malaj-Jawańczyk.

— A gdzie jest Lo?

— Przy ojcu. Strzeże go stary dobrze, by się nie stał „zwariowanym filantropem”, jak ja. Lecz pomimo wszystko udało mi się go poznać i pozyskać dla swoich planów. Lo ma w najbliższej przyszłości objąć kierownictwo oddziału w Suj.-Czou, gdzie ty byłeś przed trzema laty.

114

Kilka dni później bracia rozstali się i pożegnali serdecznym uściskiem dłoni oraz porozumiewawczym, wiele mówiącym spojrzeniem...

Na tym kończy się akt czwarty. Akt piąty nie zapowiada jednak rychłego rozwiązania węzła dramatycznego. Wprost przeciwnie...

Pierwsza scena rozegrała się w półtora roku po wypadku aktu poprzedniego. Wszyscy kierownicy oddziałów zostali przez chlebodawcę wezwani do centrali przedsiębiorstwa. W ich liczbie przyjechali także Lo-Ming i Singh.

Zanim rozpoczęły się oficjalne obrady, Snake wezwał obydwu synów do swego gabinetu na „pogawędkę”. Zwrócił się najpierw do Singha:

— Co to znaczy! — zaczął ostrym tonem. — Oto są bilanse, oto wyciągi z kas. Oddział Pekijski sprzedał w ostatnim okresie bilansowym zaledwie 24 procent dawnego, rocznego kontyngentu opium. Ładna gospodarka!

— Za to wzrósł obrót innymi artykułami. Czysty zysk za rok bieżący nie jest mniejszy niż... ; < (,

— Ja się pytam o opium. Odpowiadaj bez wykrętów! Myślisz, że mnie można oczy zamydlić?

— Nigdy się nie starałem...

Snake palnął pięścią w biurko z całej siły...

— Milcz, zuchwalcze! — ryknął — wiem o wszystkim, o wszystkim! Moi detektywi śledzą was od dawna. Wiem, że ten głupi klecha jeździ do was obu, że wyludza pieniądze na swoje idiotyczne szpitale, wiem, że fałszujecie księgi, wpisując owe darowizny jako nieistniejące wydatki administracyjne. Milcz! nie przerywaj, gdy ojciec mówi! Wiem, że zjechaliście się wszyscy trzej w hotelu Czunga w Tien-Tsin, że tam po dobrej libacji zawarliście „święte przymierze”, że postanowiliście po mojej śmierci zlikwidować całe przedsiębiorstwo, zniszczyć owoc mej trzydziestopięcioletniej pracy, a za uzyskane pieniądze zbawić niebieskie państwo, zgnite, zgangrenowane, przeklęte Chiny... Osły, smarkacze, durnie! No gadaj teraz, zaprzecz w żywe oczy! Byliście razem w Tien--Tsin u Czunga, czy nie? Chińczyk Lo-Ming, byłby się jakoś wykręcił; Singh, syn księżniczki Mirzy, córki dumnego ludu Gurków, nie umiał skłamać, lub nie chciał.

115

— Tak jest. Byliśmy. Ojciec ma dobrych szpiegów — odparł spokojnie.

Snake nie mógł słowa przemówić przez dłuższą chwilę. Wreszcie, wreszcie się uspokoił. Przestał grzmieć, mówił już cicho, prawie szeptem, ale była to cisza złowróżebna...

— Georgowi powiedzcie, by zaczął moralizować przede wszystkim konkurentów mej firmy. Jak ich nawróci, może ja się także namyślę. He he he he... Wam cofam udzielone pełnomocnictwa. Przenoszę obydwu do centrali. Tu, pod mym okiem wyzbędziecie się fantastycznych pomysłów, albo... wydziedziczę, do stu tysięcy diabłów!

Lo aż przysiadł ze strachu. Singh skrzyżował ręce na piersiach.

— Ja rezygnuję z posady i dziedzictwa — powiedział. Proszę tylko

o wypłacenie mi równowartości matczynych klejnotów, zabranych radży z Jaipur.

...Konferencja z kierownikami oddziałów została odłożona na później, gdyż Snake podczas „rodzinnej pogawędki” dostał ataku serca_

1 przeleżał tydzień w łóżku... W końcu przeprosił się z synami, dzięki

wstawiennictwu swego najserdeczniejszego przyjaciela, miejscowego notariusza. Lo-Ming pozostał przy ojcu w randze prokurenta centrali, Singh otrzymał roczny urlop dla odbycia podróży do Anglii, „gdzie mu z pewnością wyleczą Chinomanię i inne

niedorzeczności".

Na kilka dni przed odjazdem z Chin umówił się Singh z Georgem' w Ning-po. Tam mieli omówić kilka spraw i pożegnać się w końcu. Przechodząc blisko ogrodu miejskiego ujrzeli pędzącą riksę, a w niej najmłodszego brata z małą walizką w ręku.

— Nareszcie was znajduję! —zawołał wyskakując na jezdnię. — Byłem w twoim mieszkaniu, powiadają mi, wyjechał. Dokąd? Nie wiadomo. Idę do twego gabinetu, patrzę, na biurku, na bibule, odcisk depeszy do Georga. Więc...

— No, mniejsza o to. Wiemy, żeś sprytny. Jakie nowiny?

— Jakie? Jak najgorsze! Jesteśmy wydziedziczeni! Tak... Teraz osłupieliście...

Pamiętasz, Singh, wyśmiewałeś mnie nieraz, że lubię szpiegować, podsłuchiwać, jak prawdziwy Chińczyk. Opłaciło się tym razem.

— Gadajże po kolei...

— Dobrze... Otóż wczoraj rano wezwał stary notariusza. Kazał mu

116

(przyjść do mieszkania. Coś mnie tknęło... jakieś przeczucie, boja wiem. (Bez kapelusza wybiegłem z biura. Ojciec wsiadał właśnie do limuzyny. (Złapałem taksówkę. Kazałem się zawieźć na „Ulicę rododendronów", |z którą graniczy tylny mur naszego parku. Klucz od furtki noszę zawsze Iprzy sobie. Jak strzała popędziłem przez ścieżki ogrodu. Podkradłem się (pod okna gabinetu, zaglądnąłem do wnętrza. Stary siedział już przy (biurku. Po kilku minutach wyszedł z pokoju, by wydać zapewne jakieś (dyspozycje, dotyczące przyjazdu notariusza. Na moje szczęście okno nie Ibyło zamknięte. Wślizgnąłem się jak kot, zamknąłem okno dokładnie.

Nagle ścierpłem... W trzecim czy czwartym pokoju trzasnęły drzwi.

Żadnej pewnej kryjówki. Gdzie tu się schować? Nagle jedno spojrzenie... [Korninek!

Znacie ten ogromny kominek w ojca gabinecie. Nigdy się tam (jeszcze z pewnością nie paliło, ale dla ojca to świętość, bo mu

przypomina rodzinny dom w Anglii. O, z tym kominkiem znam się od

wielu lat... Krótco mówiąc wskoczyłem doń, a był już czas ostatni.

W drzwiach stanął gruby John ze swoją nieodstępną teczką, za nim ojciec.

No, co tu dużo opowiadać... Ojciec podyktował Johnowi swą ostatnią wolę w zasadniczych punktach, polecając mu ułożyć formalny testament.

— Dojedziesz już raz, gaduło, do właściwej treści?—niecierpliwił się Sirtgh.

— Więc słuchaj, gorączko... George ma nie dostać w ogóle nic. Ty 10000 dolarów chińskich rocznej renty dożywotniej, ja 12000.

— A cały, olbrzymi majątek?

— Jakiś bratanek starego, co mieszka w Hiszpanii. Pomyśl, Singh! Jakaś obca przybłęda ma zagarnąć to wszystko, co stary zarobił dzięki twej matce...

— Przede wszystkim dzięki systematycznemu mordowaniu biednych Chińczyków, Hindusów, Malajów — dorzucił George, który milczał do tej pory. Lo-Ming pienieł się z wściekłości:

— Jakiś biały łotr przeklęty zgarnie cały majątek i z lekkim sercem będzie truł nowe miliony moich braci. George, Singh! Jeżeli wy się pogodzicie z tą myślą, ja sam

zrobię porządek! Ja mu nóż wbiję!... •

— Spokojnie, braciszku — przerwał mu George. —Może się prze-

117

słyszałeś, może to chwilowy kaprys ojca... A choćby nawet tak było, jak mówisz, to pamiętaj, że ojciec to świętość...

— Ja nie o nim myślałem, lecz o tamtej przybłędzie.

— Ach, tak...

— Lecz nie myśl, że to kaprys starego... O, nie! Poczciwy John zaczął się także za nami ujmować, ale jak stary nie wsiądzie na niego! Ani się po nim spodziewałem takiej energii. Testament już dzisiaj jest gotów zapewne, a wczoraj wieczorem...

słuchajcie uważnie!... wczoraj wieczorem stary wysłał list do tego przekłętego bratanka... Nie wiem, co pisał, ale wiem że pisał i wysłał. He he he... Szofer woził na pocztę. Za trzy dolary pozwolił mi odpisać adres... He he he... Wiemy, jak się nasz sympatyczny kuzynek nazywa, gdzie mieszka...

— Gdzie?...

— W Madrycie.

— Ulica? Nie wiesz? Phi, Madryt duże miasto. Acha, więc przez konsulat — mruzczał Singh, zagłębiając się w zapiskach notesu braterskiego.

Potem zaczęły się długie debaty na temat, co począć wypada. Singh oraz Lo byli za tym, by nieoczekiwanego rywala sprzątnąć za wszelką cenę. Zakonnik zaprotestował. Po co kłaść dłonie morderstwem. Wy tłumaczyć owemu bratankowi wszystko, próbować go odwieść od zamiaru przyjęcia spadku, w ogóle od zamiaru wyjazdu na Wschód. Jeśli nie pomogą słowa, uciec się do gróźb...

— A jeśli to także nie zda się na nic? —przerwał gwałtownie Lo-Ming.

Zakonnik zamyślił się, szukając odpowiedzi. Wyręczył go Singh:

— Wówczas dla dobra setek tysięcy ludzi, dla naprawienia całego potwornego zła, jakie przedsięwzięcie ojca wyrządziło, można z czystym sumieniem zabić nie jednego chciwego kuzynka, ale cały ich tuzin.

Nastąpiła chwila długiego milczenia... George pochylił głowę, modlił się po cichu.

Wreszcie powstał; rzekł:

— Lo, wracaj do ojca, bądź dlań dobry, uprzejmy, aby się jego serce odwróciło do ciebie z powrotem. On cię kocha najwięcej. Zmieni zapewne testament. Wiem, że miłujesz swych nieszczęśliwych braci,

118

Chińczyków i że zwrócisz im to, co im ojciec wydarł w swym zaślepieniu. Ty, Singh wyjeżdżasz do Europy. Nie od rzeczy będzie, jeśli zbliżysz się ostrożnie do owego bratanka z Hiszpanii, jeśli wybadasz jego charakter, zamiary — słowem wszystko, co w krótkim czasie poznać zdołasz... Jeśli to człowiek uczciwy, poniechaj go... Ja go urobię tutaj, gdy przyjedzie. Jeżeli to głupiec, chciwiec, człowiek lekki, to go strasz, odwódź wszelkimi godziwymi sposobami od przyjazdu tutaj, ale nie posuwaj się do rozlewu krwi.

Godzinę później trzej bracia pożegnali się na długo. George pojechał w głąb Chin, gdzie szerzyła się straszna choroba oczu, od której ślepyły całe wioski, miasteczka. Lo-Ming wrócił do pałacu ojca, nad którym roztoczył niewidzialną, pajęczą sieć, podsłuchując każdą rozmowę, cenzurując każdy list, przekupując po kolei całą

służbę.

A Singh? Singh wyruszył najbliższym statkiem do Europy, by tam roztoczyć podobną opiekę nad nieznanym sobie kuzynkiem, przypuszczalnym spadkobiercą olbrzymiego majątku handlarza narkotyków Snakea".

...Mr Jack Harvey umilkł i nie kwapił się bynajmniej opowiadać o dalszych losach swych bohaterów.

— Co dalej? Przecież to nie koniec jeszcze? — spytała Lotte, zdziwiona przeciągając się pauzą.

— A jednak koniec. Co dalej, nie wiem sam. Nie wiem, czy Singh odnalazł swego kuzynka, czy go zdołał spotkać. Nie wiem. Singha znałem od dawna. Spotkałem się z nim ostatnio w Singapurze. Ja jechałem wówczas do Batawii, on do Europy.

Udaliśmy się razem do ogrodu botanicznego, a spoglądając z jego wyniosłych tarasów na „Miasto lwa” u stóp leżące, zaczęliśmy pogawędkę o tym, o owym...

Wtedy Singh zaczął opowiadać swą historię. Powtórzyłem ją państwu wiernie, o tyle wiernie, o ile na to słaba pamięć ludzka pozwala.

Spytacie słusznie, dlaczego chcąc was zabawić opowiadaniem, wybrałem właśnie tę historię, a nie inną, stokroć ciekawszą. Czy pamięta pani, jakie jej zadałem pytanie przed godziną?

— Pytanie? Zdaje się, że ich więcej było...

— Słusznie. Między innymi zagadnąłem panią w ten sposób: czy

119

gdyby pani wiedziała, że swym wyjazdem wyrządzi nieobliczalną szkodę i krzywdę całej rzeszy nieszczęśliwych...

— Tak, pamiętam.

— Ślicznie. Zauważyła pani także, że pytanie to nie stoi w żadnym związku z treścią poprzedniej rozmowy, na co się zgodziłem. Otóż, kiedyśmy się wspólnie zastanawiali nad pobudkami, jakimi się kieruje tajemniczy pani prześladowca, przyszło mi na myśl opowiadanie Singha. Wydało mi się, że dostrzegam pewną analogię obu wypadków. Przyszło mi na myśl, że pani nieprzyjaciel może również nie być pospolitym zbrodniarzem, na co także pozory wskazują, może się kierować podobnymi intencjami, jak mój znajomy, Singh. Stąd moje pytanie, zadane z prostej ciekawości.

— O, zapewniam pana po raz wtóry, że gdybym ja się znalazła w położeniu owego bratanka Mr Snakea zrezygnowałabym ze spadku bez wahania. Pieniądze zdobyte w ten sposób, jak je zdobył Mr Snake, nie przynoszą szczęścia, a los zemści się prędzej czy później. No tak... Teraz rozumiem dopiero, dlaczego mi pan zadał przedtem tak dziwaczne pytanie. AU right. Tylko jestem zmartwiona, że ciekawe opowiadanie pańskie zakończyło się tak nieciekawie... Lubię powieści, które posiadają według recepty amerykańskiej „happy end”, lubię dla odmiany takie, gdzie bohater ginie w walce, ale nie znoszę, jeśli opowiadanie urywa się w środku i nie mam pojęcia, co dalej.

Harvey wybuchł głośnym szczerym śmiechem:

— Cierpliwości, Miss Nardewitz. Jestem pewien, że spotkam Singha, zanim dojedziemy do Szanghaju. Dowie się pani zakończenia mej opowieści.

Chciał jeszcze coś mówić, ale w tym momencie rozległ się przeraźliwy ryk syreny

okrętowej. Wielki parowiec sunął środkiem jeziora, wzywając sygnałem nasz stateczek, aby się z drogi usunął.

Stary Smith puścił w ruch motor. „Mewa” drgnęła, zakołysała się nieco, ruszyła z miejsca lekko jak jaskółka, która w biegu toń wody całuje.

Okręt zbliżał się szybko. Płynął samym środkiem koryta, w dnie jeziora wyciętego i pogłębianego ustawicznie przez „baggery”. Koryto owe znaczy na gładkiej tafli wody podwójny rząd boi, czyli pływaków, na których tu czy ówdzie siedzą poważne kormorany.

120 •

— „Jan Pieterszoon Coen” — odczytała Lotte napis wymalowany dużymi literami na przedzie statku**.

Chmury łysek, bocianów, rybitw i czapli zrywały się z opałowej toni jeziora, usuwając się z drogi olbrzymia.

Nasza motorówka przybliżała się tymczasem do mielizny, która wyglądała z daleka jak czerwona wysepka. Barwę tę nadawało jej olbrzymie stado ciemnoróżowych flamingów. Wspaniałe ptaki zdawały się zupełnie ignorować defilujący w niezbyt wielkim oddaleniu okręt jak i naszą „Mewę”. Brodziły powoli z dystynkcją po płytkim dnie albo stały spokojnie w miejscu na swych długich, cieniutkich nóżkach, lub częściej na jednej nodze, tylko łebki ku nam wdzięcznym ruchem przechylając.

„Jan Pieterszoon Coen” ryknął powtórnie basem swej syreny.

Lotte podniosła na mnie oczy i nasze spojrzenia spotkały się. Powiedzieliśmy sobie wzrokiem, że za kilka dni pojedziemy szlakiem tego okrętu, przez to samo piękne jezioro Menzale, z arabska Mensaleh, a w starożytności Taniticus zwane.

Tak... Pojedziemy niebawem, lecz już bez natrętnego Karveya.

* Losy pasażerów okrętu „Jan Pieterszoon Coen” oraz wypadki ostatniego powstania w Indiach Holenderskich opisał autor w powieści „Książę Wa-Tunga, korsarz z Borneo”.

Rozdział X

W drodze na daleki Wschód

Udało się znakomicie. W sobotę wieczór odjechał Harvey do Aleksandrii. Ma tam zabawić dwa dni. W niedzielę uregulowaliśmy rachunek w pensjonacie i koło północy opuściliśmy Kair, pozostawiając I list pożegnalny dla naszego towarzysza podróży. Pisała go Lotte. W kilkunastu słowach wyjaśniła powód nagłego wyjazdu, który spowo-1 dawał rzekomy telegram od wuja i wyraziła wielki żal, że nie starczyło j czasu na osobiste pożegnanie. (O obłudno niewieścia!)

Tak więc w niedzielę dnia 30 maja błędziliśmy po raz ostatni wśród : labiryntu malowniczych uliczek arabskich, przechadzaliśmy się w cieniu drzewek, rosnących u stóp ogromnego meczetu sułtana HassanaJ a w poniedziałek o siódmej rano wsiedliśmy na pokład statku „Konin-1 gin der Nederlanden”, należącego do Królewsko-Holenderskiej Linii Okrętowej, by jednym ciągiem jechać aż do Singapuru, gdzie trzeba się i będzie przesiąść na inny okręt.

Mimo dość wczesnej godziny, długie mola Suezu roiły się od ludzi. 3 Ludzie ci biegali w gorączkowym pośpiechu wśród brzydkich magazynów, wśród stert nagromadzonego towaru, jakie wznosiły się wszędzie,! przez mostki dostawali się na pokłady przelicznych statków, wnosząc j lub wynosząc na barkach bagaże. W długim

ogonku czekały okręty na j wolny wjazd do kanału. Czekać muszą długo, nieraz dzień cały, bo poza] załatwieniem szeregu formalności, poza obliczeniem tonażu i liczby! pasażerów, od których trzeba uiszczyć słony haracz na rzecz Kompanii,] która Kanał Sueski wybudowała, trzeba jeszcze przejść wizytę komisji sanitarnej. A owa komisja nie spieszy się wcale, badając skrupulatnie

122

każdego pasażera i bacząc, by nie zawitała ze Wschodu cholera, dżuma, czy inny gość nieproszony. /

Więc defilując .Wzdłuż szeregów czekających w kolejce okrętów, wypływaliśmy z portu na zatokę sueską. Kontury góry Ataka rozplynęły się niebawem w oddali. Niemal wszyscy pasażerowie wylegli na lewą stronę parowca, by wygrzać się w słońcu i spoglądać na ozłoczone jego blaskami szczyty gór Synaj. Był to widok zaiste piękny. Niestety, wzrastający upał nie pozwolił się nam zbyt długo rozkoszować patrzeniem na dzikie, poszarpane urwiska tak bezładne, pustynne, a równocześnie tak sędziwie poważne, tak pełne majestatu, nie pozwolił rozpamiętywać ustępów biblii, do tych gór odnoszących się, lecz zmusił nas szybko do odwrotu na drugą stronę statku, a później do kajut.

Na drugi dzień znikły nam z oczu obydwaj brzegi, tak afrykański, jak azjatycki.

„Koningin der Nederlanden" posuwała się samym środkiem Morza Czerwonego, jak najdalej od zdradliwych, przybrzeżnych raf koralowych. Upał zwiększał się z każdą godziną, dochodząc do zenitu po południu. Nie wiedzieliśmy, gdzie sobie znaleźć miejsce w tym skwarze. Trzeci dzień był zupełnie do drugiego podobny, a czwarty był bliźnim bratem trzeciego.

Za to noce były precudne. Południowo-wschodni wiatr chłodził mordercze wyziewy rozpalonej Arabii i pustyni nubijskiej. Morze świeciło miliardami fosforyzujących żyłatek, lśniło jak jeden potwornie wielki kocioł żywego srebra. Miejscami pojawiały się zielonkawe, lub liliowe koliska, zdradzające pobyt kolonii osłonie, czy meduz, miejscami znów, tam gdzie chyże delfiny wyprawiały igraszki, wystrzelały w górę / fontanny kropel wody błyszczącej...

Dwie takie czarowne noce przesiedzieliśmy z Lotta na pokładzie, dopóki białe opary snujące się nad nurtami nie przybrały barwy fioletowej, potem barwy seledynu, póki gdzieś ponad Azją nie wykwitł bladoróżowy rąbek wachlarza jutrzeńki.

Czwartego czerwca zawitaliśmy do portu w Massawah. Był to jeden z najgorszych dni całej podróży. Żywy ogień lał się z nieba nieprzerwanie. Żaden podmuch wietrzyku nie chłodził rozgrzanej do maksimum atmosfery. Morze było tak spokojne, jak mały stawek. Nie darmo mała ^stolica włoskiej Erytrei cieszy się opinią najgorętszej miejscowości na naszym starym globie. Toteż zaopatrzwszy się w

„Gefrorenes" (mó-

123

wiąc językiem Lotty), zaszyliśmy się w najchłodniejszy kąt statku i zrezygnowaliśmy bez żalu z wycieczki na ląd. Trzy godziny później Massawah czyli Masaua, znana w starożytności jako Saba, została poza nami.

Minąwszy cieśninę Bab el Mandeb oraz stację węglową na wysepce Perim wypłynęliśmy na spokojne wody zatoki adeńskiej. Krótka wycieczka po Adenie nie wywarła na mnie silnego wrażenia. Olbrzymie, prostopadłe ściany gór, okalających

zatoke, przylepione do ich stóp skupienia domków, cysterny, jakże różne od cystern kartagińskich, pył, kurz, ani śladu roślinności, grupki prawie nagich Beduinów hadramaukich, roślących Somalisów, na tle błękitnej zatoki szare cielska dwóch brytyjskich torpedowców, oto wszystko.

Szalone upały nie przeszły bez echa. Zaledwie znaleźliśmy się na wysokości Sokotry, morze zaczęło tańczyć. Że Ocean Indyjski w letnich miesiącach lubi i potrafi tańczyć, nie wątpię nigdy, ale również nigdy nie przypuszczałem, że nasza dostojna, potężna „Koningin der Neder-landen” będzie wyczyniać tak zwariowane płasy. Były chwile, że miałem poważne wątpliwości czy jeszcze w tym życiu ujrzę ląd stały, na szczęście skończyło się wszystko na morskiej chorobie. Lotte należała do ofiar pierwszego dnia wściekłego „monsunu”. Ja się trzymałem dobrze przez całe dwa dni, ale kiedy w jadalni, podczas obiadu rozchorował się jakiś gruby pastor, a za nim coś z sześciu innych pasażerów, nie zdzierżyłem i dla towarzystwa przejechałem się również do stolicy Łotwy. Od tej pory nie opuszczałem już prawie swej kabiny.

Jedenastego czerwca zarzuciła „Koningin der Nederlanden” kotwicę w porcie Karaczi, blisko ujścia prawego ramienia Indusu. Staliśmy tam dzień cały, lecz mimo to nie wysiadłem zupełnie na ląd, za którym tak wzdychałem. Nie pozwolił na to stan zdrowia Lotty. Biedaczka rozchorowała się tak poważnie, że nawet w Bombaju nie mogła jeszcze wziąć udziału w wycieczce.

Dwudziestego czerwca ujrzelśmy w oddali kilka małych wysepek, j okrytych pióropuszcami przepięknych palm. Na drugi dzień wpłynęliśmy do przystani w Kolombo, stolicy Cejlonu.

Ośmiogodzinny pobyt na „wyspie rubinów” należy do najmiłszych 'j wspomnień. Błądziłszy po wspaniałym parku Wiktorii, zwiedzaliśmy pałace budowane w stylu indyjskim, świątynie pełne posążków Buddy.

124

i iir-i^fWffl -MMMM?

* 1

potem dla odmiany plantacje kakaowców, krzewów herbacianych i tytoniu.

Po powrocie na pokład statku czekała nas niespodzianka.

— Telegram — wołał z daleka starszy steward.

— Do mnie? — spytałem zdziwiony.

— Nie, do pani... Nadany z Szanghaju..

Lotte pochwyciła czym prędzej blankiet depeшы, rozerwała go i czytała głośno: Kupiłem nowe tereny naftowe na Borneo, stop, spotkamy się w Kutjing ósmego lipca, w Singapurze musisz się przesiąść stop, wyjeżdżam z Szanghaju dzisiaj stop Tim Smoot

— Wuj jedzie nam naprzeciw. A to doskonale, doskonale! Czy nie wiesz, Andrzeju, gdzie leży to Kutjing, czy jak tam?

— Hm... Wiem, że w zachodniej- części Borneo, ale chodźmy spojrzeć na mapę.

Udaliśmy się do czytelni okrętowej.

Zdjąłem z półki kilka atlasów, przenieśliem je na stół, znajdujący się w zacisznym narożniku przestronnej kajuty i zaczęliśmy wertować barwne karty.

— Oto, czego nam potrzeba — rzekła Lotte, wskazując dłonią tytuł mapy, który brzmiał: „Azja południowo-wschodnia”. — Jak to ładnie ze strony wujka Tima —

mówiła. —Przecież Kutjing leży niemal w połowie drogi, jaką jeszcze mamy odbyć — potem, zwracając się do mnie:
— Oblicz, Andrzeju, o ile wcześniej ujrzymy przez to kochanego wujaszka.
— O ile?... Zaledwie o dzień wcześniej.
— Co? Jak to?! Gdzie Szanghaj, a gdzie Borneo... Co ty mówisz, kochanie?
— A jednak tak jest, jak mówię. Mając zapewnione natychmiastowe połączenie w Singapurze; bylibyśmy stanęli w Szanghaju dziewiątego lipca, a na ósmego wuj ci wyznacza spotkanie w Kutjing. Więc...
— Słusznie! Trzeba natychmiast depeszować. Zrobiłem przeczący ruch głową.

125

— Nie, Lotte. Wuj donosi, że dzisiaj opuszcza Szanghaj. Ponieważ depeszę nadano wczoraj, więc twój telegram go już nie zastanie.

Lotte była szczerze zmartwiona.

— Z tego widzę — mówiła — że przyjdzie nam czekać w owym Kutjing ładnych kilka dni.

— A tak. Do Singapuru zawitamy 27 czerwca, stamtąd będzie jeszcze z dzień drogi, czyli przyjdzie nam czekać na twego wuja pełne dziesięć dni. Hm... Dziesięć dni w takiej dziurze jak Kutjing... Nie powiem, żebym był zachwycony.

— Toś mnie zmartwił... Czekać, postaram się o bliższe informacje o tej dziurze. Może przesadzasz...

Sfrunęła z kanapy lekko jak ptaszek, pobiegła do oszklonych szaf czytelni i zagłębiła się w studiowaniu jakiegoś słownika geograficznego.

— Rozpacz! —krzyknęła rozczarowana. —Ledwie dwadzieścia tysięcy mieszkańców, w tym kilkuset Europejczyków. Co my tam będziemy robić przez długich dziesięć dni!

Przyszła mi szczęśliwa myśl do głowy:

— Jest wyjście — rzekłem. —Te dziesięć dni spędzimy w Singapurze, zamiast w Kutjing. Zawsze to duże, blisko trzystutysięczne miasto portowe. Dopiero gdzieś szóstego, lub siódmego lipca przeprawimy się na Borneo.

Mój projekt zachwycił Lotte i urzeczywistniliśmy go później istotnie.

Dalsza podróż przez Ocean Indyjski przeszła spokojnie. „Monsun” przycichł, pozostały po nim tylko duże fale, które przez całe dwie doby atakowały bezskutecznie boki naszego statku.

Dnia 26 czerwca zarzuciliśmy kotwicę w porcie „Wyspy palm betelowych” czyli w Pulo Pinang, a dwa dni później w Singapurze, gdzie pożegnaliśmy „Koningin der Nederlanden”, zapewne na zawsze.

Zajechaliśmy do hotelu „Nawab”.

Muszę przyznać, że dawno już nie spałem tak znakomicie, jak w ową pierwszą noc po przybyciu do Singapuru. Po blisko miesięcznej podróży na pokładzie wielkiego, eleganckiego parowca, po dwudziestu sześciu, nocach przespanych na bajecznie wygodnych materacach luksusowo' urządzonej kabiny, drewniane łóżko w skromnym pokoiku hotelowym wydało mi się królewskim pościeleniem. Dlaczego? Ponieważ jestem

!26

„szczurem lądowym” i czuję się dobrze, a przede wszystkim pewnie, dopiero wtedy,

gdy dotknę stopą ziemi.

Podobnie miała się rzecz z Lotta. Dawno już nie widziałem jej tak wesołej, roześmianej i świetnie wyglądającej jak nazajutrz po owej pierwszej nocy, spędzonej w hotelu „Nawab”.

Koło dziesiątej rano wyruszyliśmy na zwiedzanie „Miasta lwa”.

.Zaiste, gdybym nie wiedział, że znajduję się w Singapurze, pomyślałbym, iż jestem w jakimś chińskim mieście. Na dziesięciu spotkanych ludzi było z pewnością ośmiu synów niebieskiego państwa, pracowitych emigrantów, szukających chleba poza granicami swej przeludnionej ojczyzny.

Z każdego bazaru wyglądała na ulicę uśmiechnięta twarz cytrynowa, o oczach skośnych, mądrych, przebiegłych; na dyszelku każdej „rikszy” siedział pólnagi, muskularny kulis chiński, zapraszający gestem uprzejmym, lecz nie natarczywym do przejażdżki po bulwarach, lub w stronę ogrodu botanicznego; nawet w dzielnicach nadmorskich, zbudowanych na palach, a zamieszkałych przez tubylczych Malajów, spotykaliśmy co krok Chińczyka, zaś w porcie były ich całe roje, na molach, przy magazynach, na dżonkach i pstro pomalowanych sampanach, wśród których z rzadka tylko prześlizgnęła się wąska, długa łódź malajska, angielska motorówka, czy kuter. Tak. Jest faktem niezaprzeczonym, że Chińczycy stanowią dwie trzecie ludności ruchliwego „Miasta lwa”, ale kto by się nie kierował statystyką, tylko pierwszym wrażeniem, jakie odniósł, upierałby się stanowczo, iż „długich warkoczy” jest co najmniej 90%.

Dopiero później spostrzega się dumnych, czarnobrodych Sikków, Tamyłów, przystojnych Syngalezów, Hindusów, niewysokich Malajów, jeszcze mniejszych Japończyków, filigranowe Japonki, zaludniające wszystkie bez wyjątku herbaciarnie, a wreszcie spostrzega się białych.

W zdumiewająco szybkim czasie padła Lotte ofiarą zasobnych w przepiękne towary bazarów. Kupowała, co pod rękę wpadło: szale chińskie, cudne batik jawańskie, inkrustowane szkatułki, skrzyneczki, pudełka, które nie wiedzieć, do jakiego celu służyć mają, dalej figurki z marmuru, brązowe posąжки smoków, demonów odrażająco brzydkich, pantofelki, sandały, kimona japońskie, wachlarze — słowem każdy

127

drobiazg, który można pomieścić w kufrze podróżnym. O, bo Chińczycy są najlepszymi kupcami pod słońcem.

Po kilku dniach w pokoju mej narzeczonej piętrzyły się piramidy zakupionych „za bezcen” rzeczy i wobec nieustannego przypływu miałem uzasadnione obawy, czy pomieścimy to wszystko w dwóch wielkich walizach, jakie trzeba było oczywiście jeszcze dokupić.

— Lotte! — rzekłem któregoś dnia. — Gdzie przysłowiowa niemiecka oszczędność? Jestem pewien, że wydałaś już połowę pieniędzy.

— Ach, Mensch! — odparła z uśmiechem. — Właśnie kupując to wszystko, dałam dowód mej przezorności i zmysłu kupieckiego. Ja to nabywam za bezcen, za pół darmo, czy rozumiesz?

— Czy nie przyszło ci na myśl, że takie fatałaszkę będzie można nabyć jeszcze taniej w Szanghaju?

— Wcale nie taniej. Portier mi to tłumaczył, a on był w Chinach długie lata.

— I jest zapewne cichym wspólnikiem sprytnego kupca, który cię obdziera bez litości. Zresztą mniejsza już o sam fakt wyrzucania pieniędzy. Powiedz mi lepiej, czy zamierzasz cały ten bagaż wlec ze sobą na Borneo? Czy nie byłoby raczej wskazane, wysłać dwie lub trzy walizy najbliższym okrętem do Szanghaju?

— Masz rację, jak zawsze, Andrzeju — odparła bez namysłu. — Zaraz wieczorem zabiorę się do pakowania i wyślemy.

Tak się też stało. Nazajutrz wynajęci kulisi zabrali z hotelu „Nawab” trzy walizy napakowane dokładnie materiałami i drobiazgami Lotty. Konwojowałem ten transport aż do portu, by załatwić wszelkie formalności, związane z przesyłką. Powiodło mi się załadować kufry na statek „Rosandra”, należący do włosko-angielskiej linii okrętowej, który jeszcze w tym dniu opuszczał Singapur, by przez Hongkong płynąć wprost do Szanghaju. Nie mając pilniejszego zajęcia, pozostałem w przystani dobrą godzinę, dopóki „Rosandra” nie podniosła kotwicy.

— Pani jest u siebie? — spytałem portiera po powrocie do hotelu...

— Yes, Sir .. Wróciła przed godziną z miasta i zapytywała kilkakrotnie o pana. Szybko wbiegłem na pierwsze piętro, gdzie znajdowały się nasze dwa pokoje. Zostałem Lottę klęczącą nad otwartym kuferkiem. Szukała

128

czegoś z takim zapachem, że nie słyszała kiedy wszedłem. Wreszcie podniosła głowę.

— Ach, jesteś nareszcie!... Słuchaj, musisz zaraz przywieźć te trzy kufry z powrotem. Przypomniałem sobie odjazd „Rosandry” i nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu.

— Zapewne kupiłaś znowu coś „okazyjnie taniego” i chcesz dopakować.

— Przeciwnie! W pośpiechu zapakowałam coś, z czym się nigdy nie rozstaję. Proszę cię, Andrzeju, idź zaraz do portu...

^^Załużę bardzo — odparłem z humorem — lecz musiałbym mieć do dyspozycji hydroplan. Przed godziną „Rosandra” opuściła Singapur, unosząc na pokładzie, a raczej pod pokładem, twoje kufry. I — Co?... Och, Boże, Boże! Co ja pocznę! Widzisz, co znaczy słuchać twoich rad. To zły znak... Od trzech lat nie rozstawałam się z-nim nigdy, ani na jeden dzień, a teraz...

Mój krótki niepokój minął szybko. Przestraszyłem się w pierwszej chwili, że Łotte zapakowała razem w wysłanych drobiazgami swój paszport/ Ale nie. Paszport uzyskała na krótko przed wyjazdem z Berlina, a owa zguba była czymś, z czym nie rozstawała się od trzech lat. Okazało się w końcu, że chodzi o pamiętnik, który prowadziła od trzech lat i w którym zapisywała skrupulatnie wypadki każdego dnia. - Próbowałem ją więc uspokoić, lecz przez cały dzień była niepokojona.

— To wszystko przez ciebie — mówiła. — Nigdy nie byłam roztargniona. Nigdy! Ale narzekałeś, że bagaż będzie za duży, usłuchałam i teraz mam za to. *

— Będziesz notować swe wrażenia w jakimś zeszycie, a po przyjeździe do Szanghaju przepisziesz wszystko. Lecz powiedz no mi, darling, czemu mi nigdy nie mówiłaś, że piszesz pamiętnik? Interesuje mnie to podwójnie, raz jako literata, po wtóre jako twego narzeczonego.

— Nie zagaduj teraz — odparła niechętnie i sprzeczałyśmy się ze sobą o tę drobnostkę przez cały dzień, jak bardzo młode, bardzo szczęśliwe małżeństwo, które

z braku intensywnego zajęcia wszczyna z błahych powodów spory między sobą, ciesząc się już z góry myślą o słodkim pojednaniu.

Ani nam przez myśl wówczas nie przeszło, że będziemy później

9 Perla Szanghaju

129

błogosławić owo roztargnienie, że wybawi nas ono ze straszego; niebezpieczeństwa. Widocznie jakieś dobre bóstwo opiekuńcze sprawi-i ło, iż pamiętnik Lotty zaplątał się pomiędzy drobiazgi zakupione w Singapurze. Tak, lecz wówczas robiliśmy sobie wzajemne wymówki, nie doceniając wartości przysłowia: „nie ma złego, co by na dobre niej wyszło”.

Chcąc odciągnąć Lottę od kuszących wystaw bazarów, kramów, oraz wielkich chińskich magazynów, zaproponowałem następnego dnia wycieczkę do botanicznego ogrodu.

Ach, ogród botaniczny w Singapurze! To już nie ogród właściwie, lecz park narodowy, wspaniały rezerwat, łączący się bezpośrednio z dziewiczym lasem, gdzie przy sprzyjających okolicznościach (jak by i powiedział przyrodnik) a raczej przy niesprzyjających (z punktu wi-j dzenia spokojnego turysty), można się spotkać oko w oko z tygrysem, gdzie całe stada małp przeskakują z gałęzi na gałąź, gdzie z drze-] wa na drzewo przelatują ptalci o upierzeniu wszystkich barw tęczy, pta-ki oswojone z widokiem człowieka, gdzie lśniące łuską, a niejado-i wite węże, umykają prawie spod nóg, by za chwilę znowu z gęstwi-f ny wypelzać na ścieżkę i grzać się w złotych blaskach słońca, gdzie] poważne marabuty, „czarne bociany”, jak je Lotte nazywała, kroczą! dostojnie po puszystych trawnikach, szukając za żabą, jaszczurką czyi wężem.

Widziałem przedtem ogród w Penang i park Wiktorii na Cejlonie, widziałem potem wspaniały ogród doświadczalny w Buitenzorgu na Jawie i rezerwat w Tjibodas u stóp wulkanu, ale żaden nie podobał mi sici tak, jak park w Singapurze, choć okazy flory równikowej były tam] bodajże wspanialsze. Nie podobały mi się dlatego, że ogród botaniczny] bez zwierząt, ptaków, płazów czy gadów jest czymś sztucznym, jakby! oranżerią, jest czymś, co (moim zdaniem) może zachwycać botanika,! lecz nigdy przeciętnego turystę. Dopiero ogród pełen świergotu przelicz- \ nych ptaków, pełen tajemniczych szelestów wieczorną porą, ogród,! w którym na wyniosłym pniu palmy można ujrzeć zwinne małpki na 5 wolności, w którym nagle trzaśnie złamana gałąź i jakiś niesamowity] cień wpadnie w gęstwę bananów, w którym nad ranem znajdziesz pióra 1 pięknego ptaka, lub szkielet małego czworonoga doskonale spreparo- j wanego przez mrówki, albo inne ślady nocnej tragedii... dopiero taki'

130

ogród botaniczny daje niejaki wyobrażenie podzwrotnikowych dżungli-

I dlatego właśnie park w Singapurze wspominam dziś najmilej i dlatego wówczas co dnia czyniłem doń wycieczki wraz z Lotta. Lecz przyszła chwila odjazdu.

Szóstego lipca, o dziesiątej wieczorem wsiedliśmy na pokład małego parowca, noszącego szumną nazwę: „Strzała”. Było to oczywiście bluźnierstwo, gdyż stateczek włókł się tak niemiłosiernie, że zasłużył w zupełności na miano „Ślimaka”, ale nigdy strzały.

Liczne sygnały świetlne oraz dwie latarnie morskie wskazywały drogę, którą należało

się posuwać wśród licznych raf koralowych i archipelagu maleńkich wysepek, porośniętych aż do linii wody bujną roślinnością, zwaną „mangrowe”. Niebo zasnuło się chmurami, noc była czarna, więc tylko jasne języki owych dwóch reflektorów oświetlały na sekundę te piękne oazy szmaragdowej zieleni na gładkiej pustyni ciemnego morza, lub dobrze zamaskowane forty nadbrzeżne, albo wreszcie stalowoszare cielska brytyjskich statków wojennych. Wszak Singapur (lwa miasto) jest bazą floty angielskiej na dalekim Wschodzie.

„Strzała” wlokła się komprofnitująco. Dość powiedzieć, że dopiero w południe następnego dnia ujrzeliśmy kontury Borneo, a o zachodzie słońca minęliśmy latarnię morską, zbudowaną przy ujściu rzeki Sara-wak.

— To już Kutjing? —zagadnąłem kapitana okrętu, akcentując niedwuznacznie słowo: „już”.

Wilk morski, władca „Strzały” sunącej chodem starego ślimaka, zmierzył mnie wzgardliwym spojrzeniem.

— W Kutjing staniemy za dwie godziny, jak dobrze pójdzie.

— Jak to? Przecież ta rzeka zwie się Sarawak, a nad nią...

— Nad nią leży Kutjing.

— Więc?

— Ale pan zapomniał, że miasto leży 37 kilometrów od ujścia. Ach, bynajmniej nie zapomniałem, tylko nie wiedziałem po prostu.

Ładna historia! Jeszcze 37 kilometrów wlec się na pokładzie tego brudnego pudła i do tego w górę rzeki, pod prąd.

Noc zapadła szybko, jak zazwyczaj w pobliżu równika. Chmury zasłoniły zupełnie Krzyż Południowy i inne konstelacje gwiazdzistego

131

nieba. Oba brzegi Sarawaku wydały mi się dziwnie puste, ponure, niegościnnie. Serce mi ścisnęły jakieś złe przeczucia...

Nie wiem, nie pamiętam, która była godzina, gdy „Strzała” zawinęła do przystani w Kutjing, czyli Kuczing. Miasteczko już spało snem sprawiedliwego, a wraz z nim spali kulisi-tragarze i kulisi ciągnący riksze.

— Ładna perspektywa! —mruknąłem, spoglądając na małe molo, słabo oświetlone blaskami kilku naftowych latarni. Nie był to widok zachęcający, oj nie. Na szczęście jeden z marynarzy ofiarował się sam z pomocą.

— Zaprowadzę państwa do najlepszego hotelu i walizy zaniosę za skromną dopłatą. No, skromna ta dopłata nie była wcale, ale w owej chwili byłbym zapłacił bez szemrania cenę nawet trzy razy wyższą. Nie targowałem się więc zupełnie.

Dobry kwadrans szliśmy za naszym przewodnikiem poprzez zakazane uliczki śpiącego miasta. Wreszcie! Wreszcie przygodny marynarz--tragarz w jednej osobie, zatrzymał się przed jakąś odrapaną rudera, rzucił walizy na ziemię i wyrecytował z patosem:

— Oto „Zajazd pod gwiazdą”, najwspanialszy hotel Kutjingu. Nawet w pałacu radży nie znaleźlibyście takich łóżek.

Zacny marynarz i zapewne współwłaściciel „Zajazdu pod gwiazdą” mówił szczerą prawdę, jak się miałem sposobność niebawem przekonać. Istotnie, takich łóżek nie mógł mieć nie tylko radża, ale nawet żaden z jego żołnierzy.

Ale zanim ujrzałem owe tapczany, okryte podejrzaną czystości kocami, musiałem się rozmówić z zaspanym indywiduum', które pełniło w tym obskurnym zajazdzie obowiązki menażera, portiera, kelnera, a jak się mam prawo domyślać, także pucybuta oraz kucharza.

— Lord pragnie mieć dwa pokoje? Są, a właściwie ich nie ma. Tak jest, mylordzie. U nas nie ma pokoi, są tylko książęce apartamenty... Wspanialsze, na parterze, przeznaczymy dla lady, drugie, nie gorsze, z widokiem na puszcę, z widokiem, który serce każdego myśliwego ucieszy, zajmie lord. Czy państwo po kolacji?

Zastosowałem się błyskawicznie do górnego tonu gospodarza.

— Owszem, kolację jedliśmy na statku — odparłem. — Prosimy

132 »

tylko o wodę do herbaty, a przede wszystkim chcielibyśmy obejrzeć apartamenty. Nie wątpię, że są równie wytworne, jak ten piękny hall, w którym mamy przyjemność znajdować się od kwadransa.

Lotte zaczęła gwałtownie manipulować chusteczką przy ustach. Widocznie wstrzymywała resztkami sił chęć śmiechu. Mój świetny humor szybko jej się udzielił. Trącając się porozumiewawczo łokciami, ruszyliśmy za menażerem „Zajazdu pod gwiazdą”.

Ha, przeczucia mnie nie omyliły. „Apartamenty lady” były równie wytworne, jak wąska, ohydna sień, którą podniosłem do godności hallu. Trzy na pół połamane stołki, czy krzesła, stolik, którego nogi zbiegły się ku sobie jakby skutkiem nadmiernego tańczenia charlestona, szafa ustawiona na ceglach, łóżko (nazwijmy ten sprzęt łóżkiem), i kilka doniczek z jakimś uschniętym zielskiem na oknach, oto wszystko. Stanowczo, moja cela więzienna w Kairze robiła lepsze wrażenie, pomimo iż nie posiadała „antycznej” szafy ani „wazonów z cudnymi orchideami”, wyrażając się wciąż językiem znakomitego menażera.

„Apartamenty lorda” były oczywiście dużo skromniej umeblowane.

Bawiliśmy się z Lotta nieporównanie, a humor nasz dosięgnął zenitu, kiedy indywiduum, menażerem się tytułujące, przyniosło niezbyt czysty garnek z letnią, nieprzegotowaną, ale za to tłustą wodą.

— Wspaniale! — zawołałem rozweselony. — Herbata będzie nie tylko aromatyczna, ale przede wszystkim intensywna, pożywna, że tak powiem. Nie pozostaje mi nic więcej, jak podziękować panu za fatywę i życzyć mu dobrej nocy.

Wymieniając wersalskie frazesy i pełne dystynkcji reweransy, pożegnaliśmy się niebawem. Kiedy drzwi się zamknęły za gospodarzem, wybuchliśmy oboje zdrowym, szczerym śmiechem.

— Lotte — rzekłem — umyj sobie rączki. Woda na „herbatę” jest jeszcze letnia.

Pół godziny później pożegnałem mą narzeczoną, wziąłem swoją walizę w garść i udałem się po skrzypiących schodach do moich „apartamentów” na pięterko. Przede wszystkim wydobyłem małą poduszczkę, z którą się nigdy nie rozłączam w podróży, szkocki pled, którym przykryłem posłanie łóżka i zacząłem się rozbierać. Było pięć minut po północy, kiedy zgasiłem świecę! Sądziłem, że po

133

podróży, po dzisiejszym spacerze przez okropne uliczki Kutjingu zasną natychmiast. Gdzie tam! Sen nie przychodził jakoś, choć powieki ciążyły, a oczy kleiły się

dziwnie.

Nagle wydało mi się, że gdzieś trzaśnięto drzwiami. Zaraz potem zaskrzypiały schody. Ktoś biegł bardzo szybko na pięterko. Kroki zbliżały się ku moim drzwiom. Nadśluchiwałem z ciekawością, lecz bez lęku. Nawet nie wsunąłem dłoni pod poduszkę, gdzie leżał rewolwer.

Klamka moich drzwi szczęknęła i prawie równocześnie rozległo się pukanie.

— Kto tam u diabła, po nocy?

— Andrzej otwórz szybko... To ja!

Zapalić świecę, zerwać się z łóżka i odsunąć zasuwę, było dziełem może pięciu sekund.

Lotte przytuliła się do mnie całym ciałem. Była blada, przestraszona, ręce jej drżały.

— Co się stało, kochanie? — spytałem, starając się ją uspokoić. Opowiedziała w urywanych zdaniach.

Zaraz po moim wyjściu zaczęła się rozbierać. Ogarnął ją jakiś niewytłumaczony lęk. Odczuła na sobie magnetyczny wpływ czyjegoś wzroku. Jakiś człowiek śledził ją, patrzył na nią z ukrycia, podglądał. Wydawało się jej w pewnej chwili, że szyba zadźwięczała leciuteńko. Starła się w siebie wmówić, że to przywidzenie. Włożyła japońskie kimono, jedno z bogatej kolekcji singapurskiej i zgasiła świece, lecz nie położyła się spać. Stała długą chwilę bez ruchu, potem zbliżyła się do walizki, wyjęła stamtąd lampkę elektryczną i skradając się jak kot, podeszła do okna. Nagle nacisnęła guziczek. Strumień oślepiającego światła lunął w szyby. Tam stał człowiek...

— Twarz jego była przylepiona do szyby tak silnie, że nos się rozpląszczył... Och, jaka twarz! Skośne oczy, usta wykrzywione w złym uśmiechu, policzki żółte... To był Chińczyk.

— Nie przewidziało ci się, dziecinko?

— Nie, Andrzej. Widziałam go, jak ciebie teraz widzę. s— I to był Chińczyk, powiadasz?

— Tak! Na pewno.

— Hm. Więc nie nasz czcigodny gospodarz.

— Nie. To był niski człowiek. Światło go oślepiło na kilka sekund,

134

potem zeskoczył na ziemię i uciekał, póki go płot nie zasłonił. Właśnie wtedy zauważyłam, że jest niskiego wzrostu.

Na próżno starałem się ją uspokoić. Daremnie tłumaczyłem, że był to zapewne jakiś ciekawy wyrostek, lub złodziej, który się dobrze przestraszył i więcej nie powróci.

— Nie, nie — szeptała drżącym głosem. — Sam w to nie wierzysz, co mówisz. Mam przecucie, że to był mój tajemniczy prześladowca.

— Jakże? Przecież tamten był bardzo wysoki.

— Prawda, lecz ma zapewne współnika... Och, Boże! zaczyna się trzeci akt mej tragedii...

Biedaczka trzęsła się jak osika. Za żadną cenę nie chciała wracać do swego pokoju.

— Tu się prześpię gdziekolwiek... — mówiła.

— A ja mam iść na dół?

— Nie, nie! Boję się zostać sama.

Hm, w takim razie trzeba przynieść twoje rzeczy na górę. Może to był zwykły złodziej. Gotów powrócić i skrać walizę.

— Widzisz, brzydal... Przed chwilą zapewniałaś mnie, że on już nie powróci, a teraz mówisz inaczej. No, idź już kochanie... Wracaj szybko! Czeka! Zabierz swój rewolwer!

Uzbrojony w browning oraz latarkę elektryczną wyruszyłem na wyprawę na parter. Pięć minut później byłem już z powrotem. Zostałem Lottę na krześle, z głową wspartą o płytę stołu.

— Tu się prześpię — rzekła obłudnie, wiedząc, że nigdy bym na to nie przystał.

— Dobrze — odparłem, przekręcając klucz w zamku i zasuwkę. — Skoro ty chcesz tam spać, ja pójdę na dół.

— Nie, Andrzej! Ja bym tu ze strachu umarła...

— Więc kładź się do mojego łóżka.

— A ty?

— Skoro mnie wypędzasz z mego legowiska, muszę się przespać na krześle.

— Ależ nigdy na to nie przystanę...

— Musimy zatem znaleźć jakieś kompromisowe wyjście z trudnej sytuacji.

Podeszła całkiem blisko, objęła mnie ramieniem za szyję, przysunęła

735

swe malinowe usteczka do mojej twarzy i robiąc rozkoszną minkę dziecka:

— Jest jakieś wyjście, Andrzej? — spytała.

— Czy sądzisz, że rzeczywiście nie ma żadnego? Namyśl się, darling. Może odgadniesz, znajdziesz.

— Jest — odparła z cudnym, szelmowskim uśmiechem i szybkim dmuchnięciem zgasła świecę, którą trzymała w dłoni.

Rozdział XI

W dżunglach Borneo

W dzień Kutjing naprawiło swą reputację. Nie wydało mi się wcale tak ponure, jak w czasie nocnej wędrówki i jak na dwudziestotysięczne miasteczko, było wcale rozległe. Pierwszy dzień pobytu na Borneo zaczął się nam bardzo wesoło. Nie trudno się domyśleć, że źródłem, niewyczerpanym źródłem wesołości był nasz znakomity gospodarz, menażer, pucybut, kucharz itd. Każdej metamorfozie towarzyszyła odpowiednia zmiana dekoracji, więc jako menażer występował z ołówkiem za uchem, jako kelner z serwetką, jako służący w fartuchu, jako kucharz w białym czepku i w chałacie, który niegdyś także był z pewnością biały, ale musiało to być bardzo, bardzo dawno temu.

Zagadnąłem go, czy nie zna, lub nie słyszał o właścicielu terenów naftowych nazwiskiem Timotheus Smoot. Nie, niestety nie pamięta tego nazwiska. Zresztą ośrodek zagłębia naftowego to Sibul oraz Miri, nędzne miasteczka, zapadłe dziury wobec cudnego Kutjing. Jeżeli jednak „lord” Smoot ma przybyć do Kutjing, to czy chce, czy nie chce, musi zajeżdżać do hotelu „Pod gwiazdą”, gdyż jest to najlepszy lokal na całej Borneo.

Wobec tego udaliśmy się do miasta, by zasięgnąć języka o wuju Timie. Poszukiwania w porcie oraz po zajazdach, nawiasem mówiąc, nieco przyzwoitszych od naszego, nie dały żadnych rezultatów. Z kolei złożyliśmy wizytę burmistrzowi miasteczka. Był

to typowy okaz mieszańca w kilku pokoleniach. Charakterystyczna dolna szczęka, wzrost, budowa ciała wskazywały na anglosaskie pochodzenie, lecz silna domieszka krwi chińskiej i malajskiej zrobiła swoje. Więc na wąskich

137

ustach igrał bezustannie uprzejmy uśmiezek chiński, pełen subtelnej ironii, więc oczy były bardzo skośne, a skóra na twarzy i nerwowych dłoniach miała odcień złotawy, jak u niektórych Jawanów.

— Mr Timotheus Smoot? — rzekł, wysłuchawszy, o co nam chodzi. — A jakże! Znam, znam. Przecież to najbogatszy człowiek w Chinach. Co mówię, w Chinach! Najbogatszy na całym Wschodzie! Baron Mitsui, właściciel olbrzymiej floty handlowej w Japonii i jego rodaczka, baronowa Suzuki, razem wzięci mają mniej, niż wynosi majątek Mr Smoota. Tak. Więc pani jest -siostrzenicą Mr Smoota. Jakże się cieszę z poznania! Niestety, nie umiem dać żadnych wskazówek co do miejsca pobytu wuja pani. Ostatni raz bawił w Kutjing przed sześciu laty, o ile się nie mylę. Chyba że by radza coś wiedział. Za kilka dni ma odbyć uroczysty wjazd. Jak państwu zapewne wiadomo, radza jest prawnikiem Jamesa Brooka. Tak, tak. Wielkiego Jamesa Brooka, znakomitego podróżnika, który ten wielki kraj Sarawak niegdyś w prezencie otrzymał od sułtana Brunei. Och, to musiały być piękne czasy! Dziś już nie słyhać o podobnych darowiznach. A szkoda, wielka szkoda.

Pożegnawszy rozmownego burmistrza skierowaliśmy się z powrotem do naszego zajazdu. Nie pozostawało nic innego, jak czekać cierpliwie, aż wuj Tim się zjawi sam we własnej osobie. Rozpytując się o niego, mówiliśmy wszędzie, gdzie mieszkamy, więc odnajdzie nas bez trudności. Burmistrz go odwiezie we własnym palankinie. Jakże... takiego magnata!

— Czy nie sądzisz — spytała w tej chwili Lotte — czy nie sądzisz, Andrzeju, że ten wygadany burmistrz przesadzał z całym wschodnim przepychem? Z-wysokości wyasygnowanych kwot na moją podróż domyślałam się, iż wuj Tim jest zamożnym człowiekiem, ale żeby miał być aż tak bogaty?

— Widzę, że wiadomość o milionach wuja wywarła niespodziewanie silne wrażenie. Domyślałam się nawet dalszego toku twych myśli.

— Wcale się nie domyślasz.

— O, przepraszam! Taki „ciężkomyślny" nie jestem.

— Więc powiedz!

— Pomyślałaś sobie tak: skoro wuj Tim jest rzeczywiście najzamożniejszym człowiekiem na dalekim Wschodzie, to ja jego spadkobierczy-' ni, będę partią, o którą mogą się ubiegać udziałni książęta, zwłaszcza

138

przy mojej wspaniałej urodzie. Jeśli zaś tak, to najniepotrzebniej w świecie angażowałam się w jakieś nonsensowne narzeczeństwo z tym młokosem Andrzejem. Nie skończyłem jeszcze! —zawołałem gwałtownie, widząc, że chce mi przerwać. Opanowało mnie nagłe rozdrażnienie, z którego przyczyn nie umiałem sobie zdać sprawy, a które wzrastało, zalewało goryczą moje serce z taką szybkością, jak nurty wezbranej rzeki po przerwaniu tamy zalewają nisko położone łąki.

— Tak Lotte — mówiłem podniesionym głosem. —Taki był tok :wych myśli, choć przez delikatność nie chcesz się do tego przyznać. Mnie nie zwiedziesz. Ja mam

doskonałą intuicję, czucie przez skórę, jak powiadają. Taka myśl zrodziła się na dnie twej duszy. Może nawet x>szłaś dalej. Może zastanawiałaś się także, w jaki sposób zerwać ze mną, w jaki sposób pozbyć się...

— Jesteś podły! —przerwała mi takim samym tonem. —Nie cofnę ego określenia. Jesteś podły, Andrzej, że śmiesz mi imputować podobne myśli.

W tym momencie minęliśmy róg ulicy i ujrzeliśmy odrapany front laszego zajazdu. U stóp szyldu, zawierającego nader szumny napis, tała maleńka karawana. Dwa osiodłane wierzchowce, czterech traga-zy z charakterystycznymi dragami, jakie się spotyka na Jawie, wreszcie ákiś trochę przyzwoiciej odziany Malaj, rozmawiający właśnie z mena-:erem. Ten ostatni spostrzegł nas natychmiast, błyskawicznie *prze-:ształcił się w boya hotelowego, przeskoczył jednym susem parapet nalej werandy i biegł ku nam, krzycząc już z daleka:

— Przyszedł list dla lady... List od lorda Smoota.

Lotte podenerwowana sprzeczką rozerwała niezgrabnie kopertę zaczęła czytać półgłosem:

My Dear Lotty!

Na polowaniu zwichnąłem nogę, wobec czego nie mogę przybyć do Kutjing. Oczekuję Ciebie i Twego narzeczonego w mej farmie w Makjan. To ledwie dwa dni drogi. Mój wierny Omba poprowadzi Was przez lasy. Okolice bardzo zdrowa, zresztą możecie zabrać słoiczek chininy, na wszelki wypadek.

Ściskam Cię serdecznie, Droga Lotty, Twemu przysłemu, zasyłam ukłony
Tim S.

Ledwie ukończyła czytanie, zbliżył się ów Malaj, który przed chwilą
139

rozmawiał z menażerem. Pozdrowił nas poważnym ukłonem.

— Jak się nazywasz? —zapytałem, aby coś rzec.

— Omba. Mój pan prosił, żebyście się spieszyli. Lotte wmieszała się do rozmowy:

— Może zabrać stąd jakiegoś lekarza dla wuja. Zwichnięcie, to bardzo bolesna rzecz.

— Nie trzeba już. W sąsiedniej osadzie mieszka Holender, co leczy' rany i choroby.

Pan będzie mógł chodzić dziś, jutro.

— Ach, to dobrze! Niech się więc Omba zajmie ludźmi i końmi, a my tymczasem pójdziemy się spakować.

— Ale dziś wyruszemy?

— Dziś.

Malaj skinął głową. Minęliśmy go i weszliśmy do zajazdu. Wszystkie pakunki znajdowały się w moim pokoju, na piętrze. Układaliśmy nasza rzeczy w zupełnym milczeniu, mając zbyt świeżo w pamięci dzisiejsza sprzeczkę, lecz niemiły nastrój zaciążył mi niebawem. Jestem impety] kiem, lubię się dobrze wyklócić, ale nie znoszę długotrwałych dąsówj kwasów, niesnasek. Gniew mój trwa pół godziny w najgorszym wypadku i równie szybko gaśnie, jak wybuchł. Toteż zbliżyłem się do Lotty i rzekłem ze szczerym zakłopotaniem:

— Darling, przepraszam cię gorąco za dzisiejszą scenę. Żyliśmy tyle czasu w zgodzie, rozstańmy się w zgodzie.

Spojrzała na mnie z niemym wyrzutem.

— Więc myślisz serio o rozstaniu się? —spytała po chwili.

— Trudno mi się naprawdę pogodzić z taką myślą... ale wobec tego] co usłyszałem od burmistrza... Znasz przecie moje przeczulenie na tymi punkcie. Nie chcę być łowcą posagowym.

— I dlatego chcesz zdeptać nasze szczęście. Słyszałam już tę piosenkę, egoisto. W tym momencie zabrzmiał na ulicy głośny śmiech któregoś] z tragarzy. Był to śmiech tak ohydny, taki zwierzęcy, przejmujący, żej wzdrygnęliśmy się oboje. Lotte ujęła moją dłoń i podprowadziła mnie do okna. Jeden z ludzi Omby zaczął przechodzącą prostytutkę! malajską i właśnie ubijał targu. Chcąc wytargować cenę jak najniższą! wyrażał się nader pogardliwie o wdziękach przygodnej kochanki, a swel przemówienie ilustrował gestami tak sprośnymi, że Lotte cofnęła się cof

140
rędeż w głąb pokoju, zaczerwieniona aż po białka oczu. Ja pozostałem szcze chwilę przy oknie. Patrzyłem z niesmakiem, ale i z ciekawością, 'iedziałem z opowiadań, że ludzie dalekiego Wschodu są bardzo ezceremonialni w kwestiach miłości, lecz nie przypuszczałem nigdy, iż osuwają się aż tak daleko. Albowiem kulis dobiwszy targu, odprowa-ził swoją wybranekę na przeciwległy trawnik, nic sobie nie robiąc obecności pozostałych towarzyszy, ani nawet z asysty kilkunastu lekawych dzieciaków.

— Ohydne! —zawołałem wówczas i wróciłem do Lotty.

— Ohydne, wstrętne! —powtórzyłem wzburzony.

— I ty chcesz mnie opuścić, chcesz mnie powierzyć opiece takich ydląt w ludzkiej skórze. Och, zaiste wielka musi być twoja miłość, ndrzej... Szybko ci się znudziłam.

— Lotte! Jak możesz!

Pochwyciłem ją w ramiona, zacząłem przeproszać, tulić, całować, zeptać stłumionym głosem uroczyście zakłęcia, że nie opuszczę jej nigdy, nigdy nie powrócę do drażliwego tematu dzisiejszej rozmowy. Lotte iała zbyt dobre serce, by nie przebaczyć natychmiast. Kiedy wyraziłem abawy co do przyjęcia jakiego doznam ze strony starego milionera, zamknęła mi usta pocałunkiem i oświadczyła poważnie, że gdyby wuj zamanifestował swe niezadowolenie choćby najlżejszym grymasem lub słówkiem, pożegna go bardzo chłodno i bezzwłocznie wrócimy do luropy. Wobec tego nastąpiło zupełne pojednanie i w największej larmonii opuściliśmy zajazd „Pod gwiazdą”.

— Żegnaj stara rudero! Obyśmy nie byli zmuszeni szukać znowu schronienia pod twoim dachem — zawołałem żartobliwie, wskakując na irzbiet rumaka, przeznaczonego dla mnie.

Lotte pogroziła mi paluszkami:

— Brzydki niewdzięczniku. Czy lokal zacnego menażera-kuch-nistrza nie pozostawi ci żadnych miłych wspomnień? —spytała.

— Chyba żadnych.

— Tak? A dzisiejsza noc?

— Prawda! Gdzie moja pamięć, którą się lubię chlubić. Przebacz mi, darling. Odwołuję oczywiście, co przedtem powiedziałem. Żegnaj mi, zaciszny pokoiku, gdzie...

Położyła dłoń na moich wargach i nie pozwoliła dokończyć. Więc

141

pochwyciłem jej palce, przylgnąłem do nich ustami i jechaliśmy tak długi czas

strzemię przy strzemieniu.

Minąwszy brudną, nieciekawą dzielnicę portową, znaleźliśmy się w najładniejszej części miasta. Nie było tu prawie zupełnie odrapanych domów, domków, kamienic z mało zachęcającymi wystawami kramów. Orszak nasz posuwał się środkiem dość szerokiej alei, wśród ładnych, schludnych dworców o dachach z okapami bardzo szerokimi i przy końcu zadartymi ku górze. Dachy te wyglądały jak pstre pomalowanej gondole, położone dnem do góry. Każdy dworek tonął w gęstwie soczystej zieleni, wśród której przeważały banany o liściach rozpostartych w kształcie wielkich wachlarzy.

Ale piękne dworki skończyły się niebawem i wjechaliśmy na teren doskonale utrzymanych pól ryżowych, zwanych w języku malajskim „sawa”. Potem obraz mijanych okolic zmieniał się jak w kalejdoskopie. Widzieliśmy plantacje kawy i trzciny cukrowej lub na przemian bawełny, dalej sago, pieprzu, tapioki, kakaowców, nawet krzewów herbaty.

— Patrz! Jacy pomysłowi ci tragarze — rzekła Lotte w pewnym momencie.

Oderwałem wzrok od zielonych pól i skierowałem swą uwagę na naszych kulisów.

Nie mogłem odmówić słuszności mej kochanej i dziewczynie. Tragarze byli rzeczywiście bardzo pomysłowi. Wszystkie [bagaże podzielili na mniej więcej równe pakunki, przywiązując każdy do i końca elastycznych prętów bambusowych. W ten sposób każda tyczka [zamieniała się w rodzaj wagi i pośrodku opierała się na nosidłach. Kulisi biegł dość szybko, zginając nogi silnie w kolanach, dzięki czemu za każdym stąpieniem ciężary, zawieszane u końców obu ramion wagi, pochylały się w dół, a potem skutkiem sprężystej giętkości bambusa i podlatywały w górę. Cały kunszt polegał na tym, by postawić stopę na ziemi w chwili, gdy pakunki są najniższe, a dźwignąć ją wtedy, gdy idą j w górę i są najlżejsze. Przeniknąwszy arkana tego dowcipnego systemu, i nie dziwiłem się więcej niezamordowanej wytrzymałości tragarzy.

O zachodzie słońca wjechaliśmy w las drzew kauczukowych, oraz figowców.-

— Hej. Omba?... Może tu spędzimy noc — zawołałem. -Twarz Malaja skurczyła się w brzydkim grymasie niezadowolenia. |

142

— Jeśli państwo zmęczeni, to dobrze, ale nie staniemy za dwa dni w Makjan.

— Ja się czuję doskonale. A ty, Lotte?

— Ja także. Tylko czy konie wytrzymają?

— Wytrzymają. Albośmy to dziś dwa razy nie popasali? Ruszyliśmy więc w dalszą drogę. Omba naglił do pośpiechu.

— Musimy dotrzeć do szałasów dawnej osady kupców gutaperki — mówił. — Tam płynie strumyk z wodą dobrą do picia i ogień będzie z czego rozpaść.

Przewodnik miał rację. Nie można sobie było wyobrazić lepszego miejsca na nocleg wśród tego lasu. Kulisi, których siły musiały być niespożyte, dali się bez trudu zapędzić do nowej roboty. Rozkubaczyli konie, ustawili mały, przenośny namiot, nazbierali patyków i gałęzi na ogień, przynieśli w płóciennych wiadrach wody z potoku, który szemrał gdzieś w pobliżu, a ukończywszy to wszystko, legli wokół ogniska i zabrali się z całym namaszczeniem do żucia betelu. Godzinę później spali snem kamiennym. Lotte wsunęła się do niskiego namiotu, wzywając mnie, bym się

także spać położył i należycie Wypoczął przed dalszą podróżą.

— Dobrze, darling. Rozmówię się tylko z przewodnikiem. Ktoś musi przecież czuwać nad naszym wspólnym bezpieczeństwem.

— A potem przyjdiesz?

— Przyjdę.

— To dobrze... Chcę, byś był przy mnie. Czuję się wtedy bezpieczniejsza i...

— [...? Dokończ!

— Powiem ci, jak przyjdiesz.

Uśmiechnęła się zalotnie, obiecująco, posłała mi dłonią całusa i zaciągnęła płótno, zakrywające wejście do namiotu. Wobec tego postanowiłem rozmówić się z Malajem jak najszybciej. Siedział na ziemi, oparty plecami o moją walizę. Wzrok miał wlepiony nieruchomo, tępo w krótkie języki dogasającego ogniska.

— Omba! Kulisi śpią, że można by im poucinać warkocze. Kto będzie czuwał nad obozem?

— Ja. 1

— I nie zaśniesz? Może cię zluzować po północy?

143

— Śpij, panie! Śpij spokojnie! Omba potrafi czuwać kilka nocy pod rząd, a w dzień będzie rześki jak miody kozioł.

— Ogień gaśnie.

— Zaraz dorzucę paliwa.

— Konie powiązane?

— Sam zobacz, panie, skoro mi nie ufasz.

Widząc, że nie kwapię się do namiotu, wstał z ziemi, podszedł do stosu nagromadzonych gałęzi i sypnął szczodłą porcję w ognisko. Przeczekałem jeszcze chwilę, dopóki podsycone płomienie nie wystrzeliły w górę bukietem krwawych jęzorów, potem skierowałem się do namiotu, zapowiadając, że przed świtem skontroluję czujność naszego anioła stróża.

Długo nie mogłem zasnąć. Przewracałem się z boku na bok, poprawiałem sobie pod głową swą podróżną poduszczkę, starałem się nie myśleć o niczym, by zwabić upragniony sen, lecz na próżno. Kilka natrętnych komarów atakowało bezustannie moją twarz i dłonie. Postanowiłem wypalić papierosa, by przepędzić przykrych intruzów.

W migotliwych blaskach zapalniczki benzynowej ujrzałem twarzyczkę Lotty. Ochronna siatka zsunęła się z niej i jakiś zuchwały moskit siedział na jej czole. Uśmierciłem bezzwłocznie natręta, lecz nie spieszyć łem się bynajmniej z naciągnięciem siatki. Pasłem oczy widokiem mej^ cudnej dziewczyny, która wyglądała jak śpiąca królewna z bajki. Dwa niesforne loki złotych włosów zsunęły się na jej policzki, zaróżowione od! snu. Jej purpurowe usteczka, nabrzmiałe od niedawnych pocałunków, składały się w czarownym uśmiechu. Był to uśmiech niewinnego; dziecka, małej dziewczynki, która z całą ufnością ucieka się pod] opiekuńcze skrzydła starszego brata, lecz był to zarazem uśmiech] kobiety, która zaznała uścisku męskich ramion i przeżywa go znowu] w sennym widzeniu. Płomyk zgasł. Zapalniczka odmówiła posłuszeństwa. Zapewnej wyczerpał się maleńki zapasik benzyny. Więc po omacku nakryłem! Lottę siatką, rzuciłem się na

wznak na swoje posłanie, pamiętając o tym, By na czas odpalić nowego papierosa od dotychczasowego.

W niskim namiocie nagromadziło się sporo dymu. Zgasilem tego. czwartego z kolei papierosa, krzepiąc się nadzieją, że komary zrezygnują już teraz z dalszych ataków.

144

Nagle usłyszałem przenikliwy krzyk jakiegoś nocnego ptaka. Może nie byłbym przywiązywał do tego faktu większej uwagi (wszak nie znajdowałem się w pokoju hotelowym, lecz w lesie tajemniczej Borneo), ale chwilę później rozległ się krzyk podobny, gdzieś całkiem blisko namiotu, gdzieś jakby z tego miejsca, w którym siedział z wieczora nasz przewodnik.

Tknęło mnie jakieś przecucie, by wyrzeć z namiotu. I we mnie, dziecku ultracywilizowanej Europy, którego zmysły przytępił gwar, zgiełk, zaduch wielkich miast, a przede wszystkim poczucie absolutnego bezpieczeństwa i we mnie zbudził się jakiś instynkt, chytróść myśliwca, nieufność człowieka pierwotnego, który wiele obcuje z przyrodą, z przyrodą dziką, prawie nie tkniętą siekierą cywilizacji...

Zacząłem ostrożnie odwiązywać sznurek, którym umocowano tylną ściankę namiotu do białego kołka. Za chwilę wyłom był zrobiony. Wysunąłem głowę aż po szyję.

Wyteżyłem wzrok, słuch, powonienie. Ujrzałem przewodnika. Kręcił się niespokojnie, zerkał od czasu do czasu w stronę naszej budki płóciennej. Nie mógł dojrzeć mej głowy, ponieważ znajdowała się w cieniu; natomiast ja go widziałem doskonale. Oświetlały go blaski ogniska, założonego przed frontem namiotu.

Znów zabrzmiał krzyk nieznanego ptaka. Omba złożył dłonie w trąbkę i zaczął sykać. Potem raz jeszcze obrzucił namiot podejrzliwym spojrzeniem. Nawet przybliżył się, nad słuchując, czy śpimy. Wreszcie odwrócił się na pięcie i ruszył szybko w zarośla, skąd przed chwilą dobiegał tajemniczy głos. Zdawało mi się, że rozmawia tam z kimś półgłosem.

Zaniepokoiłem się poważnie. Czyżby planowano jakiś napad na nas? Czy dlatego Omba nie chciał się nikomu dać wyręczyć w czuwaniu? Co począć? Czy iść w ślady zdrajcy i zdemaskować go? Ale w takim razie Lotta pozostanie bez niczyjej opieki w namiocie. Czy zbudzić kulisów?

Tysięczne sprzeczne myśli, zamiary, pytania kotłowały mi w głowie. Już, już byłem zdecydowany wyczołgać się zupełnie na zewnątrz i pospieszyć tropami Malaja, kiedy usłyszałem jego śmiech. Prawie równocześnie zabrzmiał stłumiony, piskliwy chichot... •

Ach, więc to zapewne schadzka miłosna... O, zacny Omba, jak mogłem cię skrzywdzić tak niecnym podejrzeniem! Baw się przyjacielu,

10 Perłą Szangrfaju

145

pieść swą bogdanę i kochaj, kochaj, bo miłość to najwyższa doczesna wartość kruchej istoty, zwanej pospolicie człowiekiem. Kochaj, a ja cię zastąpię w czuwaniu. Mam zgoła niepolski zwyczaj, że zamierzenia szybko w czyn wprowadzam. Więc zrezygnowałem ze spania i aby skrócić sobie długie nocne minuty, zabrałem się do naprawiania zapalniczki.

Dwie godziny później zachręściły gałęzie. Omba wracał z zarośli. Teraz mogłem się już udać na dobrze zasłużony spoczynek, lecz wybiwszy się ze snu na dobre,

męczyłem się bardzo długo i zdrzemnąłem się dopiero o wschodzie słońca.

Obudziły mnie gorące pocałunki Lotty.

— Śpiochu! Pora wstawać. Omba zachodził tu kilka razy, pytając, kiedy wyruszymy.

— Kiedy? Zaraz, oczywiście. Niech tylko przegotuje wody na herbatę.

— Herbata gotowa.

Wobec takiego stanu rzeczy opuściliśmy miejsce noclegu w ciągu pół godziny.

Pierwsza połowa dnia nie obfitowała w ciekawe wypadki. Za lasem drzew kuczukowych ciągnęły się znowu uprawne pola. Najpierw plantacje kawy...

Na wyspach sundzkich nie mając u nas, specjalnej pory kwitnięcia, owocowania, siania, czy zbiorów. Więc gdy na jednym polu sieją ziarno, następne orzą pod siew, na trzecim są żniwa, czwarte nawadnia się pod przyszłą uprawę, na piątym flancuje się sadzonki i tak w kółko.

Więc kiedy na mijanym właśnie polu dwumetrowe drzewka kawy były obsypane wonnym, białym kwieciem, inne rosnące tuż w sąsiedztwie, dźwigały okrągłe owoce, mieszczące wewnątrz ziarenka kawy.

Więc kiedy teren się obniżył, kiedy stał się wilgotny, pełen liści gnijących i wjechaliśmy w obręb plantacji kakaowców, jedno drzewka uginały się pod ciężarem olbrzymich, żółto-czerwonawych ogórków z brunatnym ziarnem, a inne drzewiny tonęły w powodzi kwiatów bladorożowych, lub śnieżnych, często wprost z kory wyrastających.

Po południu ujrzelśmy zbitą, ciemną ścianę lasu. Minęliśmy okolice pozyskane dla uprawy, a zbliżaliśmy się do tajemniczych dżungli.

146

-Zanim jednak nasza karawana zagłębiła się w puszcze, zdarzył się wypadek, który później miał silnie zaważyć na szali mego przeznaczenia.

Zrobiliśmy ostatni popas, tuż pod lasem. Dwóch kulisów, wysłanych po wodę, nie wracało długi czas do obozu. Wreszcie ujrzelśmy jednego z nich. Biegł on bez wiader, wymachując rozpaczliwie rękami.

— Co się stało? Gdzie tamten? ,

— O panie, panie! — wyjąkał zadyszany. — Tamten już nie wrócić... •Wpaść w głębokie bagno.

Omba, który równie dobrze władał kilkoma narzeczami języka chińskiego jak młajskim lub angielskim, wziął przestraszonego tragarza na spytki. Okazało się, że szukając wody, zapuścili się w moczary, leżące nad brzegiem rzeki i jeden z nich, mianowicie Gambur, ugrzązł tak, że nie mógł się wydostać o własnych siłach.

— Jak głęboko był zanurzony, gdyś odchodził?

— Po kolana... Po kolana.

— Omba machnął ręką wymownie.

— To go już diabeł nie wyciągnie — mruknął. Zaprotestowałem energicznie. Należy bezzwłocznie biec z pomocą

nieszczęśliwemu. Omba potrząsnął głową przecząco:

— Czy nie słyszałeś, panie, że wpadł po kolana? Teraz błoto sięga mu już po szyję. Jego nie wyratujemy, sami możemy zginąć.

— Wszystko jedno. Idziemy.

— Panie, przecież to tylko kulis.

— A kulis nie człowiek? ,

— Kulis to kulis, czyli bydlę.

Nie miałem ochoty ani czasu na zbijanie „Uczonych” wywodów przyjaciela Omby. Ponieważ Lotte nie chciała się ze mną rozstawać, wyruszyliśmy w pełnym komplecie.

Moczary były zarośnięte jakimiś szuwarami po brzegach. Zostawiłem Lotte na pagórkę, skąd mogła nas widzieć, powierzyłem jej opiece konie oraz bagaże, a sam wyruszyłem w kierunku wskazanym przez kulisa. Kazałem wziąć ze sobą tyczki bambusowe. Tak wyekwipowani skakaliśmy z wysepki na wysepkę, uważając, by nie postawić stopy na lepkim błocie. Po chwili natknęliśmy się na porzucone wiadro. Pochwy-

\

147

ciłem szum rzeki. Widocznie nasi tragarze kierowali się tym samym odgłosem w swej niefortunnej wyprawie po wodę.

— Gambur! — zawołałem jak najgłośniejszym głosem — Gambur, odezwij się, Gambur...

Chwila ciszy, potem słaby głos gdzieś niedaleko:

— Panie!... Oooo!... Gambur już zginać.

Pomimo całego współczucia dla biedaka, nie mogłem się wstrzymać od śmiechu.

— Nie zginałeś, skoro jeszcze mówisz. Idziemy z pomocą. Wreszcie ujrzelśmy go.

Tkwiał w błocie po pas i szamotał się

rozpaczliwie. Wokoło niego bulgotały złowrogo banieczki gazów, wydzielanych przez zdradliwą topiel, nad nim unosiły się roje natrętnych komarów, niezastąpionych pocztylionów febry.

Zaczęła się praca mozolna, prawie beznajdziejna, gdyż Gambur, wpadłszy najpierw po kostki, stracił orientację i wrywając się z bagna, odsuwał się coraz dalej od zbawczej wysepki. Oddalił się od niej o dobre cztery metry. Gdyby moi pomocnicy byli odważniejsi, byłbym im zaproponował utworzenie żywego łańcucha z naszych ciał, przy czym każdy trzyma swego poprzednika za nogi, a najdalej wysunięty chwytka w pół niedoszłego topielca. Ale żaden z nich nie chciał słyszeć o tym, by choć jedną nogę zanurzyć w błocie, a co dopiero kłaść się poziomo na tak niepewnej podstawie.

Trzeba więc było radzić sobie inaczej. Przede wszystkim z pomocą naszych żerdek zabezpieczyłem Gambura przed dalszym zapadaniem się w bezdenne trzęsawisko.

Bambusy, przeciągnięte pod pachami kulisa i oparte końcami na dwóch wysepkach, ugiwały się wprawdzie, lecz spełniały swą rolę zadawalająco. Co więcej, Gambur, wspierając się na nich rękami, zdołał się wywindować o dobry decymetr w górę.

Potem z naszych pasów, szelek, powrozów, zacząłem fabrykować linę, a raczej arkan. Nagle, kiedy już wszystko było gotowe, kiedy kolisko zaimprovizowanego lassa opasało w pół zanurzonego, ten wydał piekielny ryk trwogi. To był rzeczywiście głos, krew w żyłach mrozący...

Nim zdołałem spytać o przyczynę przestraszenia, sam ujrzałem, zrozumiałem ogrom niebezpieczeństwa i zdreptałem. W odległości jakichś ośmiu metrów zakołysały się kiście trzciny, zaszeleściły szuwary.

148

y

i wyjrzał ku nam olbrzymi łeb krokodyla. Straszliwy jaszczur przystanął w pochodzie, był jakby zaskoczony tak licznym towarzystwem i zastanawiał się przez moment, czy warto wszczynać walkę nie w swoim żywiole, nie w wodzie, z garstką intruzów, zbrojnych w jakieś wysokie pręty...

Byłem pewien, że nie ośmieli się zaatakować nas, ale... Tak. Stało się, jak przewidywałem. Zrezygnował z napaści na nas, a ruszył w stronę wyjącego ze strachu Gambura. . . ,

Omba pierwszy wziął nogi za pas.

— Stój! — wrzasnąłem, mierząc doń z rewolweru. — Jeden krok, a strzelę w łeb! Potem skierowałem lufę w przymkniętą paszczę pełzającego niezdarnie jaszczura. Jeszcze dwa metry dzieliły go od bezbronnej ofiary. Jeszcze metr. Zdawałem sobie doskonale sprawę z bezowocności mej interwencji, lecz mimo to pociągnąłem za cyngiel... raz... drugi... trzeci... czwarty...

Efekt przeszedł wszelkie oczekiwania.

Czcigodny patriarcha krokodylego rodu nie spotkał się zapewne w ciągu swych lat matuzaleмовych z bronią palną. Możliwe zresztą, że stalowe kulki mego prawie dziesięciomilimetrowego browninga połaskotały go nieprzyjemnie w jakieś czulsze miejsce, dość, że zwiął sromotnie z placu boju. Chyboczące się gwałtownie kiście trzciny wodnych znaczyły drogę jego odwrotu...

Godzinę później przytransportowaliśmy półżywego Gambura do miejsca, gdzie czekała nas zaniepokojona Lotte.

Kiedy koło dziewiątej wieczór założyliśmy obóz na pierwszej leśnej polanie, podszedł do mnie chwiejnym krokiem, padł na ziemię i wybełkotał niewyraźnie:

— Gambur... panu... nie... zapomnieć.

Na więcej wzruszenie mu nie pozwoliło, lecz resztę dopowiedziały wymowne spojrzenia jego wąskich, skośnych oczu. W tym wzroku malowało się psie przywiązanie, wdzięczność, skora ochota do wszelakich poświęceń dla zbawcy...

I Gambur nie zapomniał dzisiejszego incydentu rzeczywiście. W ciężkich chwilach był mi wiernym sprzymierzeńcem.

Czułem się ogromnie zmęczony. Ostatnia noc, prawie bezsenna,

149

dwudniowa podróż na końskim grzbiecie, dzisiejsze wypadki, wszystko to wyczerpało doszczętnie zapas mych sił. Organizm domagał się gruntownego odpoczynku. Lecz zanim się wsunąłem do namiotu, wydałem podobne zlecenia jak zeszłej nocy:

— Omba, proszę mi dobrze pilnować! Jeśli jesteś zmęczony, powiedz, zastąpię cię kimkolwiek, lecz nie waż się zasnąć!

— Pan się obawia? — spytał z odcieniem ironii.

— Czy nie jesteśmy w dżungli? Gdyby nas tak tygrys napadł w nocy, to...

— Pan może spać... Tygrys nas na pewno nie napadnie.

Jakim on to dziwnym tonem wypowiedział. Na słowie „tygrys” spoczywał jakiś znaczący nacisk...

Ale zbyt byłem zmęczony, by zajmować się klasyfikacją odcieni głosu przewodnika. Tym razem zasnąłem szybko. Trapiły mnie we śnie przykre widziadła, jak ongiś w

Egipcie...

Nie wiem, ile godzin przeszło, nie wiem, czy północ minęła, gdy nagle usłyszałem przeraźliwy krzyk Lotty. Zerwałem się, lecz w tej samej chwili otrzymałem taki cios w głowę, że runąłem na wznak. Straciłem wszelkie czucie.

Kiedy odzyskałem przytomność, nie leżałem już w namiocie. Zamiast szarego daszku z płótna, rozpościła się nade mną szmaragdowy baldachim lian, pnący, przeskakujących z drzewa na drzewo. To było pierwsze spostrzeżenie. Drugie było mniej wesołe. Ręce i nogi miałem związane tak silnie, że postronki wrzynały mi się w ciało. Chciałem się dzwignąć... Na próżno. Głowa mi ciążyła, jakby kleszczami do ziemi przymocowana. W myślach panował dziwny chaos, bezwład, apatia... Gdzieś w zakamarkach pamięci błąkały się niewyraźne wspomnienia nocnego napadu... Gdyby nie więzy, byłbym skłonny przypuścić, że śniłem, że śnię w dalszym ciągu...

Zachrzęciły krzaki w pobliżu. Przechyliłem głowę na bok, by widzieć. To był Omba. Podszedł blisko, przywitał mnie wybuchem szyderczego śmiechu i poczęstował dobrym kopniakiem między żebra. .

— Wstawaj!... —zawołał. — Mamy jeszcze dzień drogi przed sobą. Zrozumiałem, że wdawać się w rozmowę z tym bydlakiem nie warto.

150

Więc tylko zwróciłem mu uwagę, że mając nogi związane, nie będę mógł - powstać, ani wygramolić się na siodło.

— Siodło? He he he he... Myślisz, że będziesz jechał konno? Teraz ja pojedę, a ciebie przywiążę«do ogona.

Przekonałem się niestety, że nie były to tylko pogrożki. Z zarośli wysunęło się dwóch nagich zupełnie tubylców. Na polecenie Omby rozwiązali mi nogi, dzwignęli mnie z ziemi w sposób niezbyt uprzejmy, a do moich skrepowanych dłoni przytwierdzili koniec trzymetrowego postronka. Drugi koniec przywiązali do ogona wierzchowca, na którym przez te dwa dni jeździłem. Omba wskoczył na siodło z gracją emerytowanego kapitana marynarki, obrzucił mnie stekiem wyzwisk i ruszyliśmy w drogę. Dwaj nagusi szli za mną krok w krok, przewiesiwszy sobie przez ramię olbrzymie łuki.

Przeszliśmy obok miejsca, gdzie przedtem stał namiot. Nie było go już. Znikł, jak znikły nasze walizki, kulisi, bagaże, drugi koń... i Lotte.

Boże! Gdzie Lotte?! Po uderzeniu, jakie otrzymałem w czasie nocnego napadu, szumiało mi tak w głowie, taki byłem ogłuszony, prawie nieprzytomny, że do tej pory nie pomyślałem o mej drogiej dziewczynie. Teraz dopiero uprzytomniłem sobie wszystko. Ogarnęło mnie bezbrzeżne przerażenie, potworny lęk, iż ją mógł spotkać los stokroć od mojego gorszy. Jeżeli nas napadnięto dla rabunku, dla wymuszenia jakiegoś okupu, dlaczego nas rozdzielono, u licha?

— Omba! — ryknąłem, rzucając się na ziemię. — Nie ruszę kroku, póki mi nie powiesz, gdzie jest moja towarzyszka.

Malaj podciął konia, chcąc mnie wlec po ziemię lecz niespodzianie rumak stał się moim sprzymierzeńcem. Był szanującym się wierzchowcem, od biedy mógł ścierpieć na grzbiecie nawet tak przygodnego jeźdźca, jak Omba, ale nie chciał się zniżyć do roli zwierzęcia pociągowego, zwłaszcza gdy niezwykle, szamocący się ciężar przywiązano do jego wspianiałego ogona. Zaczął wierzgać, przysiadając na zadzie, aż

przestraszony jeździec zeskoczył z siodła i skapitulował.

Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że Omba zechce gniew wyrzucić na mnie. Istotnie powierzył niespokojnego rumaka jednemu z krajowców, a sam zaczął wycinać gruby pręt z kępy rosnących w pobliżu bambusów.

— Omba, jeśli ważysz się mnie uderzyć, zginiesz!

151

— Ty grozisz? Tobie prędzej śmierć znaczonea...

— Nie lękam się jej, wiedząc, że będę pomszczony... Słuchaj, uważnie mnie wysłuchaj, potem osądzisz, czy dobrze mówię. Przybyłem do Kutjing na zaproszenie radży. Burmistrz już pchnął doń gońca, z wieścią o moim przybyciu. Wiedzą, gdzie mieszkam. Właściciel zajazdu „Pod gwiazdą” powie im, że ty nas wywabiłeś za miasto.

— Nie powie! — krzyknął gwałtownie...

— Powie, skoro mu rozpalony pręt przytkną do skóry. Wyśpiewa wszystko. Psy-wilki pójdą naszym śladem. Zaprowadzą pościg. Gdzie się schronisz? Za granicę niderlandzką? Holendrzy wydadzą cię radży, Anglicy cię sami ze skóry obedrą, oszczędzając radży fatygi. Sułtan Brunei cię wyda. Pamiętaj, że ja jestem biały. Biały, czy rozumiesz? Skusił cię widok naszych pakunków, chciałeś je ukraść... Dobrze... Wybaczam ci to i nie powiem o tym radży, ale nie waż się mnie więzić, a tym bardziej białej pani.

Bojąc się, że mi przerwie, mówiłem bardzo szybko i ustałem na chwilę dla odpoczynku. Widziałem, że moje słowa wywarły pewne wrażenie. Przygotowany na moją skórę pręt bambusowy wyleciał w powietrze, zatoczył parabolę i spadł w zarośla. O, to już był duży krok naprzód! Zacząłem kuć żelazo póki gorące. Staralem się przerazić draba perspektywą nieuniknionej kary i w krótkich zdaniach malowałem tak przerażające obrazy tortur, jak gdybym był średniowiecznym katem... Zdaje się, iż przeszarżowałem, gdyż Omba wzruszył ramionami i rzekł obojętnie: ?

— Co mi się może stać... Niechaj odpowiada ten, który mnie wynajął. Zapłacił dobrze, więc robię... Nie moja rzecz, czy robię źle. Ja pana zresztą nie chciałem bić, tylko postraszyć.

Powiedział „pana”. Więc jednak sytuacja nie jest najgorsza. Kiedy zaś zażądał w tonie energicznym, ale bez grubiaństw, bym się podniósł i nie utrudniał pochodu, oświadczyłem, że nie ruszę krokiem, dopóki mi nie odpowie na pierwsze pytanie. Znowu ustąpił:

— Białej pani nic się nie stało. Wsadzili ją na siodło, przywiązali i pojechali przodem. Ja miałem zaczekać, aż pan przyjdzie do siebie. A teraz wstawaj pan, albo... albo...

Omba chciał swój rozkaz obwarować jakąś sankcją, ale nie wiedział czym mi zagrozić, aby z jednej strony wywołać pożądany efektJM

152

a z drugiej nie narazić się mnie, rzekomemu przyjacielowi radży Sarawaku.

Ja zaś, dowiedziawszy się, że mej narzeczonej nic nie grozi, przynajmniej na razie, postanowiłem nie przeciągać struny. Zaniechałem dalszej opozycji i dźwignąłem się z ziemi.

Posuwaliśmy się ścieżką leśną, wąską na metr, wijącą się w przeliczonych skrętach.

W niektórych miejscach leżała na ziemi świeżo ucięte kawałki powietrznych korzeni, gałęzi lub pnącza. Snadź był tu dzisiaj w robocie „golok”, tasak o szerokim ostrzu, niezbędne narzędzie przy przedzieraniu się przez dżunglę wschodnio-azjatycką. Nie trudno było się domyślić, że ślady te pozostawił pierwszy oddziałek, który konwojował Lotte. Na samą myśl o tym, siły moje wzrastały w trójnasób i sam przynaglałem do większego pośpiechu.

Dziewiczy las narzucał wzrokowi coraz to nowe obrazy.

Więc miejscami brodziliśmy wśród gęstwiny olbrzymich paproci, których liście postrzępione misternie, poząbkowane, pocięte, chwiały się nad naszymi głowami i rzucały fantastyczne cienie na mchem porośnięte podłoże lasu.

Więc czasami przecinaliśmy urocze zakątki, najpiękniejsze ogrody świata, gdzie szczodra dłoń przyrody rozsiała bezmiar kwiatów niezliczonych odmian, gatunków, wielkości, woni, barwy... Nie dość, że na metr wielka rafflesia rozpościerała władczo swe cieliste lub purpurą nakrapiane płatki, przytłaczając gęstwę małych kwiatów, nie dość, że krzaki rododendronu, pełne bukietów ceglatego kwiecica i trzymetrowe krzewy srebrnolistnych szarotek ukryły w swym cieniu całe legiony begonii oraz innych roślin, kochających się w mroku, kwiaty wdarły się na drzewa, wyrosły w każdej dziupli, w zgięciu każdego konara, na gałęziach, pnączach, nawet sękach, słowem wszędzie, gdzie kaprys wiatru raczył rzucić ich małe nasiona. I rosło sto odmian storczyków hen, w górze, a wśród nich najchytrzejsze, dzbaneczniki otwierały swe kielichy szeroko, by zwabić dobroduszone owady.

Więc gdzie indziej przedzieraliśmy się niskim tunelem, wyciętym w zwartej ścianie, okrytej śnieżnym płaszczem wielkich, upojnie pachnących kwiatów.

Więc dla odmiany wkraczaliśmy w gąszcz leśny, gdzie w pięknej harmonii rosły pospołu wielkie filodendrony, kanarie, dęby, jakieś

153

drzewa, australijskie eukaliptusy, przypominające palmy betelowe, daktyłowe i inne, pokrzywione figowce, rasemale o białej korze, arony, araukarie, banany, dammary pokryte szyszkami, kakaowce, agawy, paprocie, bambusy, drzewa chlebowe i setki innych, których nazw nie znam, a wszystko to obwieszane girlandami czerwonych pandanów lub storczyków, wszystko związane tysiącem lian, powietrznych korzeni, pnączy, ramionami roślinopasożytów, pokryte kwieciami, którego płatki spływają na nasze głowy, wszystko ożywione brzęczeniem milionów owadów, sykiem umykających węży, śpiewem ptaków, wrzawą, wyczynianą przez niespokojne małpy. Posuwaliśmy się drożyną, już przetrzebioną przez pierwszy oddziałek. Skutkiem tego szliśmy znacznie szybciej niż tamci i koło południa usłyszałem łoskot pracujących „goloków”.

— Za kwadrans ich dopędzimy — zawołałem z zapałem. Om ba złożył dłonie przy ustach i zakrakał w taki sam sposób, jak wówczas, w czasie noclegu, u stóp drzew kauczukowych. Odpowiedziano mu; trzykrotnie. Chwilę później spoza pnia dużego figowca wysunęła się jakaś sylwetka i zaczęła się ku nam przybliżać. To był Gambur... Spojrzał współczująco na moje więzy, lecz nie przemówił ani słowa i podszedł do Omby. Zakomunikował mu widocznie treść rozkazu, gdyż Malaj skinął głową potakująco, zeskoczył z konia i rzekł, zwracając się w moją stronę: -

— Tu mamy zrobić godzinny popas.

Teraz dopiero spostrzegłem, że nie mam już zegarka, że przeszedł prawem kaduka w ręce Omby.

Po posiłku, w czasie którego tamci trzej raczyli się obficie moimi zapasami, a mnie wydzielono szczupłą rację, ruszyliśmy w dalszą drogę. Byłem tak osłabiony, że Omba zdecydował się ustąpić mi miejsca ni grzbiecie wierzchowca. Zauważyłem, że posuwamy się teraz znacznie wolniej, jakby w tym celu, aby się nie zbliżyć za dużo do tamtego oddziałku. Więc jednak chciano mnie od Lotty oddzielić...

Teren podnosił się stale w górę. Lubiące wilgoć kakaowce i paprocie ustąpiły miejsca potwornie wielkim szarotkom, borówkom, damma-rom, wreszcie drzewom szpilkowym. Znikły drzewa-olbrzymy. Puszcza stała się bardziej widna, przejrzysta, jej szata mniej kwiecista, zieleń więcej ciemna, jakby jaspisowa. /

154

W czasie wieczornego popasu przybiegł Gambur znowu. Przyniósł rozkaz, że mamy się posilić i kontynuować pochód, ale w szybszym tempie.

— Raz wolniej, raz szybciej — mruczał Omba, zabierając się do jedzenia.

Zauważyłem, że Gambur mruga na mnie porozumiewawczo. Wyciągnąłem się więc na ziemi w ten sposób, że moja głowa znalazła się dość blisko jego tułowia. Kulis był bardzo ostrożny. Nie patrzył na mnie zupełnie, zajadał placek ryżowy, rzucając od czasu do czasu luźne słowa:

— Ależ się dzisiaj zmęczyłem! Biała pani kazać pozdrowić. Placek twardy i za mały... Pani być zdrowa, tylko zmęczona.

Nie potrzebuję dodawać, że zdania przeznaczone dla mnie, wymawiał prawie szeptem. Nie potrafiłem być równie przezorny i spytałem gorączkowo:

— Czy szła pieszo? Czy ją związano? Mów, prędko... Gambur zanucił czym prędzej jakąś piosenkę, by zagłuszyć moje

słowa. Omba zerknął na nas spość łba i przysiadł się bliżej. Dopiero przy opuszczeniu miejsca postoju, zdołał mi kulis szepnąć pocieszającą wiadomość. Lotte jechała wierzchem od samego rana. Przywiązano ją do siodła, lecz ręce miała wolne. Niepokoiła się o mnie, poczciwa, kochana dziewczyna.

Koło północy stanęliśmy u kresu wędrówki, a jak słusznie przewidywałem, u kresu całej podróży. W mrokach rozpoznałem kontury jakiejś niewielkiej budowli, sylwetki kilkunastu ludzi i dwa wierzchowce. Korzystając z nieuwagi Omby, podbiegłem całkiem blisko, lecz Lotty nie znalazłem. Byli tam tylko kulisi i trzech Malajów.

— On zabrać białą panią do domu — szepnął w przelocie Gambur, który wyrósł nagle tuż obok mnie i równie szybko przepadł w ciemnościach.

On? Któż to taki? Zapewne ten sam tajemniczy osobnik, o którym ogólnikowo napomknął Omba. Lecz kto zacy, jakie były pobudki jego poczynań, nie umiałem odgadnąć. Właśnie zastanawiałem się nad tym, gdy na ciemnym tle domu zajaśniało światło, oświeciło wnętrze długiej sieni i sylwetki trzech ludzi, którzy szli szybko w moją stronę. Jeden z nich trzymał wysoko nad głową płonąca pochodnię, drugi niósł wielką latarnię, trzeci, środkowy wymachiwał trzcina i szwargotał coś szybko

755

w niezrozumiałym dla mnie języku. To musiał być herszt bandy, wnioskując z jego rozkazującego sposobu mówienia i z min, oraz zachowania się czekającej przed domem gromadki. Kiedy podszedł całkiem blisko, poznałem, że mam przed sobą

Chińczyka lub mieszańca z dużą domieszką krwi chińskiej. Ubrany był po europejsku, w doskonale skrojony sportowy garnitur, ruchy jego wskazywały na duże wyrobienie, znamionowały pewność siebie i pogardliwe lekceważenie całego otoczenia, mnie nie wyłączając...

— No cóż, łowco posagów! Jak się czujemy po dzisiejszym spacerze? — zapytał z ironią. Mówił po angielsku świetnie, z doskonałym akcentem. Zaobserwowałem to zwłaszcza później, bo w pierwszej chwili oniemiałem zupełnie, usłyszawszy epitet: „łowca posagów” i pochłonięty całkowicie przez gorączkowe wysiłki nad rozwiązaniem zagadki.

Lecz szybko przyszedłem do siebie. W grzecznych, ale stanowczych słowach zapytałem Chińczyka o przyczynę napadu i zażądałem natychmiastowego wypuszczenia nas na wolność oraz zwrotu zabranych rzeczy... >

Parsknął mi w twarz szyderyczym śmiechem...

— Tylko tyle żądasz? A z odszkodowania za strach, pobicie i złe traktowanie rezygnujesz? Szkoda... Mogę ci je natychmiast polecić wypłacić, oczywiście... w odpowiedniej liczbie kijów... He, he he... W innej walucie nic nie wskórasz. Pohamowałem wybuch gniewu...

— Sądząc z ubioru oraz powierzchowności, myślałem, że mam przed sobą dżentelmena — odparłem spokojnie. — Widzę, że się grubo pomyliłem. Zechce więc pan zaprzestać kpin i określić wysokość okupu, jaki mamy złożyć. O ile nie dojdziemy do porozumienia po dobroci, sytuacja może się stać niebezpieczna dla pana... Radża z Sarawak wie już w tej chwili o naszym porwaniu i z pewnością zarządzi pościg...

Spudłowałem. Radżę można było straszyć naiwnego Ombę, ale nie jego. Wyśmiał mnie i oświadczył, że radżę zna osobiście bardzo dobrze, że sam mu opowie o tajemniczym porwaniu pary białych turystów, które miało miejsce na terenie Sarawaku...

— Poproszę go, by mi zlecił komendę nad oddziałem pościgowym, a nie wątpisz chyba, że poprowadzę tych ludzi w odpowiednim kierunku. Tak, tak... To będzie doskonały pomysł... Myślisz może, że

156

radża nie przystanie na moją propozycję? Nie bój się, przystanie. Ze względu na osobę Timotheusa Smoota spełni każde moje życzenie.

Znowu zagadka. Skąd ten znał nazwisko wuja Lotty?... Nagle nowe podejrzenie zaświtało mi w głowie. Jeśli on znał nazwisko Smoota, to może także był autorem listu, w którym wuj Tim donosił o zwichnięciu nogi i zapraszał nas do Makjan. Jakby w odpowiedzi na tę myśl usłyszałem serię dalszych przechwałek tajemniczego przeciwnika:

— Głupcze!... Czy sądzisz, że w tym celu telegrafowałem do twej przyjaciółki do Kolombo, że dlatego skłoniłem was do zmiany marszruty, do przyjazdu do Kutjing, że dlatego wywabiłem was z miasta w dżunglę, by teraz pozwolić sobie was z rąk wyrwać przez głupiego radżę? Oj, głupcze, głupcze. • \

Wyraz przygnębienia musiał się odmalować na mojej twarzy, bo Chińczyk ciągnął dalej triumfująco:

— Tak się sprawy przedstawiają. Chciałem, abyś się pozbył wszelkich złudzeń i

widzę, że zamiar został osiągnięty. Tim Smoot siedzi u siebie w Szanghaju, niecierpliw się, że nie przybywacie i wita osobiście każdy przybyły okręt w porcie. He he he... Może długo czekać. Prędzej się dnia wolności Chin doczeka, niż waszego przyjazdu.

— Mniejsza z tym — odparłem przerywając tok jego przechwałek. —Widzę, że wpadliśmy w ręce dobrze zorganizowanej szajki i gramy w otwarte karty... Tym lepiej. Proszę mi teraz wymienić cenę okupu. Czego żądacie, ile, w jakiej walucie, gdzie płatne...

Twarz Chińczyka wykrzywiła się w ohydny grymasie:

— Płatne tu, oczywiście.

— No, przecież się dowiedziałem... A cena?

— Cena będzie wysoka...

— Będziemy się targować.

— Wykluczone. Ani o krok nie ustąpię...

— Więc ile żądacie, u licha?

— Chcesz już dzisiaj koniecznie wiedzieć? Myślę, że będziesz źle spał, gdy się dowiesz... Skoro jednak sam pragniesz... to słuchaj... Żądam twojej głowy bezwzględnie, a życie twojej towarzyski od niej tylko "będzie zależeć... Zrozumiałeś? Powiedziałem: „tu płatne", bo tutaj zginiesz i ani marny pies się o ciebie nie spyta... Człowiek, który przedtem trzymał latarnię, wszedł przed chwilą do

157

domu. Musiał się udać do izby, leżącej po lewej stronie sieni, gdyż w oknie zajaśniało światło. Przez chwilę kołysało się, chwiało, aż stanęło nieruchomo. Widocznie latarnię postawiono lub powieszono na haku. I w chwili, gdy Chińczyk obwieścił mi wyrok śmierci, ujrzałem za szybą duży cień. Ktoś stał tam, wpatrując się w ciemności panujące na' dworze... Poznałem...-To była Lotte... I ona poznała mnie również, gdyż pomiędzy mną a Chińczykiem, ustawił się krajowiec, dzierżący w dhjni płonąca pochodnię.

— Lotte! —zawołałem, zapominając nagle o całym świecie. Rzuciłem się w stronę okna, lecz w tym samym momencie dziesięć ciężkich łap spadło na moje barki, ręce, ramiona...

— Poprawić mu więzy! —zabrzmiął głos Chińczyka. —Zawiązać dobrze ręce tego psa i za mną!

Wziął pochodnię z rąk krajowca. Stanął na czele pochodu. Dwóch drabów ujęło mnie pod pachy, trzeci pochwyił za kołnierz, Omba szedł z tyłu, z drugim łuczywem. Obeszliśmy dom łukiem. Po drugiej stronie wyglądała stara rudera jeszcze bardziej ponuro. Chińczyk zatrzymał się przed jakimiś drzwiami. Odsunął ciężką zasuwę, otworzył połowę drzwi i przyświecił do wnętrza. W blaskach pochodni ujrzałem sześć lub siedem na pół zbutwiałych, drewnianych stopni i mroczną piwnicę.

— Obszukać go dokładnie! —padł rozkaz. Omba wysunął się naprzód:

— Już go przetrząsałem rano. Nie zostawiłem ani ołówka, ani papierosa, ani nic w ogóle.

— Dobrze. Jeden człowiek będzie stale trzymał wartę przed okienkiem. Co godzinę zmieniać!... Ty odpowiadasz, Omba!

Wepchnięto mnie siłą do wnętrza. Kiedy stawiałem nogę na drugim stopniu (licząc z

góry), Chińczyk pochwycił mnie za ramię. Mogę rzec bez przesady, że wpił mi swe chude, drapieżne palce w ciało.

— Nadśluchuj dobrze — zasyczał zjadliwie. — Dobrze nadśluchuj. Dziś ona będzie spała ze mną.

Pchnięty silnym uderzeniem w plecy, straciłem równowagę, runąłem w głąb piwnicy. Miałem jeszcze na tyle przytomności umysłu, że w ostatniej chwili podniosłem do góry związane dłonie i w ten sposób zasłoniłem twarz przed gwałtownym zderzeniem z gruntem. Usłyszałem ponad sobą szyderczy śmiech przeklętego łotra, potem trzaśnięcie

158

drzwiami, szcęk zasuwki oraz zgrzyt klucza w zardzewiałym zamku ogromnej kłódki.

Jak długo tak przeleżałem, nie wiem. Zapewne dwie godziny, bo dwa razy zmieniała się warta przed okienkiem... Wreszcie usłyszałem odgłosy gwałtownej sprzeczki, gdzieś wysoko nad głową. Przypomniałem sobie ostatnie słowa naszego prześladowcy. Zadrżałem strasznie. Pomimo wściekłego bólu kości, pomimo że ręce miałem silnie skrepowane, dźwignąłem się szybko z wilgotnej ziemi. Zacząłem nadśluchiwać z bijącym sercem... Nic... Cisza... Tak, jakby przeciwnicy mierzyli się wzrokiem w milczeniu... Znowu rozmowa prowadzona podniesionym głosem... Głos Lotty... i jego... Potem przeraźliwy krzyk kobiety...

— Na pomoc!... Andrzeju!!... Na pomoc!!!

Krzyk ten odczułem jak pchnięcie tępego noża w mózg. W trzech skokach przebyłem schodki po omacku. Całym ciężarem ciała runąłem w drzwi. Nie puściły. Co gorsza, przy drugiej próbie odbiłem się, straciłem równowagę i spadłem na wznak na dół. -

— Andrzeju!!... Andrzeju! — rozbrzmiewało ponad moją obolałą głową. Upadając potłukłem się tak dotkliwie, że nie mogłem się już podźwignąć. Obróciłem się twarzą do ziemi, zacząłem wyć, ryczeć, by zagłuszyć tamten krzyk rozpaczliwy, który cichł coraz bardziej..., zacząłem oszalałymi ustami kąsać swe dłonie, więzy, gryźć w zapamiętaniu lepką glinę gruntu piwnicznego... Umilkłem na chwilę... Usłyszałem nagle" donośny łoskot, jakby upadającego na podłogę ciała. I cisza, ... cisza dzwoniąca w uszach... cisza straszna, potworna, gorsza od wszystkiego...

Ogarnęła mnie fala bezbrzeżnej apatii, zniechęcenia. Myśli moje były odrętwiałe, mózg jak sparaliżowany, serce znieczulone, obojętne, w członkach niemoc, bezwład...

Potem uczułem chłód, idący od pięt w górę, coraz wyżej i wyżej aż do krzyża, do karku, do czubka głowy... Niby roje zimnych robaków. Wzdrygnąłem się raz, drugi, trzeci, dziesiąty, pięćdziesiąty. Boże, jak zimno... jak przeraźliwie zimno... Zęby mi zaczęły dzwonić... Dygotałem na całym ciele. Czyżby początki febry?...

Opadły mnie roje demonów, wampirów, szatanów, czarownic upiornych. Chciałem przed nimi uciekać, nie mogłem. Pochylały nade mną swe paszcze ohydne i dziwna rzecz, każda była łudzaco podobna do

159

twarzy przeklętego Chińczyka. Pełzały po mnie węże, wstrętne jaszczury, muskały mi usta oślizgłe macki ośmiornic, potraçały mnie skrzydła fruujących w przerażeniu nietoperzy. Wszystkie te stwory biegły w jeden kąt piwnicy i atakowały jakiś biały

przedmiot z wściekłością... Podeszedłem w tamtą stronę i znieruchomiałem od grozy. Pod kłębiącym się mrowiskiem polipów, gadów, płazów, demonów leżała. Lotte... Przyzywała mnie na pomoc słabym głosem... Tak... Najwyraźniej słyszałem głos Lotty... Nie!... Nie wołała mnie już więcej. Rozmawiała, z kimś wcale spokojnie. Wydawała rozkazy jakimś ludziom. Usłyszałem stąpanie kilku par nóg^{ia} gorze, lecz nie zbudziło to mego zainteresowania. Potem, co przedtem słyszałem, było mi już wszystko tak przeraźliwie obojętne... Byle niedługo się męczyć... Byle koniec przyszedł jak najprędzej... Tak... Postanowiłem przyspieszyć moment swej śmierci i ujrzawszy cztery potworne hydry, wysunąłem sam głowę w pełnym rezygnacji poddaniu się. Lecz hydry chciały mi wpięrow zadać tortury. Otwierały mi się usta przemocą i lały we mnie jakąś ciecz gorzką,] cierpką, palącą. Potem dźwignęły mnie z ziemi, zaczęły obnosić poj piwnicy w triumfalnym pochodzie, aż złożyły mnie, pod ścianą i wyczy-| niając pocieszne płasy, jęły mnie przywalać jakimiś ciężarami... Włosy] mi dęba stanęły... Zrozumiałem. Wstrętne potwory chciały mnie żywcem pogrzebać. Lecz mimo nadludzkich wysiłków nie zdołałem! zepchnąć olbrzymiej sterty miękkich przedrmiotów, jakimi mnie nakry-i to... Całe ciało było teraz jak w ogniu... Pot spływał ze mnie strugami,! zalewał mi oczy, ssał siłę mych mięśni, przynosił jakieś bezmiernej osłabienie... Oh, jakże mi się spać chciało i odpocząć, odpocząć,! odpocząć...

Wreszcie otworzyłem oczy na dobre.

Znajdowałem się w tejże samej piwnicy, lecz nie leżałem już na gołej! ziemi, nie koło schodków. Przeniesiono mnie widocznie w czasie! omdlenia na plecioną matę, rozesłaną naprzeciw zakratowanego okien- j ka... Był dzień. Przez okienko, wznoszące się ledwie nad poziom ziemi j i zasłonięte trawą, wdzierало się skapo światło do mego więzienia, ale i i ten promyczek sprawiał mi niewysłowioną radość, wznawiał chęć doi życia. Wpatrywałem się weń godzinami, przekonawszy się, że nie mai o tym mowy, bym mógł powstać lub choćby zepchnąć z siebie ciężką I piramidę koców, skór, worków.

160

Przed wieczorem przyszedł mnie odwiedzić jakiś stary Malaj. Nie rozumiał ani słowa po angielsku albo też dobrze grał komedię, gdyż chwilami się uśmiechał, a potem głową potrząsał przecząco. Wepchnął mi; w usta suszoną figę, lecz ledwie ją rozgryzłem, zacząłem straszliwie pluć. Figa była napełniona chininą. Więc jednak miałem febrę, a w gorączce zabiegi znachora, przeprowadzka z okolicy schodów na matę i majaczenia pomieszały się w jeden splątany chaos.

Stary krajowiec przytknął mi do warg łupinę z kokosu, napełnioną jakimś płynem. Chyba do śmierci nie zapomnę smaku tej obrzydliwej mikstury. Kaszlałem, kszusiłem się, odwracałem głowę... wszystko na próżno. Byłem zbyt osłabiony, by móc uniknąć radykalnej kuracji borneońskiego eskulapa. Co się nie zmieściło w ustach, spłynęło do nosa lub po brodzie... Lecz byłbym niewdzięcznikiem, gdybym nie przyznał, że cierpki płyn przyniósł mi dużą ulgę. Zasnąłem tak szybko, iż nie słyszałem nawet, kiedy mój opiekun się wyniósł.

Jak długo spałem, nie wiem. Może dzień, może więcej. Zbudziło mnie powtarzające się sykanie. Jakiś cień skradł mi połowę cudownego promyka...

— Panie!... Panie!... Skąd ja ten głos znałem?

— Czy pan spać?

Czyżby to był Gambur? Tak, to on, oczywiście. Przypomniał się natychmiast mej pamięci.

— Panie!... Gambur stać teraz na straży.

— Jak się masz, przyjacielu — odparłem ucieszony.

— Hej, panie! Gambur skakać z radości, że pan nie umrzeć.

— Dlaczegoż bym miał umrzeć... Zdaje mi się, iż trochę chorowałem.

— Bardzo, bardzo chorować... Leżeć w zimna gorączka wiele dni jak nieżywy. Pani się martwić, płakać, ale nie móc przyjść. Omba nie dać.

Pani!!! Gambur sam, pierwszy wspomniał o niej. Nie dlatego, żebym o niej zapomniał, lecz pytać nie śmiałem... Bałem się, że to, co usłyszę, będzie zbyt straszne, nie do zniesienia dla moich nadwątlonych sił.

A poczciwiec rzucał przez kratę dalsze nowiny:

11 Perła Szanghaju 161

— Pan dobrze szukać pod matą. Gambur tam ukryć duży nóż, kiedy pana przenosić... Nóż? No dobrze, doskonale! Będę miał jakąś broń. Przyda się, zwłaszcza, że ręce wolne. O, żeby tylko siły wróciły jak najprędzej, żeby jak najrychlej nadeszła chwila obrachunku z przekłętym opryszkiem...

— Gambur! —zawołałem głośno. —Powiedz, gdzie on?

— Cicho, panie... Słyszać kroki... On leżeć na górze... Biała pani go pielęgnować... Ciebie zniknął. Usłyszałem inny głos... gniewny, karzący:

— Hej, Gambur, drabie jeden! Co tam za konszachty? Poznałem. To był głos Omby... Tymczasem kulis zaczął się tłumaczyć, że z ciekawości chciał zajrzeć, czy więzień żyje. Podejrzliwy Malaj zwymyślał go ostatnimi słowy, wyznaczył natychmiast innego wartownika i odtąd już poczciwy Gambur nigdy nie stał na straży przed okienkiem mego więzienia. Nie mogłem się już nic więcej dowiedzieć o mej złotowłosej dziewczynie.

Po nocach spałem dobrze, dzięki dawkom tajemniczej mikstury, ale dni wlokły się straszliwie, beznadziejnie. Jedynym zajęciem było rozmyślanie nad znaczeniem zagadkowych słów wdzięcznego kulisa: „On leży na górze, biała pani go pielęguje". I c/y, więc zapewne także zapadł na zimnicę. To dziwne. Chińczycy są nieporównanie więcej odporni od białych. Ale jeśli rzeczywiście jest chory, jeśli ma febrę, to widocznie znajdujemy się w malarycznej okolicy i w\ każdej chwili Lotte może zapaść na zdrowiu...

I ona pielęguje!... To niepojęte! Pielęguje jego, właśnie jego, klory... och! Nie! Wołałem o tym nie myśleć, nie wspominać wypadków pierwszej nocy, jaką tu spędziłem...

Wracałem do zdrowia. Tak mi się przynajmniej wówczas wydawało. Nawet Omba, który wraz z dwoma innymi Malajami asystował niekiedy przy wizytach znachora, zauważył to i rzekł pewnego razu:

— Wygląda lepiej. Za parę dni zacniemy mu ręce na noc wiązać. To mi się bynajmniej nie uśmiechało. Zauważyłem już przed kilkoma dniami, że Omba odnosi się do mnie nader wrogo. Przekonał się widocznie, że moje opowiadanie o radży można między bajki włożyć i przechylił się na stronę Chińczyka...

Szybko obmyśliłem taktykę postępowania na przyszłość i zaraz

162

nazajutrz zacząłem się gwałtownie uzalać na dreszcze. Nigdy nie byłbym przypuszczał, że potrafię tak znakomicie symulować chorobę. Kłapałem zębami, trząsałem się, jęczałem tak umiejętnie, że nawet znachor uwierzył i zaaplikował mi zwiększone dawki piekielnie gorzkiej cieczy... Trudno. Z tym trzeba było się pogodzić...

Pewnego ranka wstałem o własnych siłach z posłania. Zdołałem nawet ująć kilka kroków. Następne trzy dni przyniosły nowe sukcesy, a także odkrycia. Albowiem wędrując wzdłuż murów przestronnej piwnicy, natknąłem się na miejsce, gdzie moje paznokcie wbiły się w ścianę. Kopnąłem nogą. Zadudniło. Więc był to nie mur, lecz deski, deski zupełnie zbutwiałe. Nóż, przemycony przez Gambura, miał wdzięczne pole do popisu. Krajał próchno jak twarde masło. Ale rozczarowałem się grubo, sądząc, że wydostanę się tędy na wolność. Tam, z drugiej strony zapomnianych, zamaskowanych w ścianie drzwi, była piwnica taka samo wielka jak moja, mająca również jedno okienko, wychodzące jednak na drugą stronę domu. Okienko było także zaopatrzone w kratę, lecz warta przed nim nie stała. Z nastaniem nocy spróbowałem wytrzymałości zardzewiałych prętów żelaznych. Niestety!... Nie odzyskałem jeszcze pełni utraconych sił i brakowało mi pewnego punktu oparcia. Wspiąwszy się na czubki palców, mogłem dopiero ująć poprzeczny pręt kraty... Po kilku bezowocnych wysiłkach powróciłem „do domu”, czyli na swoją matę. Ale już nazajutrz koło szóstej wieczorem powróciłem w to samo miejsce, nie tyle w zamiarze wyłamania upartej kraty (zwłaszcza, że było jeszcze całkiem jasno), ile w celu wyjrzenia na świat z drugiej strony budynku. Z tej strony obozowali ludzie Omby i można było podsłuchać ich rozmowę.

I nie pożałowałem mej eskapady.

Już dochodząc do okienka usłyszałem odgłos rozmowy, prowadzonej w języku angielskim. Spoglądając ze środka piwnicy ujrzałem tyły oraz spody dwóch leżaków, stojących obok siebie i dwie pary nóg męskich... Przysunąłem się bliżej i przylepiony do ściany, wyteżyłem słuch.

— Tak, bracie — mówił właśnie jeden głos, który poznałem natychmiast — od niej ta pamiątka... Już, już ją prawie miałem... Przestała się bronić... Myślałem, że zrozumiała bezowocność dalszego oporu

163

i skapitulowała. Nagle... coś błysnęło. Wyciągnąłem rękę błyskawicznie, ale jej ramię wyminęło zapórę... Ha, gdyby to mężczyzna zadał tak wspaniały cios, nie oglądałbyś mnie teraz. Lecz dłoń kobiety, dłoń tak pięknej kobiety, jak ona, jest na to, by rozkosz dawać i pieszczotę, a nie imać się sztyletu... Raniła mnie tylko w ową pamiętną noc... Tak, braciszku... Dziś widzę, że miała prawo mnie ranić, nawet zabić. Mogła to uczynić, dobić mnie mogła... Przecież leżałem u jej stóp w kałuży własnej krwi... Nie!... Ona obmyła moją ranę i pielęgnowała mnie jak najtkliwsza siostra, jak matka rodzona,... jak kochanka.

— Jak kochanka?... Czy potem należała do ciebie? — spytał drugi. Był to głos dźwięczny, młodzieńczy, bardzo miły dla ucha.

— Nigdy! Od owej nocy aż do dzisiejszego dnia, w którym ujrzałem cię po raz

pierwszy od wielu miesięcy, ona sypiała sama w najlepszej izbie. Nie była moją i nie będzie, o ile sama nie zechce.

Posłyszałem ciężkie westchnienie i odgłos pocałunków:

— Niechże cię uściskam, drogi braciszku, za te słowa... Kamień mi spadł z serca...

— Jak to? — spytał Chińczyk ze zdziwieniem — nie rozumiem.

— Bo gdybyś ją był skrzywdził, wykopałbyś bezdenną przepaść pomiędzy mną a tobą... Nie rozumiesz jeszcze? A przecież to proste... Ja tę kobietę kocham do szaleństwa.

— Ty?!! Tyją kochasz? Ty, przez którego byłaby zginęła nie raz, ale trzy razy? Więc to było kłamstwo, coś pisał w swych listach... Więc ani w Berlinie, ani...

— Zamilcz!... zamilcz, błagam cię. Masz słuszość, niestety. W Berlinie, w pociągu, później w Egipcie... Wszystko prawda, klnę się na duszę matki, lecz to była straszliwa omyłka... Ona niewinna. To śnieżny kwiat lilii, anioł, najszlachetniejsza istota pod słońcem... Och, dobrze George radził!... Nie posłuchałem go, niestety... Poszedłem za twoją radą... Tymi palcami zarzucałem jej chustę na szyję, wówczas w wagonie... dusiłem ją... przeklęty!

Ciekawość moja była narażona na ogniową próbę. Wyciągnąłem stopy, szyję, zadzierałem głowę, by dojrzeć raz wreszcie twarz tajemniczego wroga mej biednej Lotty... Nadaremnie. Dwaj braciszkwowie, lub też tytułujący się tylko braćmi, siedzieli tyłem do okna, a sylwetki ich

164

zasłaniały przed moim wzrokiem oparcia leżaków. Nogi ścierpły mi szybko.

Opuściłem się więc na pięty i drżąc od wewnętrznego wzburzenia słuchałem dalej:

— Słuchaj! — mówił ów wyższy, którego Lotte określała mianem Hindusa: — Jestem tutaj dopiero godzinę, a cierpię niewymownie, że jej jeszcze nie widziałem...

Mówisz, że od czasu jak wyzdrowiałeś, zamyka się w izbie... Boi się ciebie, widocznie... Ale może by jednak otworzyła... Może spogląda na mnie przez okno...

Uśmiechasz się? Tak, szydzisz ze mnie, że odzywam się jak zakochany młokos...

Widzisz, nie kochałem przedtem nigdy. Nigdy, naprawdę... A miłość moja jest tym silniejsza, że zrodziła się z nienawiści... Ach, jak ja ją nienawidziłem... Aż przyszedł cudny poranek, kiedy pojąłem swój błąd... Zrozumiałem, że ona niewinna...

niewinna, bracie. On winien wszystkiemu... on, ten drab przeklęty... On ją namówił do dalszej podróży, wówczas, kiedy już, już... Ha!... Gdzie jest ten pies?

— Dobrze zamknięty... Nie ucieknie, nie bój się... Chciałem go już przed tygodniem darować Dajakom, lecz to niepotrzebne... Niewiele dni jeszcze pociągnie. Drugiej serii ataków febry nie przetrzymuje się łatwo, zwłaszcza w tak krótkich odstępach... Naczelnik najbliższej wioski dajackiej był wczoraj i bardzo się zmartwił tą wiadomością... He he he he...

Otarłem sobie pot z czoła...

Jakież dobre bóstwo kazało mi udawać, że stan zdrowia uległ znacznemu pogorszeniu? Ten łotr chciał z mej osoby zrobić prezent - Dajakom... Dajakom, ludożercom!... Brrr!! Ładna perspektywa i miłe towarzystwo!...

— Widzisz? Tam, patrz!... Ależ pędzi!... Coś zająć musiało. Chińczyk wymówił te słowa głośno, jakby w podnieceniu.

— Nie zrywaj się z leżaka!... Jesteś zbyt osłabiony... Ja pójdę naprzeciw...

„Teraz go zobaczę” pomyślałem... Znowu fiasko. Tajemniczy Hindus znikł zanim zdołałem się unieść na rękach. Jego leżak był pusty. Byłem jeszcze za słaby, by długo wytrwać w niewygodnej pozycji. Znowu opuściłem się na całe stopy i nadśluchiwałem w dalszym ciągu...

Dłuższą chwilę trwała cisza. Potem dobiegł moich uszu odgłos gorączkowej rozmowy, wreszcie zniecierpliwiony okrzyk Chińczyka:

165

— Omba!... Chodźże prędzej!... Co zaszło?...

— Panie!... nadchodzą! Byłem w lesie po figi dla więźnia. Zapuściłem się dość daleko, nagle... usłyszałem chrzęst gałęzi i stukanie licznych gołoków... Przyczaiłem się w gęstwinie, zaciekawiony... Przyszło ich dwudziestu... Sami żołnierze radży... Strzelcy... Prowadził ich zdrajca Gambur... Usiedli dla odpoczynku tuż koło mej kryjówki. Gadali zwyczajnie, jak wojskowi... Że to sam radża ciągnie i kilkunastu Anglików i wuj tej panny...

— Wuj? — wrzasnął Chińczyk...

— Tak mówili... Że będzie ich sześć setek, że są o godzinę drogi, że...

— Pędzej gadaj... I co? I ty co zrobiłeś?

— Ho, ho, panie... Omba wie co robić... Odsunąłem się od nich trochę, wymierzyłem, strzeliłem do zdrajcy, potem w nogi... Gambur tylko rękami zatrzepotał i padł jak kłoda na wznak... Nie wiedzieli, skąd kula przybiegła. Nie ścigali mnie wcale... Pod lasem pał się koń, wskoczyłem, podciąłem go, przypeę...

— Och, głupcze, głupcze! — przerwał mu Chińczyk: — Przyspieszyłeś pościg...

Omba oburzył się i zaprotestował:

— Jak to, panie?... Skoro zabiłem Gambura, nie mają przewodnika. Nie znajdą tak prędko naszej kryjówki...

— Twój ślad starczy za przewodnika... Marsz, teraz!... Konie siodłać, bagaże spakować!...

Nie wiedziałem, czy wrócić do swej piwnicy i w dalszym ciągu udawać chorego, czy nadśluchiwać jeszcze. Całe szczęście, że zdecydowałem się na to drugie...

Usłyszałem najpierw parskanie koni, zgiełk, zmieszane okrzyki, nawoływania, potem rozkazujący głos rzekomego, czy prawdziwego brata Chińczyka:

— Siadaj na koń i jedź przodem... Jesteś zbyt osłabiony, by kierować akcją... Mnie to pozostaw... Słyszałeś, stary przyjechał!... Hallo, dawać tu szkapę, do pioruna!... Hej, Omba! Weź sobie dobrego rzeźnika i zarżnij tego psa w piwnicy...

Głos Malaja posłyszałem dość słabo, jakby z oddali:

— Panie, Omba sam potrafi.

— Tylko szybko.

166

— A ona? — spytał Chińczyk, zapewne już z siodła, gdyż wspiąwszy się, ujrzałem nogi dreptającego niecierpliwie rumaka, a leżaki przewrócone na ziemi...

— Jedź, jedź już!... Ja się nią zajmę... Hej, ty małego brunatna, przytrzymaj mi konia!... Więc ona jest w tamtej izbie?... Dobrze!...

Głosy oddaliły się, scichły.

Posłyszałem jeszcze huk bardzo dalekiego wystrzału, łoskot wywalanych drzwi i krzyk Lotty...

Przypomniałem sobie nagle, że Omba ma przyjść się ze mną załatwić. Poczekaj, drabie!... Zapłacę ci za zdradzieckie zamordowanie mego wiernego sprzymierzeńca, Gambura!...

Szybko wróciłem do pierwszej piwnicy. W pięć sekund sfabrykowałem z koców przyzwoitego manekina, ułożyłem go na swym pośłaniu i przykucnąłem pod schodami.

Nie upłynęło ani pół minuty, gdy rozległ się nade mną dobrze mi znany zgrzyt zasuwu i drzwi się rozwarły szeroko. Ha, Omba nie był widocznie takim bohaterem, za jakiego chciał uchodzić w oczach swych hersztów, gdyż wziął sobie do pomocy aż dwóch kulisów...

Z wysokości trzeciego stopnia spojrział w stronę mego pośłania:

— Śpi — mruknął i wszyscy trzej ruszyli w głąb piwnicy. Zawahałem się. Co trzech przeciwników to niejeden, zwłaszcza przy moim osłabieniu po chorobie. Należało zmienić radykalnie plan kampanii. Tamci już, już dochodzili do sterty koców. Lada sekunda mogli odkryć mą nieobecność...

Wysunąłem się więc cichuteńko z niewygodnej kryjówki, kocim susem wskoczyłem na trzeci stopień schodków, dałem jeszcze dwa skoki i znalazłem się na dworze.

— Trzymaj! — ryknął Omba...

Ale już zdołałem zatrzasnąć ciężkie odrzwia i wepchnąć potężną zasuwę w dwa oczka żelaznych klamr. Nagle tuż koło mej dłoni trysnął pęk drzazg drzewnych i coś gwizdnęło złowrogo. Prawie równocześnie rozległ się huk wystrzału, huk jakby stłumiony... Omba strzelał. Jakie szczęście że nie rozpocząłem z nim nierównej walki. Nie przewidywałem zupełnie, że ma rewolwer... Tak, mój własny rewolwer do tego.

Usunąłem się pod ścianę, gdyż kanonada nie ustawała, a kule przebijały z łatwością na pół zbutwiałe deski...

167

Ha, na wojnie, jak na wojnie. Z więźnia stałem się zwycięzcą i bez rozlewu krwi wziąłem trzech wrogów do niewoli. Wystrzelawszy 1 wszystkie naboje, rozpoczęli piekielną wrzawę, lecz to mnie nie przerażało. Wiedziałem, że tamci już odjechali, że przede wszystkim muszę ;I

o sobie myśleć...

Ochłonawszy trochę, pomyślałem natychmiast o niej. Przypomniałem sobie ostatnie słowa tajemniczego przeciwnika, łoskot wyważonych .1 drzwi i krzyk kobiecy. Lotte była w niebezpieczeństwie... Tam należało biec z pomocą...

Słaniając się na osłabionych nogach, doszedłem do węgła domu. Rozglądałem się we wszystkich kierunkach. Nic... Nigdzie nikogo... f Spojrzałem jeszcze w zachodnią stronę, w stronę wulkanu. Jego wysmukły stożek wżerał się głęboko w ciemnolazurową kopułę niebios

1 zdawał się płonąć żywym ogniem w blaskach zachodzącego słońca, które zapadało się właśnie w urwistą przepaść krateru. Oczy moje, I w czasie kilkudniowego więzienia w ciemnej piwnicy odwykły od światła i i nieprędko oswoiły się z cudną pozą. Ale kiedy przysłoniłem je sobie od czoła dłonią, kiedy ześlizgnąłem się spojrzeniem wzdłuż stoków aż do Jj podstawy potężnej „góry płomieni", ujrzałem trzy duże kępy bambu-| sów i znikający właśnie poza nimi niewielki orszak ludzki.

Na samym* końcu jechał wierzchem niski człowiek, prowadząc za uzdę drugiego konia... Przystawał często i oglądał się za siebie... To był niewątpliwie Chińczyk... Ale gdzie tamten drugi, gdzie Lotte?

Jakby w odpowiedzi na to pytanie usłyszałem wściekły tętent i galopującego rumaka. Zza przeciwległego rogu domu wypadł koń, 1 niosący na grzbiecie podwójny ciężar. Jakiś wysoki, szczupły mężczyzna j okładał konia szpicrutą, a drugą ręką trzymał przed sobą kobietę, której | głowa owinięta była dużą chustą... Siedziała, a raczej leżała poprzecznie do wyciągniętej szyi wierzchowca. Jej smukłe nogi wysunęły siei całkowicie z fałdów rozwiązanego kimona, zwisały w moją stronę i podskakiwały za każdym susem oszalałego rumaka.

To Lotte!... Jej kimono!...

Gruchnęła gdzieś salwa wystrzałów karabinowych... Drżałem na myśl, by kula któregoś z kiepskich strzelców radży nie ugodziła Lotty... i

Nie bacząc na nic, nie dbając, że sam mogę być wzięty za członka uciekającej bandy, puściłem się w pogoń... Nogi odmawiały mi posłu-

168

szeństwa, zataczałem się, chwiałem, potykałem, aż upadłem raz, drugi, trzeci. Powstałem jednak. Znowu salwa, potem pojedyncze wystrzały. Jakaś natrętna kulka gwizdnęła mi koło ucha. Ujrzałem, że człowiek, (tory porwał Lotte, zbliża się w gwałtownym tempie do pierwszej kępy bambusów... Tam już mógł kpić ze strzałów pogoni... Chyba, żeby go cula dosięgała w przerwach pomiędzy jedną kępą a drugą... Tak, lecz to mi się wydawało mało prawdopodobne. Skoro raz dopadnie zbawczej zasłony, ujdzie pościgu z pewnością...

Obejrzałem się wstecz... Zobaczyłem pierwszych strzelców. Garść ich biegła szybko za uciekającymi, lecz kilku zatrzymało się w miejscu, mierząc spokojnie... Wydało mi się, że jeden celuje we mnie. Podniosłem obie ręce w górę... za późno.

Coś mi dziwnie zachrobotało w piersiach, zabulgotało. Zachłysnąłem się, kolana się ugięły i upadłem.

W przelotnym spojrzeniu ujrzałem wspinającego się jak do skoku rumaka, kępę bambusów, wyżej zagajnik wysokich szarotek, jeszcze wyżej stożek wulkanu, stojący w płomieniach i cudną zorzę wieczorną. Od tych blasków szkarłatnych zapaliły się jakieś koła, kółka, kółeczka i poczęły mi wirować przed oczyma w zawrotnym tempie. Było ich coraz więcej, coraz więcej, aż zlały się w jedną krwawą kulę, drgającą snopem iskier, słońc, błyskawic. Potem ściemniło się nagle. Wszystko spowiły nieprzebite mroki, czarna noc ogarnęła niebo, wulkan, lasek, najbliższe pustkowia i mnie także. Ustała kanonada, okrzyki nadbiegających żołnierzy radży z Sarawak, tętent konia, nawet ten dziwny szum w uszach... Wokół mnie nastąpiła wielka cisza...

•

TOM DRUGI

Rozdział 1

W Szanghaju

Nareszcie zdecydował się przesadnie ostrożny dr Thevet udzielić mi pozwolenia na małą przejażdżkę samochodową. Nie bez trudności zdołałem go przekonać, że asysta pielęgniarki jest zupełnie zbyteczna, że czuję się doskonale, a widok ruchu ulicznego,

gwar milionowego miasta i sama przejażdżka w ciepły, pogodny dzień zimowy podziała bardziej zbawiennie na stan mego zdrowia niż konsumowanie niezliczonych ilości pigułek, proszków czy mikstur, nie ubliżając bynajmniej ich wartości, ani ich poważnemu autorowi.

— Doktorze — mówiłem — ciało moje jest już zdrowe dzięki tobie oraz dzięki jej troskliwości, ale dusza jest smutna i chora, jak dusza więźnia. Łaknę ruchu, gwaru, widoku ludzi, wrażeń, och...wielu, wielu wrażeń.

— Niesłychane! —zawołał zacny staruszek, udając wielkie zgorzsenie. — Nie dość się pan nałykał wrażeń na Borneo? Znowu się przygód zachciewa?

— Och, drogi doktorze!... Nie zechce pan chyba porównywać dzikich pustkowi Borneo z gwarnymi ulicami półtoramilionowego miasta, gdzie jedyne niebezpieczeństwo może zagrażać ze strony tysięcy samochodów. No tak, lecz na to, żeby być przejechanym, trzeba chodzić pieszo... Skoro zaś mam jechać autem i...

— Eeee, z poważnej rozmowy przechodzi pan w żarty... A jeśli chodzi o trafność mego porównania, to oświadczam panu, że wołałbym obecnie siedzieć w głębi dżungli na Borneo, niż tutaj... Czytał pan dzisiejsze dzienniki?... Więc nie... Polecam zatem gorąco wywiad z generałem Czang-Kai-szekiem. Gorąco polecam.

171

Skapitulowałem od razu. Na ten temat nie można było dyskutować z pesymistycznie nastrojonym doktorem Thevetem... Odkąd odzyskałem przytomność i dostałem się pod jego lekarską opiekę, musiałem wysłuchać całych tomów niewesołych prorocstw, których trzonem była przepowiednia, iż pewnej nocy zbudzą nas, wszystkich Europejczyków, zimne dotknięcia sztyletów chińskich i wybije godzina prawdziwej wolności dla olbrzymiego kraju Czung-Hua-Min-Kuo.

— Europejskie statystyki ludzą wciąż naiwnych, że synów niebieskiego państwa nie ma więcej niż 320 milionów... To fałsz, kłamstwo ohydne! Jest ich 445 milionów, ani mniej, ani więcej... Słyszysz pan?! — wołał zazwyczaj dr Thevet, potem puszczał obie ręce w szybki młynek i plastycznie ilustrował dalsze prorocstwa: — Wymordują nas, wyduszą, zmiażdżą, zgniotą na miazgę! Nec testis cladis nie ujdzie! Czapkami nas nakryją!... czapkami...

— Nie noszą czapek — odważyłem się nieśmiało wtrącić pewnego razu.

Obecny przy tej rozmowie Tim Smoot parsknął głośnym śmiechem i dał mi huczne brawo.

Wówczas zaperzony staruszek zmierzył mnie pogardliwym spojrzeniem, do Smoota odwrócił się plecami, skinął głową w stronę gryzącej wargi Lotty i z wyniosłą miną wyszedł z pokoju, a nazajutrz przyniósł mi cały stos broszur, wycinków z gazet, książek, wyciągów statystycznych i w dwugodzinnym wykładzie udowodnił jak na dłoni, że jego przewidywania są słuszne.

Od tego dnia nie sprzeciwiałem się już więcej poczciwemu Francuzowi, wiedząc, że w ten sposób skrócę jego monotonne wywody.

Więc także w czasie walnej batalii o pozwolenie na wycieczkę samochodową skapitulowałem natychmiast, skoro na widownię wysunął się generał Czang-Kai-szek. Dzięki tej ustepliwości i jak gdyby: milczącej aprobacie otrzymałem upragnioną „przepustkę” i nazajutrz, w samo południe rozwarła się przede mną parkowa brama wspaniałego pałacu Mr Timotheusa Smoota.

Lotte towarzyszyła mi w przejażdżce i była nieocenioną przewodniczką. Orientowała się świetnie w olbrzymim mieście. Co chwila rzucała szoferowi nazwę jakiejś ulicy lub placu, pokazywała mi pomnik gmachy publiczne, gmachy rozmaitych domów handlowych oraz

172

banków, przeróżnych: „Bank of China”, „Honkong and Szanghaj Banking Co.”, „Briiish-America Tobbaco”, a zawsze następował sakramentalny dodatek: „wuj jest prezydentem rady nadzorczej”, „wuj jest wiceprezydentem i głównym udziałowcem”, „wuj jest wspólnikiem” i tak bez końca. Był w tych odezwaniach się pewien przejaw radosnej dumy z przedsiębiorczości dzielnego wujaszka, ale nic poza tym, ani cienia jakiejś intencji... Nie! W dziecięco szczerych oczach Lotty nauczyłem się już czytać jak w książce i nigdy więcej nie powtórzyła się scena taka, jak ongiś w przekłętym Kutjing...

A wspaniały, potężny rolls-royce mknął chyżo środkiem gwarnej ulicy Bund, mijał przeliczne riksze, sportowe auta prywatne, taksówki i jednokonne powoziki spieszących się zawsze „brokerów” — giełdzia-rzy.

— Proszę zwolnić — rzekła Lotte do szofera, a potem zaczęła mi objaśniać: — Ten wysoki pomnik, do którego dojeżdżamy, to Pomnik Wojny. Przecznicą zaczynającą się naprzeciw niego, to Avenue Eduard VII, która stanowi granicę pomiędzy koncesją francuską a International Settlement.

Rozglądałem się z ciekawością.

— A tam dalej, kochanie... to także Bund? — spytałem, wskazując ręką prosto przed siebie.

— Właściwie ulica, o którą pytasz, jest przedłużeniem Bundu. Ponieważ jednak leży w strefie francuskiej, nazywa się Quai de France.

— Tam pojedziemy?

— Nie. Skręcimy w Avenue Eduard VII, potem w Rue du Consulat. Złożymy wizytę doktorkowi...

Auto mijało właśnie Pomnik Wojny i kierujących u jego stóp ruchem ulicznym dwóch policjantów. Więc olbrzymi indyjski Sipaj, wciśnięty w angielski mundur kolonialny, z malowniczym turbanem na głowie, z długą brodą, czarną jak skrzydło kruka, tkwił w siodle równie olbrzymiej, rozkraczonej szkapy i z tej wysokości spoglądał wyniośle na swego francuskiego kolegę, niskiego Annamitę lub mieszkańca Indo-chin. Ci dwaj stróże bezpieczeństwa publicznego byli widocznym symbolem, że tu, u stóp pomnika, biegnie granica pomiędzy strefą francuską a angielską, używającą niewinnej firmy „koncesji międzynarodowej”.

173

Lotte obwiozła mnie najpierw pó wszystkich ciekawszych miejscach i ulicach koncesji francuskiej. W nawale wrażeń, obrazków zmieniających się ustawicznie, pomieszały mi się nazwy. Utknęła tylko w pamięci rzeczywiście prześliczna Avenue Joffre i jej przedłużenie Rue du Consulat, gdzie zatrzymaliśmy się przed jakąś trzypiętrową kamienj-

— Zaczekaj, darling, chwileczkę... Wywabię Lou z domu i zabierzemy ją ze sobą na przejażdżkę — rzekła Lotte, otwierając drzwiczki samochodu. Potem szybko zeskoczyła fia chodnik, przebiegła całą jego szerokość i znikła w bramie.

Byłem bardzo zadowolony z takiego obrotu rzeczy. Dr Thevet nie pominąłby doskonałej okazji do rozpoczęcia dyskusji o polityce, gdybym się udał na górę wraz z Lotta. Nie przypuszczam, aby potrafił ze swym gościem rozmawiać o czymś innym. Pozostawszy zaś w aucie, miałem w perspektywie zamiast pogawędki z nudziarzem miłe towarzystwo jego wnuczki i odbycie wspólnej wycieczki.

Pannę Luizę Thevet poznałem jeszcze w czasie mej choroby, a raczej w okresie rekonwalescencji. Towarzyszyła często dziadkowi, który świata poza nią nie widział. Kiedy jego jedyny syn zginął wraz z żoną w wielkiej katastrofie kolejowej pod Nanking, przygarnął maleńką wówczas wnuczkę i od tej pory nigdy się z nią nie rozstawał. Obecnie panna Lou była rozkosznym osiemnastoletnim stworzeniem, ruchliwym jak żywe srebro, wesołym, roztrajkotanym, trochę lekkomyślnym, a przede wszystkim niesłychanie kochliwym. Sama mawiała o sobie, że ma szalone szczęście dó mężczy/n. gdyż każdy jej się podoba. I nie było w tym żadnej przesady. Lou flirtowała na lewo, na prawo, rzucała zalotne spojrzenia nawet na dobrze podtatusiałego wuja Tima, nawet na mnie, który po ciężkim postrzale, otrzymanym z ręki jakiegoś żołnierza radży z Sarawak, po recydywie febry i wielomiesięcznym leżeniu w łóżku, wyglądałem jak cień człowieka. Taka już była Lou...

Podniosłem głowę, gdyż gdzieś w górze za perlił się srebrzysty śmiech dziewczęcy.

Na „balkonie drugiego piętra stała Lou, powiewając szalem w moją stronę.

— Już schodzimy na dół — zawołała. — Czeka pana miła niespodzianka.

Chwilę później wybiegła z bramy, wskoczyła na stopień samochodu,

174

uścisnęła mi dłoń długo, serdecznie, wyraziście, że tak powiem i powtórzyła zapowiedź owej niespodzianki.

Byłem pewien, iż chodzi o jakieś głupstwo, lecz chcąc jej zrobić przyjemność, udałem wielkie zaciekawienie i zacząłem gorliwie dopytywać.

— Aha! Wiedziałam, że pan będzie szalenie zaintrygowany... Ale to jeszcze nic...

— A gdzie Lotte? — zagadnąłem.

— Mój Boże! I to się nazywa dżentelmen! Jeszcze się ze mną nie przywitał należycie, nie powiedział mi jakiegoś miłego komplementu, a już dopytuje o swoją narzeczoną, którą widzi co dnia przez 18 godzin na dobę. Niech się pan nie obawia... Ona nie zginie... Żegna się z dziadkiem lub idzie już z... z... no niech pan zgadnie z kim.

— Z kim? Alboż ja wiem. Chyba nie z dziadkiem pani...

— No, oczywiście, że nie. Czy nie przypomina pan sobie pewnego sympatycznego towarzysza podróży?

— Towarzysza podróży?... Sympatyczny?... Stanowczo nie, panno Lou. Lotte może poświadczyć, że nie spotkaliśmy nikogo sympatycznego-

— A jednak. Proszę się dobrze zastanowić... Nic?... Muszę więc dopomóc pańskiej pamięci... Wysoki mężczyzna, bardzo przystojny, rasowy, nie młodzik, ale w wieku w sam raz... No? Jeszcze nie?... Oczy ma wyraziste, śliczne, o palących spojrzeniach. Wargi jak do całowania stworzone.

— Droga panno Lou... Jedno maleńkie pytanie w kwestii formalnej... Czy ten nieznajomy to nowa ofiara pani?

Panna Thevet zrobiła filuterne „oko”, skrzyżowała ręce na piersiach, jak to czynią

Hindusi, złożyła przede mną głęboki skłon głową i rzekła głosem, który miał imitować bas:

— Zgadłeś, o panie — potem przybierając swą zwykłą minkę rozbrykanego urwisa' szczebiotała szybko — oto w sposób nieudolny chciałam pokazać, jak on mówi... Och, tego nikt nie odda!... Jego głos jest niski, ujmujący, wibruje w nim całe piekło namiętności.

— Fiu, to znacznie gorzej niż myślałem — przerwałem jej rozweselony. — Tak mi się coś zdaje, że tym razem znakomita łowczyni serc męskich sama stała się ofiarą. Ano, przyszła kryska...

175

Panna Thevet zarumieniła się trochę.

— Przyznaję — rzekła z rozbijającą szczerością — przyznaję otwarcie, że podobał mi się bardzo od pierwszego wejrzenia. A to dużo znaczy... Bardzo dużo.

— Nie przeczę...

— Tak, panie Andrzeju. Przyszedł do dziadka jako pacjent. Dziadziu był właśnie u państwa. W poczekalni nie było nikogo. Zdarzyło się przypadkiem, że ja mu właśnie drzwi otworzyłam, a nie służący. Kazałam mu poczekać, ale mi się żal zrobiło... Mój Boże, wiem z doświadczenia, jakie piekło przeżywa każdy w poczekalni dentysty...

— Ha, ha, ha... Doskonale!... Przecież dr Thevet nie jest dentystą.

— Jest lekarzem, to wystarcza. Więc koniec końcem weszłam do poczekalni, aby podlać kwiaty... I od słowa do słowa...

— Zaczęła się rozmowa. A od tej pory, jak się domyślam, zabójczo przystojny dżentelmen przychodzi co dnia po poradę lekarską.

Wesoły chichot przemilej trzpiotki był wymowną odpowiedzią.

— Idą już, nareszcie...

Odwrociłem głowę w kierunku bramy. Przyznaję, że jednak byłem trochę zaintrygowany, kto może być owym miłym towarzyszem podróży. Nagle wydałem lekki okrzyk zdziwienia... Poza smukłą sylwetki mej narzeczonej wysunął się z sieni stary znajomy... Mr Harvey...

— Halo, Harvey! — zawołałem ochłoniwszy ze zdumienia — Jakie bogi pana tu przywiodły?

Uścisnął mi dłoń serdecznie. Uważam, że uścisnął nawet za mocno.

— Ho, ho! Należy się panu dobra bura — zahuczał swym głuchym basem, który panna Thevet nazwała ujmującym. — Godziło się to wyjeżdżać z Egiptu bez pożegnania? Los mnie pomścił, gdyż, jak mi Miss Nardewitz pobieżnie napomknęła, mieliście państwo w dalszej drodze nadzwyczajne przygody. Byliście podobno nawet w niebezpiecznym cześćwie utraty życia.

— Wszystko to prawda — wtrąciła Lotte — ale nie będziemy chyba stać na ulicy. Proponuję małą wycieczkę za miasto.

— Czy mogę towarzyszyć? Chciałbym coś usłyszeć o waszych przeżyciach. Ja niestety mam pecha... Nigdy żadnej przygody. Podróż moja była monotonna, że nie powiem nudna.

Panna Thevet poparła prośbę Harveya z niezwykle skwapliwością.

176

Więc umieściliśmy się w aucie wszyscy czworo, ja, ze względu na swój stan zdrowia,

i Lou jako gość na wygodnym tylnym siedzeniu, Lotte oraz Anglik—na stołeczkach, szofer przy kierownicy, sam na przedzie wozu. Moja kochana dziewczyna z troskliwości o mnie kazała podnieść szybę, otuliła mnie szczelnie pledem i poleciła jechać wolno w stronę bulwaru Deux Républiques, który okrąża Szanghaj w tym miejscu, gdzie ongiś stały mury-obronne miasta.

I — A teraz — odezwała się Lou, kiedy auto ruszyło z miejsca — teraz niech nam pan opowie o podróży, która obfitowała w tak ciekawe wypadki. Tyle razy już chciałam coś o tym usłyszeć, niestety zawsze dziadek zabraniał panu męczyć się mówieniem. Teraz, wyzwolony spod jego kurateli, może się pan wygadać za wszystkie czasy. Dobrze? We mnie będzie pan miał wdzięczną słuchaczkę, a Mr Harvey także będzie słuchał z uwagą. Prawda?

Nie mogę powiedzieć, by sztywny Anglik raczył na jej zalotne umizgi odpowiedzieć już nie „palącym”, lecz choćby uprzejmym spojrzeniem.

Lotte jeszcze protestowała. Obawiała się, że przeciąg powietrza spowodowany jazdą może zaszkodzić mojemu płucy, leuwie zabliznio-

_nergjA--| ;. • 0

Nie zaszkodzi mi, darling — odparłem — przeciwnie, czuję wielką ochotę do wygadania się za wszystkie czasy, jak powiada Mile Lou, a szyba oraz wasze plecy zasłaniają mnie zupełnie przed przewiewem. Zresztą jedziemy tak powoli.

Lou zaklaskała w ręce na znak zniecierpliwienia. Zawołała:

— Więc zaczynajmy, zaczynajmy, zaczynajmy!

Odchrząknąłem, jak na mówcę przystało i zacząłem przedstawiać treściwie przebieg naszej podróży, od wyjazdu z Suezu począwszy. Opuszczałem oczywiście te ustępy, które dotyczyły mego osobistego do Lotty stosunku oraz szczegóły mniej ważne.

Harvey obrócił się na stołeczku i słuchał z wielką uwagą. Wszelkie żartobliwe komentarze lub wykrzykniki przymilającej się doń Lou zbywał milczeniem albo nawet niezbyt uprzejmym ruchem dłoni. Podobnym gestem opędzamy się od utrapionej muchy...

A kiedy doszedłem do miejsca, jak przyczajony w piwnicy podsłuchałem rozmowę Chińczyka oraz drugiego łotra, aż podskoczył na swoim krzeselku i zawołał:

— No i co?! Ujrzał pan twarz tego drugiego człowieka?

— Niestety, nie udało mi się, gdyż zasłonił go występ muru przy okienku. Zresztą musiałem zaraz powrócić na swoje zwykłe miejsce, aby: się załatwić z tym rzezimieszkiem, Ombą.

— Very interesting! Jaka przytomność umysłu! Jaka odwaga! — entuzjasmował się Anglik, a zachwyt jego dobiegł zenitu, kiedy opowie-J działałem, w jaki sposób uwięziłem w piwnicy trzech uzbrojonych; przeciwników.

— Ostatnim szczegółem, jaki mi utknął w pamięci — mówiłem; — był skok rumaka, na którym jechał ów przeklęty łotr, co chciał i porwać moją najdroższą Lottę. Koń wspiał się, jak gdyby ujrzał przed: sobą jakąś barierę, choć droga była gładka w tym miejscu... Potem i straciłem przytomność i nieprędko ją odzyskałem.

Umilkłem. Nastąpiła krótka chwila ciszy, przerwanej zapytaniem Harvey a:

— I co dalej? Co się stało z Miss Nardewitz? Lotte wyreczyła mnie w odpowiedzi.

— Ja dopowiem resztę... On nadrabia miną, ale rozmowa go męczy. Zresztą on mógłby wam opowiedzieć tylko to, co sam słyszał ode mnie. l

— A, to stanowczo wolę słuchać pani. Będzie to towar niejako] z „pierwszej ręki” ...
Precz z pośrednikami. Chcemy kupować u źródła. |

Dowcipy Harveya wywołały żywiołową wesołość u Lou Thevet. Lotte przeczekwała chwilę, potem zaczęła mówić:

— Przede wszystkim muszę uzupełnić jedno miejsce opowiadania Andrzeja. Mogłoby się wam wydać niezrozumiałe, skąd wzięłam sztylet, który mi oddał tak nieocenioną przysługę w czasie brutalnej napaści Chińczyka. Dowiedźcie się tedy, że dał mi go jeszcze w czasie wędrówki-; przez dżungłę zacny, nieodżałowany Gambur.

— Gambur? Ten, którego pan Andrzej wyciągnął z bagna i ocalił od strasznej śmierci w paszczy krokodyla?

— Ten sam, droga przyjaciółko. Ten sam poczciwy Gambur, co| zamkniętemu w piwnicy Andrzejowi dostarczył broni, co przedarł się do-Kuting i odsiecz nam przyprowadził.

Posypały się słowa uwielbienia, pochwały dla biednego kulisa. Jeden Harvey, nienawidzący Chińczyków i gardzący nimi jak każdy Anglik, nie brał udziału w zgodnym chórze uniesień, lecz spytał twardo: J

178

— To ten kulis, którego zastrzelił Omba?

— Tak jest, Mr Harvey.

— Aha. I cóż dalej? Czy Chińczyk, któremu pani dała dobrą nauczkę, ośmielił się kiedyś w przyszłości podnieść na panią rękę?

— Nigdy! Całował mi ręce z wdzięczności, kiedy mu bandażowałam ranę, płakał jak dziecko i zapewniał mnie o swej wielkiej miłości.

— O? To radykalna zmiana frontu. Zdaje się, Miss Nardewitz, że ma pani nadzwyczajny dar pozyskiwania sobie serc nawet swych wrogów. Pan Andrzej opowiadał przecież, że podsłuchiwał rozmowę dwóch hersztów szajki i że tamten „berliński” Hindus także się miał w pani zakochać.

— Podobno — odparła Lotte z leciuteńkim uśmiechem. — Być\ może więc, że zrezygnują wreszcie ze swych zbrodniczych planów i pozostawią mnie w spokoju. Ale, proszę mi nie przerywać, inaczej nigdy nie skończę opowiadania.

— Już jestem grzeczny.

— A zatem wracam do Chińczyka. Dopóki leżał ranny, nie obawiałam się go zupełnie, lecz dni i tygodnie biegły. Drobne stosunkowo skaleczenie zagoiło się szybko. Wówczas fala obaw wróciła ze zdwojoną siłą. Przerazały mnie zwłaszcza jego ustawiczne oświadczenia, zagadkowe słowa odnoszące się do mej przeszłości i hipnotyzujące spojrzenia jego brzydkich, skośnych oczu. Zaczęłam się zamykać w swej izbie. Nie opuszczałam jej ani na krok, chyba wtedy, gdy zobaczyłam przez okno, że mu wyniesiono leżak i ustawiono go opodal od domu. Zanim by zdołał przebiec przestrzeń, dzielącą jego leżak od ściany domu, mogłabym się schronić do swej fortecy.

Trudno mi dziś opisać to wszystko, co wówczas przeszłam. Najwięcej niepokoiłam się o Andrzeja. Zrazu poczciwy Gambur przynosił mi wieści pocieszające, lecz pewnego dnia nie przyszedł więcej. Znikł bez śladu. Omba dopytywał nawet mnie o niego. Odtąd, pozbawiona jakichkolwiek wiadomości, jeszcze bardziej odczuwałam

mą niewolę.

Jednego dnia ujrzałam przez okno zbliżającego się jeźdźca i kilkunastu kulisów. Serce mi zabiło żywiej. Niestety, radość trwała krótko. Człowiek, który się witał za pan brat z Chińczykiem, nie mógł być moim sprzymierzeńcem. Zniechęcona, zrezygnowana, cofnęłam się w głąb

179

pokoju. Zazwyczaj odpoczywałam i spałam we dnie, aby w nocy czuwać, na wszelki wypadek.

I kiedy właśnie drzemałam, rozległo się gwałtowne kołatanie do drzwi. Potem głuchy trzask. Drzwi wypadły z zawiasów, runęły z wściekłym łoskotem na podłogę. Na progu stanął wysoki mężczyzna. Nie dojrzałam go w pierwszej chwili, gdyż w izbie było w ogóle ciemno, panował zgiełk, odgłosy wystrzałów dość odległych... To ostatecznej spostrzeżenie wlało we mnie strumień otuchy. Zrozumiałam, że nadciąga odsiecz, że w tym celu wywleczono mnie z dotychczasowego więzienia, aby mnie wywieźć w inne okolice. Zaczęłam się więc szamotać, bronić, wyrwać. Na próżno!... On był dużo silniejszy ode mnie. Wsadził mnie na konia, sam wskoczył szybko, objął mnie w pól i podciął wierzchowca.

Popędziliśmy galopem wśród nieustającego akompaniamentu wystrzałów. Przekłeta chusta nie tylko zakrywała mi całą twarz, ale krępowała swobodę ruchów rąk.

Dłuższą chwilę nie mogłam się odmotać z tych bandaży. Wreszcie udało mi się oswobodzić jedną dłoń, lecz ręka napastnika wślizgnęła się natychmiast pod chustę i stłumiła w samych zaczątkach wszelki opór branki. Widziałam tę jego dłoń, gdyż światło wdierało się przez szparę pod mój „kaftan bezpieczeństwa”...; -Była to dłoń wąska, o bardzo długich, chudych palcach, dłoń opalona, prawie brązowa. O, znacznie ciemniejsza od barwy pańskiej skóry. Tu Lotte wskazała na wycięcie w rękawiczce, obciskającej dłoń Mr I Harveya.

Anglik wyjął tymczasem fajeczkę i przepaszając, że przerywa tok ciekawego opowiadania, rzucił pytanie:

— Ale pani, Miss Nardewitz, pani miała więcej sposobności niż pan Andrzej do zobaczenia twarzy tajemniczego prześladowcy. Spamiętała pani chyba rysy jego twarzy?

— Gdzie tam. W izbie było ciemno, podczas owego szalonego cwału byłam od czubka głowy po pas okryta nieprzeźroczystą chustą, a potem także czasu nie stało... Zaobserwowałam tylko, że na przegubie ręki, którą wsunął pod zasłonę, miał bardzo oryginalną bransoletę! z maleńkich trupich czaszek... Jakby wianek dookoła...

— Lotte! —przerwałam gwałtownie. —To ważny szczegół. O tym i mi nigdy nie mówiłaś. ^

180

— Nie mówiłam ci nigdy? Niemożliwe.

— Ależ dałbym głowę...

— Ha, w takim razie zapomniałam.

Mr Harveya zaciekał mój wykrzyk:

— Czy ten drobny szczegół może być jakimś światełkiem w mrocznym labiryncie zagadek?

— Zapewne... Przypominam sobie słowa urzędniczki pocztowej w Neapolu. Tam jakiś drab usiłował bezskutecznie podjąć korespondencję, jaka dla mnie nadeszła. Urzędniczka miała doskonale rozwinięty zmysł obserwacyjny. Podała mi dokładny rysopis pretendenta do mojej poczty i nadmieniła wyraźnie, że wpadła jej w oko jego bardzo oryginalna bransoleta. Składała się z samych trupich czaszek.

— Więc co z tego? Czy sądzi pan, że na świecie tylko jedna osoba posiada taki drobiazg?

— Tego nie sądzę, Mr Harvey, ale w konkretnym wypadku mogę śmiało postawić hipotezę, że łotr, który nie chciał, aby pewien list z Berlina dotarł do moich rąk, ponieważ dotyczył osoby Lotty, i bandyta, który przyznał się wobec swego współnika do dwukrotnego napadu na moją narzeczoną i później usiłował ją porwać, jest jednym i tym samym osobnikiem.

— A choćby tak było, czy będzie pan przez to bliższy rozwiązania zagadki? Harvey miał słuszość. Szczegół, a raczej epizod z bransoletą absolutnie niczego nie wyjaśniał.

W tej chwili Lou wmieszała się do rozmowy:

— Pozwólcie jej skończyć. Lotte, natrzyj uszu narzeczonemu, żeby ci nie przerywał. Ja zrobię taki sam zabieg panu Harveyowi.

— Niewiele już pozostaje, moi drodzy — zaczęła Lotte. —: Jak wam. mówiłam, jechaliśmy wśród ustawicznej kanonady, której ofiarą padł mój drogi Andrzej. Nasz rumak prześlizgiwał się szczęśliwie wśród gradu kul, ale w księdze przeznaczeń miał zapisany swój-pocisk... Uczułam nagle, że podnoszę się w górę, potem, że lecę ku ziemi z przerażającą szybkością. To był ów przedśmiertny skok trafionego wierzchowca, który widział Andrzej ostatnimi błyskami swej świadomości, gdyż zaraz potem zemdlął.

Zerwałam się z ziemi i wyplątałam się szybko z luźnych fałd chusty.

181

Mój prześladowca był już daleko. Zniknął właśnie za drugą kępą bambusów. Biegł w stronę Chińczyka, który czekał opodal, trzymając uzdę zapasowego konia. Raz tylko obejrzał się poza siebie, przystanął, zawahał się na moment. Widocznie przyszło mu na myśl, że warto wrócić po mnie. Ale ja nie czekałam na jego powrót. Z wyciągniętymi rękami biegłam naprzeciw nadciągającej tyraliery strzelców. Byłam ocalona...

Kwadrans później nadciągnął oddział radży z Sarawak. Wuj Tim był z nimi. O mało mnie nie zadusił przy serdecznym powitaniu... Żołnierze znaleźli Andrzeja leżącego w kałuży krwi. Lekarz zaopiekował się nim natychmiast. A potem? Och, szkoda wspominać. Same krwawe obrazki. Na noszach przyniesiono umierającego Gambura. „Pani wolna, pan wolny. Gambur się cieszyć”. To były jego ostatnie słowa. I cieszył się rzeczywiście i uśmiechał się pomimo strasznych cierpień. Skonał z uśmiechem na ustach...

Potem storturowano Ombę celem wydobycia zeń prawdy. Niewiele umiał powiedzieć. Jakiś nieznajomy Chińczyk wynajął ten opuszczony dom od zarządu terenów naftowych, zgodził do służby jego, Ombę, oraz innych ludzi. Płacił dobrze, więc o choczko wykonywali wszelkie rozkazy. To tłumaczenie się nie poprawiło bynajmniej jego sytuacji. Z rozkazu radży powieszono go za nogi nad wielkim

mrowiskiem. Straszna musiał mieć śmierć...

To już wszystko, moi drodzy. Nie będę was chyba nudzić opowiadaniem o powrotnej drodze do Kutjing, która trwała blisko dwa tygodnie ze względu na ciężką ranę Andrzeja. Szanghaj ujrzałam dopiero z końcem września. v

— A tamci uciekli?

— Tak, Mr Harvey. Oddział wysłany przez radzę wyłowił w dżunglach tylko trzech kulisów. Reszta szajki znikła bez śladu, a wraz z nią także obydwaj przywódcy, Chińczyk i Hindus.

— Proszę mi darować, Miss Nardewitz, że zadam jeszcze jedno pytanie.

— Proszę bardzo. •

— O ile pomnę, powiedziała pani, że wuj znajdował się przy boku radży z Sarawak. Jakim sposobem znalazł się na Borneo? Skąd wpadł na wasz ślad? Nie chce mi się wierzyć, by pościg mógł spowodować kulis.

182

— Ach, jak pan o wszystkim pamięta — pochwaliła Lou, pochylając się zalotnie ku Anglikowi.

Lotte przytaknęła głową:

— Pytanie całkiem logiczne. Otóż o ile pamięta pan opowiadanie Andrzeja, wysłaliśmy kufry z Singapuru wprost do Szanghaju. Nadeszły na miejsce przeznaczenia w połowie lipca, a nas jak nie było, tak nie było. Wuj poruszył niebo i ziemię. Telegrafował do wszystkich portów. Wreszcie wpadł na szczęśliwy pomysł, by otworzyć walizy. W jednej z nich znalazł mój pamiętnik, który się tam przez moje roztargnienie zaplątał.

— No? I ten pamiętnik był drogowskazem?

— Właśnie. Jest to właściwie mój dziennik, w którym co wieczór notuję wrażenia przeżytego dnia. Więc bez trudu znalazł wuj wzmiankę o depeszy, jaką odebrałam z Kolombo, a która była nadana rzekomo przez niego. Dalej opisywałam nasz przyjazd do Singapuru oraz przygotowania do podróży na Borneo. Zdaje mi się, że wuj był tak niedyskretny i przeczytał więcej, niż należało... W tym miejscu Lotte zarumieniła się aż po uszy i rzuciła mi znaczące spojrzenie... Tak, tak. Oczy wuja Tima spoglądały na nas niekiedy w taki sposób, jakby chciały powiedzieć: „Wiem wszystko, lecz rozumiem, usprawiedliwiam. Ja także byłem młody. Krew nie woda... Ale za moich czasów takich rzeczy nie wpisywało się do pamiętnika”.

Mr Harvey przenosił swój badawczy wzrok ze mnie na Lotte

i odwrotnie. Ach, czemu się ta kochana dziewczyna tak kompromitująco zaczerwieniła! Potem, by pokryć zmieszanie, zaczęła mówić bardzo prędko: ...

— Takim sposobem wuj otrzymał wskazówkę, gdzie należy nas szukać, zabrał ze sobą trzech zdolnych detektywów i przyjechał do Kutjing. Tu przypomniał się pamięci radży i poprosił go o pomoc. Władca Sarawaku zapłonął świętym gniewem. Zebrał na oczekaniu sześciuset wojowników, by ukarać przykładnie bandę, która ośmieliła się porwać parę białych turystów z Kutjing i sławą Meksyku chciała okryć piękny, na pozór spokojny kraj Sarawak. W ciągu trzech dni ekspedycja karna była gotowa do wyruszenia. Detektywi znaleźli nasz ślad w zajeździe „Pod gwiazdą”, ale to jeszcze nie wskazywało

bynajmniej kierunku, w jakim nas uprowadzono... W takiej właśnie chwili zjawił się nieodżałowany Gambur.

— Weil... Teraz rozumiem wszystko i dziękuję pani za zajmujące: opowiadanie — rzekł Harvey krótko.

Tymczasem auto wpadło na szerokie bulwary Deux Républiques, a widok malowniczych pojazdów chińskich, pędzących rikszy, powozów, samochodów, motocykli oraz tłumy wytwornej publiczności skierowały naszą rozmowę na inne tory. Wśród gęstwy spacerowiczów lawirowali zrećznie mali kolporterzy, wykrzykując donośnie i we wszystkich językach nagłówki dzisiejszych sensacji: „Wielkie zwycięstwo wojsk kantońskich!!!”

„Generał Czang-Kai-szek oświadcza, że w ciągu miesiąca zajmie Szanghaj... Zajmie Szanghaj!... Zajmie Szanghaj... Zajmie Szanghaj!” „Wu-Pei-Fu pobity!... Wu-Pei-Fu pobity!...” Nie mogłem się powstrzymać od wybuchu szczerzej wesołości.

— Słyszysz pani? — spytałem, zwracając się do Lou. — To coś dla pani dziadka... Dopiero będzie triumfował.

— Przewidywania doktora Theveta nie są tak całkiem pozbawione podstawy, jak to pan przypuszcza.

— Ależ, Mr Harvey! Odkąd odzyskałem przytomność i odkąd jestem w Chinach, słyszę tę piosenkę codziennie. Stała się oklepana jak refren sezonowego szlagieru. Ile to już razy wrócono atak na Szanghaj...

— Lecz tym razem...

— Hola, moi panowie! — zaprotestowała panna Thevet. — Mówcie o czym chcecie, byle nie o polityce. Dość mam jej w domu.

— Brawo, panno Lou. Proponuję jednak, by kupić wszystkie nadzwyczajne dodatki. Mój projekt spotkał się z ogólną aprobatą i szofer otrzymał polecenie, by zatrzymał auto. Olbrzymi rylls-royce skręcił w stronę deptaku, zaczął zwalniać, zwalniać, aż stanął. Obskoczył nas tłum obszarpanych wyrostków chińskich. Mali, niewyrośnięci, mizerni chłopcy powskakiwali na stopnie samochodu, wpychali nam w dłonie całe stosy zadrukowanych świstków, od których zalatywał mało przyjemny zapach świeżej farby drukarskiej. Patrzyłem ze szczerym współczuciem na ich żółte, cytrynowe twarze, zwiędłe przedwcześnie, na których głód i nędza wyryły niezatarte znamię. Biedni chłopcy!

Myśli Harveya musiały biec tym samym szlakiem, bo kiedy auto ruszyło w dalszą drogę, rzekł półgłosem:

— Oto bogate Chiny, które oprócz żyznych terenów pozyskanych dla uprawy roli, posiadają nieprzebrane skarby w kopalinach, prawie zupełnie jeszcze nie wyeksploatowanych, które posiadają najbogatsze w świecie pokłady węgla, również zaledwie napoczęte. A ludność tubylcza przymiera z głodu, emigruje, gdzie się da, dla chleba, lub ginie, dziesiątkowana przez zarazy, przez wewnętrzne zamieszki, domowe wojny, prowadzone przez sprzedajnych generałów na rachunek tego lub owego mocarstwa. Dobrze się dzieje tylko nam, białym. Tylko my posiadamy pałace, rolls-royce, jachty, krocie dolarów. Tylko my, na razie... Ale czy nie sądzicie, że taki stan może pewnego dnia ulec radykalnej zmianie? Czy nie sądzicie, że w myśl idei

sprawiedliwości taki stan powinien ulec zmianie, choćby kosztem tysięcy ofiar, choćby kosztem najbardziej krwawego przewrotu?

Nie mogłem odmówić mu słuszności i milcząco aprobowałem jego poglądy. Lotte przytaknęła głową poważnie i rzekła krótko, po prostu:

— You are right, Mr Harvey.

Lecz pusta, roztrzępana Lou osądziła, że nadarza się świetna okazja do przypodchlebiania się Anglikowi. Więc rozdzwoniła się całymi gamami niefrasobliwego śmiechu, mówiąc w krótkich przerwach:

— Wspaniale! Znakomite! ha ha ha ha... Dziadzio będzie dumny z takiego sprzymierzeńca, ha ha ha ha... I jak to pan dowcipnie powiedział: „Taki stan powinien ulec zmianie”. Powinien! powinien! ha ha ha ha... Dawno się tak nie uśmieiałam...

Odezwanie się Lou nie było dla mnie niespodzianką. W ciągu kilkumiesięcznej znajomości miałem niejednokrotnie sposobność przekonać się, że jest dziewczyną bardzo miłą, dobrą, ale przy tym ogromnie płytką, powierzchowną, ot ładną, głupiotką gąską. Dlatego nie zgorszyłem się bynajmniej jej występem, lecz Harvey, który ją znał od bardzo niedawna, posłał jej tak zimne, prawie wzgardliwe spojrzenie, że umilkła momentalnie i w aucie zrobiła się przykra, ciężąca wszystkim cisza. Tak, tak... Lou Thevet, według własnego określenia „znakomita łowczyni serc męskich”, spudłowała tym razem haniebnie. Spudłowała, a co gorsza zepsuła na długi czas pogodny nastrój, jaki od początku przejażdżki panował.

Rozdział II

Bar „Pod błękitnym parasolem”

Siły wracały mi szybko. Robiłem już dłuższe piesze wycieczki po Szanghaju i zacząłem także dla zaspokojenia ciekawości zwiedzać lokale, do których nie wypadało wejść w towarzystwie kobiety z „wielkiego świata”. Wówczas Lotte żegnała mnie czule, groziła mi palcem i wraz z wujem, z doktorem Thevetem i jego wnuczką zasiadała do brydża, usprawiedliwiając mnie przed nimi w taki mniej więcej sposób: „On pisze teraz powieść egzotyczną, której akcja rozgrywa się w Chinach. Dlatego też musi badać nocne życie tubylców.”

Więc „badałem nocne życie tubylców” po chińskich herbaciarniach, po tawernach portowych, tinglach, kabaretach, palarniach opium oraz wszelkich innych tego autoramentu spelunkach, a nieocenionym przewodnikiem w owych wycieczkach był mi Harvey. Ach, on znał takie, knajpy, jakich nie znał na pewno szanujący się kierowca rolls-royce'a, ani żaden z licznych szoferów starego milionera.

Wałęsaliśmy się tedy w dwójkę, prawie co wieczór, a za każdym razem byłem w innym lokalu, spotykałem nowe typy, nowe dekoracje. Nie mogłem się uskarżać na monotonność i kiedy Harvey zjawiał się nazajutrz w pałacu Smoota z propozycją nowej eskapady, przystawałem bez wahania, wiedząc, - że znowu zobaczę coś, czego jeszcze nie widziałem.

Aż pewnego razu nastąpiło nieoczekiwane spotkanie.

Tego dnia podziwialiśmy balet nagich tancerek hawajskich, importowanych >przez pomysłowego przedsiębiorcę i tańczących swoje narodowe „hulahula”, przy akompaniamencie dźwięcznych „ukulele”. Po

skończonych produkcjach przeniosły się urodziwe Hawajki do separatki angielskich inżynierów, w tym samym „stroju”, w jakim tańczyły.

— Nic tu już po nas — zawyrokował Harvey, spoglądając smętnym wzrokiem w stronę separatki Anglików, skąd dobiegały głośnie śmiechy i chichot dziewcząt. Opuściliśmy lokal i szliśmy przed siebie, dokąd nogi poniosą. I nogi poniosły nas do wielkiego „public garden”, który jest jakby zaczątkiem ulicy Bund.

Zwiedzałem ten piękny park niejednokrotnie za dnia, kiedy rozbrzmiewał niewinnym szczebiotem dziesiątek tysięcy dzieci, bawiących się pod nadzorem dobrotliwych „ahm”, nianiek chińskich... I trudno mi było wprost uwierzyć, że jestem teraz w tym samym ogrodzie. Sceny, jakie się dokoła mnie rozgrywały, mogły budzić tylko wstręt, obrzydzenie. Każda ławka, każdy skrawek trawnika, nawet ścieżki i szerokie marmurowe stopnie pomników, były małżeńskimi komnatami przygodnych stadel, które złączyła na jedną noc lub krócej zwierzęca żądza z jednej, chęć zdobycia kilku dolarów z drugiej strony. Spazmatyczne jęki, westchnienia, głośnie całusy, ochryple głosy trzeciorzędnych prostytutek, ryki apaszów portowych, a nierzadko nieludzki wrzask i wzywanie pomocy, wszystko to mąciło nocną ciszę pięknego ogrodu, kalało ją, bezcześciło.

Szedłem cały czas z palcem na cynglu browninga, przewidując, że

0 okazję w takim środowisku nietrudno. Posuwałem się bardzo ostrożnie, by kogoś nie potrącić, nie nadepnąć, słowem pragnąłem uniknąć za wszelką cenę zwady.

Harvey zachowywał się wprost przeciwnie, powiedziałbym prowokująco. Nie byłem w stanie go zrozumieć. Jak można odpowiadać na obelżywe wyzwiska takich szumowin, a co gorsza samemu tych apaszów zaczepiać. Dobrze jeszcze, że w ciemnościach nie mogli dostrzec naszych eleganckich raglanów

1 trzewików, inaczej byliby dawno zawarli z nami „bliższą znajomość”. W ogóle nie mogłem pojąć, dlaczego brniemy coraz dalej w głąb ogrodu i bez potrzeby narażamy się na wielkie bądź co bądź niebezpieczeństwo.

— Harvey! — rzekłem wreszcie zniecierpliwiony. — Obawiam się, że dostanę morskiej choroby z obrzydzenia. Wyprowadź mnie pan stąd, albo sam pójdę.

Chciał jeszcze oponować, lecz wobec mej stanowczej posta-

187

wy, ustąpił w końcu. Zaczął się zastanawiać nad wyborem nocnego lokalu...

— Byle gdzieś blisko — zastrzegłem się z góry. — Jest już dość późno. Właściwie byłaby pora wrócić do domu.

— Eeee!... Już do domu? Czekał pan! Mam coś odpowiedniego. Knajpa nie pierwszorzędna co prawda i nie byłem tam chyba z rok, ale za to bliżuteńko.

— Zgoda. Chodźmy tam.

Wydostaliśmy się z parku, choć w jednym miejscu omal nie doszło do bójki, dzięki krewkości Harveya. Dopiero zimne dotknięcie lufki mego rewolweru ostudziło bojowy zapal zaczepionego marynarza.

Wkroczyliśmy do zapowiedzianego lokalu. Spelunka nosząca piękną nazwę bar „Pod błękitnym parasolem” nie mogła mieć pretensji do rangi pierwszorzędnej knajpy.

Zaliczylibym ją raczej do kategorii trzeciorzędnych, uwzględniając stosunki szanghajskie, gdzie najlepsze dansingi nie ustępują w niczym najlepszym nowojorskim.

Dla wytworniejszej publiczności były przeznaczone głębokie łoże, biegnące w podkowę wzdłuż ścian i otaczające w ten sposób dużą przestrzeń dla bardziej mieszanego towarzystwa. Wznosiły się też na dobre trzy metry ponad poziom owej przestrzeni i posiadały osobną przestrzeń dla tańczących. Od tyłu łączył je zaciszny korytarz.

— Tam dalej są separatki, a za nimi, w głębi, palarnia — objaśniał mój wszechwiedzący przewodnik. Potem pokazał mi swe duże, białe zęby w uśmiechu i dodał: — Sądzę, że zabawimy się dzisiaj weselej niż, zazwyczaj... Te Hawajki, które wieczorem podziwialiśmy, wzburzyły mi krew...

— O tak. To były nie tylko doskonale zbudowane, ale i rzeczywiście śliczne dziewczyny — potwierdziłem z głębokim przekonaniem.

— Lecz te, również niczego. Spójrz pan na tę Chinkę w złocistym kimono. Co? Pierwsza klasa! Albo tamta obok niej... Albo jeszcze tai wysoka dziewczynka, co nogi.. — uciał nagle, szybko usiadł i cofnął się w głąb łoża.

— Co się stało, Mr Harvey? Zrobiło się panu niedobrze, czy ujrzał pan kogoś, z kim...

— Ale skądże! — przerwał mi skwapliwie. — Po prostu zawróci

188

głowy... Piliśmy za dużo w tamtej knajpie, zahipnotyzowani urodą Hawajek. Zdziwiłem się bardzo. Harvey był wytrzymalszy ode mnie w picciu. Mógł wsączyć w siebie przedziwne ilości alkoholu pod wszelkimi postaciami. A przecież tego wieczora wypiliśmy zaledwie jedną butelkę wina oraz kilka koktajli. Inna więc musiała być przyczyna nagłej niedyspozycji.

— Wie pan co — zagadnął po krótkiej przerwie — czuję się bardzo kiepsko... Może byśmy tak wyszli?

— Jak to? Już teraz? Nie, łaskawy panie! Mnie się tu bardzo podoba. Czuję, że tu jest właściwy nastrój i widzę wspaniałe typy.

Przesadzałem oczywiście, ale chciałem mu dać nauczkę za dzisiejsze włóczenie mnie po „public garden”. Niech nie myśli, że będę zwiedzał tylko to, co jemu się podoba.

Harvey nalegał jeszcze przez chwilę, potem wstał i wyciągnął dłoń na pożegnanie:

— Skoro pan chce koniecznie pozostać, to owszem, ale beze mnie. Wracam do domu.

Nie widzę w pobliżu kelnera, a jest mi coraz gorzej. Niech pan więc będzie tak uprzejmy i wyrówna cały rachunek. Jutro zwrócę moją połowę.

Nawet się nie spostrzegłem, kiedy zostałem sam w łożu. Harvey cofnął się w stronę wejścia wiodącego na korytarz i znikł pośpiesznie.

Muzyka zagrała. W łożach zaczęli powstawać panowie, wyelegantowane artystki podrzędnych teatrzyków, diwy kabaretowe, lepsze kokoty, utrzymanki, przyjaciółki bogatych kupców, przemysłowców, bankierów, spiesząc w stronę estrady, przeznaczonej do tańca dla lepszych gości. Na dole płaśniano również. Tam publika była tańsza: subiekci, majstrowie z fabryk, właściciele sampanów*, kutrów, podoficerowie angielscy, francuscy, amerykańscy, holenderscy, przeważnie w cywilnych ubraniach, sternicy handlowych statków, zamożniejsi rybacy, kramarze, kupczyki, przewodnicy, stręczyciele i kobiety odpowiedniej kategorii oraz ceny.

Cały „urok” baru „Pod błękitnym parasolem” polegał na tym, że

* Sampan (chiń.) — lekka, płaskodenna łódź wiosłowa.

dwie kasty publiczności mogły się bawić obok siebie, nie przeszkadzając sobie wzajemnie. Przeciwnie. Goście lepsi z zainteresowaniem spoglądali z wysokości swych łóż na zabawę hołoty, a tamtym znów imponowało, iż piją, tańczą, weselą się w tym samym lokalu co burzuje.

Więc skoro zabrzmiały pierwsze tony jazz-bandu, cały dół puścił się w płasy między stolikami, większość góry przeszła na przeznaczony dla niej parkiet, a pozostali tylko w swych łóżach Chińczycy, mniej ośmieleni przybysze-przejezdni oraz starsi i to bardzo starsi panowie, wreszcie te barówki, które nie znalazły danserów. Niektóre' z nich, bardziej przedsiębiorcze, wałęsały się tu i ówdzie w poszukiwaniu za nieśmiałymi partnerami.

Toteż pochyliłem się nisko nad swym kieliszkiem, kiedy dostrzegłem niewieścią sylwetkę w wejściu mej łoży. Sądząc z bezceremonialnego zachowania się sąsiadów, miałem uzasadnione obawy, że barówka nie poprzestałaby na przetańczeniu jednego charlestona czy black-botto-mu, ani na wspólnym wypiciu flaszki wina, a na zawieranie bliższej znajomości nie miałem ochoty.

Lecz moja rezerwa nie ostudziła bynajmniej przedsiębiorczości przybyłej. Podeszła bliżej, przysiadła się do stolika, podniosła mi dłonią brodę do góry i zawołała z radością:

— Jak to miło, spotkać na dalekim Wschodzie starego znajomego. Cóż? Nie poznaje mnie pan?

Przypatrzyłem się jej uważnie. Hm... Twarz nie była mi wcale obca, ale żeby mnie ze skóry darli, nie umiałbym powiedzieć, gdzie ją już i kiedy widziałem.

— Słowo daję, że mnie pan nie może poznać. Ha ha ha ha! Pamięta, pan statek „Albion”? Więc tak... A pokojówkę Maud/?

— Ach, Maud! Naturalnie, że pamiętam. Skąd się tu bierzemy? — spytałem niezgrabnie, nie wiedząc, czy mówić jej na „ty”, czy przez „pani”, ze względu na odmienny charakter zajęcia, ze względu na elegancką toaletę wieczorową i mnóstwo biżuterii, wśród której zauważyłem także prawdziwe kamienie.

Maud zrozumiała moje wahanie i w krótkiej drodze rozstrzygnęła wszelkie wątpliwości: —Będziemy sobie mówić „ty”. Teraz już nie jestem pokojówką.

Jesteśmy sobie równi w tym lokalu. Ty jesteś gościem, ja bar-girl, więc ceremonie zbyteczne.

190

„Zrównany” w taki sposób, powtórzyłem moje pierwotne pytanie, by jakoś zagaić rozmowę:

— Skąd się tu wzięłam? To dłuższa historia... Niech ci wystarczy, że awansowałam na barówkę dzięki twemu przyjacielowi, z którym przed chwilą siedziałeś przy jednym stoliku. Chcę mu za to właśnie podziękować serdecznie.

Złowrogi błysk oczu i uderzenie pięścią w płytę stolika było wymowną ilustracją, jak „serdeczne” będzie podziękowanie... Odniosłem wrażenie, że Maud jest średnio wstawiona, ale przede wszystkim zaciekało mnie jej zachowanie się. Wyglądała tak, jakby resztkami sił hamowała wybuch gniewu.

i — Czy nie jesteś zadowolona z obecnej posady? —zapytałem.

. — Zadowolona? Ha ha ha ha... Naturalnie! Jestem wniebowzięta. Bo i cóż... Miała

to być moja ostatnia podróż. Miałam narzeczonego w Anglii. Po powrocie mieliśmy się pobrać. Byłabym dziś solidną mężatką. Mieszkałabym z mężem w Dundee, w mojej starej kochanej Szkocji... Ty się uśmiechasz?

— Ależ bynajmniej— zawołałem skwapliwie, przytrzymując jej rękę, która właśnie opisywała prawidłowy łuk i miała spaść na stół.

— Tak, oczywiście. Pokpiwasz sobie' w duszy ze mnie. Maud, zalotna pokojówka okrętowa i solidna mężatka! Rzeczywiście zabawne. Przecież i ciebie także zaczepiałam, ale tyś miał kimś innym głowę zaprzątniętą. Nie, mój drogi! To niczego nie dowodzi, że wówczas zawierałam bliższe znajomości z mężczyznami. Wiele dziewcząt postępuje podobnie, by zebrać sobie na posag, na wyprawę choćby. Ale przysięgam ci, że po zamążpojęciu byłabym najsolidniejszą żoną, najwierniejszą towarzyszką mego męża. Przysięgam! Przysięgam na co chcesz!

— Ależ wierzę, wierzę. Uspokój się, Maud. Nie rozumiem jednak, dlaczego nie miałabyś wrócić do Anglii i...

Przerwała mi gwałtownym wybuchem histerycznego śmiechu.

— Dziś już za późno, rozumiesz! Piję, palę opium, jestem ot taką dziewczyną... słowem: zesłałam na psy... Masz teraz odpowiedź na swoje pytanie, czy jestem zadowolona z obecnej posady.

Nalała sobie szklaneczkę i przy tej sposobności stwierdziła, że w butelce dno świeci się zaczyna.

191

— Zafundujesz mi chyba flaszkę? Przystałem bez wahania.

Tymczasem muzyka przestała grać. Maud jakby wytrzeźwiała. Poprawiła się w krześle w taki sposób, że plecami zwróciła się do wejścia.

— Chcę mu zrobić niespodziankę — rzekła dla wyjaśnienia.

— Komu? Kogo masz namyśli?

— Jak to, kogo... Twego fałszywego przyjaciela. Przecież wróci tutaj, skoro odprowadzi swą tancerkę.

— Mr Harvey?

— Eeee! Taki on Harvey, jak ja Zuzanna.

— Nie rozumiem cię...

— Nie chce mi się dwa razy gadać tego samego. Jak on tu przyjdzie to usłyszysz niejedno...

— Ależ on dawno wyszedł.

— Cooo?! Wyszedł? Kiedy?

— Ledwieśmy przyszli, uczuł nagły zawrót głowy i wyszedł.

— Ha łotr! łajdak! przeklęty pies indyjski!

Trudno mi powtórzyć wszystkie epitety, jakie posypały się pod adresem Anglika. Z sąsiednich łóż zaczęto do nas zaglądać... Wreszcie udało mi się uspokoić rozsierdzoną niewiastę o tyle, że pomstowała głosem względnie przyciszonym:

— Teraz rozumiem. Zobaczył mnie także i uciekł przede mną. Tali tak... Uciekł...

Niestety, nie mogłam przyjść tutaj wcześniej, gdyż tańczyłam z pewnym Anglikiem, który jest moim stałym klientem. Wiesz chyba, że my, barówki, mamy procent od tego co wypiją goście! z którymi siedzimy.

— Wiem, oczywiście — odparłem machinalnie, rozpamiętując w myśli dzieje

dzisiejszej niedyspozycji Harveya. To było bardzo prawdopodobne, że uciekł, skoro poznał Maud... Ale dlaczego uciekli? Chyba nie dlatego, że łączyły go przez kilka dni bardziej zażyłe stosunki z okrętową pokojówką. Hm... Musiały być jakieś ważniejsze powody...

— Nazwałaś go fałszywym przyjacielem — zacząłem, chcąc poi ciągnąć za język moją towarzyszkę. — Zechciej mi wytłumaczyć, dlaczego użyłaś takiego określenia. — Oooo, wszystko ci wytłumaczę, a jeśli później będziesz podawał * rękę temu łotrowi, to jesteś taki sam numer i ja ci w twarz plunę.

192

Wstęp był wcale zachęcający.

Maud wypła duszkiem szklaneczkę wina i zaczęła mówić głosem bardzo przyciszonym: .

— Czy pamiętasz ów ranek, kiedy robiłam ci w kabinie papierosy? Już wówczas byłbyś się dowiedział wszystkiego, ale tyś nie chciał się wdawać w rozmowę z nędzną pokojówką. Ziewałeś. Dałeś mi do zrozumienia, że powinnam się natychmiast wynieść. Szkoda, że byłeś taki honorowy. Czasem warto i ze służącą pogadać... Można skorzystać... Otóż gdybyś nie był wtedy taki nieprzystępny, była bym ci oddała do własnych rąk to pismo, które ci wsunęłam do kieszeni smokingu. Z polecenia twego przyjaciela to zrobiłam. Dał mi za tę przysługę dwa dolary. Chwyciłem się za głowę. Było coś takiego!... Prawda! Pismo biura „Hans Raabe” z Berlina, które zginęło w zagadkowy sposób gdzieś koło Pozzuoli, znalazło się nagle w kieszeni mego wieczorowego ubrania, podczas morskiej podróży do Egiptu... Idźmy dalej... W Pozzuoli byliśmy we trójkę. Lotte, ja, oraz Harvey... Harvey znalazł na ziemi pustą rzekomo kopertę zaginionego listu... Harvey poleci! Maud list ten mi później podrzucić. Wszystko się zgadza, ale jaki, u licha, mógł mieć w tym interes? Co go obchodził list adresowany do mnie? Dlaczego mi go zaraz nie oddał? Czy chciał zapoznać się z jego treścią? Lecz w jakim celu, dlaczego, dlaczego, dlaczego? Maud była coraz mniej trzeźwa. Opowiadanie jej splątało się w chaos luźnych, oderwanych zdań i wyrazów:

— Mnie nazwać złodziejką! — bełkotała niewyraźnie. — Mnie? Żebyś wiedział, jakie on piekło zrobił wówczas w Port Saidzie. Poleciał do głównego stewarda, do kapitana statku nawet: „Ładną macie służbę!” krzyczał. „Pokojówka, imieniem Maud, ukradła mi złotą bransoletę. Tyko ona wchodziła do mej kabiny. Musiała dokonać kradzieży w czasie, gdy opuściłem okręt w Aleksandrii”... Łajdak!! On sam złodziej, bo czyż prawdziwy dżentelmen zakrada się do kabin swych przyjaciół? Czy to nie jego przychwyciłam w kajucie tej pani, do której pan okiem strzelał? Hindus przeklęty! Och, jakbym go chwyciła za te jego przyklepione bokobrody. Szkoda, że uciekł przede mną... Miałby pan wdowisko. Nie takie rzeczy widziałam, jak jego głupią bransoletę, a nie ruszyłam... Boże! Nieraz siaka taka lady zostawiła w kabinie

nie
3 Perłą Szanghaju

193

zamknięte walizy. Otwierałam je z ciekawości. Widziałam brylanty, perły, pierścionki... Nieraz tyle było klejnotów, że pewno sama właścicielka wszystkiego nie pamiętała. I nigdy nie ruszyłam niczego. Aż miałam się zląkomić na jego głupią

bransoletę... Ha ha ha ha ha ha ha...

Muzyka znowu zagrała.

Pary amatorów tańca śpieszyły ku estradzie.

W wejściu mej łoży stanął jakiś starszy dżentelmen. Skinął lekko głową w moją stronę i zwrócił się do mojej towarzyszki.

— Maud, chciałbym zatańczyć.

— Czyja ci broń? — odparła, wybuchając śmiechem.

— Ale z tobą.

— Przepraszam cię — rzekła, pochylając się do mnie. — To jest mój stary przyjaciel, o którym ci opowiadałam. Aha! Niech on poświadczy, że jestem uczciwa. Słuchaj no, Jasper! Znasz mnie od kilku miesięcy... Niejeden raz byłam u ciebie w mieszkaniu. Powiedz, zginęło ci co kiedy? Bo tu, widzisz, jeden przeklęty Hindus posadził mnie, że mu ukradłam jego bransoletę z trupich czaszek. Ha ha ha ha... Słyszałeś? Za to mnie wylali z dawnej posady. Ha ha ha ha...

Zerwałem się z miejsca na równe nogi. Bransoleta z trupich czaszek?!!!

— Maud! Jedno pytanie! — zawołałem na cały głos.

Niestety wmieszała się już w ciżbę gości, śpieszących korytarzem ku estradzie, ku separatom i palarni.

W niesłychanym podnieceniu przechadzałem się po łoży, oczekując powrotu barówki.

Wchodząc do baru „Pod błękitnym parasolem”, nie przypuszczałem, że zdobędę tyle wiadomości i takich wiadomości! Harvey, który poleca podrzucić mi zabrany przez siebie list, Harvey, zakradający się do kabiny Lotty w niewiadomym celu, Harvey, posadzający pokojówkę o kradzież bransoletki z trupich czaszek (to najważniejsze ze wszystkiego). Kilkakrotnie nazwała go Hindusem, powiedziała, że ma przyprawione bokobrody...

— Ha, jeśli ona nie łże — skonkludowałem półgłosem — to jestem na progu rozwiązania zagadki i mam w rękach jednego z tajemniczych wrogów mej drogiej Lotty. Nie! Ona nie kłamie! To, że on zwiął tak pośpiesznie z baru, jest najlepszym dowodem jej prawdomówności.

194

Muszę się jednak wpierw upewnić, zanim przystąpię do zdemaskowania łotra. Zadam jej kilka pytań.

— Sir, co pan rozkaże? — zaskrzeczał mi nad uchem kelner, którego zaintrygował widocznie mój głośny monolog.

— Jeszcze jedną butelkę — rzekłem.

Przeklinałem zapamiętałych tancerzy, którzy huraganowym ogniem oklasków zmusili orkiestrę do bisowania.

Wreszcie przestali grać. Rozbawione pary wracały do swych stolików. Nie mogąc się doczekać, wyszedłem naprzeciw i oparłem się o framugę drzwi łoży. Moje zniecierpliwienie dosięgło najwyższych granic, skoro spostrzegłem, że wszyscy goście, którzy przed chwilą tańczyli, siedzą na swoich miejscach.

Maud nie wracała i nie wróciła już do mego boksu. Po półgodzinnym daremnym wyczekiwaniu przyzwałem kelnera.

— Gdzie jest Maud? No, ta bar-girl, która tutaj przedem siedziała. Nigdzie jej nie

dostrzegam na sali.

Kelner podszedł do bufetu zasięgnąć informacji. Wrócił kwadrans później, uśmiechając się tajemniczo:

— Ona jest teraz w separacie — odrzekł.

— Tam do licha! Z tym Anglikiem?

— Nie. Sama.

— Więc proszę ją tutaj poprosić. Mam ważny interes.

— Ona nie przyjdzie... Nie może przyjść...

— Nie może? Proszę mnie zatem do niej zaprowadzić.

— Sir, przykro mi bardzo...

— Cóż do diabła! Przecież sam pan mówił, że nie jest zajęta.

— Indeed... Ale ona jak nieprzytomna... Wypiła znów za wiele.

— Wszystko jedno. Chcę jej zadać tylko jedno pytanie. Po długich pertraktacjach uzyskałem pozwolenie i opuściłem dotychczas zajmowaną łóżę. „

Idąc korytarzykiem, obiegającym tę część sali, rozglądałem się ciekawie. Wszędzie bawiono się doskonale. Większa część łóż odseparowała się od ganku przez zasunięcie ciężkich portier, a i w nie zakrytych panował szampański humor. Kobiety siedziały na kolanach mężczyzn, obejmowały ich za szyję, całowały bez żadnej żenady. W niektórych boksach panował taki nastrój, że kelner towarzyszący mi, sam czuł się

195

powołany do zasunięcia portiery. Mogę sobie wyobrazić, jaki nastrój musiał tu panować, gdy w czasie tańca gaszono wszystkie elektryczne lampy i tylko barwne lampiony rozwidniały od biedy ciemności.

W pobliżu bufetu znajdowały się stoliki wolnych barówek. Ledwie trzy, lub cztery białe dziewczyny, reszta same Chinki. Przyglądały mi się z zaciekawieniem, pochyliły głowy ku sobie i szeptały, szeptały... Wielkie lazurowe parasole, pomalowane w przepiękne desenie, rozpięte po jednym nad każdym stolikiem, rzucały na silnie podmalowane twarzyczki malownicze refleksy. Od tych błękitnych parasoli lokal wziął swą nazwę.

Zauważyłem w przelocie, że jedna z egzotycznych barówek-kurtyzan zerwała się z miejsca, podbiegła do bufetu i zaczęła coś szybko paplać z kasjerką, wskazując mnie. Ha, kobiety wszędzie są jednako ciekawe.

Przez niezbyt wysokie drzwi wyszliśmy z głównej sali. Znaleźliśmy się w bardzo długim korytarzu, skąpo oświetlonym, za to bogato wyposażonym po obu bokach w ciężkie, nieprzeźroczyste firanki. Każda z nich zasłaniała wnętrze jednej separaty, jak powiedział kelner-przewodnik.

W jednym miejscu korytarz załamywał się pod kątem prostym, rozdzielał się na dwa ganki. Z jednego załatywał ciężki, odurzający zaduch.

— Tamtędy idzie się do palarni. Jest duża wspólna sala i pokoje dla lepszych gości — objaśniał mój gid przygodny.

Skierowaliśmy się w drugi korytarz. Była to właściwie jedna, olbrzymia sala, podzielona japońskimi ściankami na dwa rzędy maleńkich pokoików i środkiem biegnący ganek. Niektóre siodzi* były na pół odsunięte. Przelotnym spojrzeniem wdzierałem się więc do wnętrza owych klitek i widziałem ciała splecione w uścisku

lub drgające jak w konwulsjach, lub wyciągnięte obok siebie, nieruchome, zastygłe w bezruchu, spowite w luźne fałdy jedwabnych kimon, częściej nagie zupełnie.

Przelotnym spojrzeniem widziałem nogi białe i nogi brązowe, brunatne, złotawe, ramiona białe, brązowe, brunatne, złotawe, splątane ze sobą. Słyszałem w przechodzie głośnie całusy, westchnienia, słowa pieszczotliwe, szeptane, bełkotane, mówione głosem nabrzmiałym od

* siodzi (jap.) — parawan papierowy w drewnianej ramie, służący za przepierzenie.

196
żądzy i upojenia, spazmatyczne jęki, lub na przemian słodkie, rzewne tony fletni, na których wygrywali muzykanci, ukryci gdzieś zapewne za parawanem, słyszałem drażniący szelest zsuwanych szat jedwabnych, dźwięki bransolet, maneli**, suchy szmer przesypanych dla zabawy sztucznych pereł, lub gdzie indziej równy oddech, albo chrapanie tych, którzy z wyczerpania zasnęli. Wdychałem w siebie woń wędnących kwiatów, aromat świetnej herbaty, zaprawianej nie znaną mi wonną domieszką, ciężki zapach opium, zapach drogocennych olejków, drzewa, najbardziej wyrafinowanych perfum, woń kremów, różów, pudru, pachnideł, mydełek, parujących zda się na rozgrzanych ciałach kobiet.

I wszystkie wrażenia wzrokowe, wszystkie tony, dźwięki, odgłosy, wszystkie wonie, zapachy, zlewały się i kojarzyły w jeden potężny akord rozpasania, w ciężką, oszałamiającą atmosferę, w której serce intruza bić zaczyna szybciej, nozdrza się rozdymają pożądliwie, pulsują skronie, myśli się płaczą, krew zmienia się w war, a człowiek w zwierzę. Odczułem to zjawisko doskonale na sobie, bo gdy Chinka idąca za nami krok w krok począwszy od głównej sali baru, otarła się o mnie nagim ramieniem i chwyciła ciepłymi palcami moją dłoń, przebiegły mnie od stóp do czubka głowy jakieś rozkoszne prądy.

— Jesteśmy — rzekł kelner.

Była to ostatnia zasłona. Dwa metry dalej korytarz kończył się ślepo, okopconą ścianą muru, na której wisiał ogromny papierowy lampion.

W separacie było zupełnie ciemno. Kelner przekreślił taster, a kiedy zabłyśły lampki, zapytał, czy może odejść.

Chinka wyręczyła mnie w odpowiedzi:

—i Idź sobie! Gdy będziemy czegoś potrzebować, zadzwonimy.

Wreszcie dostrzegłem Maud. Leżała na rozesłanej macie, tuż pod murem. Głowa jej zwisała na ziemię, ręce i nogi były wyciągnięte. Widocznie tak ją przyniesiono i rzucono jak kłodę na nędzne posłanie.

Dźwignąłem jej głowę i rozpiąłem haftki napierśnika. Westchnęła z przeogromną ulgą, lecz nie przebudziła się.

Zacząłem szeptać, mówić półgłosem, potem coraz głośniej i głośniej. Na próżno. Ani nie mrugnęła. Szarpnąłem ją delikatnie za ramię, raz, drugi, trzeci, z podobnym skutkiem. Maud spała snem kamiennym.

** manela — ozdoba na rękę.

197

Chinka obserwowała mnie uważnie:

— To nic nie pomoże — rzekła. — Ona tak zawsze zaśnie. Trzy razy przy fajkach opium, raz przy kieliszku.

Kaleczyła język angielski okropnie, ale głos jej był tak czarująco śpiewny, tak rytmiczny, ujmujący, że nie raziło to zupełnie.

Podeszła bliżej i oparła mi swą wypielegnowaną starannie rączkę na ramieniu:

— Tyś chciał z nią mówić, panie? Teraz się nie da. Musisz zaczekać. Nie trzeba jej męczyć. Im prędzej się wyśpi, tym prędzej będzie z nią można rozmawiać, Zacząłem się uważnie przyglądać mej nowej znajomej. Miała na sobie luźne, udrapowane w fałdy, przejrzyste, seledynowe kimono, poprzez które złościło się jej nagie, brązowe ciało... miała na małych, bosych stopach haftowane perełkami pantofelki... na głowie duży kok obfitych, czarnych jak heban lśniących włosów, w których tkwił szylkretowy* grzebień okazałych rozmiarów.

Twarzyczka jej była drobna, dopasowana do całej filigranowej sylwetki.

Podczernione, nieco skośne oczy, były „poprawione” i przedłużone umiejętnie nakreślonymi liniami... rzęsy rozczesane wzorowo... policzki silnie przyróżowione, a małe, ukarminowane usteczka pomniejszone jeszcze, że wyglądały jak duża, ogrodowa malina. Jej ramiona były pełne, jakby utoczone, nogi smukłe, proste, stosunkowo długie, a rysunku bioder i piersi domyślałem się z układu fałd kimona i nie! mogłem się oprzeć uczuciu szczeremu zachwytu.

Powolnym ruchem złożyła malowany w kwiaty i motyle wachlarz, którym poruszała nieustannie, puściła go z dłoni, że, zawisł na szarfie i kołysał się przez chwilę na wysokości jej kolan, podniosła drugą rączkę, oparła mi ją na piersiach. Wraz z chrzęstem zsuwających się wzdłuż ramienia maneli, bransolet, łańcuszków, popłynęły słowa wypowiedziane głosem miękkim, jak aksamit. Nie! Nie wypowiedziane, lecz wyśpiewane:

— Nazywam się Kwiat Wiśni. Spójrz przyjacielu, jaka jestem maleńka przy tobie.

Gdzieś z oddali przypląnęły czarowne dźwięki fletni. Tony zawodzi-

* szylkret — masa rogowa z pancerzy żółwi morskich.

198

ły, wibrowały, drżały w rozgrzanym powietrzu, przenikały każdą tkankę mego ciała, nerw każdy.

Chinka przysunęła się bliżej. Jej strome piersi dotykały niemal mego torsu. Jej jedwabiste prawie zakryte mnóstwem pierścionków paluszki, zakończone różowymi, niezmiernie długimi paznokciami, ujęły obie moje dłonie w słodką niewolę. Jej purpurowe usteczka rozchyliły się w kuszącym uśmiechu, ukazując dwa równe rzędy białych, drapieźnych ząbków. Jej młode ciało zapachniało mi bukietem oszałamiających woni i sparzyło mnie swym gorącym przez kimono, poprzez moje ubranie.

— Czy ci się podobam, przyjacielu? — spytała Kwiat Wiśni, zadzierając główkę do góry i opuszczając na oczy gęstą firankę swych bajecznie długich rzęs.

Czy mogłem kłamać, zaprzeczać? Nie. Podobała mi się bardzo, widziałem, że jest piękna, czarująca, ponętna. Ale równocześnie przypomniałem sobie i uświadomiłem, po co tu przybyłem właściwie. Postanowiłem raz jeszcze spróbować, czy nie uda mi się przebudzić leżącej pod ścianą dziewczyny. Łagodnym ruchem odsunąłem dłonie Kwiatu Wiśni, podszedłem w róg separatki, przyklęknąłem na kraju plecionej maty i pochyliłem się nad twarzą śpiącej. Zacząłem powtórnie mówić, wołać, potrząsać bezwładnym ciałem. Maud poruszyła ręką przez sen, wybełkotała coś niewyraźnie a

gniewnie i ponownie znieruchomiła, zeszywniała...

Zerwałem się, jakby odrzucony potężną siłą. Z ust eks-pokojówki „Albionu” buchnął mi w nozdrza wstrętny odór mieszaniny whisky, wypitych win, koktajli, zjedzonych przekąsek rybnych i tym podobnych przysmaków.

Wzdrygnąłem się, uskoczyłem jak najdalej. Prawie wpadłem w ramiona zdziwionej Chinki.

Jaki kontrast! Tamta spita do nieprzytomności, cuchnąca wyziewami alkoholu, ryb, potu... ta świeża, piękna, pachnąca jak bukiet najwonnejszych kwiatów, perfum, esencji...

— Co począć? Co począć? —szeptałem bezradnie. —Muszę się z nią koniecznie rozmówić, a ona przed dniem nie wytrzeźwieje.

Kwiat Wiśni przytuliła się do mnie jak kotka, podsunęła mi pod usta swe włosy pachnące. ,

199

— Jest rada — zanuciła, bo głos jej był śpiewem słowika. —Zaczekasz u mnie, przyjacielu, póki ona się nie zbudzi.

— Jak to, u ciebie?

— Nie pytaj. Pójdź!... To niedaleko stąd. Dziesięć kroków. Małeńka Kwiat Wiśni ułoży cię do snu na miękkim posłaniu... Takiego ptaki »w gniazdkach nie mają. Małeńka Kwiat Wiśni usiądzie u twoich stóp i będzie ci nucić... Gdy zechcesz, da ci swą miłość, miłość nową, nieznaną, upojną, jakiej ci nie da żadna biała kobieta. Gdy"rozkazesz, odejdzie cicho jak duch, posłusznie jak grzeczne dziecko. Więc pójdź, nie pytaj o nic, mój przyjacielu...

Jeszcze się wahałem kilka sekund. Czy miałem „studia nad nocnym życiem tubylców” posuwać aż do takiej dokładności?

Ale Kwiat Wiśni wspięła się na palcach, otoczyła mi szyję obnażonymi ramionami i przelotnym pocałunkiem swych pełnych warg malinowych musnęła mi usta. Potem pewna zwycięstwa, pochwyciła mnie za rękę i pociągnęła ku drzwiom.

— Rano przyprowadzę cię tutaj—zaszczebiotała.

Rozdział III

Ofiary narkotyku

•

Wróciłem do domu koło dziewiątej rano i natychmiast położyłem się do łóżka.

Spałem kilka godzin. Zbudził mnie ostry dźwięk dzwonka. W pierwszej chwili nie mogłem się zorientować, gdzie jestem, jaki głos przerywa mój wypoczynek. Dźwięk powtórzył się w kilku krótkich odstępach. Aha, telefon... Szybko wyciągnąłem rękę po słuchawkę. Poznałem natychmiast świeży głosik panny Thevet:

— Hallo!! No, nareszcie się pan odezwał! Co się u was dzieje właściwie? Dzwoniłam rano o dziewiątej, powiedziano mi, że Lotte wyszła do miasta, a pan jeszcze nie wrócił z nocnej łazegi. Ładne rzeczy! Śmiałyby tak mój narzeczony, no! Dzwonię teraz powtórnie, znów zawód... Miss Lbtty jeszcze nie wróciła, Mister Andrew śpi. Kazałam się więc połączyć z pańskim pokojem i zbudziłam śpiocha. Bardzo się pan na mnie za to gniewa? Wybieramy się wieczorem do państwa, ale jak mi pan znowu Harveya wyciągnie na jakąś birbantkę, to się pokłócimy.

Na próżno chciałem przerwać kilka razy, wyjaśnić, odpowiedzieć na pytania lub sam

zapytać. Wartki potok wymowy roztrajkotanej Lou płynął nieprzerwanie, jak płynię olbrzymia, mętna Jangcy-kiang. Więc ruchem pełnym rezygnacji położyłem słuchawkę na poduszce, ucho na słuchawce, ręce wsunąłem pod kołdrę i postanowiłem czekać cierpliwie, aż strumień słów się wyczerpie, przycichnie... I przysłała taka chwila, co prawda nie prędko.

— Dlaczego pan nic nie odpowiada? Czemu pan milczy?

— Ponieważ czekam, droga panno Lou, aż mnie pani dopuści do głosu.

201

Z tamtej strony zabrzmiała w odpowiedzi przeciągła kaskada srebrzystego śmiechu i wreszcie zaległo upragnione milczenie. Należało wykorzystać tę rzadką okazję. Więc jednym tchem zacząłem recytować odpowiedzi na zadane uprzednio pytania:

— Nie mam pojęcia, dokąd wyszła Lotte. Od jakiegoś czasu: urządza w rannych godzinach wycieczki do miasta i nie chce, bym jej wówczas towarzyszył.

Przypuszczam, że wchodzi tu w grę względy toaletowe, że tak powiem. Zapewne konferencje z krawcami lub coś podobnego. Zapytam ją dzisiaj o to. A co do wyciągania pana Harveya na nocne eskapady, to pozwolę sobie zauważyć, że rzecz ma się na odwrót. Nie ja, lecz on jest inicjatorem tych...

— Niech pan tylko nic złego o nim nie mówi! — zastrzegła Lou energicznie.

— Ależ, broń Boże! Przysięgam pani najsolennie, że dzisiejszego wieczoru dotrzemy państwu towarzystwa. To znaczy, przysięgam za siebie, gdyż nie wiem...

Przerwała mi znowu:

— Skoro pan zostanie, on także dotrzemy nam towarzystwa.

— Czy tylko przyjdzie?

— Przyjdzie z pewnością. Przysiękłem mi to wczoraj przy pożegnaniu.;

— To świetnie. Bardzo się cieszę — odparłem obłudnie. Stały mi w pamięci wspomnienia dzisiejszej nocy, ranna rozmowa z wytrzeźwioną Maud i palce zacisnęły mi się mimowolnie w twarde kułaki. No, Harvey nie spodziewa się chyba, że go dziś zdemaskuję w obecności niedoszłej jego ofiary, że mu zapłacę zawiązka za wszystkie łajdactwa, zamachy, zbrodnie. Zdawałem sobie sprawę z tego, że rzecz trzeba będzie załatwić w legalny sposób, że trzeba będzie wtajemniczyć policję, zażądać jej pomocy. Przecież po zdemaskowaniu fałszywego Harveya^ pozostanie jeszcze drugi wróg, ów Chińczyk. Prawdopodobnie szajka: liczy więcej członków oprócz tych dwóch hersztów. Być może, iż jej siedzibą lub miejscem spotkań jest mieszkanie pseudo-Anglika, a w rzeczywistości Hindusa... Warto by więc ułatwić pracę policji przez zdobycie bliższych danych o głównym opryszku.

Zajęty takimi myślami słuchałem piąte przez dziesiąte dalszej paplaniny rozmownej Lou i zadałem jej nagle nieoczekiwane pytanie:

— Czy nie zna pani adresu Harveya?

202

— Adresu? Ja? Panie Andrzeju, co też pan mówi. Gdyby to kto słyszał... v

— Ależ daję pani słowo, że nie mam żadnych złych myśli. Chcę po prostu nareszcie rewizytować Harveya (lepiej późno, niż nigdy), a ponieważ wiem, że komunikujecie się państwo często ze sobą, więc pytam...

Znowu zabrzmiał śmiech, potem odpowiedź:

— Wie pan, to naprawdę dziwne, lecz nie znam jego adresu. Nawet zapytywałam go o to kilkakrotnie, oczywiście z ciekawości, ale zawsze jakoś zesłiśmy na inny temat. On do mnie codziennie telefonuje...

— Więc zna pani numer jego telefonu.

— Ha ha ha ha... Także nie. Mówił mi, że niestety nie posiada telefonu w mieszkaniu i jest zmuszony dzwonić z kawiarni, restauracji, czy aptek.

— Hm... Jeśli zatem będzie dzwonił do pani, proszę go serdecznie do nas zaprosić. Zatańczymy sobie dla odmiany. Dobrze?

Donośny pisk radości starczył za wszelką odpowiedź. Krótco potem Lou osądziła, że wygadała się dostatecznie i pożegnawszy się ze mną, powiesiła słuchawkę.

— Do dzieła! —zawołałem, ochoczo wyskakując z łóżka. Zacząłem się pospiesznie ubierać, chcąc jak najprędzej wyjść do miasta i udać się do głównej komendy policji koncesji międzynarodowej. Postanowiłem skreślić kilka słów do Lotty. W tym celu podszedłem do biurka i nagle oniemiałem ze zdziwienia. Na zielonej bibule teczki widniały trzy słowa, wypisane ogromnymi literami, czerwonym ołówkiem:

„SZUKAJ POD SUSZKĄ!”

Nie była to ręka ani mej narzeczonej, ani wuja Tima, lecz jakieś obce, nie znane mi pismo.

Zaciekawiony poszukałem wzrokiem suszki i podniosłem ją w górę. Pod spodem leżał mały liścik. Rozerwałem liliową kopertę. Szybko przebiegłem wzrokiem krótką treść niezwykłego ultimatum:

Jeśli w ciągu dwóch tygodni nie opuścisz Szanghaju, zginiesz nieuchronnie. Ani detektywi Smoota, ani policja, ani żadna siła nie ocali cię przed moją zemstą.

Ten sam co w Makjan

Parsknąłem śmiechem. „Ten sam co w Makjan”... Tak nazywała się opuszczona przez poszukiwaczy ropy naftowej miejscowość na Borneo. Dch,, nie zapomnę tak szybko tej nazwy! Straszna pierwsza noc,

203

rozpaczliwe krzyki Lotty, długie tygodnie w gorączce, ataki febry wizyty Omby, niefortunny strzał żołnierza radży z Sarawak — otc wspomnienia, jakie się w mej pamięci wiązały z miejscowością Makjan Więc ultimatum pochodzi z rąk tego samego wroga, a raczę wrogów.

— Doskonale, Mr Harvey — rzekłem do siebie, wpadając w świetm humor. — Zaczynamy wreszcie grać w otwarte karty. Dobrze. Ter naiwny anonim bardzo mi się przyda dziś wieczór.

Nie zląkłem się bynajmniej pogroźek, lecz intrygowało mnie w naj wyższym stopniu, jakim cudem list ten znalazł się w mym pokoju. Wróg lub jego posłaniec musiał być tutaj, włożył przyniesione pismo po(suszkę i dla podkreślenia swej brawury pozostawił napis na bibule. Tak To musiał być sam autor ultimatum we własnej osobie. Charakter obi pism był prawie jednakowy.

Przede wszystkim skierowałem się ku oknom. Było ich trzy i wszystkie trzy wychodziły do ogrodu, pośrodku którego wznosił się pałac Smoota. Idąc od jednego do drugiego, zauważyłem, że okno położonf najbliżej łóżka jest tylko przymknięte. Niemile odkrycie. Pamiętan doskonale, że wczoraj wieczorem, przed wyruszeniem z Harveyem nj popisy tancerek hawajskich, własnoręcznie pozamykałem wszystki<

trzy okna. Mieszkając na parterze, byłem przygotowany na ewentualni niespodzianki i stąd moja przezorność, która w konkretnym wypadku nie zdała się na nic. Nie zdała się na nic z tej przyczyny, że nas przeciwnicy musieli mieć sprzymierzeńca wewnątrz domu, zapewne wśród przelicznej służby kolorowej.

Pchnąłem obie kwatery przymkniętego okna. Spojrzałem na dół. Intruz był widocznie dobrym gimnastykiem, albo go ktoś podsadził, gdyż poziom okna dzieliła od trawnika przestrzeń dwóch przeszłych metrów. Nagle ujrzałem coś, co mnie skłoniło do bezzwłocznego opuszczenia pokoju i udania się do ogrodu... Tak... Moje spostrzeżenie! było trafne. Na gładkim tle ścieżki biegnącej w pobliżu widniały ślady nóg. Złudzony ich małymi wymiarami, sądziłem początkowo, że są to odciski pozostawione przez damski trzewiczek, lecz w pewnym miejscu znalazłem wśród piasku, zmieszanego z tłuczoną cegłą (którą to miksturą wysypuje się aleje w chińskich parkach), tak wyraźne odbicie szerokiego obcasa, że pozbyłem się złudzeń.

204

\
— Więc nie Hindus, lecz Chińczyk — stwierdziłem.

Ślady urywały się przy wielkim trawniku. Wykombinowałem jednakże, że jeśli nieproszony gość przybył z zewnątrz, to posuwając się wzdłuż murów natknę się znowu na jego ślady. Przewidywania okazały się słuszne. Znalazłem kilka tych samych odcisków przy furtce.

— Co tam jest po drugiej stronie? — zagadnąłem starego ogrodnika, który pracował w pobliżu.

— Ulica, panie. Dawniej się zwała „Ulica rododendronów”, od szpalerów tych, pięknych krzaków, ale teraz jakoś ją z obca przezwano...

Gdzie ja tę nazwę słyszałem?... „Ulica rododendronów”! Hm... Dałbym rękę, że gdzieś się już z tym spotkałem... Ktoś mi opowiadał... ale kto, kiedy, gdzie...

Zacząłem uważnie oglądać mur, niewysoką niszę w nim wybitą oraz samą furtkę. Mur był wysoki na przeszło trzy metry i górą ubezpieczony tłuczonym szkłem. Bez drabinki sznurowej nie mógł się wtedy nikt tak łatwo przedostać. Przypatrując się z kolei zamkowi, ujrzałem tłuste, niebieskawe plamy przy samej dziurce od klucza, widoczne ślady całkiem świeżego naoliwienia.

Ogrodnik zaprzestał pracy i przyglądał mi się z zaciekawieniem.

— Macie klucz od tej furtki? — zagadnąłem.

— Nie panie. Nie mam i nie miałem nigdy.

— A kto ma?

— Nie wiem. Pracuję tutaj zaledwie od dwóch miesięcy.

I ten także. Nie dziś dopiero zrobiłem to spostrzeżenie, że wszyscy lokaje, pokojówki, kucharze, szoferzy, ogrodnicy, w ogóle cała służba jest bardzo „świeża”, jakby niedawno zaangażowana przez Smoota.

— Andrzej! Andrzej! — zabrzmiał w tej chwili głos Lotty.

— Hallo! Tu jestem — odpowiedziałem, kierując się w stronę pałacu.

Spotkaliśmy się w głównej alei, wysadzonej szpalerami srebrzystej trzmieliny oraz strzyżonych wiciokrzewów. Przywitaliśmy się bardzo serdecznie, potem trzymając się za ręce, zaczęliśmy się przechadzać po parku.

Miałem trochę nieczyste sumienie z powodu epizodu z Kwiatem Wiśni, lecz

nadrabiałem miną i chcąc odwrócić uwagę narzeczonej od ostatniej swej eskapady, zacząłem ją skwapliwie wypytywać, gdzie była

205

od rana, jaki jest cel jej częstych przedpołudniowych wycieczek, dlaczego robi przede mną tajemnice. Ten wypróbowany system nie zawodzi nigdy. Lotte jakby zapomniała o mej całonocnej nieobecności i rozmowa zesłała na jej wycieczki.

— Rozumiesz chyba, kochanie, że nie kieruje mną "prosta ciekawość, lecz troska o twoje bezpieczeństwo. Nie zapominaj, iż jesteśmy w Chinach. Szanghaj to nie Berlin.

— Nie zapominam o tym, Jędrusiu. Zresztą mam dwóch aniołów stróżów, którzy chodzą za mną krok w krok, skoro się tylko na ulicy pokażę.

Ta wiadomość zaniepokoiła mnie nie na żarty. Zarzuciłem Lotte pytania:

— Ależ, zapewniam cię, że są to prawdziwi opiekunowie — odparła z uśmiechem.

— Śledzą mnie z ukrycia, pomimo to jednak zauważyłam ich zaraz przy pierwszej czy drugiej przechadzce. Potrafiłam ich wyprowadzić w pole. Tę lub jadę aż do kamienicy, w której mieszka moja krawcowa. Jest tam na szczęście brama przechodnia. I kiedy moi opiekunowie czekają cierpliwie przez domem, aż ukończę długotrwałe konferencje toaletowe, ja jestem już w zupełnie innej części miasta. Ha ha ha ha! Wracam oczywiście tą samą drogą, by nie wzbudzić jakichkolwiek podejrzeń.

— Lecz kim są ci ludzie? Ach, Lotte, czemu mi nic o tym nie mówiłaś do tej pory!

— Ponieważ byłam i jestem przekonana, że tajemniczymi aniołami stróżami nie są jacyś wrogowie, ale po prostu detektywi wuja.

— Detektywi? Czy myślisz, że...

— Nie tylko myślę, lecz jestem pewna — przerwała mi szybko, — Kiedy jeszcze leżałaś w łóżku, wuj wezwał mnie pewnego razu do swego gabinetu i polecił mi jak najszczegółowiej opowiedzieć historię zagadkowych napadów na mnie, począwszy od chwili, jak otrzymałam] w Berlinie przez Konsulat Brytyjski jego pierwszy list. Przy tej okazji miałam sposobność przekonać się, że wuj Tim przestudiował nadei gruntownie mój pamiętnik... Poprawiał mnie chwilami, uzupełnia! niektóre szczegóły... robił jakieś notatki. Był zamyślony, skupionyI jakby zatroskany... Palił jedno cygaro za drugim... Pomyśl tylko, Andrzej, jaką on ma świetną pamięć! Zapamiętał nawet ową wschód-

206

nią historię, jaką nam opowiadał nieoceniony. Harvey na jeziorze Mensaleh.

„Znalazłem w twym dzienniku wzmiankę, a raczej krótkie streszczenie takiej, a takiej opowieści"—rzekł w pewnej chwili. „Czy nie mogłabyś mi tego szczegółowo opowiedzieć?"

W miarę możliwości zaspokoiliam jego ciekawość. Rozumiesz chyba, że po tylu miesiącach pamiętałam tylko piątą przez dziesiątą.

Ale najciekawszy był koniec naszej konferencji. Wuj przytulił mnie do siebie, uściskał serdecznie i rzekł tak mniej więcej: „Zdaje mi się, iż przeniknąłem mroki zagadki. Nie obawiaj się niczego, my dear Lotty. Jesteś teraz pod opieką brata twej matki. Ci panowie, o ile to oni są rzeczywiście, nie doceniają widocznie siły Tima Smoota. Ze mnie drwić nie wolno! Moja wola jest święta. Nie takie trudności zwalczałem na drodze swego dotychczasowego życia... Kto chce ze mną wojny,

będzie ją miał, lecz przysięgam, że przegra sromotnie."

Potem najniespodziewaniej w świecie wpadł w straszny gniew. Walił pięścią w biurko, odgrażał się komuś; nazywał kogoś przeklętym maniakiem. Pojmujesz moje zdziwienie... Wuj także musiał zauważyć moją minę, gdyż uspokoił się szybko, odmówił mi udzielenia jakichś bliższych wyjaśnień, zapewnił tylko kilkakrotnie, że mogę się czuć zupełnie bezpieczna. „Moi ludzie będą czuwać nad tobą i nad twoim chłopcem... Idź teraz do niego. Pielęgnuj go troskliwie, opiekuj się nim, gdyż na to zasłużył... A skoro wyzdrowieje, urządzimy weselisko, jakiego jeszcze w Szanghaju nie widziano." Na tym się skończyła moja pierwsza i ostatnia rozmowa z wujaszkiem, na temat tajemniczych wypadków, jakie towarzyszyły naszemu przyjazdowi z Europy.

I krótko potem zauważyłam wyjeżdżając autem na przejażdżkę, że drugi samochód jedzie za mną w pewnej odległości. Siedziało w nim dwóch panów, których później coraz częściej spotykałam. Wiesz, tak mi się zdaje, że nawet John, który prowadzi rolls-royce'a, to przebrany detektyw. Ma zanadto inteligentną twarz na zwykłego szofera i zanadto jest ciekawy.

— Lotte! — zawołałem, korzystając z małej pauzy — to są wszystko informacje pierwszej wagi...

— Interesuje cię to? Widzisz, przyznam ci się, że nieraz już chciałam ci powiedzieć, ale...

— Ale?

207

— Myślałam że będziesz niezadowolony. Przecież to nic przyjemnego być ustawicznie śledzonym. Bo za tobą także chodzi dwóch opiekunów... Na przykład wczoraj, kiedyś wyszedł razem z Harveyem, podeszłam do okna, by ci posłać całusa...

— Pamiętam... Stałaś w środkowym oknie błękitnego salonu.

— Tak. I ledwie wskoczyłeś do auta, zza rogu ulicy wyjechał samochód, w nim dwóch mężczyzn...

— Eeee! Prosty zbieg okoliczności. Zdaje się, iż przesadzasz. Gotowaś przejść w manię prześladowczą, kochanie... Ja także jestem bardzo spostrzegawczy, lecz nigdy nie zauważyłem czegoś podobnego...;

— Więc obserwuj uważniej...

— Mniejsza z tym. Co innego mnie teraz niepokoi...

— Co takiego, Jędrusiu? — spytała, przyciskając swą rękę silniej do mego ramienia.

— Jeżeli jesteś pewna, że śledzą cię detektywi wuja, że z jego polecenia czuwają nad tobą, czemu starasz się wprowadzić ich w błąd: i wyślizgujesz się spod ich opieki? Możesz się rzeczywiście znaleźć kiedyś w niebezpieczeństwie i co wtedy? Nasi wrogowie nie śpią...

Odpowiedziała mi wesołym, beztroskim śmiechem.

— Nasi wrogowie zostali na Borneo. Tu, w Szanghaju jesteśmy bezpieczni.

— A jeśli są tutaj?

— Bajki, darling! Byliby już dawno dali znać o sobie. Tymczasem, patrz! Wrzesień, październik, listopad, grudzień i styczeń — liczyła na palcach.

Właśnie miałem na języku nowinę o anonimowym ultimatum, jakie znalazłem na

swoim biurku, kiedy rozległo się wołanie.

— Telefon! Telefon!

Pobiegliśmy spiesznie do pałacu, na wyścigi. Lotte pierwsza dopadła słuchawki:

— Ach, to ty, Lou! —były jej pierwsze słowa...

— Harvey wyjechał? Szkoda. Jesteś zmartwiona. Wierzę, wierze mocno.

— Pozwól, kochanie. Ta wiadomość mnie bardzo interesuje. Odebrawszy słuchawkę, przeczekałem huraganowy ogień narzekania, zapytań, a w końcu dorwałem się do głosu:

208

— Tu Andrzej, panno Lou. Co słyhać z Harveyem? Czy nie będzie mógł przyjść dzisiaj?

— Ani dzisiaj, ani jutro, ani za tydzień. Ach, nieszczęście... Jestem zrozpaczona — trajkotała panna Thavet. — Telefonował do mnie przed kwadrans, że dostał ważny telegram z Pekinu i musi natychmiast wyjechać. Nawet nie ma czasu przyjść się pożegnać osobiście. Straszne! Pytałam, na jak długo... „Trudno mi dziś określić” odparł. „W każdym razie na przyjęciu u Mr Smoota będę z pewnością.”

— Tak mówił?

— Przyrzekł najsolennie. Powiedział, że już kazał sobie przygotować kostium, w którym wystąpi, ale nie chciał powiedzieć jaki. „Będę was wszystkich intrygował, a zdemaskuję się dopiero nad ranem.”

Oddałem słuchawkę narzeczonej. Dalsza paplanina Lou działała mi na nerwy.

Usiadłem w fotela opodal i zacząłem rozmyślać...

Więc Harvey „wyjechał”. Zapewne na skutek wczorajszego spotkania w barze „Pod błękitnym parasolem”. Domyślił się, że prędzej czy później zobaczą Maud, lub nawet ucharakteryzował się i śledził nas z innej łoży. Po nim można się było wszystkiego spodziewać... Cała pociecha w tym, że zapowiada swe przybycie na bal maskowy, jaki wydaje Tim Smoot w swym pałacu za dwa tygodnie. Byle tylko przyrzeczenia dotrzymał, to ja go już wcześniej „zdemaskuję” niż rano. O, znacznie wcześniej! ?

— Co tam mruyczysz, moje kochanie? — spytała Lotte, która zdążyła się jakoś niezwykle szybko pozbyć roztrajkotanej przyjaciółki i stanęła obok mego foteSu. Posadziłem ją sobie na kolanach, objąłem w pół i powracając myślą do tematu rozmowy, rozpoczętej w parku, rzekłem:

— 'Mam do ciebie, drogi kociaku, wielką prośbę. Nie chcę cię znowu zapewniać, że kieruje mną li tylko lęk, obawa o twoje życie. Lotty, powiedz mi, co znaczą twoje codzienne wycieczki do miasta? Dlaczego nie pozwalasz, abym ci towarzyszył? Dokąd się udajesz? Myślałem początkowo, że studiujesz żurnale i obmyślasz jakiś nadzwyczajny kostium na przyjęcie u wuja.' Ale sama mi powiedziałaś w ogrodzie, że kamienica, w której mieszka krawcowa ma sień przechodnią, że służy ci za pretekst wycieczek, że w rzeczywistości udajesz się w zupełnie inną część miasta. .

t

14 Perla Szanghaju

209

Kochanie, przede mną nie powinnaś mieć tajemnic. Ja proszę o szczer* rość.

W miarę, jak mówiłem, uśmiech zniknął ze słodkiej twarzyczki mej narzeczonej. Stała się poważna, skupiona, prawie surowa.

— Czy mi ufasz? — spytała krótko.

— Bez granic. Wierzę głęboko, że nie potrafiłabyś się zdobyć ani na czyn, ani na myśl nawet, która by uwłaczała twej miłości ku, mnie.

— Więc skoro mi ufasz, nie pytaj o nic. — Potem widząc moje rozczarowanie, dodała szybko: — Przyjdzie dzień, w którym zrozumiesz wszystko, bez jakichkolwiek z mej strony wyjaśnień. Zrozumiesz przede; wszystkim, dlaczego miałam przed tobą tajemnice i usprawiedliwisz me postępowanie. Cierpliwości! Trochę cierpliwości. Umilkła i cisza rozdzwoniła się w przestronnym pokoju. Odpowiedź Lotty nie rozproszyła bynajmniej mych obaw. Jeszcze raz spróbowałam szczęścia:

— Z intonacji twego głosu i ze skupionego wyrazu twarzy wnoszę, że przyczyny, jakie cię skłaniają do robienia przede mną tajemnic, muszą być istotnie poważne. Nie nalegam więc, choć trudno mi się oprzeć uczuciu pewnego zawodu. Nie wyjawiaj mi zatem celu twych tajemniczych wycieczek, tylko kierunek twej drogi. Wymień mi dzielnicę, do której się udajesz, względnie ulicę. Chcę wiedzieć, gdzie się obracasz, czyi nie chodzisz przypadkiem do chińskiej dzielnicy. Chcę być spokojny o twe bezpieczeństwo.

— Więc masz moją rękę, że w czasie tych wycieczek jestem stokroć bardziej pewna życia, niż choćby tu, w pałacu wuja, pośród czeredy płatnych detektywów, których łatwo wywieść w pole, jak ci to mówiłam. — Potem przeszła nagle w swój zwykły sposób mówienia, żartobliwy, wesoły: — Ani słowa więcej na ten temat. Mam ci do zakomunikowania coś nierównie ważniejszego. Słuchaj! Lou powiedziała mi przy końcu, rozmowy, że dzisiaj wieczorem do nas nie przybędzie, gdyż dziadek ma jakąś konferencję w klubie lekarzy. Ja przypuszczam wprawdzie, że przyczyna jest inna...

— Wyjazd Harveya.

— Otóż właśnie. Słuchaj dalej! Kiedy szłam do parku, aby cię odszukać, spotkałam w hallu wuja, ubranego jak do podróży. Wyjechał

210

na dwa dni do Nan-kingu. Kazał cię przeprosić i pożegnać. Sam nie miał czasu, jak zwykle... Czy wiesz, co z tego wynika?

— Że dziś wieczorem będziemy tylko we dwoje...

— Tak, darling. Wuja nie będzie, chroniczny pesymista Thevet nie przyjdzie ani Lou trajkotka, ani sympatyczny Harvey...

— Och! Sympatyczny?

— Bardzo sympatyczny, ty stary zazdrośniku.

Chciałem jeszcze protestować, ale wszelką opozycję stłumiły w zarodku pachnące usteczka Lotty, które przylgnęły do moich warg na długo, na bardzo długo... i nie pozwoliły mi mówić...

... W nocy dojrzał we mnie zamiar śledzenia kroków Lotty. Nie chcąc być wzajemnie śledzony przez detektywów, opuściłem o 8 rano pałac drogą dość oryginalną, bowiem przez okno swego pokoju, przez park i mur go okalający. Znalazłem się w pięknej „Ulicy rododendronów”, ochrzczonej obecnie mianem „Alej Frencha”. Pobiegłem do najbliższego postoju taksówek i szybko ubiłem targu z szoferem, a zarazem właścicielem małej limuzyny. /

Wynajęta taksówka przystanąła na rogu przecznicy „Alej Frencha”, w miejscu, skąd frontową bramę parku Smoota widać było, jak na dłoni. Był to doskonały punkt

obserwacyjny. Z mej oszklonej klatki zauważyłem szybko małego, rozkraczonego-forda, który czatował opodal, zwrócony ku mnie latarniami. Siedział w nim jakiś mężczyzna, zajęty czytaniem porannych dzienników. Od czasu do czasu przerywał sobie lekturę i rzucał ukośne spojrzenia w stronę pobliskiego kiosku. Tam stało zawsze kilka osób. Kupowały coś, płaciły, odchodziły, na ich miejsce przychodzili nowi ludzie. Lecz jeden jegomość w szarym palcie sterczał przed kioskiem stale. Zrozumiałem... To był drugi detektyw.

Chwilę później miałem okazję się przekonać, że moje domysły były słuszne. Kiedy szeroka brama wjazdowa rozwarła się na oścież i wytoczył się z parku na ulicę potężny kadłub rolls-royce'a, człowiek, który czatował przed kioskiem, dał znak ręką i ford, stojący opodal, ruszył z miejsca.

Był to widok bardzo oryginalny, przynajmniej dla mnie. Przez boczne gwarne ulice International Settlementu, a potem przez najruchliwszą z nich „Bund”, przeciskał się duży rolls-royce, wiozący Lottę na jej zagadkową przejażdżkę, za nim sunął fordzik z dwoma detektywami,

211

z których jeden grał rolę szofera, a na końcu wlokła sfę moja limuzynka.

Powiedziałem: „wlokła się” i tego określenia nie cofnę, gdyż tamte dwa samochody zaczęły mi znikać coraz częściej z oczu.

— Prędzej! Prędzej! — wołałem.

Kierowca dawał gazu, lecz za każdym nowym zakretem przekonywałem się, że odległość wzrasta. Wydostawszy się na mniej ruchliwe ulice rolls-royce nie żartował, a fordzik chcąc mu dorównać, szalał. Wreszcie wjechał w jakąś długą ulicę, przecinającą plac upiększony kępami drzew, zakląłem z wściekłości. Naprzeciw mnie pędził rolls-royce, lecz już bez Lotty. Wysiadła widać. Ale, który z tych wielopiętrowych gmachów był ową kamienicą z przechodnią sienią, nie mogłem się domyślić. Ujrzałem forda. Agent „robiący” szofera, manipulował coś przy chłodnicy. Agent z gazetą spacerował obok auta. Nie namyślając się wiele zatrzymałem limuzynę, wyskoczyłem i podbiegłem do niego.

— Gdzie jest Miss Lotty Nardewitz? — zapytałem. Zbaraniał zupełnie. Patrzył na mnie rozszerzonymi oczami.

— No, niechże pan oprzytomnieje wreszcie. Wiem, że mam przyjemność z jednym z detektywów Mr Smoota. Chcę coś bardzo ważnego zakomunikować narzeczonej. Gdzie weszła? Do której bramy?

Musiał mnie znać z widzenia i poznać, gdyż uklonił się grzecznie i wskazał mi odnośną bramę.

— Jest u krawcowej. Pierwsza sień, trzecie piętro na prawo. Omal mu się w twarz nie roześmiałem, ale nie miałem zania

wtajemniczać go, gdzie Lotte znajduje się w tej chwili rzeczywiście.

Minawszy bramę, przebiegłem szybko długą sień, podwórze, znowu sień, znów podwórze, aż stanąłem wobec ogromnego gmachu, szczerzącego ku mnie cztery czarne wyloty przymkniętych bram. Na chybił trafił wpadłem w pierwszą z brzegu. Spudłowałem. Tak mi się przynajmniej wydawało w pierwszej chwili, gdyż sień kończyła się ciemną klatką schodową. Nagle w tę ciemnicę, wpadł z góry strumień światła, świe wiew powietrza i zgiełk uliczny. Teraz zrozumiałem dopiero. Bram

znajdowała się na pierwszym piętrze, albowiem poziom drugiej ulicy wznosił się o piętro wyżej, niż poziom dwóch dziedzińców. Jakiś wkraczający właśnie do kamienicy przechodzień, wskazał mi drogę mimowoli.

Stanąwszy na chodniku, zacząłem się rozglądać na wszystkie strony. 212

Lotty ani śladu. Nadaremnie wyciągałem szyję i wyęczałem oczy. Przybyłem za późno. „Trzeba będzie jutro tutaj się ustawić” zadecydowałem w myśli i zrezygnowany zupełnie podszedłem do pobliskiej stacji benzynowej Standard Oil Company, przy której czekał cały sznur taksówek.

I nagle strzeliła mi do głowy myśl, którą uznałem natychmiast za nonsensowną, lecz której nie mogłem jakoś nie wprowadzić w czyn. Skierowałem się ku grupie szoferów, konferujących pod czerwoną studnią zbiornika, z wielkim ożywieniem na temat ostatnich wypadków politycznych. Zagadnąłem ich o Lotte.

— A jakże! — odparł jakiś długi kierowcą taksówki, akcentem wybitnie irlandzkim.

— Dama w szarym kostiumie, obszytym futerkiem. Taka ładna, młoda blondynka. A jakże! Nieraz ją stąd woziłem. Niech pan siada.

Ucieszyłem się ogromnie, ale równocześnie miałem podejrzenie, że sprytny szofer chce mnie przewieźć po całym mieście, dobrze zarobić i w końcu wskazać pierwszą lepszą napotkaną blondynkę. Cóż bym mu mógł zrobić za to? , . Lecz pomimo to wsiadłem. * ,

Auto ruszyło z miejsca od razu bardzo szybko. Zbyt jeszcze słabo znałem olbrzymie miasto, bym się mógł zorientować, którądy jadę. Zerknąwszy jednak na zegarek i na licznik, stwierdziłem, że jazda przedłuża się niepomniernie. Początkowe podejrzenia ożyły, wzrosły do zenitu. \

— Gdzie mnie pan wiezie, u licha? — zawołałem gniewnie.

— Jeszcze trzy ulice tylko i staniemy przed kościółkiem Jezuitów.

— Co?

— Tam jeździ ta pani po ojca Jerzego, a potem...

— Jaki ojciec Jerzy? Co to za jeden? — przerwałem. Irlandczyk przyhamował, oglądnał się wstecz i odparł z flegmą:

— Pan chyba od niedawna w Szanghaju, że nie wie, kto ojciec Jerzy... Każde dziecko go zna z pewnością...

— Mniejsza o to. Proszę jechać szybciej.

Lecz kiedy samochód przyspieszył biegu, powziąłem inny zamiar. Skoro Lotte jeździ po jakiegoś tam ojca Jerzego, to znaczy, że jej eskapada nie skończy się przed rzeczonym kościołem, że udadzą się

213

razem gdzieś dalej. Lepiej więc nie zajeżdżać przed sam kościół, ale przystanąć opodal i rozwiązać zagadkę aż do końca.

Tak też uczyniłem. Irlandczyk pojał w lot, o co chodzi, lecz ku memu zdziwieniu zrobił jedno zastrzeżenie:

— Tylko jakby pana skusiło podnieść rękę na ojca Jerzego, to będzie pan miał ze mną do czynienia. Panie, ja jestem dobry katolik, jak wszyscy Irlandczycy.

Uspokoilem pocziwca, że nie mam żadnych wrogich zamiarów wobec nieznanego mi zresztą duszpasterza, wobec czego skinął głową* potakująco i zatrzymał wóz w takim miejscu, że mogłem doskonale widzieć całą niemal ulicę oraz kamienne

stopnie, przed którymi stała* pusta taksówka.

Czekałem może kwadrans. Wreszcie z bramy kościoła wyszedł dosyć niski księżulo, a obok niego Lotte. Poznałem ją z daleka po ubiorze. Wsiedli razem do czekającej taksówki i ruszyli...

—Za nimi, w takiej samej odległości, co teraz! —rzuciłem szoferowi.

Wielkie kamienice urwały się nagle, jak nożem uciął. Jechaliśmy teraz wąskimi uliczkami, pośród domków budowanych bez żadnego pojęcia o linii regulacyjnej. Niektóre z nich stały do ulicy tyłem lub rogiem, niektóre wdzierały się w arterię komunikacyjną tak głęboko, że^ pochłaniały nie tylko całą przestrzeń jednego chodnika, ale nawet 1 połowę jezdni. W tych miejscach powstawał zator, panował ścisk, tłok,? nieporządek i auta musiały zwalniać albo nawet przystawać, aby; przeczekać, aż drugi sznur wózków obładowanych towarem odpłynie. Niektóre z zadartych okapów dachów były tak długie, że zwisały ponad"! jezdnię, tworząc jakieś fantastyczne mosty. Przeliczne kramy, budki, sklepiki, kioski, stragany kradły nowe połączenie przestrzeni biednym ulicom, rozbrzmiewającym gwarem przewalających się tłumów.

W pewnym miejscu posypał się na mnie grad ogryzków, śmieci, wśród których nie brakło nadgryzionych przez psy szczurów, ani] śmierdzących ryb. Tego rodzaju „owacje" powtórzyły się kilkakrotnie,] a towarzyszył im przeraźliwy pisk półnagich, złotych dzieciaków.

— Boże, jakie szczęście, że przyszedł mi do głowy pomysł śledzenia Lotty! — szeptałem, zasłaniając się otworzonym parasolem, jak tarczą przed pociskami łobuzów. —Ta lekkomyślna dziewczyna nie zdaje

214

sobie sprawy z ogromu niebezpieczeństw, jakie czyhają na białego intruza w głębi dzielnic chińskich, zwłaszcza w dzisiejszych czasach. No, ale to jej ostatnia eskapada...

Moje auto przybliżyło się do pierwszej taksówki i ze zdziwieniem spostrzegłem, że przechodnie, nie wyłączając dzieci, zachowują się wobec Lotty oraz jej towarzysza zupełnie inaczej niż wobec mnie. Nie bombardowano ich cuchnącymi pociskami, nie świstano, nie wygrażano pięściami. Przeciwnie. Wielu starszych kłaniało się grzecznie, a kilkunastu wyrostków obskoczyło ich samochód z okrzykami radości, przy czym najmniejsi powskakiwali na stopnie. Lotte rozdzielała pomiędzy nich coś, co wywoływało głośne okrzyki zachwyty. Potem obdarowani malcy zeskakiwali czym prędzej, by innym towarzyszom zrobić miejsce.

— Zaraz staniemy na miejscu — rzekł Irlandczyk i wprawnym ruchem strącił zdechłego kociaka, który opisał łuk nad moją głową, a wylądował na kierownicy auta, pozostawiając za sobą smugę obrzydliwego smrodu.

Beznadziejne zaułki kończyły się obszernym placem, który zasługiwał raczej na miano śmietnika. Jeden bok wspomnianego placu zajmował dość wysoki mur z cegieł. Nieco w głębi dojrzałem zakratowane okna całego kompleksu budynków, a właściwie baraków, ocienionych szpalerami drzew.

— Stanać! — rozkazałem, widząc, że tamci zajeżdżają przed główną bramę.

Wyskoczywszy na małą wysepkę, która sterczała wśród jeziora kałuż i śmieci,

dodałem: —Proszę zaczekać na mnie.

— Pan idzie do zakładu? To pewnie dłużej potrwa.

— Jaki znów zakład?

— Zakład dla umysłowo chorych, założony przez świątobliwego ojca Jerzego. Widzę teraz pewnie, że pan nietutejszy.

Znowu ten Jerzy... „Jakaś zagadkowa figura” — myślałem, przeskakując z wysepki na wysepkę, z kamienia na kamień. Kiedy doszedłem do bramy, była już zamknięta. Taksówka, którą przyjechała Lotte, objeżdżała właśnie plac dokoła. Nie wiedziałem, co począć, czy wrócić, odkrywszy już cel wycieczek mej narzeczonej, czy zaczekać na nią, czy wreszcie...

— Do stu diabłów! —zawołałem pod wpływem nagle powziętego

215

zamiaru: —Nie po to chyba straciłem tyle czasu, by się teraz cofać od progu zagadki. Naprzód!

Energicznym szarpnięciem pociągnąłem zwisający przy bramie koniec sznura, zaopatrzony w niezgrabnie wyciosaną rączkę.

Po dziesięciominutowym uporczywym dzwonieniu i kołataniu otworzyło się małe zakratowane okienko. Jeszcze ładna chwila upłynęła, nim flegmatyczny odzwierny zdecydował się wpuścić mnie do środka. Brama pchnięta jego silną ręką, zatrzaskała się z głuchym; łoskotem za moimi plecami. Stałem w dużej, niskiej sieni, oko w oko; z muskularnym Chińczykiem. Przyglądał mi się spode łba i potrząsał, w rękę pękiem żelaznych kluczy, z których każdy mógłby zmiażdżyć czaszkę ludzką, zwłaszcza w takich łapach.

— Gdzie jest młoda dama, która weszła tu przed chwilą? — spytałem.

— Nie wiem — odparł i poprawił się szybko —nie rozumiem. Kłamał

najoczywiściej, gdyż władając doskonale żargonem chińsko-

-angielskim, tak zwanym w Chinach południowych „pigeen”, musiał rozumieć, co do niego po angielsku mówię.

— Więc zawołaj kogoś, co mnie zrozumie —rzekłem. Wzruszył ramionami i przykucnął na najniższym stopniu schodów,

zagradzając mi w ten sposób drogę w głąb budynku.

Zacząłem się niecierpliwić, podniosłem głos, wreszcie podenerwowany, posunąłem się w kierunku schodów, chcąc odnaleźć kogoś; rozmowniejszego od mrukliwego cerbera. Ale w chwili, kiedy go miałem' minąć, dźwignął się na nogi i oparł mi jedną rękę na ramieniu. Ręka ta była diabelnie ciężka.

— Pan tu zostanie, aż kto nadejdzie.

— Przemówiłeś nareszcie. Słuchajże człowieku, i nie wyprowadzaj mnie z równowagi. Chcę natychmiast mówić z księdzem... jakże mu to..^ Jerzym.

— Pan zna ojca Jerzego? —zapytał tonem o wiele bardziej uprzejmym.

Skwapliwie potwierdziłem. Znam go, oczywiście. Nawet kazał mi tutaj przyjść. Moja narzeczonej przyjechała do zakładu przed chwilą. Widziałem, jak razem wchodzili do bramy.

— Trza było od razu tak mówić — odparł, wysłuchawszy mnie

216

cierpliwie. Zadarł głowę do góry i zaczął coś wykrzykiwać po chińsku. Nie był to

dialekt szanghajski, toteż nie zrozumiałem ani słowa. Dźwięczne sylaby jęczały, dzwoniły, gęgały, aż z piętra odpowiedział głos inny, całkiem podobny, lecz o jakieś dwie oktawy wyższy. '

Po szerokiej barierze schodów zjechał na dół może dwunastoletni chłopiec chiński i wpadł całym impetem na odźwiernego. Obaj rozpoczęli hałaśliwą dyskusję, wskazując kilkakrotnie na mnie. Potem malec popędził jak strzała na piętro, przeskakując po kilka stopni naraz.

Zjawił się z powrotem po dobrym kwadransie.

— Niech pan idzie za mną. Proszę bardzo. — Mówił najczystszą angielszczyzną.

Minęliśmy schody. Znaleźliśmy się w dużym, kwadratowym hallu, którego każda ściana miała dwoje lub troje drzwi, opatrzonych na górze łacińskimi napisami.

Parlatorium* — przeczytałem nad drzwiami, które mój mały przewodnik otworzył.

— Sir, proszę zechcieć łaskawie poczekać. Ojciec Jerzy zaraz nadejdzie.

Uklonił mi się bardzo grzecznie, wskazał dłonią fotel i cofnął się ku drzwiom.

Zacząłem się rozglądać po parlatorium. Była to duża sala, prostokątna. Trzy okna o poczwórnych kwaterach wychodziły na obszerny dziedziniec zakładu. W rogach pokoju stały grupy wyplatanych krzeseł, stolików, kanapek, zapewne dla czekających interesantów lub gości. Nie musiała to jednak być pora przyjęć, gdyż znajdowałem się w sali zupełnie sam.

Wzrok mój przykuło duże płótno, zajmujące trzecią część głównej ściany.

Przedstawiało ono wnętrze wspaniałego namiotu. Na złotym tronie siedział przeraźliwie brzydki Mongoł, otoczony świątą dzikich wojowników. Przed tronem stał mąż bajecznej postury, w stroju włoskim z trzynastego wieku. W dłoniach dzierżył rulon pergaminu, opatrzone olbrzymią pieczęcią. Pięknie wykaligrafowany napis pod obrazem głosił: „Marco Polo u chana Kubilaja”.

Ach, więc to owa pamiętna audiencja w Pekinie, w czasie której

* Parlatorium t—j rozmównica w klasztorze.

217

sławny Wenecjanin wręczył Kubilajowi list od papieża Grzegorza X. Był! to przecież najważniejszy epizod z drugiej podróży Marca Polo do Chin.]

Zachwycony doskonałą proporcją rysunku, doborem barw, staran-j nym wykończeniem każdej bez wyjątku sylwetki, zapragnąłem poznać! nazwisko autora.

Wreszcie znalazłem. W prawym, dolnym rogu płótnaj widniał maleńki podpis: „Pater GS. J. a.d. 1922”.

Znowu ojciec Jerzy. Co za uniwersalny talent!

Dalsze obrazy przedstawiały dzieje męczeństwa licznych misjonarzy, zamordowanych przez dzikich Chińczyków w ciągu ostatnich stuleci.] Niektóre z nich były prawdziwymi arcydziełami, a wszystkie nosiły ten] sani maleńki, skromny podpis, co pierwsze płótno. Twarze umęczonych] ascetów zadarte ku niebu miały wyraz jakiegoś zaziemskiego uniesienia,] ekstatycznej radości. Ich wyciągnięte dłonie zdawały się błogosławić! zaślepionych, nierozumnych katów, ich blade wargi zdawały się szeptać] słowa przebaczenia i przykuwały jak magnes potężny, moje zachwyconej spojrzenia. A kiedy jeszcze przyjrzałem się uważnie kolorystowi i rysun-; kowi ciał wbitych na pale, ciał rozrywanych sznurami, ciał ukrzyżowa-j nych, palonych, miażdżonych, rysunkowi świadczącemu wymowniej o wielkiej znajomości

anatomii u malarza, moje uznanie dla ojca Jerzego wzrosło do najwyższych granic.
— To wielki artysta! — rzekłem głośno.

— Przesada, drogi panie — odparł jakiś melodyjny ujmujący głos.

Odwróciłem się na pięcie. W odległości dwóch metrów stał niski człowiek, którego od razu w myśli przezwalałem mianem: „czarnego”. Czarny bowiem był jego strój, przyniszczona sutanna, trzewiki i biret, ciemna, jakby brunatnawa, była barwa jego skóry na dłoniach oraz twarzy, a kosmyki włosów, wymykających się spod „priest-cap”* brwi, rzęsy, wąsy i długa broda miały kolor piór kruka. Jedyłą oazą spośród tego czarnego tła stanowiły jasnoniebieskie oczy.

— Jestem ojciec Jerzy — przemówił. — Podobno życzył pan sobie] mówić ze mną. Ale może przejdziemy do pracowni.

Mijając wielką statuetkę św. Ignacego Lojoli, założyciela Zakonu Jezuitów, rzuciłem okiem na marmurową podstawę posągu i ku swemu!

* priest-cap (ang.) — biret.

218

/

najwyższemu zdziwieniu odkryłem ten sam szyfr, co na obrazach. Więc to także rzeźbiarz!

Stanęliśmy w pracowni, której jedynym umeblowaniem było olbrzymie biurko bardzo tandetnej roboty, kilka stołków, klęcznik pod wielkim krucyfiksem i półka z książkami. Jakby dla wynagrodzenia tego ubóstwa sprzętów leżały wszędzie sterty papierów, pokrytych kolumnami cyfr, stosy notatek, bloczków, a nawet weksli.

— Czym mogę panu służyć? — zapytał gospodarz, kiedy mu wymieniłem swe nazwisko i usiadłem nie bez obawy na chwiejącym się krześle.

— Pozwoli ksiądz, że od razu przystąpię do rzeczy.

— Ależ proszę bardzo.

— Chciałbym zatem wiedzieć, co porabia tutaj Miss Nardewitz. W jakim celu przywozi ją ksiądz co dnia w te przeklęte zaułki dzielnicy chińskiej, gdzie białego człowieka spotykają na każdym kroku zaczepki, a nawet niebezpieczeństwa...

— Nie każdego, pozwolę sobie zaznaczyć...

— Być może, że ksiądz należy do uprzywilejowanych. Ja tego o sobie nie mogę powiedzieć. Jestem nawet zadowolony, że pociskami były tym razem zdechłe szczury, ale w powrotnej drodze mogą być na przykład kamienie. Przekotiawszy się na własnej skórze, z jaką „uprzejmością” witają Chińczycy Europejczyków, żywie uzasadnione obawy o życie Lotty. Ona jest moją narzeczoną...

— Ach, więc to pan?! Domyślałem się tego po trosze, lecz ponieważ wymienił pan tylko nazwisko, którego przyznam się, nawet dobrze nie dosłyszałem, ergo...

— Mniejsza z tym — przerwałem ja z kolei. — Powracam do treści mego pierwotnego pytania i proszę o szczerą odpowiedź.

— Zanim spełnię pańskie życzenie, chciałbym wiedzieć, w jaki sposób trafił pan do mnie. Proszę nie sądzić nic złego... Pytanie to ma pierwszorzędną wagę, jak się pan będzie miał okazję kiedyś przekonać...

— O! Dopiero „kiedyś”? Jestem zdania, że zagadka musi być dziś rozwiązana.

Na słowo „musi” położyłem nacisk. Księżulo wzruszył ramionami.

— To będzie zależeć wyłącznie od woli Miss Lotty, czy się pan już dzisiaj

wszystkiego dowie... Ale czekam na odpowiedź na moje pytanie.

219

— Dobrze. Chcę być lojalny, lecz zażadam wzajemności. Otóż szedłem krok w krok za moją narzeczoną, dotarłem aż pod kościół waszego zakonu, widziałem, jak wychodziliście obydwoje, jechałem za wami drugim autem i zajechałem pod zakład. Zrozumię ksiądz chyba, że zaintrygował mnie cel codziennych tajemniczych eskapad Lotty i postanowiłem ją śledzić.

— Więc nie ufał jej pan?

— Carissime pater, mam wrażenie, że grubo odbiegliśmy od właściwego tematu rozmowy — wycedziłem z ironią.

— Nie ufał jej pan — ciągnął niezrażony. — Krzywdził ją pan zapewne rozmaitymi podejrzeniami, a tymczasem...

— Dość tego! — zawołałem, zrywając się z miejsca. — Nie. przybyłem tutaj słuchać nauk moralnych ani kazań... Proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

Zakonnik spojrział na mnie z łagodnym wyrzutem. Jego wejrzenie miało w sobie niezmierną słodycz i rozbroiło mnie częściowo.

— Nie chciałem pana urazić — rzekł swym melodyjnym głosem. — Jeśli wyraziłem się niezręcznie, przepraszam. Bardzo przepraszam. A teraz chcę pana wystawić na jeszcze jedną, ostatnią, jak mniemam, próbę... Czy pan jest katolikiem? Bo Miss Nardewitz wspomniała mi, że tak.

— Owszem, jestem katolikiem.

— Praktykującym?

— Hm, nie bardzo... Ale co to ma wspólnego?

— Proszę mi pozwolić się wypowiedzieć. Nie wchodzę w to, nie mam prawa w to wchodzić, jakie pobudki kierowały panem przy powzięciu zamiaru śledzenia narzeczonej.

— Cieszę się, że ksiądz to zrozumiał, bo z początku było inaczej...

— Przypuszczam, że działał pan impulsywnie — ciągnął z niezachwianym spokojem. — Ale nie zastanowił się pan nad tym, czyjego' ciekawość nie sprawi przykrości narzeczonej. Skoro nie wyjawiała panu nigdy celu swych wycieczek, skoro robiła tajemnice przed najdroższym: jej człowiekiem, to musiała mieć zapewne swoje powody. Prawda? Więc wdzierając się w jej tajemnicę skrzywdził ją pan, o czym na razie wiemy tylko my dwoje — pan i ja. Lecz ona dowie się także, nie ode mnie oczywiście. Od pana!. I będzie czuła do niego żal za brak zaufania.

220

— To już moja sprawa — przerwałem zniecierpliwiony.

— Ma pan zupełną rację ze swego punktu widzenia, ale kierowanie się li tylko własnym punktem widzenia jest dowodem egoizmu, który nie powinien mieć miejsca nigdy, a tym bardziej wobec ukochanej istoty. Przecież kocha pan swą narzeczoną. A teraz zwracam się do pana jako katolika — rzekł szybko, widząc, że chcę mu ponownie przerwać. — Czy gdybym dał panu kapłańskie słowo, że Miss Lotty przybywa tutaj co dnia, by uczyć czytać i pisać biedne chińskie sieroty, że nic jej absolutnie nie grozi ani tutaj, ani w czasie drogi, czy zaprzestanie pan ją śledzić? Czy panu takie uroczyste zapewnienie wystarczy? Namyśl się pan... Osiągnął pan swój cel. Teraz już pan wie, dokąd narzeczonej udaje się co dnia. Poza tym ja jej nie

wspomnę ani słowem o pańskiej dzisiejszej wizycie, pan we własnym interesie nie powie jej również. Będzie przekonana o pańskiej delikatności, będzie pewna, że posiada i zawsze posiadała pełne zaufanie swego narzeczonego... I przyjdzie dzień, że ona sama powie panu wszystko, sama pana tutaj przywiezie i oprowadzi po całym zakładzie. Czy dla tych względów nie warto zrezygnować z chwilowej ciekawości? Zwłaszcza wobec mojego słowa? Jak pan sądzi, drogi panie?

Ujął w swe brunatne dłonie moje palce i ścisnął je serdecznie.

Nie odpowiedziałem od razu. Wiadomość, że Lotte bawi się w filantropię i uczy dzieci chińskie, zaskoczyła mnie trochę. Nie miałem powodu nie wierzyć Jezuicie. Jego oczy, barwy wypłowiałego lazuru, patrzyły tak prosto, szczerze, bez cienia fałszu, że był moment, kiedy chciałem powstać, przeprosić go za najście i wrócić do czekającej taksówki. Ale pomyślawszy o powrocie, przypomniałem sobie natychmiast kręte uliczki dzielnicy chińskiej, oczy płonące fanatyczną nienawiścią do Europejczyków, cuchnące pociski podjudzanych dzieciaków i zdjął mnie lęk o Lotte. Zamajaczyła mi w wyobraźni twarz fałszywego przyjaciela Harveya, anonim znaleziony wczoraj w moim pokoju, w pamięci stanęły wszystkie groźne momenty podróży na Wschód, od napadu w slipingu począwszy, a skończywszy na strasznych przeżyciach w kraju Sarawak na Borneo.

I kiedy zakonnik, przypuszczając, że jego słowa wywarły pożądany skutek, podniósł się z krzesła jakby dla pożegnania się ze mną, rzekłem niespodzianie:

221

— Wszystko to bardzo ładnie, carissime, gotów jestem zrezygnować z dochodzenia, w jakim celu moja narieczona dotychczas tutaj przybywała, gotów jestem poprzestać na słowie kapłańskim, jak to ksiądz określił, ale absolutnie nie mogę pozwolić na dalsze wycieczki w te okolice. Widziałem naocznie, że tłumy nie zaczepiały waszego samochodu, wierzę, iż ksiądz cieszy się popularnością wśród żółtych mas, lecz to mi nie daje żadnej gwarancji bezpieczeństwa Lotty. Chyba wiadoma księdzu z gazet, że w takim Fu-cou motłoch podburzony przez agentów Kantonu zdemolował kompletnie misję chrześcijańską, wymordował prawie wszystkich duchownych, a tizysta dziewcząt uprowadził nie wiadomo dokąd... Tak. Wiem. Ksiądz mi powie, że w Szanghaju, pod opieką wojsk Sun-Czuan-Fanga możemy się czuć bezpieczni. Do czasu, księżo! Poza tym Lotte i ja posiadamy jakichś osobistych wrogów^ którzy...

— Wiem wszystko — przerwał mi szybko. — Miss Nardewitz opowiadała mi o pożalowania godnych wypadkach, jakie miały miejsce w czasie waszej podróży do Szanghaju. Nie, drogi panie. Z tej strony nic wam nie grozi, kiedy jesteście pod moją opieką. Czy przez te prawie pięć miesięcy pobytu w Chinach wydarzyło się wam coś podobnego, jak wówczas? Nie! O niczym mi przynajmniej Miss Lotty nie wspominała. Oto najlepszy dowód.

— Mam wrażenie, że ksiądz przecenia swoje siły, jeśli chodzi o tę stronę niebezpieczeństwa. Tajemniczy wrogowie po kilkumiesięcznej przerwie rozpoczęli drugą fazę ofensywy.

Wydało mi się, że ojciec Jerzy pobladł.

— Jak to? — zapytał.

Bez namysłu wyjąłem portfel, wydobyłem z niego list znaleziony wczoraj na swym biurku i wręczyłem go zdziwionemu gospodarzowi.

— Jak się księdzu podoba choćby takie ultimatum?

Chwycił skwapliwie podany sobie świstek papieru, położył go na: środku biurka, usiadł, ujął głowę w obie dłonie i zagłębił się w czytaniu. Palce jego drżały silnie, a twarz, którą starał się zasłonić przed moim wzrokiem, zmieniła się ze wzruszenia.

Wydało mi się, że jego wargi, wyszeptały ledwie dosłyszalne: „To on... Jego pismo”. Tak. Musiało mi się przywidzieć, gdyż zakonnik zamarł w bezruchu i milczał bardzo

222
długo. Tak długo, że zacząłem się niecierpliwić. Musiał już chyba ze dwadzieścia razy przeczytać krótką treść anonimu.

— Skończył ksiądz — spytałem wreszcie.

— Tak. Skończyłem — odparł bezdźwięcznie. Potem ożywił się nagle i spytał — Czy Miss Nardewitz lub jej wuj albo w ogóle ktoś czytał te bezsensowne pogróżki? Pokazywał pan komuś?

— Jeszcze nie. Książd był pierwszy.

— Drogi panie! Proszę mi wyświadczyć tę łaskę i nadal zachować dotychczasową dyskrecję. Dziwi pana może treść mojej prośby... Tak, to zrozumiałe! Ale właśnie ja, który znam doskonale miejscowe stosunki, mogę najskuteczniej zniweczyć usiłowania szaleńca, tego co to pisał... Ani policja, ani prywatni detektywrfi nie oddadzą panu takich usług. Proszę mi wierzyć.

Takiego obrotu rzeczy nie spodziewałem się zupełnie. Byłem wprost zaskoczony intonacją głosu ojca Jerzego. Tak żebrać oczyma, tak ręce składać, załamywać, mógłby chyba człowiek bardzo afektowany, histeryk nieledwie, ale nie spokojny zakonnik, którego w poprzedniej rozmowie nie zdołało nic z równowagi wytrącić. I w tej chwili przyszła mi nowa myśl do głowy.

— No, carissime, widzę, że księdzu bardzo zależy na spełnieniu jego prośby. Więc przysługa za przysługę. Zgadzam się pod jednym warunkiem.

— Mianowicie? Mianowicie?

— Mianowicie przestanie ksiądz nakłaniać Lottę do przyjeżdżania tutaj. Mało tego! Ona by przyjeżdżała z własnego impulsu. A zatem ksiądz wytłumaczy jej, że ze względu na bezpieczeństwo lub z innego jakiegoś powodu nie powinna tutaj przybywać bez mego towarzystwa...

— Ale z panem razem może? Nie pozbawiajże pan biednych sierot ich ukochanej opiekunki. v i

Chciałem coś odrzec, kiedy nastąpiła rzecz nieprzewidziana: Ktoś zapukał do drzwi, klamka się ugięła i rozległ się srebrzysty głosik Lotty:

— Czy nie przeszkadzam? Chciałam zapytać o książki dla drugiej klasy. — Z tymi słowy wsunęła głowę, zobaczyła mnie i wydała głośny okrzyk zdumienia: — Andrzej?!?! W jaki sposób się tu znalazłeś?!

Weszła do pracowni, podała mi rękę i zdumiony wzrok przenosiła z ojca Jerzego na mnie i z powrotem. Potem zachmurzyła się nagle.

223

Domyśliła się, że ją śledziłem... Ale zakonnik powstał w tej chwili, ujął ją za rękę i wcisnął jej dłoń w moje palce.

— Podziękuj mu, córko — rzekł. — To dobry, zacny człowiek. Zgadza się, byś tu nadal przychodziła i chce ci nawet towarzyszyć. Na to musisz przystać. Tak będzie

lepiej z pewnych względów... A teraz idź mu; pokaż tych nieszczęśliwych ludzi i swoich małych pupilków. Kiedy skończycie, przyjdźcie tu do mnie. Razem wrócimy do miasta.

Kiedy znaleźliśmy się we dwoje na korytarzu, Lotte pociągnęła mnie lekko za ucho i pogroziła mi paluszkami.

/ — Wytargam za uszy, brzydki zazdrośniku! — szczebiotała. — Tai; kie to mamy zaufanie do narzeczonej? Czy ja się kiedy pytałam, gdzie brzydał chodził z Harveyem po nocach? Nie! Wcale nie byłam ciekawa...; I mówią, że my, kobiety, jesteśmy ciekawe! A teraz pocałuję go za to, że kocha. Bo gdyby nie kochał, nie byłby wcale ciekawy, dokąd się twoją Lotty wymyka na całe przedpołudnia... Jesteś więc ułaskawiony.

Ułaskawienie było bardzo przyjemne, niestety krótkie z winy chłopca, który mnie przedtem przyprowadził do parlatorium. Ujrzawszy, że się całujemy, gwizdnął szelmowsko, potem przybrał potulną minę i udawał, że patrzy przez okno. Lotty odskoczyła zawstydzona:

— Moja powaga w tym lokalu poszła w gruzy — mówiła z uśmiechem. — Wszystko przez tego kochanego zazdrośnika... Wszystko!

Pogłaskała czuprynę małego Chińczyka i rzekła, wskazując na mnie:

— To mój mąż, Pei-Czang. Ukłoń się grzeczniej oprowadź nas po salach.

Malec był niesłychanie dumny z roli przewodnika. Szedł przodem z głową podniesioną do góry, jakby sobie chciał w ten sposób wzrostu przyczynić.

— Oto jadalnia — rzekł w pewnej chwili, otwierając jakieś drzwi i puszczając nas przodem do wnętrza.

Rozglądałem się z ciekawością. Przez całą długość sali biegły; równolegle trzy ogromne stoły, jeśli stołami można nazwać źle oheblo-j wane deski, podparte kozłami, podobnymi do tych, jakich używają murarze. Po dwa rzędy niziuteńkich ławek stały obok każdego stołu. Pod ścianą piętrzyły się stopy miseczek glinianych, a z pudła rozmiarów skrzyni wyzierały drewniane lub blaszane łyżki i pałeczki, jakich używają Chińczycy przy jedzeniu.

i

224

Sypialnie przedstawiały się jeszcze gorzej. Plecione maty, rozpostarte na białych deskach podłogi, służyły za posłanie wychowankom. W kaplicy obraz, stanowiący główną ozdobę ołtarza, był pędzla ojca Jerzego. Jego również dziełem była ambona, z której wygłaszał kazania co niedzielę w czasie nabożeństwa. Potem zwiedziliśmy klasy szkolne, wreszcie przyszła kolej na wielką salę rekreacyjną.

— A gdzie są dzieci! — spytałem.

Lotte wyręczyła małego przewodnika w odpowiedzi:

— Mają teraz gimnastykę w ogrodzie. Nie! — poprawiła się, sprawdzając godzinę na zegarku. — Teraz ukończyły już gimnastykę i mają godzinę odpoczynku przed obiadem.

Przeszliśmy do ogrodu. Już z daleka posłyszałem nieopisaną wrzawę, pisk, chichot, okrzyki kilkuset dzieciaków. Pod dozorem kilku poważnych „ahm” dokazywała mała czerada co wlaźło, wyczyniając zawrotne kozły na kółkach, drążkach, krążnikach, trapezach. Lecz większość bawiła się piłkami. Starsze dziewczynki grały na zmianę

w koszykówkę, siatkówkę, chłopcy w foot-ball, lub medicine-ball, najmniejsi podrzucali małe ceratowe piłki.

— Skąd oni mają to wszystko? — spytałem zdziwiony, przypomniawszy sobie nędzne urządzenie sal sypialnych, szkolnych i jadalni.

Pei-Czang wskazał na zarumienioną Lotte.

— Pani to wszystko kupiła. Dawniej grywaliśmy tylko w patyki... O, pani dobra! bardzo dobra!

— A ty czemu nie grasz?

— Ja mam dzisiaj służbę — odparł i dodał z dumą: — Tylko najstarsi mogą mieć służbę. Te dzieci muszą jeszcze poczekać.

— Ty zaś, dorosły człowieku, liczysz zapewne z jedenaście wiosen — rzekłem rozbawiony odpowiedzią malca.

— Ja? — zawołał oburzony. — Ja, proszę pana, mam lat piętnaście. Lotte przyświadczyła, że Pei-Czang ma istotnie taki wiek, jaki podał. Chciałem jeszcze o coś zapytać, ale w tej samej chwili jakaś dziewczynka zauważyła mą towarzyszkę i wydała pisk radości. Gromada dzieciaków puściła się pędem w naszą stronę, otoczyła nas zwartym pierścieniem. Donośnym owacjom na cześć Lotty nie było końca. Całowano ją po rękach, całowano jej suknię z takim zapalem, że miałem poważne obawy o całość toalety.

5 Perła Szanghaju

225

— Dobra pani przyszła z nami grać! Dobra pani! Dobra pani! — rozbrzmiewało na wszystkie głosy, we wszystkich przypadkach. A Lotte, wzięwszy jakiegoś umorusanego malca na rękę, stała pośrodku kłębiącej się rzeszy dzieci zapłoniona, uśmiechnięta anielsko, dumna z ich przywiązania i miłości.

— Czy dobra pani coś przyniosła? — spytał jakiś sześciolatek skrajny materialista, ale nim kto zdołał przeszkodzić, Pei-Czang przełożył gó przez kolano i wyegzekwował na nim doraźnie kilka siarczystych klapsów.

— Nie wstydzisz się?! — spytał obitego. Tamten zaś wstydział się istotnie, bo wziął nogi za pas i popłakując z cicha, schronił się w krzaki.

Lotte skarciła łagodnie krewkiego wyrostka, poleciła dzieciakom wrócić na trawnik, przeznaczony do gier i rzekła:

— Przyniosłam coś, ale nie dla was... Muszę przede wszystkim pamiętać o tych, którzy nie mogą się bawić jak wy.

Pozbywszy się hałaśliwej gromady, prowadziła mnie szybko w głąb ogrodu, gdzie srebrzyste i seledynowe tuje, lśniące kryształkami wawrzyny, mahonie, klony, płowe tamaryszki tworzyły jakby zagajnik. Było to jednak złudzenie. Wszystkie te drzewa i krzewy stanowiły żywą, zieloną ścianę, poza którą ujrzałem małą kolonię dzieci-kalek. Siedziały, w wózkach nader prymitywnie zbudowanych, leżały pokotem na rozesłanych matach, czołgały się we wszystkich kierunkach na czworakach, nie mogąc się dźwignąć ani ustać o własnej mocy. Cztery zażywe „ahm”, zajęte cerowaniem sukienek dla tych maleństw, siedziały na] ławce, pogrążone w robocie i gawędzie. Na widok Lotty zerwały się szybko i podbiegły naprzeciw.

Z rosnącym wciąż zdumieniem przysłuchiwałem się rozmowie. Moja najdroższa dziewczyna знаła prawie każde dziecko, wymieniała ich imiona, przeważnie bardzo

długie, pamiętała wiek każdego pupilka, zapytywała o jego apetyt, wczorajszą wieczorną temperaturę, niektórym mierzyła puls, chorym na oczy zastrzykiwała jakieś lekarstwo z pomocą strzykawki, przyniesionej przez Pei-Czanga,... słowem zachowywała się, jak lekarz na inspekcji dziecięcego szpitala. Maleństwa znosiły wszystkie te zabiegi z nadzwyczajnym spokojem, wiedząc, że jako rekompensatę otrzymają słodczyce lub różne drobiazgi do zabawy.

Podziwiałem Lottę tym bardziej, że widok niektórych kalek był

226

wprost odrażający. Rachityczne, tuberkuliczne, skrofuliczne potworki budziły we mnie wstręt, obrzydzenie. I kiedy uczułem, że coś mnie ciągnie za nogawkę spodni, kiedy ujrzałem kaprawę powieki karzełka

0 nogach wygiętych w pałąk, a cienkich jak zapalki, wzdrygnąłem się, odskoczyłem, pobiegłem na drugi koniec placu, przywołując Lotte do siebie. Omal nie nadepnąłem przy tej okazji trzyletniej może dziewczynki, której dłonie były zupełnie pozbawione palców...

— Chodźmy już stąd, Lotte! — rzekłem, odwracając głowę. — Słuchaj! Ja wszystko rozumiem... Chcesz się bawić w nauczycielkę tamtych zdrowych dzieci, to się baw, ale do tych nie przychodź! — dodałem, kiedy zdziwiona mim zachowaniem podeszła do mnie. >— Możesz się zarazić... Możesz się nabawić czegoś wśród tych kalek.

— Zapominasz, że studiowałam w Berlinie medycynę. Pamiętam zawsze o środkach ostrożności. Nie lękam się. '

Dalsze jej słowa zagłuszył odgłos salwy karabinowej. Salwa padła gdzieś wcale blisko, jak gdyby na placu przed zakładem. Jego budynki

1 domy chińskiej dzielnicy oddały sobie wzajemnie trzykrotne echo. Jeszcze nie ochłonęliśmy ze zdumienia, kiedy rozległo się kilka pojedynczych wystrzałów.

Potem z całkiem przeciwnej strony, bo z głębi ogrodu dobiegło naszych uszu przeraźliwe wycie.

Lotte wzdrygnęła się i ścisnęła mi rękę.

— To Czi-Szan. Poznaję jego głos. Chodźmy tam.

— Dokąd? — spytałem.

— Pokażę ci ojców i matki tych kalek.

Nie czekając mej zgody ruszyła żwawo przodem. Szła tak szybko, że z trudem mogłem za nią nadążyć. Posuwaliśmy się szeroką aleją niebotycznych drzew kamforowych, która urywała się nagle, przecięta poprzecznie biegnącym pasmem dziko rosnącego gąszczy fig, karłowatych paproci i mięsistych opuncji. Dopiero doszedłszy do końca alei przekonałem się, że rozdwiają się ona na dwie ścieżki, biegnące równolegle do linii zarośli. W pewnym miejscu splątana ściana małych drzew, krzaków i pnączy była przetrzebiona, posiadała wyrwę, na dnie której zajaśniało białe tło muru.

Lotte obejrzała się za mną. Spostrzegła, że wyrostek chiński stara się przemycić swą szczupłą, niską sylwetkę za moimi plecami.

— Pei-Czang, wracaj do domu! — rzekła.

227

,— Możesz być ojcu Jerzemu potrzebny.

Malec skrzywił się niemiłosiernie, lecz usłuchał.

Zagrodziła nam drogę brama z wysokich sztachet żelaznych. Kiedy spełniając polecenie mej towarzyszki, pociągnąłem za rączkę dzwonka, z małego domku, który przylegał z drugiej strony do muru, wysunął się krępy Chińczyk, a poznawszy Lotte podbiegł ochoczo do bramy. Głośno wyrażał swą radość:

— Tai-Lin bardzo się cieszy... Pani coraz rzadziej tutaj zagląda, co smuci Tai-Lina, Z bezdennej zda się torebki Lotty powędrowała do żółtej dłoni Chińczyka spora paczka tytoniu. Teraz zrozumiałem, dlaczego Tai--Lin się smuci, jeśli moja narzeczona poprzestaje na odwiedzaniu pierwszej części ogrodu.

— Syn jest? Wolałabym, aby nam ktoś towarzyszył.

— Sam pójdę. Jego zostawię przy bramie.

Szybko podreptał do domu, wypędził stamtąd barczystego chłopaka, który miał pełnić służbę przy wejściu, a po chwili wyszedł sam, uzbrojony w potężną gumową maczugę.

— Z tym mogę wejść nawet do klatki Czi-Szana — rzekł chełpliwie, potrząsając nad głową swą pałką.

— Więc prowadź!

Ścieżka obsadzona eleagnusami i wawrzynami doprowadziła nas niebawem do małej altanki, otoczonej błękitnoseledynowymi tujami. Altanka była sklecona nader prymitywnie. Dwa drzewka, rosnące w dwumetrowym odstępnie, dwa koślawe słupki, na tym cztery poprzeczne bambusy i dach z gałęzi, których liście zwiędły chyba bardzo dawno.

— To jego świątynia. Sam sobie ją zbudował — objaśniał przewod-, nik.

Teraz dopiero zauważyłem, że budka posiada lokatora. Był to rosły, chudy starzec, którego skóra na twarzy przypominała łupinę pieczonego jabłka, a wyciągnięte w górę obnażone ramiona, piszczące zasuszonego nieboszczyka z katakumb Kapucynów w Palermo.

Był zatopiony w modlitwie. Niekiedy zginał się nisko, bił czołem w ziemię, czyniąc pokorne pokłony przed jakimś niewidzialnym bóstwem, które wielbił monotonnym skrzypieniem swego zardzewiałego

228

głosu, niekiedy znów podnosił się, stawał na palcach, a ręce rozkładał jak ptak do lotu skrzydła. Nas obrzucił przelotnym, obojętnym spojrzeniem, nie przerywając sobie nabożeństwa.

— Obłęd religijny — rzekła Lotte głośno i dała mi znak ręką, bym szedł dalej. i Chcąc ją prędzej dogonić, ruszyłem po cięciwie łuku, jaki ścieżka opisywała. Musiałem się otrzeć o kępę drzew. I nagle zmartwiałem z przerażenia. Może dwumetrowa tuja zakołysała się gwałtownie i wydała przeciągły jęk:

— Boli! Boli! Złamałeś moją wonną gałązkę. Wpatrzyłem się uważnie i ujrzałem pomiędzy zbitym gąszczem

gałązek rzekomego drzewka... człowieka. Był dosłownie obwieszony, owinięty, oblepiony festonami liści, a w rękach trzymał ścięty czubek tui, którym osłaniał głowę, oraz górną część ciała.

Usunął mi się z drogi i zawodził w dalszym ciągu:

— Zwierzę uszanuje tuję, ale człowiek nie. Człowiek myśli, że drzewo to kamień. Szarpie, kaleczy, potraça... Och, boli... boli!

— Ciekawy okaz — zawołała Lotte, podbiegając ku mnie. — Wmówił w siebie, że jest drzewem. Stoi tak godzinami w różnych częściach ogrodu, póki go głód nie zmusi do powrotu na wspólny obiad. Potem zaraz wraca na swoje dawne miejsce. Oblakany nadśluchiwał uważnie. Nagle parsknął przeraźliwym śmiechem, spomiędzy gęstwiny liści wysunął opuchniętą rękę i wskazał nią na Lotte.

— Zwariowała hi hi hi hi... Słyszałeś? Nie rozpoznaje drzewa od człowieka hi hi hi hi... Widziałem ją już kilka razy. Zawsze mnie nazywała człowiekiem... Człowiekiem? Hi hi hi hi hi... Ja jestem tuja, tuja, tuja! Spójrz na mnie! Weź kilka moich liści, choć boli!... Rozetrzyj je w palcach... powąchaj!... No, co? Jestem drzewem, czy nie?!!!

Ostatnie zdanie brzmiało jak groźba. Przytaknąłem więc skwapliwie i odciągnąłem narzeczoną w inną stronę.

— Niepotrzebnie się denerwujesz — uspokajała mnie. — To nieszkodliwy wariat. Maniak, jak ci wszyscy, co swobodnie po ogrodzie chodzą. Furiatów trzyma się pod kluczem.

— Skąd ten znowu zapałki wy dostał? Jeszcze co podpali... — warknął Tai-Lin i wskazał mi młodego Chińczyka, który leżał na brzuchu,

229

trzymał w ustach koniec bambusowej rurki i udawał, że pali fajkę. Coś się tam rzeczywiście dymiło przy prymitywnym cybuchu, prawdopodobnie suche liście.

— Ten pozostał wierny straszemu nałogowi, nawet w oblakaniu. Wydaje mu się, że w dalszym ciągu pali opium.

Spojrzałem zdziwiony na swą towarzyszkę.

— Więc jci wszyscy, to ofiary narkotyku? — spytałem.

— Osiemdziesiąt procent z pewnością, ceszta nie wiadomo. Prawdopodobnie jednak ta sama geneza choroby.

Dalsze wywody przerwała jej piekielna wrzawa, szybko się ku nam zbliżająca. Spośród ogłuszającej kakofonii, kwików, pisków, jazgotu! rehotania, śmiechu, wybijał się na pierwszy plan rozdzierający krzyk śmiertelnie przerażonego człowieka. Spoza zakrętu wyłonił się pędzący grubasek, a w chwilę później cała gromada goniących go wariatów\ra cudacznie postrojonych w liście...

— Ha ha ha! Człowiek-porcelana znowu w niebezpieczeństwie — rżał Tai-Lin.

Grubas ujrzał nas, zawahał się na moment, czy widzi nowych wrogów, czy sprzymierzeńców, czy wobec tego należy skrócić w bok, czy szukać schronienia za naszymi plecami.

— Odpędź tamtych! — rozkazała Lotte.

Ale polecenie to było całkiem zbyteczne. Pościg zatrzymał się na nasz widok, łańcuch rąk złączył się w jedno wielkie koło i rozpoczął szalone płasy na łące.

Tymczasem korpulentny Chińczyk zatrzymał się w odległości trzech metrów od nas. Pot spływał z niego strugami, łydki drżały febrycznie, a obwisły brzuch i szeroki tors pokryty fałdami tłuszczu poruszały się! gwałtownie skutkiem przyspieszonego oddechu.

Postąpiłem krok naprzód. Wówczas wyciągnął ręce przed siebie, jak gdyby w zamiarze odepchnięcia mnie...

— Precz!... Precz!... — wykrztusił z wysiłkiem.

Lotte powtrzymała mnie za rękę i rzekła bardzo głośno:

— Do niego nie można się zbliżać. Mógłbyś go stłuc, rozbić. On jest z kruchej porcelany.

Wariat obrzucił mą towarzyszkę czułym, pełnym wdzięczności i psiego przywiązania spojrzeniem.

230

— Ona jedna zna prawdę... Tak, tak. Jestem figurką z porcelany. Omal nie parsknąłem śmiechem. Ładna figurka z porcelany, co waży dobre sto dziesięć kilo.

Tymczasem Lotte zbliżyła się do obłąkanego. Jej się nid obawiał zupełnie. Pozwolił sobie bez cienia protestu wyciągnąć z ramion kolce, które mu utknęły w czasie panicznej ucieczki przed psotnymi towarzyszami niedoli. Stał spokojnie, tylko od czasu do czasu rzucał podejrzliwe spojrzenia w stronę Tai-Lina i moją. Tai-Lin pochylił się do mnie:

— Pani jedna dokazała tej sztuki, że może do niego dostąpić. Przed innymi ucieka. Nawet lekarzowi nie pozwoli się dotknąć. Inni wariaci gonią go czasem, ale zawsze zdoła umknąć, choć taki gruby.

Zostawiwszy „porcelanowego” wariata, udaliśmy się do dużego baraku. Czterech dozorców wyszło na nasze spotkanie.

— Pawilon podzielony jest na dwie części — objaśniał szybko Tai--Lin, nie chcąc się nikomu dać ubiec. — W pierwszej znajdują się melancholicy, w drugiej, znacznie większej, kobiety.

Posuwając się niezbyt szerokim korytarzem zaglądałem do przedziałów, w których siedzieli obłąkani pojedynczo lub czasem po kilku razem. Przeważna ich część nie zauważyła zupełnie naszej wizyty, lub nie raczyła zauważyć. Tylko ten lub ów dźwignął głowę, obrzucił nas apatycznym spojrzeniem i zapatrzył się z powrotem w jakiś punkt swej celi. Było to spojrzenie przelotne, niekiedy ledwie sekundę trwające, ale utkwiło mi w pamięci na długo. Był w nim smutek bezbrzeżny, rozpacz, prawdziwa melancholia i bezgraniczne przygnębienie. Niektórzy spoglądali przed siebie nieprzytomnie, tępo, a szkliwo ich zgasłych oczu było mętne, nieczułe na wszelkie wrażenia wzrokowe, jak szkliwo oczu trupów w prosektoriach.

Jeden z nich tylko nie trwał w posagowym bezruchu. Siedział na ziemi, wpatrywał się uporczywie w duży palec prawej nogi, kiwał głową jak nakręcona lalka woskowa w panopticum i powtarzał w kółko, gładząc sobie równocześnie stopę dłonią. — Są! Jedna, dwie, trzy... Są! Jedna, dwie, trzy... Są!

— Ten wciąż oczekuje trądu. Wydaje mu się, że spostrzega plamy i liczy je — rzekła Lotte i dodała objaśniająco: — Melancholia to zazwyczaj pierwsze stadium obłąkania nałogowych palaczy opium.

— A potem?

231

— Potem choroba wkracza w drugą fazę i następuje...

— He, he he he! Dziewczynka!!! Chodź tutaj! Chodź tutaj! — przerwał jej krzyk jakiegoś wariata i rozległo się głośne mlaskanie, skowyt radosny, potem wrzawa piekielna kilkunastu głosów wrzeszczących na wyścigi.

Lotte cofnęła się nieco, puszczając mnie pierwszego.

— To przedziały erotomanów. Idź sam zobacz... Ja tutaj zaczekam. Obecność kobiety drażni ich niesłychanie.

Spojrzałem do najbliższej klatki. Zobaczyłem błyszczące ślepia, wyciągnięte, drżące z pożądania dłonie i nozdrza rozdęte, wdychające z lubością woń subtelnej perfumy, której smuga snuła się wokoło, pozostawiona przez suknię Lotty. Obląkani wciskali głowy pomiędzy pręty prymitywnych klatek, rzeli, szczekali, wyli, mlaskali jęzorami. Gęsta ślina spływała im po wargach na brodę, na piersi, na ręce. A skoro dostrzegłem jeszcze ich sprośne gesty, skoro uczułem woń kału, który rozdeptywali bosymi stopami, wzdrygnąłem się z obrzydzenia i powróciłem czym prędzej do Lotty.

— Tai-Lin pokaże panu jeszcze ciekawsze rzeczy... —chełpił się odzwierny. — Zaledwie dwanaście przedziałów pozostało, potem przejdziemy do części zajętej przez kobiety — dodał dla zachęty, widząc, że; poblądłem i intensywnie zaciągam się dymem papierosa.

Odmówiłem mu tej przyjemności. Jak na moje nerwy, dotychczasowa dawka wrażeń była aż nadto wystarczająca.

— Jak to?! —pytał zawiedziony. —Więc kobiet nie chce pan również zobaczyć?

— Nie, przyjacielu. Wyprowadź mnie co prędzej na świeże powietrze. Mam dosyć naf dzisiaj.

Ubolewał głośno, lecz posłusznie prowadził nas ku wyjściu. Powróciliśmy do ogrodu tą samą drogą, te same więc obrazy przesunęły się] przed mym wzrokiem, lecz w szybszym tempie. Wariat oczekujący trądu gapił się nadal w wielki palec prawej nogi i liczył rzekome plamy, melancholicy spoglądali posepnie w pułap, w ścianę, w wybrany pręt* klatki, a erotomani, od których oddalaliśmy się z każdym krokiem, zegnali nas zachrypłymi od wycia głosami i obrzydliwymi wyzwiskami, jakich nie rozumiałem i nie byłbym zrozumiał, gdyby nie usłużny Tai-Lin

232

f

— Zamilczże raz — krzyknąłem zniecierpliwiony i odetchnąłem z przeogromną ulgą, kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz baraku.

Lotte ujęła moją dłoń, zaczęła ją delikatnie gładzić swymi długimi paluszkami, zaczęła szeptać słowa dobre, słodkie, pocziwe, jakimi się uspokaja przestraszone czymś dzieci. Pod wpływem jej kochanego szczebiotu i anielskiej pieszczoty jej chłodnych rąk, pod wpływem dotknięcia jej aksamitnej skóry, poprzez którą przeglądały błękitne żyłeczki, przyszedłem szybko do zupełnej równowagi ducha i wstydzilem się momentu chwilowej słabości.

— Czuję się doskonale — zapewniałem, nadrabiając miną, —ale wracajmy już.

— Darling, muszę ci jeszcze kogoś zaprezentować. Zrób to dla mnie... To niedaleko stąd.

Pociągnęła mnie za sobą, a chcąc wzbudzić we mnie zainteresowanie, mówiła przez drogę:

— Czi-Szan jest mieszańcem. Matką jego była pewna hrabina rosyjska, podobno niezwyklej urody. Towarzyszyła ona mężowi, który za udział w jakimś spisku został skazany na dożywotnie ciężkie roboty w okolicy Irkucka. Mieszkała stale w mieście, a raz na kwartał zaopatrzona w niezbędne przepustki, udawała się na południe, by odwiedzić męża. Przy tej okazji sypała złotem szczerze, aż udało jej się przekupić

dozorców. Wiesz chyba jako Polak najlepiej, że w Rosji łapówką wszystkiego można było dokazać. I kiedy mała karawana przekroczyła chińską granicę, zdawało się nieszczęśliwej kobiecie, że idzie ku szczęściu, na które dobrze zasłużyła swą wiernością małżeńską. Jej najdroższy człowiek był wolny, był przy niej.

Wkroczywszy na terytorium Mongolii nie potrzebowała się obawiać pościgu siepaczy, ani nawet konfiskaty majątku, gdyż większość dóbr spieniężyła przed ucieczką i pieniądze miała ze sobą... Ale ramię carskiego rządu sięgało nawet poza granice olbrzymiej Rosji.. Nie mogąc dostać zbiegów w swe ręce, postanowiono ich zniszczyć, unicestwić. Na usługach Rosji stały liczne bandy „chunchuzów”, wywołujące na zamówienie niepokoje i zamęt na terytorium północnych prowincji chińskich. Jedna z tych band, której przywódca jest dziś głośnym generałem armii północnej, napada w nocy na zbiegów. Karawanę złupiono, najętych woźniców, poganiaczy, przewodników wymordowano, hrabiego stracono w okrut-

233

ny sposób i głowę jego posłano do granicy rosyjskiej, jako dowód skuteczności napadu oraz w celu zainkasowania przyrzeczonego honorarium.

— A hrabina?

— Ją oszczędzono z powodu niezwyklej urody i zabrał ją do swego namiotu wódz chunchuzów. Pilnowana dobrze, nie mogła sobie odebrać życia, które dla niej nie przedstawiało już żadnej wartości i z rozpaczy zaczęła palić namiętnie opium. Będąc na pół obłąkaną, dała życie dziecku, które ojciec nazwał imieniem „Czi-Szan”, a krótko potem umarła... Czi-Szan wychowywał się wśród zbójów, a kiedy jego ojciec awansował na pułkownika armii północno-chińskiej, otrzymał także staranne wykształcenie... Niestety, przez jakieś przekleństwo losu odziedziczył skłonność do strasznego narkotyku. Uciekł spod troskliwej opieki lekarzy, wałęsał się po portowych miastach, aż raz w Szanghaju dostał napadu wściekłości. Jest bardzo silny. Z największym trudem udało się go związać i odstawić do miejskiego zakładu dla umysłowo chorych, skąd uciekł niebawem. Wtedy zjawił się tutaj jego nieodstępny towarzysz, piastun, przyjaciel, Kiu-Pai, poprosił ojca Jerzego o udzielenie przytułku szaleńcowi i wskazał jego kryjówkę. W taki to sposób i biedny pół-Chińczyk, pół-Rosjanin, Czi-Szan został pensjonariuszem tego zakładu...

— Wszystko to bardzo ładnie, — odrzekłem po dłuższej chwili, I — lecz skąd znasz tę romantyczną, a mało prawdopodobną historię pochodzenia Czi-Szana? Chyba nie on ci opowiadał...

— Wspomniałam ci przecież o Kiu-Pai. Właśnie on to mówił. | Kiu-Pai jest tak przywiązany do swego wychowawca, że nie zgodził się na rozstanie z nim i pozostał tutaj. Zobaczysz go zresztą zaraz.

— Jak to?! On jest tutaj, pomiędzy obłąkanymi? Zdrowy człowiek?!}

— Gdzie on tam zdrowy! — dorzucił Tai-Lin, przysłuchujący się j naszej rozmowie.

— Także wariat, ale spokojny. Należy do oddziału tych, co- chodzą wolno po ogrodzie.

— I bawi się w proroka.

Tak gawędząc, dotarliśmy do małej budy, wzniesionej po drugiej stronie baraku. Podeszedłszy bliżej, przekonałem się, że to, co brałem z daleka za ściany budy, W płot, oddzielający wewnątrz umieszczoną klatkę od ogrodu. Pomiędzy deskami

parkanu, a prętami właściwej

234

klatki była wolna przestrzeń trzymetrowa. Tam też weszliśmy przez małą furtkę, w towarzystwie jeszcze jednego dozorca, który czuwał specjalnie nad niebezpiecznym furiatem.

Przyznaję, iż wysłuchawszy uprzednio opowiadania Lotty, zajrzałem z ciekawością do przedziału syna hrabiny. Ale rozczarowałem się szybko. Twarz tego olbrzyma nie zdradzała żadnej domieszki krwi aryjskiej. Nos był krótki, jakby spłaszczony na końcu, o szerokich otworach, czoło bardzo niskie, kości policzkowe silnie wystające, oczy skośne, podkrążone i zeszcpeczone obwisłymi torbami skóry, uszy odstające, włosy szczecinowate, skołtunione, jakby nigdy nie zawierały z grzebieniem znajomości.

Czi-Szan wydał jakiś bydlęcy pomruk i zaczął się dźwigać z ziemi. Dopiero kiedy stanął na nogach, mogłem ocenić potworne rozmiary jego cielska. Był prawie nagi i nie dostarczano mu nowego odzienia, gdyż w ataku wściekłości darł wszystko na strzępy. Tak twierdzili dozorca. Mogłem więc podziwiać bajeczne mięśnie jego rąk, nóg, jego szerokie bary, klatkę piersiową i krótki, gruby kark.

Czi-Szan pochwycił w dłonie dwa pręty klatki, oparł się o nie całym ciężarem i wlepił spojrzenia swych brzydkich oczu w Lottę. Wydawało mi się, że pod jego naciskiem żelazne sztachety wygięły się lekko. Jego gęba wykrzywiła się w ohydny grymasie, błyskając brązem pożółkłych od żucia betelu zębów. Z gardła dobywał się jakiś głos, coś pośredniego pomiędzy wyciem a mručeniem.

Obaj dozorca spojrzeli na siebie porozumiewawczo, potem na Lottę. Zrozumiała widać, bo cofnęła się szybko w stronę furtki.

Ale jej zniknięcie rozwścieczyło olbrzyma. Zaczął ryczeć jakby go ktoś ze skóry żywcem obdzierał, zaczął szarpać prętami, a przekonawszy się, że im rady nie da, wywarł swą złość na przepasce, która mu zwisała wzdłuż bioder i na strzępy dawnego ubrania. Podarł wszystko na drobne kawałki, rzucił na mnie, długimi pazurami zdrapał trochę błota z podłogi, fabrykując na oczekaniu cuchnące pociski. Jego nieustanne wycie nie przeszło bez echa, gdyż odpowiedziały mu okrzyki spokojnych szaleńców, wałęsających się po ogrodzie.

— Trza mu trochę krwi puścić — zawyrokował jego dozorca i pożyczył sobie od Tai-Lina maczugi.

W tej samej chwili rozległ się krzyk Lotty. Czai-Szan zerwał się

235

błyskawicznie z ziemi, przeskoczył do kraty, wetknął część twarzy między sztachety, nad słuchując chciwie. Równocześnie podszedł uzbrojony dozorca i palnął go z całej siły gumową pałką w nos. Czi--Szan ryknął, zwałił się na wznak, brocząc krwią obficie.

Nie patrzyłem, co dalej nastąpi, gdyż przestraszony okrzykiem narzeczonej, wymknąłem się poza obręb płotu. W furtce zderzyłem się z Lotta. Uciekała przed jakimś starcem, który zatrzymał się natychmiast na mój widok.

— To Kiu-Pai! — mówiła zdyszczonym głosem, tuląc się do mnie: — Nie wiem, co mu się dziś stało. Zawsze był spokojny.

— Co się stało?! — spytał Tai-Lin, który stanął w tym momencie przy naszym boku.

— Kiu-Pai stał za tamtym drzewem. Skoro mnie zauważył, zaczął strasznie przeklinać, grozić mi śmiercią, wreszcie chciał mnie uderzyć.

— On? Ja mu!!...

— Stój! Tai-Lin! On nie wie, co robi.

Ale Tai-Lin już nie słyszał, gdyż szybko pobiegł do swego kolegi, by odebrać maczugę, która poskromiła Czi-Szana.

Tymczasem stary szaleniec począł wołać głośno, mierząc palcem* w Lotte:

— Przeklęta! Widowisko sobie czynisz z ludzkiej męczarni?! Nie pierwszy raz cię tutaj widzę... Przychodzisz się naigrywać z najnie-j szczęśliwszych. Przychodzisz ich kłuć w oczy swą młodością, urodą, j zdrowiem, bogactwem. Ale los się zemści. Tu zginiesz marnie!! W tymj ogrodzie i chór szaleńców będzie ci śpiewał w godzinę śmierci, ty przeklęta! »

— Tai-Lin! —zawołałem z gniewem. —Odpędź tego draba!

— Andrzeju, miej nad nim litość!

— Proszę cię, milcz! Potrzebnieś mnie tu przyprowadziła!

— Ty Biały łotrze! —ciągnął dalej niepowołany prorok. —Tyj którego ciekawość tu sprowadziła, ty zginiesz później, ale wpierw dożyjesz godziny, kiedy Chiny jak długie i szerokie spłyną krwią białych najeźdźców... Ona nie dożyje... Ty zaś będziesz błądził po łąkach i morzach, aż...

Nie dosłyszałem niestety końca mało przyjemnej wróżby, gdyż tym momencie Tai-Lin, uzbrojony w maczugę, wypadł spoza

236

ogrodzenia i ruszył jak huragan na proroka, co widząc Kiu-Pai, wziął nogi za pas. Znikli nam z oczu niebawem. Chwilę trwała cisza, przerywana tylko ponurym stękanie pobitego Czi-Szana, a potem rozdarł powietrze na ćwierci ryk bólu, jęki, nawoływania o pomoc i zwycięskie okrzyki Tai-Lina, który „czynił swą powinność”. Wrzawa podnieciła innych wariatów i wnet cały wielki ogród rozbrzmiewał wyciem, od którego włosy na głowie dęba stawały.

Wracaliśmy szybko we dwoje, gdyż Tai-Lin wpadł w natchnienie katowskie i nie zamierzał widać zbyt szybko ukończyć egzekucji. Lotte obawiając się mych wymówek, zabrała głos sama, stojąc oczywiście po stronie „najnieszczęśliwszych istot”.

— Tai-Lin jest łotr i nigdy ode mnie już tytoniu nie dostanie. Jak rnożna bić tych biedaków! Tych, którzy ich doprowadzili do takiego stanu, należałoby raczej biczować, pod pręgierzem stawiać, zamykać w więzieniach lub zakładach dla obłąkanych, by mogli zrozumieć ogrom zła, jakie ludzkości wyrządzili. Tych wszystkich handlarzy opium, właścicieli domów rozpusty, palarni, tych wszystkich bogatych kupców, bankierów, kapitalistów, którzy utuczyli się kosztem ruiny zdrowia i majątku nieszczęśliwych wariatów.

— W takim razie — przerwałem jej niegrzecznie — w takim razie należałoby także zamknąć...

— Dokończ! Wiem, kogo miałeś na myśli. Mego wuja! Nie gniewam się bynajmniej... Tak, tak... Dowiedziałam się o tym z pewnością prędzej od ciebie, że głównym źródłem majątku wuja był handel opium. Dzisiaj posiada on przedziałnie,

fabrykę okrętów, banki, Bóg wie, jakie jeszcze przedsiębiorstwa, ale jego dom handlowy ze wszystkimi filiami importuje do Chin opium. Przekłete przyzwyczajenie!

— Nie mówmy już o tym!

W milczeniu mineliśmy bramę ogrodu, w milczeniu szliśmy aleją drzew kamforowych, których cień chronił nas przed złotymi promieniami słońca. I park wielki milczał także. Nie rozbrzmiewał już wrzawą głosów dziecięcych. Mali konwiktorzy opuścili go przed chwilą, udając się na obiad. Tylko gdzieś z tyłu, od ogrodu otaczającego baraki dla umysłowo chorych, dobiegały niewyraźne odgłosy hałasów, wyczynianych przez podrażnionych wariatów i najdonośniejsze ze wszystkich wycie Czi-Szana.

237

Kwadrans później opuszczaliśmy główną bramę zakładu, w towarzystwie ojca Jerzego. Zakonnik był bardzo smutny.

— Słyszeliście salwy? — zapytał.

— Owszem. Chciałem właśnie zapytać, czy ksiądz nie wie, co one oznaczają.

— A cóż by innego jak nie nowe masowe egzekucje. Ścięto podobno sześćdziesięciu agentów Kantonu za rozrzucanie odezw do ludności.

Urwał nagle i przysłonił sobie oczy od czoła, aby widzieć pod słońce. Spuściłem sobie nisko daszek czapki, spojrzałem w tym samym kierunku i wydałem głośny okrzyk zgrozy. W drugim końcu placu--śmietnika stało auto ciężarowe, otoczone plutonem żołnierzy. Drugi pluton rozrzucony w tyralierę powstrzymywał napór zawodzących kobiet, matfek, żon, siostr, córek straconych wysłanników Czang--Kai-Szeka. A z samochodu wyrzucano wciąż nowe trupy, nowe ciała; zbroszone krwią i pozbawione głowy... Same kadłuby!...

— Biedny, nieszczęsny kraj! — rzekł półgłosem ojciec Jerzy i zaczął się cicho modlić...

Rozdział IV

Perła Szanghaju

i

Oficjalna część przyjęcia skończyła się wreszcie.

Odjechał limuzyną do gmachu komendy głównodowodzący wojsk brytyjskich, generał-major Sir John Duncan, który przybył 26 lutego do Szanghaju na pokładzie transportowca „Megantic”, przywożąc z sobą dwa bataliony świetnie wyekwipowanego „Tommy” i który był powitany ze szczerym entuzjazmem przez całą kolonię europejską. Odjechał Mr Williams, admirał eskadry okrętów wojennych amerykańskich, dalej wicekonsul angielski w Szanghaju, Mr Wallace, naczelny komendant wojsk francuskich, konsulowie francuski, włoski, hiszpański, japoński, konsul i wicekonsul USA, oraz wielu innych dygnitarzy.

Lecz ubytku kilkunastu osób prawie nie można było zauważyć wśród tłumów, wypełniających olbrzymie salony pałacu Smoota, zwłaszcza, że nowi goście wciąż jeszcze nadjeżdżali.

Lotte zabrała ze sobą kilkadziesiąt ladies, które pragnęły pokazać wielkiemu Duncanowi swe wspaniałe toalety, biżuterie oraz „last not least” twarze, a równocześnie nie być pozbawione udziału w wesoło się zapowiadającej maskaradzie.

Poszły więc w zwartym szyku na drugie piętro do gościnnych pokoi, gdzie miały się przebrać w kostiumy, maski, domina.

Wuj Tim sfatygowany oficjalną częścią przyjęcia, przeszedł wraz z gronem najbliższych przyjaciół do „smoking-roomu” na obowiązkowe cygaro i nieodzowną dysputę na temat ostatnich wypadków politycznych.

Mnie przypadła niewdzięczna rola witania i dyskretnego legity-

239

mowania spóźnionych gości w maskach i odsyłania dżentelmenów, którzy przedtem przybyli, do komnat w lewym skrzydle pałacu, gdzie oni z kolei przebrać się mogli w kostiumy.

Przekonawszy się z listy, że do kompletu zaproszonych gości brakuje ledwie czternaście osób, w ich liczbie także Jacka Harveya, oczekiwanego z utęsknieniem przez Mille Lou Thevet, a z innych względów i przeze mnie, opuściłem swój posterunek i udałem się na fdiżankę czarnej kawy do zaimprovizowanego baru, graniczącego bezpośrednio ze „smoking-roomem”.

Tam gawędzili starsi panowie. Rej wodził oczywiście pesymista dr Thevet. Wołał właśnie, kiedy wkraczałem do sali:

— Czang-Tsu-Czang?!... Nie dajcie się wyśmiać, moi drodzy! Gubernator wojskowy Szantungu imci-pan Czan-Tsu-Czang razem ze swą garstką żołnierzy dostanie od Kantończyków takie same cięgi, jak dostał grubo od niego zdolniejszy generał Sun-Czuan-Fang, choć miał armię trzykrotnie silniejszą, albo jak zarozumiały „Klejnot-autentycz-ny”...

— „Klejnot-autentyczny”? — zdziwił się ktoś z obecnych.

— Przetłumaczyłem dosłownie jego nazwisko, które brzmi Wu--Pei-Fu... Tak, przyjaciele! Chytry Czang-Kai-szek, który uporał się najpierw z marszałkiem Wu-Pei-Fu, potem z gubernatorem Szanghaju, Sun-Czuan-Fangiem, poradzi sobie szybko z Czang-Tsu-Czangiem... Upadek Szanghaju i Nankingu jest już tylko kwestią najbliższych dni.

— O ile Czang-Tso-Lin nie przyśle posiłków... A ponieważ wiemy...

— Bajki! — przerwał zapalczywie doktor Thevet — Czang-Tso--Lin, czyli dosłownie: „Biegły, który stwarza chmury”, nie kiwnie nawet palcem. Gdyby mu zależało na uratowaniu Szanghaju, byłby to dawno uczynił... To chytra sztuka. Nie dałbym ani pięciu dolarów, czy się już z Kantończykami nie zwąchał... Ho ho, to przebiegły Chińczyk! Interesowałem się jego osobą jeszcze wtedy, gdy był hersztem bandy I chunchuzów.

Przypomniałem sobie historię olbrzymiego Czi-Szana i przysunąłem! się do grupy politykujących dżentelmenów, nad słuchujących chciwie.! Niestety Thevet przeszedł do ogólnych konkluzji:

— Jednym słowem, jest źle. W Szanghaju będzie nam bardzo ciepło, j Przedsmak tego mieliśmy przed kilkoma dniami, gdy dwie zbuntowanej

240

kanonierki chińskie rozpoczęły bombardowanie arsenału, a przy tej sposobności rzuciły kilkanaście granatów na koncesję francuską... W moim mieszkaniu przy Rue du Consulat wyleciały cztery szyby./. Zaopatrywałem rannych, a potem udałem się do International Settle-ment... Ha ha ha!... Żebyście zobaczyli te rozszerzone od

trwogi oczy, blade twarze, drżące wargi... Głupie dwanaście granatów napędziło tyle strachu... Co będzie, gdy setki i tysiące pocisków lunie na miasto?

— Nie dojdzie do tego — rzekł dr Smith, lekarz portowy z Nankin-gu, który od tygodnia bawił w Szanghaju i nazajutrz miał wracać —zapominacie, szanowny kolego, że pomiędzy naszym O'Malleyem a kan-tońskim ministrem spraw zagranicznych Czenem stanął układ, o ile pomnę dnia 20 lutego.

Niepoprawny Thevet parsknął niegrzecznie śmiechem, co mu uchodziło chyba ze względu na jego wiek podeszły.

— Stanął sławetny układ po długich, a ciężkich cierpieniach. I cóż stąd? Dotyczy on przede wszystkim koncesji brytyjskiej w Han-kou, a zresztą każdy traktat to świstek papieru. Kto ma siłę, ten depcze wszelkie traktaty. Mieliśmy na to chyba dosyć dowodów w czasie wielkiej wojny, z roku 1914... Lecz nie chcę was pozbawiać złudzeń co do wartości traktatów in abstracto... Weźmy konkretny przypadek. Czy treść układu zawartego z Czenem nie jest najwyraźniejszą w świecie kapitulacją? Czy myślicie, że nie rozzuchwali ona Kantończyków, nie skłoni ich do dalszych żądań?

— You are right, Mr Thevet — ozwał się gospodarz. —Treść jest wręcz skandaliczna, jest rzeczywiście przyznaniem się do klęski... Niesłychane! My, Anglicy mamy płacić takie same podatki, jak Chińczycy?! Ależ oni nas umyślnie zniszczą, zrujną. Mamy podlegać ich sądom w zakresie prawa handlowego i cywilnego! Ba, w sławetnym układzie umieszczono podobno nawet taki nonsens: „Rząd Jego Królewskiej Mości rozważy kwestię zastosowania w sądach angielskich w Chinach, kodeksu karnego chińskiego”... Świat się kończy! Będziemy więc przez naszych angielskich sędziów skazywani na ukrzyżowanie, ćwiartowanie, spalenie, ścięcie głowy na śmietniku zamiejskim, wieszanie za nogi i wszystkie tym podobne przyjemności, które zalecają barbarzyńskie kodeksy tych dzikusów.

Dr Smith poklepał Smoota przyjaźnie po barkach.

16 Pcrlii Szanghaju

241

— No, my friend. Nie należy stosować interpretacji tak daleko idącej.

— Trzymam się litery układu.

— Weil. W takim razie proszę nie zapominać, że napisano tam: „Rząd J. K.M. rozważy,... rozważy kwestię stosowania itd.”... He he he! Przypuszczam, że będzie długo rozważał. Najmniej jedno stulecie.

— Myślę, że znacznie krócej — przerwał wuj Tim, któremu nagle przybyło otuchy.

—Niech tylko dzielny Duncan wypróbuje swych dział, tanków' kulomiotów na Kantończykach, zaśpiewamy im inne warunki. Ho ho! Poznają, że regularne wojska brytyjskie to nie bandy Wu-Pei-Fu, czy innego Sun-Czuan-Fanga... Prawda, Andrzej?

— Podzielał zdanie wuja, ale tylko częściowo — odparłem.— Koncesjom znajdującym się w miastach portowych nie zagraża żadne niebezpieczeństwo, gdyż osłonią je działa morskiej artylerii, wspaniałej floty angielskiej... Ale okręty te w głąb olbrzymich Chin nie dotrą i nie wymuszają zwrotu dotychczasowych zdobyczy, nie zmieniają zawartego układu na korzyść Wielkiej Brytanii i jej poddanych... Co gorsza, wszelkie sukcesy białych w Szanghaju czy innych miastach portowych, mogą tylko zaognić sytuację, podjudzić motłoch do ekscesów, co skupi się na naszych ziomkach,

mieszkających w głębi kraju, może...

— Eeech, mój drogi!... Widzę, że Thevet cię zahipnotyzował, zaraził swym pesymizmem... Sam Duncan mi mówił, że w razie jakiegokolwiek zaczepki zbombarduje chińskie dzielnice, a wiecie chyba, że agenci Kantonu ustawicznie dają okazję... I pomimo to! Słuchajcie! Pomimo to, ja Timotheus Smoot, jadę jutro ze Smithem do Nankinu by załatwić kilka interesów, które równie dobrze mógłby załatwić któryś z moich I starszych urzędników. Wyzywam los i jadę! Chcę zobaczyć z bliska to 1 „piekło” chińskie, jak powiadacie. Przypuszczam, że w międzyczasie j Duncan zapozna Chińczyków z granatami angielskimi... Będą więc mogli poszukać rewanzu na nas w Nankinie. Ha ha ha ha!... Cóż, doktorze?... Obawia się pan?

Smith wzruszył ramionami wzgardliwie:

— Owszem — odparł — obawiam się bardzo poważnie, że taśmy filmowe, jakie dzisiaj kupiłem, są diabła warte. Nie będę mógł należycie uwiecznić „gniewu ludu chińskiego”.

— Ha ha ha, to mi się podoba! — wołał zachwycony Smoot. —:Za

242

Bwa tygodnie zbierzecie się znów tutaj, przyjaciele... Doktora przywiozę ze sobą... Zademonstruje wam-swoje zdjęcia.

Mr John, Arthur Timberworth, notariusz, jeden z najlepszych przyjaciół wuja Tima, który nie brał dotychczas udziału w rozmowie, wystąpił naprzód.

— Tim, stary druhu, stawiam dziesięć funtów, że za dwa tygodnie wszelka komunikacja między Szanghajem a Nankinem będzie przerwana, wobec czego albo nie wrócicie wtedy, albo drapniecie wcześniej.

— Pięćdziesiąt na dziesięć, że punktualnie za dwa tygodnie wyruszymy z Nankinu i żadna siła nas nie zatrzyma w drodze.

— Ani vis major?

— Ani!... Proponuję podwojenie stawek.

— Weil. Zrobione.

Wuj Tim wyjął notes i zapisał skrupulatnie treść zakładu, nazwisko notariusza i wysokość stawek: 100 funtów do 20 funtów. Zachęcony takim przykładem dr Smith zrobił analogiczny zakład z kolegą po fachu dr. Thevet, ale o mniejsze sumy, bo 10 funtów, przeciw 10 funtom.

— A ja, najniższy niewolnik dostojnych panów, ośmielę się stawić nędzne 700 funtów, że za dwa tygodnie nie tylko nie będziecie się mogli przedrzeć do Szanghaju, ale nawet w Nankinie nie wysiedzicie i przeniesiecie się na pokłady wojennych statków, o ile takowe jeszcze będą pływać po nurtach Jangcy-kiang — zabrzmiał jakiś głos od drzwi.

Odwróciliśmy głowy szybko.

Na progu smoking-roomu stał Chińczyk, ubrany w doskonale skrojony smoking i schylony w przesadnie uprzejmym ukłonie.

— O, MrTang-Czu!... Witam pana serdecznie! —zawołał wuj Tim, idąc naprzeciw gościa.

Targ-Czu był najbogatszym kupcem chińskim w Szanghaju i klientem domu bankowego „Tim. Smoot & Co.”

— Jak należy rozumieć pańskie słowa właściwie? — spytał dr Smith trochę szorstko.

Chińczyk uśmiechnął się oblesnie:

— Tak mniej więcej, że za dwa tygodnie nie będzie jednego Europejczyka w Nankinie nad czym zresztą szczerze ubolewam.

— I stawia pan 200 funtów?

— Skoro się rzekło te niegodne słowa...

243

— 200 funtów, to dla mnie majątek... Cóż, jestem tylko skromnym lekarzem portowym... Ale z drugiej strony taka gratka nie trafia się co dzień. Oto moja ręka. Wuj Tim poklepał swego klienta po ramieniu...

— Ho ho, MrTang-Czu!... Widzę już oczyma duszy tę chwilę, kiedy po powrocie do Szanghaju dam buchalterowi polecenie obciążyć pański rachunek tytułem przegranego zakładu, a uznać konto Smitha... Ha ha ha!

— Życzę panom serdecznie, aby tak było — brzmiała spokojna odpowiedź.

Dla uniknięcia możliwych nieporozumień, ustalono dokładnie daty. Więc za 14 dni, to jest 25 marca, miał upłynąć termin pierwszego zakładu. Do tego dnia zobowiązywali się obaj panowie pozostać w Nankinie, a 25 marca mieli wyruszyć autem na Wschód i powrócić do Szanghaju.

Kto mógł wówczas przewidzieć, jakie los zgotuje niespodzianki?!

Ze względu na obecność Chińczyka, rozmowa zeszła na inne tory. Nie poruszano już drażliwych tematów politycznych. Towarzystwo rozbiło się na grupy. Dr Smith odciągnął na bok notariusza, wypytyując go o coś dyskretnie, wuj Tim omawiał jakiś biznes, inni starsi panowie podeszli do bufetu, tylko doktor Thevet sam pozostał. Skierowałem się więc ku niemu, by go zabawić rozmową, ale dojrzał mój manewr i przeniósł się czym prędzej w inną stronę "sali... Więc jeszcze się nie udobruchał! Jeszcze nam, to jest mej narzeczonej i mnie, nie prze raczył „cynicznego” odezwania się przy pamiętnej rozmowie... '

Było to nazajutrz po mej pierwszej wizycie w zakładzie ojca Jerzego. Wuj Tim powrócił koło wieczora z podróży do Nankinu i przy obiedzie zeszła się cała nasza paczka, wuj, Lotte, notariusz Mr Timberworth, dr Thevet, jego wnuczka i ja. Do zwykłego kompletu brakowało tylko Harveya, który rzekomo wyjechał z Szanghaju przed dwoma dniami.

Thevet skierował rozmowę na temat, którego się najmniej spodziewałem w tym domu... Zaczął mówić o spustoszeniu, jakie w Chinach sprawił oraz w dalszym ciągu sprawnie handel opium. Sypiąc jak z rękawa statystycznymi danymi zaperzył się w końcu i oświadczył, że kompetentne czynniki powinny wreszcie wydać zakaz sprzedaży wszel-

244

kich narkotyków, względnie spowodować wyjście ustaw podobnych do tych, jakie w Europie lub w USA istnieją.

Spojrzałem porozumiewawczo na Lotte, potem równocześnie przenieśliśmy wzrok na wuja Tima... Smoot słuchał dłuższy czas w milczeniu, nie przerywając lekarzowi ani słowem. Wreszcie nie wytrzymał. Wygłosił płomienną filipikę przeciw Chińczykom, nazwał ich największymi barbarzyńcami wieku dwudziestego, przytoczył wszystkie oklepane frazesy o żółtym niebezpieczeństwie, które zmiecie z globu ziemskiego białą rasę, o ile jej przedstawiciele nie potrafią wcześniej przeciwstawić się

straszemu niebezpieczeństwu, zagalopował się nawet tak daleko, że przyrównał handlarzy opium do średniowiecznych krzyżowców, walczących wprawdzie nie mieczem, lecz bronią współczesną, trucizną...

— Jeśli miotacze płomieni, gazy trujące, bakterie są główną bronią obecnej wojny, bronią wprawdzie potępianą przez różne międzynarodowe mitingi, lecz w gruncie rzeczy ogólnie stosowaną, nad której ulepszeniem pracują nieustannie najteżsi chemicy ś*wiata, to równie godziwą bronią jest opium... Jest nią tym więcej, że przed śmiercią daje długie i częste chwile upojenia, czarownych snów, miraży niedostępnych w rzeczywistości dla biednego motłochu...

Nie ma chyba człowieka, który by nie wierzył, że prędzej czy później przyjdzie do straszliwego starcia pomiędzy rasą żółtą, a białą. Nikt nie będzie wówczas potępiał tych generałów, którzy wymordują miliony Chińczyków... Ale rzuca się gromy na handlarzy opium, że przewidując rzyszłe wojny, już dzisiaj starają się zmniejszyć niezliczone zastępy wrogów... Potomność oceni dopiero ich zasługi i w pamięci wystawi im pomniki trwalsze od marmurowych... Tak, doktorze!... powiesz zapewne, że ci ludzie nie kierują się tak wzniosłymi ideami, lecz po prostu chęcią zysku. Po większej części, tak... Byliby głupcami, gdyby nie narażali się na nienawiść współczesnych idealistów bez żadnej własnej korzyści... Ale pomimo to są oni prawdziwymi dobroczyńcami ludz-i kości... Mówiąc o ludzkości, mam na myśli rasę białą, rasę silną, doskonałą, jedyną, która może godnie reprezentować całą ludzkość...

\') Wuj Tim zmęczony długą oracją umilkł i cisza zapanowała przy s ole. . . ,

Jego krańcowo radykalne poglądy nie przemówiły nikomu do

245

przekonania, wywołały wręcz uczucie niesmaku. Można było uwzględnić, że jako Anglik z krwi i kości, nienawidzi Chińczyków, zwłaszcza po ostatnich wypadkach, można było też wziąć pod uwagę, że broniąc handlarzy narkotykami, przemawia pro domo sua, ale żeby się aż tak daleko posuwać?!

Dr Thevet drżąc z oburzenia, wlepił oczy w swój talerz, notariusz spojrział dyskretnie na zegarek, Lotte udawała, że je z apetytem, jedna Lou, dziewczyna pusta, nie biorąca z reguły udziału w poważniejszych dyskusjach, zaczęła się bawić z psem Lotty, napełniając milczący pokój swym chichotem.

Ja osobiście zająłem się obserwacją obecnych. I dostrzegłem, że wuj Tim zauważył swe osamotnienie, że kręci się niespokojnie i ukradkiem ku nam spoziera. Wreszcie zagadnął wręcz Lotte:

— Darling, byłaś świadkiem całej naszej rozmowy. Wypowiedz się, proszę. Zależy mi na tym bardzo. Dużo więcej, niż możesz przypuszczać. Czy ty także potępiłabyś tych ludzi, na których doktór gromy ciska? Zastanów się dobrze, nim odpowiesz. Proszę cię, zastanów się!

Pobladła silnie. Pochyliła głowę jeszcze niżej nad talerzykiem. Potem nagle szkarłatne rumieńce wypełzły na jej policzki. Podniosła oczy rm pytającego i głosem drżącym odpowiedziała:

s— Czy można potępić właściciela magazynu broni za to, że jakiś zdeterminowany młodzieniec, rokujący zresztą najlepsze nadzieje, za- < strzelił się? Czy można karać aptekarza za to, że sprzedał flaszkę jodiny, którą potem wypila samobójczyni? •

— O, za przeproszeniem! —zaprotestował gorąco Thevet — porównanie całkiem

nietrafne. W obu wypadkach ani aptekarz, ani rusznikarz nie wiedzieli, że kupujący zamierza sobie życie odebrać. Z handlarzami narkotyków rzecz się ma odwrotnie. Oni dobrze wiedzą, że trucinę sprzedają, a biedne ofiary nie zdają sobie sprawy z ogromu niebezpieczeństwa. * -

— Takie naiwne znów twoje ofiary nie są — odparł wuj Tim i zwrócił się ponownie do Lotty: — Doktor przesadza, jak zwykle, lecz mimo to muszę mu przyznać rację, że twe porównanie nie było trafne. Zaniechaj więc wszelkich przenośni i wyjaw nam swe poglądy otwarcie.

Biedaczka rzuciła mi błagalne spojrzenie. Usprawiedliwiała się niejako, że była zmuszona uciec się do wykrętów, które w dodatku nie

246

*

dopisały i zebrała wzrokiem o pomoc. Stała mi nagle w pamięci nasza wczorajsza wizyta w ogrodzie obłąkanych i późniejsza rozmowa. Lotte powiedziała przecież otwarcie, że takich ludzi jak Smoot, powinno się zamykać w więzieniach. Czy miała teraz powtórzyć swe wywody, wyznać swoje credo? Czy nie oznaczałoby to otwartego zerwania z wujem?

Poznawszy w ciągu rocznej znajomości charakter mej narzeczonej, byłem głęboko przekonany, że ani usteczek swoich kłamstwem nie skala, ani też dla afektu ku bratu matki nie zmieni na poczekaniu swych poglądów. Więc osłupiałem zupełnie, kiedy wśród ogólnej ciszy padły takie słowa: , i

— Nie wujaszku! Nie mogę potępiać tych ludzi i nie jestem I powołana do sądzenia ich uczynków. Nikt zresztą nie zmusza Chińczyków do kupowania opium. A Głośny okrzyk triumfu Smoota zagłuszył jej dalsze słowa. Zauważyłem, że głowa Lotty skłania się ku mnie i poprzez wrzawę usłyszałem jej usprawiedliwienie:

— Cel uświęca środki. Czasem i skłamać wolno. Powiedziała, to szeptem, który ja tylko dosłyszeć mogłem. Nie

zrozumiałem wprawdzie, o jakim celu mowa, jakie w ogóle znaczenie mają słowa Lotty, ani jakie przyczyny skłoniły ją do skłamania, lecz pojąłem jedno, że jej oficjalna enuncjacja zawiera dla mnie instrukcję, na wypadek, gdy mnie o to samo spytają. I kiedy Smoot powtórzył pierwotne pytanie, zwracając się z kolei do mnie, poparłem bez wahania zdanie mej narzeczonej.

Właśnie wstawaliśmy od stołu. Wuj Tim obwieszczał głośno swój triumf nad doktorem, a kiedy Lou, nie mająca pojęcia, o czym mowa, oświadczyła, że ma takie same zdanie jak Lotte, radość jego nie miała granic.

-f Przegrałeś Thevet! Zostałeś sromotnie pobity na całej linii. Nawet twoja wnuczka! —; Eee! Tego głuptaska nie biorę w rachubę. Lou zrobiła obrażoną minę, a Tim ciągnął dalej:

— Aha, usiłujesz teraz obniżyć wartość oświadczeń mych stronników. Nie, przyjacielu! Przegłosowano cię! Licz: Panna Lou, Lotty, Andrzej i ja, to czworo. John zachował neutralność...Pozostałeś sam!

247

Przechodząc koło nachmurzonego doktora, usłyszałem, jak mówił do notariusza:

— Po nim można się wszystkiego spodziewać, ta moja smarkuła, to gęś, ale ci dwoje? Niesłychany cynizm! Co może wyrosnąć z takich ludzi? Przecież razem

wzięci nie mają ani pięćdziesięciu lat. Straszne! Straszne czasy i młodzież straszna! /
Potem notariusz zaczął się żegnać, lecz Tim go zatrzymał.

— Będziesz mi bardzo potrzebny. Przejdziemy do gabinetu, by nam -nikt nie przeszkadzał. Och John! Jakże błogosławię dzisiejszą rozmowę. Moje przewidywania okazały się słuszne. Moje dzieło nie pójdzie na marne. To dzielna, rozumna dziewczyna! Nie marzycielka, jak tamci głupcy...

Ze zdziwieniem zauważyłem, że Lotte, rozmawiająca pozornie z wielkim ożywieniem z panną Lou, podsłuchuje w rzeczywistości, o czym wuj mówi. Zdawało mi się nawet, że uśmiech radości, zadowolenia zaigrał na jej pobladłych wargach... Od tego dnia wuj Tim był dla mnie podwójnie serdeczny, a nad Lotta rozpyływał się ustawicznie w pochwałach... Za to zraziliśmy sobie na długo doktora Thevet i jak się miałem właśnie sposobność przekonać, nie zapomniał urazy nawet po tylu tygodniach, nawet w dniu balu maskowego.

Widząc tedy, że pragnie uniknąć ze mną rozmowy, skierowałem się w inną stronę smoking-roomu i uciałem pogawędkę z jakimś starszym panem.

Chwilę później weszła do sali Lotte.

— Jeszcze się nie przebrałaś? — zapytałem, widząc, że jest w tej samej toalecie, w której była podczas oficjalnej części przyjęcia.

— Nie Andrzej. Właśnie miałam zamiar to uczynić, kiedy zjawił się lokaj, wzywając mnie do wuja...

— Tak, darling — ozwał się Smoot — Kazałem cię na chwilę poprosić. Zaraz się dowiesz, dlaczego.

Przepraszam towarzystwo, kiwnął głową porozumiewawczo w stronę notariusza i szybkim, sprężystym krokiem podszedł do drzwi, wiodących o przyległego salonu. Po chwili znikł mi z oczu. Zresztą przestałem się interesować jego osobą, gdyż w tym momencie podszedł do mnie Mr Tang-Czu i zaczął mi ścisnąć dłoń kardialnie.

— Proszę mi wierzyć — mówił szczerząc zepsute zęby w szerokim uśmiechu. — Proszę wierzyć, że widziałem wiele pięknych kobiet w życiu, objechałem za młodu kulę ziemską dwa razy, zwiedziłem wszystkie kraje, miałem więc chyba dosyć okazji... Lecz równie czarującej kobiety, jak pańska narzeczona, nie spotkałem. To najpiękniejszy kwiat Zachodu, przeszczepiony na naszą nieurodzajną, niebogatą w ładne kobiety, ziemię... To prawdziwa perła!

Inni mężczyźni, słuchając słów chińskiego Krezusa jak wyroczni, zawtórowali zgodnym chórem pochwał, uniesień, wykrzyków.

A Lotte słuchała zapłoniona po uszy, zażenowana, lecz w duszy zadowolona z tych głośnych zachwyty i robiła do mnie filuterne oko.

Trudno mi zabierać głos na temat urody mej narzeczonej. Mnie osobiście wydawała się zawsze prześliczną istotą, najpiękniejszą ze wszystkich dotychczas spotkanych, cudnym rozwijającym się pączkiem róży, uroczą dziewczyną, która przeobraża się właśnie w ponętą kobietę..., ale moje zdanie może się wydać subiektywne, może nim jest nawet. Inaczej się spogląda na kobietę, która nam jest zupełnie obca, inaczej na najdroższą kochankę-narzeczoną. Pryzmat miłości, uwielbienia zacierza wady, defekty, braki, dostrzegalne dla obojętnego obserwatora, a stokrotnie podnosi zalety. Mówiąc więc o tym, jak Lotte owego wieczora wyglądała i chcąc wydać sąd możliwie najbardziej obiektywny, mogę stwierdzić tylko jedno, że miała ona

wówczas swój dobry, może swój najlepszy dzień. Promieniowało od niej zdrowie, młodość, świeżość, temperament i radość życia. Jej malinowe usteczka rozchyłały się często w uśmiechu, ukazując równiuteńkie rządkie białych zębów... Więc śmiały się jej usta, jej oczy podłużne w czarnej oprawie gęstych, długich rzęs, w cieciu łuków brwi, silnie napiętych. Jej wdzięczna, smukła sylwetka zdawała się płynąć po lustrzanej posadzce i tylko delikatny chrzęst pereł, opasujących pięciokrotnym splotem alabastrową szyję, zdradzał, że czarujące zjawisko nie jest księżycową zjawą senną, że nie płynie jak duch ponad ziemią, lecz stąpa po podłodze.

— Czarująca dziewczyna! — mruknął poważny Mr John, Arthur Timberworth.

— Charming, indeed — potwierdził dr Smith, a Thevet, myślący

249

widocznie ustawicznie o owej pamiętnej rozmowie, westchnął szczerze:

— Wygląda jak anioł i jest aniołem z pewnością, tylko Smoot jej w głowie przewrócił swymi niemoralnymi teoriami.

Potem spostrzegłszy, że stoję w pobliżu, odsunął się jak mógł najdalej.

Tymczasem od strony sąsiedniego salonu dobiegł gwar kilkudziesięciu zbliżających się osób. W drzwiach stanął Smoot, za nim jedna, druga, dziesiąta, dwudziesta para gości. Przeważna ich część była już w maskach i kostiumach. Więc wcisnęli się do smoking-roomu pierroci, pajace, markizy, lalki, kowboje, Hindusi, bonzowie chińscy, japońscy samuraje, gejsze, Hawajki, Murzyni, dalej maski (sit venia verbo) symboliczne, jak ogień, woda, powietrze, bezrobocie, giełda, postęp, barbarzyństwo (naturalnie na Chińczyka ucharakteryzowane) i tłum pstry wszelaki, który trudno mi było ogarnąć jednym spojrzeniem oka, a co dopiero sklasyfikować czy znaczenie masek odgadnąć.

Tim Smoot ujął pod ramię notariusza, doprowadził go ku przeciwległej ścianie i chrząknął potężnie na znak, że pragnie przemówić.

Goście ustawili się w półkolu, ale na moment absolutnej ciszy trzeba było dobrze poczekać. Początkowo sądzono, że chodzi o jakiś żart lub wesołą niespodziankę.

Dowcipkowano więc, wskazując sobie Tima i w palarni zrobiło się bardzo gwarno.

— Ladies and gentlemen! — huknął gromko mówca, zagłuszając: ogólną wrzawę. — Zrobiliście mi ten wielki zaszczyt, że raczyliście

I « przybyć do mej skromnej chaty...

Głośny wybuch śmiechu był odpowiedzią na określenie „skromna: chata”.

— Aby wziąć udział w zabawie — ciągnął Tim. — Korzystając z tej okazji, pragnę wam zakomunikować coś, co może być pewnego rodzaju; niespodzianką... Oto ostatni raz mam to szczęście, gościć was w tych murach jako gospodarz. Jutro już one do mnie należeć nie będą...

— Co?... Co?!... — dopytywali dalej stojący. Jakiś niski samuraj przecisnął się aż do pierwszego rzędu słuchaczy, przyzywając ruchem ręki wspaniale ubranego maharadzę, który asystował markizie w siwej peruce.

— Stary jestem i dni moje są policzone...

Rozległy się głośne protesty. Ktoś wyraził wątpliwość, czy gospo-250 darz jest trzeźwy, czy też zdążył już sobie umysł winem zaproszyć.

— Nie przeczcie! Ja wiem najlepiej... Doszły mnie słuchy, że pewne jednostki chciały po mej śmierci obalić testament, podeptać moją wolę ostatnią, która jest

święta.

— Co nas to może obchodzić —mruknął jakiś Papuas do pajaca, który stał tuż obok mnie.

— Słyszeliście zapewne, bo nie robiono z tego tajemnicy, o zagadkowych przeszkodach, jakie się piętrzyły na drodze mej siostrzenicy w czasie jej podróży na Wschód. Domyślałem się od razu osoby sprawcy, a raczej sprawców, bo jest ich trzech...

Mały samuraj poruszył się bardzo niespokojnie.

— Jeszcze miałem wątpliwości. Jeszcze się wahałem. Nie wierzyłem swym detektywom... Postanowiłem się przekonać osobiście... osobiście porozmawiać z świadkami. Wyjechałem więc rzekomo do Nankinu, a w rzeczywistości byłem w Ninpo...

— W Ninpo? — zawołał dr Smith. — Przecież tam są Kantończycy od dawna!
Wuj Tim uśmiechnął się zrozumiiale:

— A pomimo to byłem i uzyskałem wystarczające dowody. Przeniknąłem zamiary tych panów, lecz potrafię je pokrzyżować. Nie obalą już testamentu, gdyż żyjąc, oraz będąc zdrow na ciele i umyśle, ofiarowuję niniejszym cały mój majątek swej siostrzenicy, tu obecnej Miss Lotty Nardewitz. Pan rejent Timberworth może was zapewnić, że Tim Smoot nie posiada dzisiaj nic, prócz tego ubrania na sobie, że zastrzegł sobie tylko dożywocie, a wszystko jest własnością Lotty... Wszystko, powiadam! Ladies and gentlemen, skończyłem!

Dłuższą chwilę panowała bezwzględna cisza. Wiadomość była rzeczywiście nieoczekiwana, zaskoczyła poniekąd zebranych, zwłaszcza najbliższe grono przyjaciół starego miliardera. A zaintrygowały wszystkich zagadkowe aluzje, jakby pogroźki, skierowane do jakiejś trójki hultajskiej, która miała spowodować tajemnicze przygody w podróży pięknej Lotty i spiskować w celu obalenia w przyszłości testamentu Smoota.

Dopiero kiedy Tim zaczął ścisnąć Lotte, kiedy liczne grono zawsze znajdujących się pod ręką pochlebców otoczyło ją wieńcem, zawrzało w sali od rozmów, komentarzy, a nawet złośliwych dowcipów.

251

— Czuję się jak na tureckim kazaniu —przyznał się ktoś głośno.

— Ja także nic nie zrozumiałem. O kim oh gadał właściwie?

— Ale Lotty, smaczny kąsek, co?!

— Ba, najbogatsza panna w Szanghaju!

— Co, w Szanghaju! W całych Chinach, jeśli nie w Azji!

— Nie ostrz sobie zębów, Godfrey... Już zajęta.

— Tak? Któż to taki?

Młodzi dandysi zaczęli się rozglądać, szukać mnie wzrokiem, a spostrzegłszy po chwili, że stoję tuż obok, że prawdopodobnie byłem świadkiem ich rozmowy i wszystko słyszałem, przenieśli się chyłkiem do salonu.

— Ile tu dymu! —narzekła korpulentna markiza, wachlując się szybko.

— To prawda — potwierdziła śniada pseudo-Hawajka, ubrana w autentyczną spódniczkę z rafii, spod której wychylały się jej długie, smukłe nogi.

— Dziwny pomysł, by damy wciągać do palarni dla wysłuchania jakichś tam

niezrozumiałych historii. Takie rzeczy, o ile się w ogóle obwieszcza na balu, robi się w salonie.

— Cóż ohcesz, moja droga. Smoot to typ dorobkiewicza. Skąd człowiek nowy może wiedzieć, co wypada, a co nie wypada...

Trzecia kumoszka trąciła ją w bok łokciem, oczyma wskazując na mnie.

Nie chcąc krępować swą obecnością roztrajkotanych plotkarek, przeszedłem w stronę gospodarza. Mówił właśnie z ożywieniem dp., notariusza:

— Umyślnie o nich wspomniałem, przyjacielu! Nie domyślasz się, dlaczego? Czy nie domyślasz się również, dlaczego dziś dopiero o akcie darowizny mówiłem, dlaczego zaaranżowałem bal maskowy? Właśnie maskowy?! Ha ha ha... Jakiś ty niedomyślny! Uczyniłem tak, a nie inaczej, ponieważ znam ich tupet i przeczuwałem, że przynajmniej jeden z nich się tu zjawi...

— Co mówisz?! —zapytał tamten, jak gdyby z przestachem.

— Zaniepokoiłeś się. Tak, tak. Wiem o tym, że zawsze z nimi trzymałeś. Nie przecz! Nie mam ci tego^a złe. Ty masz takie słowiańskie sefce. Brak ci zupełnie anglosaskiej tężyzny... Zresztą ich nie skrzywdzi-

252

łem. Sam przyznasz, że renta... —tu nie dosłyszałem. Posunąłem się daleki, zaciekawiony treścią rozmowy i pochwyliłem jeszcze kilka zdań:

— Ale com sobie satysfakcję wymierzył, tom sobie wymierzył... Ha, ha-ha. Rękę daję, że w gronie masek, które tu stały, był jeden z nich... Kto? Najmłodszy! Tak! Lo! Z pewnością! Poznałem go po wzroście i zauważyłem zmieszanie, kiedy robiłem aluzję...

Wuj Tim urwał nagle, oglądnał się podejrzliwie dokoła, a ujrawszy mnie, zaczerwienił się jak żak i przeskoczył na inny temat.

Same zagadki! O kim mowa? Któż są ci trzej, owa tajemnicza trójka? „Najmłodszy... Lo", powiedział. Lo? Już kiedyś słyszałem to imię. Jeżeli Smoot ma na myśli naszych tajemniczych przeciwników, to znam ich dwóch tylko. Mały Chińczyk i Harvey. A trzeci? Prawda! Harvey miał przyjść. Trzeba by spytać Lou, jak jest przebrany, jaki ma kostium. Ona go najprędzej pozna. Intuicja kochającej kobiety jest najlepszym detektorem.

Ktoś wsunął mi rękę pod ramię. Oglądnałem się szybko. Przedemną stała Lotte...

— Andrzej, moje ty kochanie! Taka jestem szczęśliwa... Spojrzałem na nią zdumiony:

— Czy miliony otrzymane w prezencie ci tak szybko...

— Ach, dzieciak jesteś! —przerwała mi z rozkosznym dąsem. —Ty nie rozumiesz, dlaczego jestem taka szczęśliwa... Dowiesz się, darling, zdziwisz się, lecz zrozumiesz mnie. Poczekaj jeszcze trochę...

Znowu zagadka! Chciałem o coś zagadnąć, ale przeszkodził mi Tang-Czu, który podszedł do nas słodko uśmiechnięty:

— Przed pół godziną ja niegodny nazwałem panią najpiękniejszą perłą...

— Przychodzi pan teraz odwołać poprzedni komunikat.

— „Przychodzę go uzupełnić. Jest pani nie tylko najpiękniejszą, ale i najcenniejszą perłą całego Szanghaju i...

Jakiś asystujący Chińczykowi młodzieniec, prawdopodobnie trochę zawiany winem,

huknął w tym momencie na całe gardło:

— Miss Lotty, perła Szanghaju, niech żyje! Hip! Hip! Hurra!

— Niech żyje „Perła Szanghaju”!

— Niech nam króluje!

1

253

— Hip! Hurra! Hip! Hurra! -Hip! Hurrrrrraaa! — rozbrzmiewało na wszystkie głosy, solowo lub chórem.

— Ach, jak oni krzyczą! — narzekała znów dystyngowana markiza. Ktoś mnie pociągnął za rękaw. Mijała Lou Thevet. Rzekła krótko i węzłowato, co jej się nader rzadko zdarzało:

— On jest tutaj. .

— Kto taki?

— No, Harvey...

— Gdzie?! Który? Panno Lou, ja proszę, błagam! Tu chodzi o...

— Nie mam czasu. Widzi pan, że jestem jeszcze w sukni. Kostium czeka...

— Ależ... >

— O, nie ma tak dobrze! Niech pan odgadnie, jak ja odgadłam albo proszę czpkać do rana... N

Wcisnęła się w tłum gości, a z drugiej strony Lotte przytrzymała mnie za rękę.

Zostałem tedy, zostawiając na później zdemaskowanie Harveya i porachunki z nim.

Po jakimś czasie Lotte wyraziła zamiar pójścia do swych pokoi celem przebrania się w przygotowany kostium. Chciałem jej towarzyszyć, lecz odmówiła.

— Nie, darling! To nie byłaby żadna zabawa. Ty nie możesz wiedzieć, jak będę ubrana. Ale staraj się mnie poznać. Dostaniesz słodką nagrodę. »

Złożyła usteczka jak do pocałunku, dając niejako przedsmak przyrzeczonej nagrody i wybiegła. Pograżony w swych rozmyślaniach przeszedłem do salonów, gdzie właśnie rozpoczynano tańce. Starsi dżentelmeni już tutaj byli. Stali swym obyczajem pod ścianą, przyglądając się zabawie młodych i dzieląc się wzajemnie spostrzeżeniami.

Właśnie przedmiotem ich rozmów był strój Mrs Cecily Hedge, wdowy po azjatyckim królu tytoniowym. Dama miała wiek balzakowski, mówiąc grzecznie, a przywiedle wdzięki starała się upiększyć, podnieść, może od nich uwagę odwrócić przez nadmiar kosztownej biuterii. Więc jej wypiełgnowane starannie, wypieszczone palce znikwały wprost pod mnóstwem pierścieni, jej silnie napudrowana szyja zdawała się uginać pod ciężarem wielokrotnych sznurów pereł beczennych, brylantami wysadzana opaska, podtrzymująca brzemię dobrze

254

lutlenionych włosów, dźwigała wspaniały diadem pośrodku, brylantami Łokryte maneły wrzynały się w pulchne, białe ciało ramion, nawet lkosztowna suknia była wyszywana prawdziwymi perełkami.

— Nic, tylko perły i brylanty — zauważył słusznie dr Smith. I — Spójrzcie na jej pantofelki. Arcydzieło!

Ix — Jaka szkoda, że nie włożyła maski — dorzucił złośliwie Tang-|-Czu.

— Ma dobre serce. Nie chce, by ktoś doznał rozczarowania przy |zdemaskowaniu w zacisznym ustoniu, en deux.

Smoot ujął się za gościem, lecz przemówił, jak na dorobkiewicza I przystało:
I — Mylicie się, przyjaciele! Mrs Hedge nie wzięła maski z tego powodu po prostu, że chciała, by wszyscy wiedzieli, do kogo te pię-łkne klejnoty należą. Z punktu widzenia kupieckiego ma zupełną rację.

I Dr Thevet zdjął okulary, przetarł je sobie starannie małym płatkim lirchy i rzekł: — Warto się dobrze przyjrzeć... Takich kolekcji nie spotyka się co Idzień. Podobno ongiś pewien radzą indyjski miał precudne zbiory pereł, ale nie przyniosły mu szczęścia. Został zamordowany...

— Czekajcie, kolego! — wmieszał się Smith. — Było coś takiego! Pamiętam! Studiowałem wówczas medycynę w Kalkucie. Pisały o tym szeroko wszystkie gazety...

— Może się przejdziemy.

Spojrzałem na Tima ze zdziwieniem. Przybladł trochę i lewą dłoń przyłożył do śnieżnego gorsu koszuli frakowej. Nikt tego jednak prócz mnie nie zauważył i ruszyliśmy trójkami wzdłuż ściany, by nie przeszkadzać tańczącym. Wuj kroczył na przedzie, pomiędzy obydwojma lekarzami, ja z Tang-Czu i notariuszem za nimi, reszta z tyłu. Dr Smith, -jak na starszego, systematycznego pana przystało, nie chciał odskakiwać od pierwotnego tematu rozmowy, nie wyczerpawszy go wpród doszczętnie. Rzekł więc:

— O ile pomnę, radza zginął z ręki kochanka swej najukochańszej małżonki. To był sprytny rzezimieszek. Na próżno cała policja łamała sobie głowy, na próżno sam wicekról z Delhi kazał sobie składać raporty i niełaska groziła nieudolnym urzędnikom kryminalnym. Sprawca znikł

255

na zawsze, a z nim jego kochanka i perły radzy. Hallo, Smoot, musiał pan słyszeć o tej historii...

— Nie! Nic nie słyszałem! — odparł wuj Tim, jakby chrapliwym głosem i przyspieszył kroku.

Dr Smith upierał się jeszcze:

— Było to mniej więcej przed trzydziestu laty... Opowiadałeś mi raz, że w tym czasie byłeś także w Indiach. Przecież, to było bardzo głośne.

Już od chwili borykałem się z pamięcią i usiłowałem z jej milionowych szufladek odtworzyć tę, w której było schowane wspomnienie podobnej całkiem historii. Nagle jasna błyskawica przebiegła moje myśli... Przypomniałem sobie cudny wschód słońca na jeziorze Men-salech. Pamiętna motorówka „Mewa” mknęła przez opałowe nurty pośród szmaragdowych wysepek, pełnych różowych flamingów, czapli, bocianów. Lotte siedziała przy mnie, przytulona, zasłuchana we wschodnią opowieść Harveya. Harvey snuł powoli przedziwo baśni, którą prawdziwym wydarzeniem nazywał, a która wyglądała na bajkę. Tak, tak... Księżniczka Mirza, radza z Jaipur, urodziwy Anglik, nazwiskiem Snake... i wiele innych postaci przewinęło się wówczas przed oczyma duszy, wyobraźni, fantazji.

I kiedy uparty dr Smith biedził się nad przypomnieniem sobie szczegółów owej historii, a przede wszystkim nazwiska nieszczęśliwego radzy, zawołałem na głos:

— Słyszałem o tym wypadku!

Wuj Tim zrobił nagły „w tył zwrot” jak dobrze wymusztrowany żołnierz...

— Ty?! Słyszałeś? Ciebie na świecie wówczas nie było!

— Ale opowiadał mi to pewien towarzysz podróży. Najlepszy dowód, że pamiętam doskonale nazwiska bohaterów całego dramatu... Ów książę hinduski to był radża z Jaipur, jego żona pochodziła z rodu Gurków. Na imię jej było Mirza. A morderca księcia nazywał się Ssss... —urwałem, gdyż w tym momencie wujowi zrobiło się niedobrze. Zatrzepotał rękoma jak ptak ugodzony kulą skrzydłami trzepece, chwycił się za serce i zbladł.

— Wody!..., Powietrza!... —jęknął.

Na szczęście aż dwóch lekarzy było pod ręką. Zaledwie ten czy ów z tańczących gości zauważył nagłą niedyspozycję gospodarza. Pod-

256

trzymywany z dwóch stron pod pachy, dowlókl się o własnych siłach do gabinetu, gdzie pozostał pod opieką Smitha i Theveta.

— Andrzej... wróć do gości! Powiedz, żenić... głupstwo... Miewam Iczasem duszności... —wyrzucił z krtani z wysiłkiem.

— Przed Lotta... sza! Nie psuj jej zabawy — doleciało mnie jeszcze, |gdy mijalem próg gabinetu.

Przy drzwiach Tang-Czu z notariuszem komentowali świeży incy-|dent.

— To skutki zbyt nerwowego życia. Pomimo olbrzymiego majątku Ipracuje 16 godzin na dobę, dzień w dzień... By devil! Serce to najlepsza |maszyna jaką znam, ale trzeba jej także dać wypocząć, u licha!

— Dziwne — mrucał Chińczyk w zamyśleniu. —Taki mi się Iwydawał czerstwy, zdrowy, niespożyty. Hm... Więc pan sądzi, że tylko I przemęczenie może być przyczyną?

Nie miałem zamiaru brać udziału w ich rozmowie. Wolalem | odszukać Lotte, ale nie było to bynajmniej łatwym przedsięwzięciem. Rozpocząłem więc systematyczną pielgrzymkę od sali do sali, obserwując uważnie każdą maskę, która wzrostem, ruchami lub innym szczegółem mogła przypominać moją dziewczynę...

W salonach wrzała zabawa. Wirowały pary przeliczne w takt upojnej melodii bostona lub na przemian ulegając nerwowi zabawy łączyły się łańcuchem rąk w długie korowody, uciekały, goniły, przebiegały z miejsca na miejsce, sali do sali, bombardując się papierowymi piłeczkami lub zasłaniając się jedwabnymi parasolkami miniaturowych rozmiarów. Barwne wstęgi' serpentyn krzyżowały się w powietrzu z balonikami kształtu glist, węży, smoków, jaszczurów, które wiły się nad głowami gości z sykiem, miauczeniem, beczeniem. Inne balony wszystkich możliwych kolorów, o przeszło półmetrowej średnicy, opadały powoli, leniwie, a podbite silnym uderzeniem dłoni wlatywały aż po sufit, ku bezmiernej radości tańczących.

Dla urozmaicenia zaaranżowano naprędce konkurs na najpiękniejszy kostium. Każdy bez wyjątku uczestnik zabawy otrzymał małego motylka. Rozpoczęła się defilada, głosowanie, obliczanie i obwieszczenie wyniku. Na pierwszy rzut oka było widoczne, że zwycięstwo odniósł rajski ptak. Maską ta była dosłownie oblepiona motylkami, których nie brakło nawet wśród piórek wspaniałego ogona. Nie było natomiast

17 Perta Szanghaju

257

pewności, kto zajmie drugie miejsce i trzecie. Wywindowano na estradę orkiestry poważnego notariusza, który miał „z urzędu” obliczyć głosy Kandydaci i kandydatki defilowali przed nim gęsiego. Mr John, Arhui Timberworth czynił swą powinność z równą skrupulatnością, z jaką b) redagował jakiś akt prawny. Wreszcie odchrząknął należycie i obwieści urbi et orbi:

— Pierwsza nagroda, rajski ptak. Głosów 128.

— Hip! Hurraaa! Niech żyje rajski ptak!

— Druga nagroda, orchidea. Głosów 42.

— Niech żyje orchidea! Niech nam pachnie! —krzyczano.

— Trzecia, maharadża. Głosów 27.

— Czwarta, złoty paż. Głosów 21.

— Piąta, giełda. Głosów 16.

Rozweselone towarzystwo żądało, by nagrodzone maski odkryły oblicza, przed czym zainteresowani wzbraniłi się. Maharadża, ścigany przez pazię, pierzchnął z placu „boju”. Podstarzała giełda nie stawiała oczywiście oporu, orchidea zdemaskowała się ruchem pełnym wdzięku, a rajskiemu ptakowi ktoś zerwał domino.

Rajskim ptakiem była Lotte. Nowe okrzyki, wiwaty i wrzawa. „Perła Szanghaju” była na ustach wszystkich. Podziwiano jej kostium tym więcej, że właśnie do niej należał. Posadzono ją na przyniesionym skądś „rocking-chair”, pomimo protestów podniesiono w górę i poniesiono tak po salach w triumfalnym pochodzie jako królowę wieczoru.

A godziny płynęły szybko.

Była może trzecia, a może później, kiedy jakaś maseczka za pazię przebrana, przyczepiła się do mego ramienia niby pijawka i zaczęła mnie ciągnąć w stronę drzwi. Minęliśmy szereg salonów, potem smoking--room, bar, salę bilardową, przemienioną na chińską herbaciarnię, salon arabski, bibliotekę, dwa pokoje do gry w karty, gdzie przy brydżu i pokerze zabawiali się starsi panowie, potem mały korytarz, wiodący do lewego skrzydła pałacu. Dźwięki dwóch orkiestr grających na przemian lub dla fantazji gości, razem, nie dochodziły tutaj zupełnie, o ile drzwi z korytarza były zamknięte i . — Dokąd mnie wieszysz, piękny paziu? —spytałem, zniecierpliwiony długą pielgrzymką.

Maseczka wydała jakiś niewyraźny pomruk, nie chcąc widocznie,

258

bym ją poznał po głosie. Zrozumiałem tyle tylko, że mai dalej i o nic nie pytać.

Stanęliśmy w końcu w małym pokoiku, gdzie zazwyczaj grywaliśmy w ping-ponga. Paż przekręcił klucz w zamku, podszedł do mnie na palcach i pochylając się naprzód, wymamrotał:

— Pocałuj mnie, prędko i mocno!

Propozycja ta zaskoczyła mnie trochę, choć na maskaradzie rozmaicie bywa, na co powinienem był być przygotowany. Po cóż w takim razie te zbyteczne ostrożności, ucieczka we dwoje do odległego pokoiku, zamykanie drzwi na klucz, a wreszcie ten pośpiech. „Pocałuj mnie prędko i mocno”, powiedziała. Czułem, że wpadam w szampański humor.

— No, pocałuj mnie, niedołego!

— Zdejm najpierw domino.

— Nie! Nie lękaj się! Nie jestem ani stara, ani brzydka. Przyjrzałem się uważnie. Rzeczywiście, „obiekt” antykiem być nie mógł, na co wskazywała gładziutka, świeża cera skóry na skroniach, czole i rączkach. Więc oferta była na ogół do przyjęcia... Ale miałem skrupuły. Wspomnienie epizodu z Kwiatem Wiśni dręczyło mnie dość długo.

Moje wahanie nie ostudziło jednak zapędów nieznajomej. Cofnęła się wstecz jakby dla nabrania rozpędu, przy której to okazji miałem sposobność przyglądać się liniom jej smukłych nóg, w jedwab obcisniętych,... rzuciła się do ataku, wspięła się na palce, jako że była dużo niższa i objąwszy mnie oburącz za szyję, wpiła swe nakarminowane usteczka w moje wargi.

— Pocałowałaś mnie! —zawołała głośno. O perfidio kobieca! Ja ją pocałowałem! Lecz głosik złotego pazia nie był mi obcy...

,— Zemściłam się! Ach, jaką mi to radość sprawia! Jakby na dowód, że jej to przeogromną radość sprawiło, wybuchła histerycznym płaczem. Wprost zanosila się od łkania.

— Ja... się... zemści...łam! —powtarzała poprzez łzy rzęsiste.

— Niechże się pani uspokoi. Co się stało?

Jestem wrażliwy na łzy kobiece, więc przytuliłem łkającą i gładziłem ją delikatnie po lokach złotej peruczki.

259

Wyrwała mi się z objęć i gwałtownym ruchem zerwała maskę...

— Lou?! Więc to pani?!

— Tak, to ja! Zemściłam się! Pan mnie pocałował.

— No, oczywiście. Ale na kim się pani zemściła? I za co?

— Za co?! Ha ha ha ha ha ha ha ha!

Miał to być śmiech sardoniczny, ale wykonanie było nieświatne.

— Panno Lou! Proszę ładne oczęta z łez osuszyć. Oto chusteczka... I proszę staremu przyjacielowi powiedzieć przyczyny smutku.

— Przyjacielowi? Pan mnie pocałował. Pan był moim kochankiem. Ha, skoro pocałunek jest „ślubem dla czystych dziewic”, to byłem rzeczywiście kochankiem.

— Może się pan będzie wypierał? Może pan zaprzeczy?

— Ależ bynajmniej — rzekłem skwapliwie, chcąc uspokoić rozżalonego, dużego podlotka.

A podlotek wystawił mnie na ciężką próbę. Omal sobie warg do krwi nie pogryzłem, hamując wybuch szalonej wesołości.

— Chcę zemstę wyrzucić aż do końca. Dlatego tutaj przyszliśmy we dwoje... Ja się chcę panu oddać.

— Tu? — spytałem, dławiąc się ze śmiechu i wskazałem na prostokątny stół, przedzielony napiętą siateczką oraz pokryty przyborami do gry w ping-ponga. Stół był jedynym sprzętem/n małego pokoiku.

Panna Lou pokraśniała jak piwonka ze wstydu czy oburzenia.

— Pan jest bezwstydnym! —rzekła. —Pozwoliłam się panu pocałować, ponieważ pańska narzeczona robiła to samo z Harveyem.

— Co?! Jak?! Panno Lou, co pani wygaduje! Piliśmy za dużo szampana, jak mi się

coś zdaje...

— Nie jestem pijana! Owszem... Wychyliłam kilka kieliszków, zanim się na wszystko zdecydowałam, ale to nic...

— Niechże więc pani opowiada po kolei.

— Dobrze! Wszystko powiem! Sledziłam ich... Szłam za nimi krok w krok. Skradałam się jak Indianin. Zaczęli rozmawiać przyciszonymi głosami... Nie dosłyszałam ani słowa, a bliżej podejść nie mogłam. Nagle on ukląkł przed Lotta, jął całować jej dłonie. Och, jak on całował! Łotr! Podły kłamca! Mówił, że mnie tylko kocha, ale mnie nigdy tak nie całował.

— I co dalej? —przerwałem niecierpliwie.

260

— Co dalej? Ha ha ha ha ha! Idylla! Ona pochyliła się nad nim, zdaje mi się, że go pocałowała w czoło. A potem, już nie wiem... Nie mogłam dłużej patrzeć...

Płakałam... Och, byłam tak głupia, że beczałam. Później zrozumiałam, że pozostała mi tylko zemsta. Odszukałam pana w tłoku gości... /

— I zemściła się pani krwawo. Ale gdzie oni są? Gdzie ich pani widziała? Jaki kostium ma Harvey?

— Oczywiście! Tego by pan sam nigdy nie odgadł. Czy przypomina pan sobie dansera, który przed dobrą godziną tańczył z Lotta tango? No, niedołego! Wysoki, ślicznie zbudowany, w rękę trzymał duży zielony balon...

— Maharadża?

— Tak, ty mężczyzno!

W tym jednym słowie mieścił się stek obelg, zniewag, policzków, ądząc z intonacji głosu. Ale nie pora była na żarty... Pochwyciłem dłonie panny Lou i zaklinając ją na wszystko, błagałem, by mi wskazała miejsce, gdzie widziała ostatnio Lotte, nie przeczuwającą zupełnie, w jak strasznym się znajduje niebezpieczeństwie. Wreszcie wyprosiłem pożądaną wiadomość i ścierpłem ze strachu... Lou widziała ich w głównej altanie parku.

Zdołałem się jakoś szczęśliwie pozbyć rozżalonej dziewczyny i jak szalony pobiegłem do ogrodu, roztrącając niezbyt uprzejmie tych, którzy chcieli mnie zatrzymać po drodze.

Serce waliło tfu jak młotem. Dopiero kiedy znalazłem się w prawie pustym parku, kiedy mnie otoczyły mroki ciemnej nocy, pojąłem całą grozę sytuacji, w jakiej była Lotte. Biedaczka pozwoliła się temu łotrowi wywabić z ludnego pałacu, z gromady bawiących się gości... Pędząc na złamanie karku główną aleją, modliłem się gorąco, bym mógł przybyć na czas lub na przemian głośno przeklinałem swą lekkomyślność.

— Moja wina! Moja wina! —powtarzałem. —Jak mogłem choć na chwilę spuszczać ją z oka, wiedząc, że Harvey jest tutaj. Czemu jej nie ostrzegłem, kim jest ten fałszywy przyjaciel... Czemu nie starałem się zdemaskować tego draba już przed godziną, przed dwoma, trzema, czterema... Och, Boże! Boże! Jeśli się coś stało, to moja wina... Tylko moja!

Na drzewach wisiały lampiony i rzucały barwne płaty słabego

261

światła na zielone mury szpalerów, na deptak, piaskiem oraz tłuczoną cegłą wysypany. Co kilkadziesiąt kroków wznosiły się ustawione na czas zabawy

drewniane pylony, których pochodnie przygasały z wolna. Główna aleja miała jedno załamanie. Zbliżałem się doń właśnie. I mijając ów zakręt, zbiłem się z jakimś przyczajonym człowiekiem tak niespodzianie, że potoczyliśmy się w pięknej harmonii na mur wiciok-rzewów. Nieznajomy chciał mi zniknąć w krzakach, lecz pochwyciłem go silnie za kołnierz, a wyjąwszy drugą ręką elektryczną latarkę z kieszeni, przyświeciłem mu w oczy...

— Ach, to pan?! To'doskonale! —zawołałem, poznawszy detektywa, którego niegdyś indagowałem o numer kamienicy rzekomej krawcowej Lotty.

— Gdzie Miss Lotty?

— W altanie.

— Sama?

— Nie, z jednym gościem. Przeszli tuż obok i siedzą tam już dobrą godzinę... Był tam jeszcze ktoś trzeci... jakaś dziewczyna...

— Dziewczyna?

— Poznałem po głosie, boć wszyscy poprzebierani. Leciała tędy w stronę pałacu z głośnym płaczem.

Ach, więc to była Lou... Rozmawiając w ten sposób, posunęliśmy się aż do miejsca, skąd kontury altany, oświetlone czterema pochodniami, widać było doskonale.

— Panie — rzekłem do agenta, przyspieszając kroku, —proszę za wszelką cenę ująć towarzysza mej narzeczonej. Na moją odpowiedzialność. To przebrany zbir, rozumie pan?... Ja biegnę do altany.

— Proszę być spokojny. On nam nie ujdzie. Dwóch moich kolegów pilnuje z tamtej strony.

Zostawiłem go i popędziłem jak strzała. Dobiegając do pierwszego z pięciu stopni podwyższenia, dostrzegłem jedną jasną plamę... Tylko jedną.

— Lotte!!!

Jednym susem przesadziłem schody i przypadłem do kolan mej najdroższej dziewczyny. Dotykałem je rękami, chcąc się upewnić, że żyje, że jest zdrowa, że jakimś cudem uniknęła straszliwego niebezpieczeństwa. A kiedy pochyliła się nade mną, kiedy swe chłodne, aksamitne

262

dłonie położyła na moich skroniach, oczach, policzkach, nerwy moje nie wytrzymały dłużej i szloch bezgranicznego szczęścia wydarł mi się z piersi...

— Kochanie najmilsze! Jak mogłaś! Jak mogłaś! —więcej nie byłem w stanie powiedzieć.

— Co, Andrzeju? Co takiego zrobiłam?

— Jak mogłaś do parku wychodzić z nim?! Gdzie on jest? Mów!

— Wyszedł.

— Co?! Harvey wyszedł? Kiedy?

— Przed chwilą... Dopiero co opuścił altanę.

— Tak? O, to mu nie ujdzie tym razem, łotr przeklęty! Zerwałem się na równe nogi, lecz Lotte powstrzymała-mnie stanowczym ruchem.

— Nie, Lotte! Muszę go schwycić!

— Zostań! Ja proszę...

. — Słuchaj! Ty nie wiesz, kim jest Harvey...

— Wiem. Opowiadał mi właśnie.

— On ci opowiadał? Pewnie nowe jakieś bajki. Czy wiesz, że ów Hindus, który Kurta Weissmullera w Berlinie do hotelu przyprowadził, że ten drab, co cię dusił w slipingu, co cię później motorówką najechał...

— Wiem wszystko. Z pewnością więcej od ciebie — przerwała mi i dodała łagodnie:

— Tym niedoszłym zbrodniarzem był HarveyJ

— Niedoszłym zbrodniarzem! Ha ha ha! Coraz lepiej! Więc według ciebie zbrodnicze usiłowanie to nic. Trzeba dopiero czynów... Dobrze. Niech i tak będzie. Pomyśl, co by się stało, gdybym wówczas w wagonie nie usłyszał twego jęku, gdybym przybył za późno. Tego nie bierzesz w rachubę, a przecież...

— Wszystko wzięłam w rachubę, wysłuchałam go cierpliwie, a poznavszy pobudki jego czynów, .przebaczyłam. Nawiasem mówiąc, domyślałam się już od miesiąca tego wszystkiego, co usłyszałam przed

— I zamiast przywołać służbę, zamiast starać się go wciągnąć powrotem do pałacu i mnie przyzwać, pozwoliłaś łotrowi odejść...

— Mówiłam ci już, że mu przebaczyłam.

— Słyszałem coś o tej... sielance. On klęczał przed tobą, całował ci dłonie, a ty pochylałaś się nad nim — powtarzałem słowa Lou.

263

— Było tak w istocie. Musnęłam wargami jego czoło, kiedy klęczał przede mną. Zasłużył na to, przez swą skruchę...

— Skruchę wątpliwie szczerą...

— Ale twój wywiad sprawuje się dobrze. Czy pracuje on w kontakcie z detektywami wuja?

— Lotte, zaniechaj tej ironii. Zechciej mi raczej wyjaśnić zagadkę dla mnie niezrozumiałą... Wciąż jakieś tajemnice. Brodzę w nich po uszy, tonę w nich. Nic nie rozumiem.

— Przyjdzie dzień, że...

— Nie! To oszaleć można!—zawołałem na głos: —Już chyba setny raz słyszę taką zapowiedź.

Lotte nie obraziła się mym wybuchem*.

— My darling — rzekła miękko, ujmując obie moje dłonie — miej jeszcze trochę cierpliwości. Dzisiejszy krok wuja przyspieszył rozwiązanie zagadki być może o lata całe. Teraz jest ono tylko kwestią najbliższych dni...

Gdzieś w pobliżu zaszeleściły krzaki. Jakaś nieostrożnie nadepnięta gałązka pękła z suchym trzaskiem.

— Słyszałaś? — spytałem szeptem, zapominając o trzech detektywach. — To on!

— Nie. Dał mi słowo, że zaraz odejdzie. Wierzę mu.

— Małeńka, wróćmy do domu. Wiosenna noc ciepła, lecz zdradliwa. Możesz się zaziębić.

Lotte zapewniła mnie, że jest jej zupełnie ciepło, lecz wstała posłusznie z ławki.

Szliśmy ramie przy ramieniu środkiem szerokiej alei. Tajemniczy chrzęst powtórzył się znowu i niski cień przebiegł nam drogę. Przypomniałem sobie agenta i zdziwiłem się nieprzyjemnie, skoro zawołałwszy nań, ujrzałem, że wysuwa się z gęstwiny w całkiem innym miejscu. On również zauważył skradający się cień. Więc jednak ktoś

nas śledził. Uradziliśmy szeptem na poczekaniu, że my dwoje pójdziemy spokojnie w stronę pałacu, a detektyw przyczai się z tyłu, by nieproszonego opiekuna nakryć in flagranti.

Bez żadnego wypadku dotarliśmy aż do zakrętu. W oddali ukazała się ogromna masa gmachu, rzeszście oświetlonego z wewnątrz i zewnątrz. Równe rzędy lampeczek biegly wzdłuż kantów dachu, wzdłuż

264

gzymśów, tarasów, balkonów i okiennych ram. Sznury lampek spływały jakby po rynnach, narożnikach i załamaniach muru. Właśnie dzięki tej iluminacji było pałac widać jak na dłoni, gdyż zresztą noc była zupełnie ciemna. Nów księżycy kończył się dopiero, a zwały ciężkich chmur zasłoniły gwiazdziste niebo.

Niektóre okna otwarto na oścież. Ukazywały się w nich sylwetki wirujących par i dobiegał stamtąd gwar zabawy, okrzyki wodzirejów i dźwięki muzyki.

Nagle stała się rzecz bardzo dziwna.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki olbrzymi gmach, rozśpiewany, roztańczony, rozkrzyczany, tonący w powodzi tysięcy lamp elektrycznych, znikł sprzed oczu, scichł, zamarł...

— Co to, Andrzeju?! Czy ja śnię? — spytała Lotte z bezbrzeżnym zdziwieniem i przytuliła się do mnie całym ciałem.

W pałacu panowały egipskie ciemności, ale tu i ówdzie zabrzmiały okrzyki przerażonych kobiet, potem wrzawa nieopisana, jakby na znak, że gmach nie zapadł się pod ziemię...

W którymś oknie zamigotało słabe światełko, lecz zgasło natychmiast. Widocznie przeciąg powietrza zdmuchnął płomynek zapalniczki. Drugie światełko jaśniało dłużej znacznie. To zapalniczka benzynowa.

Zrozumiałem wreszcie przyczynę zjawiska, Nastąpiło krótkie spięcie. Głupstwo! Drobnostka! Trzeba tylko wkręcić nową stopkę. Ale z drugiej strony przepalenie się jednej stopki nie powinno, nie mogło pogрузić całego gmachu w ciemnościach.

Przyspieszyliśmy kroku...

W tym momencie ktoś przechylił się poza parapet okna i dojrzał że w parku płoną pochodnie W pylonach, oraz barwne japońskie lampiony. Zakrzyknął coś, co powtórzono natychmiast zgodnym chórem:

— Do ogroduj Hej, do ogrodu! Noc ciepła... Kapela naprzód. Niech tymczasem naprawią światło... Do ogrodu!

— Szkoda...i Tu było tak przyjemnie — oponował jakiś damski głosik. — Można się było zabawić w chowanego.

Chwilę później rozwarły się drzwi na parterowej werandzie i na marmurowe schody wysypał się tłum gości. Wśród dźwięków jazz-ban-du i radosnych okrzyków zaczęły się maski rozbiegać po alejach, ścieżkach, altanach ogromnego ogrodu.

Nas, otoczył w oka mgnieniu okazały hufiec wesołków.

265

— Hallo, ladies and gentlemen! — wołał Eskimos, prowadzący na złoconych łańcuszkach dwie zgrabne foki: — Tu, do mnie! Znalazłem skarb w parku...

Zgadnijcie. - Nie zgadlibyście nigdy... Oto Perła Szanghaju schroniła się pod opiekuńcze skrzydła ciemności!... ale nie sama...

— Hip! Hurra!

— Gdzie ona? —pytali inni, nadbiegając w naszą stronę.

— Jak tu ślicznie!... Hej, będziemy się ścigać!... Kto mnie dogoni, dostanie...

— Cicho!... Cicho! —wołał zdyszany Papuas, który przybiegł z głębi ogrodu i z daleka już wymachiwał rękami na znak, że pragnie zwiastować jakąś niezwykłą nowinę. —Uspokójcie się już raz!

— Co się stało?

— Słysząc wystrzały armatnie. Bitwa się toczy gdzieś niedaleko. Na takie dictum umilkli wszyscy. Zaczęło się nadsluchiwanie, przerywane niekiedy szeptem: —O, teraz! Jeden, dwa, trzy! Teraz cała bateria. Rzeczywiście dzięki dobrym warunkom akustycznym, na które złożyło się wiele przyczyn, przede wszystkim jednak bezwzględna cisza w uśpionym mieście, stan pogody, kierunek lekkiego wietrzyku, można było odróżnić uchem pojedyncze wystrzały od salw bateriami, a nawet strzały artylerii polowej od strzałów ciężkich haubic. Kanonada zwiększała się z każdą minutą. Nie był to już pojedynek artylerii, wzajemne wymacywanie pozycji ukrytych baterii, podczas którego liczyliśmy strzały, lecz wściekły ogień huraganowy. Poszczególne detonacje zlały się w jeden nieprzerwany grzmot, w jedno niskie, złowrogie dudnienie. Jego nasilenie wzrastało; widocznie pole bitwy przesunęło się bliżej Szanghaju.

Beztroski maskaradowy nastrój gości wuja Tima prysł momentalnie. Zabłąkane w parku, rozflirtowane parki wracały szybko i powiększały zastępy naszej gromady. Bonzowie, gejsze, samuraje, markizy, pierroci, lalki, arlekiny, Murzyni, Hindusi obnażali twarze z masek jak na komendę, podchodzili do nas bez jednego słowa, zalęknieni, pobladli i tłoczyli się jak stado »wiec przerażonych burzą. Znikła ochota do zabawy, do żartów, do flirtu, a uśmiech zamarł na wargach.

Mrs Cecily Hedge przycisnęła lewą dłoń do obfitego biustu,

266

zakrywając nią bezcenną kolia, a wybrylantowane palce drugiej ręki wpiła kurczowo w moje ramię.

— Biją się — rzuciła zduszonym szeptem. —Jak pan myśli, drogi panie Andrzeju, czy nam tu nic nie grozi? Czy nie lepiej się schronić przed pociskami do piwnic? Lub na okręty?

Zacząłem uspokajać przestraszoną milionerkę, tłumacząc jej, że bitwa toczy się z pewnością w znacznej odległości od miasta, że za dnia wystrzałów nie byłoby słyszeć zupełnie. Zacytowałem jej liczne przykłady z wielkiej wojny, kiedy to przy sprzyjających warunkach atmosferycznych słyszeć było kanonadę nawet kilkaset kilometrów za frontem bojowym.

Mrs Hedge nabrała otuchy. Wyczułem to doskonale po zwolnionym uścisku jej palców, zakończonych bardzo ostrymi, drapieżnymi pazurkami.

Moje wyjaśnienia uspokoiły także innych słuchaczy. Tu i ówdzie zaczęto rozmawiać półgłosem.

I nagle rozległo się kilka detonacji wcale bliskich, jak gdyby w chińskiej dzielnicy Sza-Pei. Zaraz potem posypały się liczne strzały karabinowe, wreszcie przemówił kulomiot. Złowrogie trajkotanie puło ciszę owej pamiętnej nocy, napawając panicznym strachem mych towarzyszy.

— Widzi pan? — wymamrotała zbielełymi wargami Mrs Hedge; zmierzyła mnie spojrzeniem pełnym wyrzutu i odsunęła się w kierunku Mr Timberwortha, manifestując w ten sposób, że notariusz, figura niby urzędowa, może być stateczniejszym opiekunem niż ja.

Ktoś zaproponował szeptem, by podejść aż do wjazdowej bramy i zasięgnąć informacji u najbliższego Sipaja-policemana. Nikt nie zaoponował. Przeciwnie pomysł wydał się bardzo szczęśliwy. I długi korowód masek ruszył w drogę w głębokim milczeniu przy nie milkącym akompaniamencie szczekających zajadłe mitraliez*. Kto by spojrział z daleka, mógłby sądzić, że to orszak pogrzebowy wraca z cmentarza, że grobową ciszą chce uszanować ból osieroconej rodziny.

Idąc w pierwszym szeregu, wskazywałem drogę. Niebawem dotarliśmy do miejsca, gdzie stały ekwipaże gości wyciągnięte w jeden długi mitralieza (dawne) — kartaczownica.

267

szereg, zwrócone przodem do głównej alei. Mijaliśmy więc zgaszone latarnie limuzyn i samochodów spacerowych, lampy półwyścigówek, aut sportowych..., mijaliśmy zwieszane ku ziemi łby sennych koni, zaprzężonych do wspaniałych powozów. Większość woźniców i szoferów spała snem sprawiedliwego na kozłach czy przy kierownicy. Tylko w dwóch miejscach natknęliśmy się na grupy małych kierowców aut, którzy stali pod murem prawego skrzydła pałacu, rozmawiając szeptem. Któryś z nich parsknął śmiechem, cała gromadka zachichotała i zaczęła się rozchodzić, spoglądając na nasz smutny korowód spode łba. Byli to chińscy szoferzy...

— Niedługo będzie tu jeszcze cieplej — warknął któryś z nich po angielsku. Usłyszałem tuż za swoimi plecami drżący głos Mrs Hedge.

— Słyszał pan, panie rejencie? To ten łajdak! Wydalę go zaraz jutro... Tak, z pewnością... To był głos mojego szofera.

Przez wysokie sztachety przymkniętej bramy wjazdowej, w blaskach dwóch pochodni, umieszczonych w pylonach po obu jej stronach, zajaśniała biel asfaltowej jezdni ulicy. Opoдал stał rząd taksówek, czekających na tych gości, którzy własnych ekwipaży nie mieli... Odźwierny nie spał. Także nasłuchiwał z ciekawością.

Mr Tang-Czu, który okazywał najwięcej zimnej krwi, wystąpił naprzód i podał zdrową myśl:

— Nie dowiemy się tutaj niczego, chyba z porannych dzienników,: a to by trzeba długo czekać. Wskoczę autem zasięgnąć języka.

Nie czekając zgody ogółu, powrócił szybko ku postojowi prywatnych samochodów. Warknął motor i zabrzmiał sygnał klaksonu. Tłum; rozstał się na dwie strony. Tang-Czu siedzący przy kierownicy] przyhamował wóz i rzucił na pożegnanie:

— Wracajcie do pałacu! Ladies mogą się przeziębic. Ja będę z powrotem za kwadrans.

— Weil — mruknął notariusz, spoglądając na zegarek...

Ale nikt nie miał ochoty powracać. Noc była ciepła, nie zachodziła! więc obawa przeziębienia się, natomiast każdy bez wyjątku chciał jak najprędzej usłyszeć nowiny. Nakłaniając się wzajemnie do zachowania! ciszy, nasłuchiowano w dalszym ciągu. Odgłosy toczącej się w oddali] bitwy przycichły lub pozwoliły się zagłuszyć

rechetowi kulomiotów.

268

A w przerwach regularnego gđakania mitraliez słychać było bezładną strzelaninę z karabinów, rewolwerów, już nie tylko w stronie dzielnicy Sza-Pei, ale nawet w zachodniej części francuskiej koncesji. Tak się nam przynajmniej wydawało. Potem nastąła względna cisza i trwała dobre dziesięć minut, aż wdarł się w nią jakiś dźwięk inny, niewyraźny, głuchy, jakby dudnienie. Odgłos ten zbliżał się szybko, rósł, potężniał. Kamiennie płyty pod naszymi stopami zaczęły drzeć coraz mocniej. Gdzieś zadźwięczała szyba, której kit widocznie odleciał. (

— Bateria ciężkich dział — mruknał jakiś „znawca”. Wszystkie szyje wyciągnęły się naprzód, wszystkie twarze wcisnęły

się pomiędzy chłodne sztachety ogrodzenia. Na ulicy panowały ciemności, prócz chwiejnych smug rzuconych przez dwie pochodnie naszej bramy. Z żadnego okna przeciwnych kamienic nie padały kwadraty światła. Żadna latarnia nie płonęła.

— Jada! Jada! — zawołał ktoś z tych, co wyszli poza ogrodzenie i czekali na chodniku. Posunąłem się w tamtą stronę.

Z mroków nocy wynurzyła się jakaś dudniąca, zgrzytająca masa i gnała ku nam szybko...

— Auta pancerne!

Tak. To były opancerzone samochody wojskowe. Naliczyliśmy ich sześć sztuk. Z głuchym łoskotem toczących się kół, z warczeniem potężnych motorów, ze zgrzytem łańcuchów, przededfowały przed naszymi oczyma i znikły w cieniu.

Jeszcze dudnienie... W sferę kołyszącego się światła wpadło ogromne auto ciężarowe, pełne uzbrojonych żołnierzy angielskich. W smugach naszych pochodni zamigotały kaski żelazne, lufy karabinów, zajaśniały odwrócone twarze żołnierzy, spoglądających ciekawie na karnawałowy orszak, przyklepiony do sztachet w trwożnym oczekiwaniu.

Naliczyliśmy czternaście ciężarówek i jeszcze dwie pancerki, które zamykały pochód.

Dudnienie oddalało się, malało, cichło, aż umilkło.

Tłum gości Smoota obrzucił się wzajemnie wymownymi spojrzeniami. Mrs Hedge była bliska omdlenia. Notariusz wyrażał zdziwienie, że cała wojskowa kolumna przesunęła się ze zgaszonymi latarniami.

V

269

— Nocny manewr Duncana — objaśnił jakiś młokos, głosem bardzo niepewnym.

W przeciwniejszej, ogromnej kamienicy zaczęto otwierać okna, zapalać świece i szeptać, szeptać, szeptać.

Wreszcie zabrzmiał sygnał trąbki. Wszystko odetchnęło z ulgą. Lepsza najgorsza nowina niż niepewność. Turkot motoru zbliżał się bardzo szybko. Na jezdnię padł długi jęzor oślepiającego światła. Sportowe auto Chińczyka zatrzymało się w bramie, gdyż tłum gości zatarasował drogę.

— Co?! Co?! Co?! Co?! Co?! Co?!

Tang-Czu stanął w samochodzie. Miałem wrażenie, że umyślnie przedłuża moment odpowiedzi, że bawi się doskonale strachem stłoczonej gromady.

— Mówże pan! — zawołał jakiś zniecierpliwiony bonza i wskoczywszy na stopień wozu, począł tarmosić za rękaw chińskiego krezusa. Ten zaś odsunął ruchem niezbyt uprzejmym ciekawskiego i wyprostował-^{*}szy się okazał, jał cedzić przywiezione wiadomości powoli, sylabę po! sylabie:

— Nic wielkiego, ladies... Do was się zwracam, piękne panie, bo dżentelmeni nie boją się chyba głupiej pukaniny i wolą poczekać na dokładniejsze informacje w rannych dziennikach.

— Mówże pan wreszcie! — jęknęła Mrs Hedge rozdzierającym głosem. Mężczyźni nie nalegali więcej. Ironiczna przymówka Chińczyka zamknęła im usta. Ja zaś spoglądałem na niego ze zdumieniem. Tak już przywykłem do jego skulonej sylwetki, do jego odezwań się, pełnych istic chińskiego serwilizmu, przesadnego uniżenia, obłudnej pokory, że: nie mogłem sobie wyobrazić Tanga-Czu przemawiającego w inny sposób. Miałem wrażenie, że na widok panicznego przestachu Europejczyków skruszyła się cienka warstwa pokostu nabytych form towarzyskich, że opadła maska pozornej służalczości, że wreszcie stoi przede mną; prawdziwy człowiek wyzwalającego się Wschodu. Być może jednak, że pod wpływem wrażeń tej niesamowitej nocy, poniosły mnie skrzydła fantazji i nazbyt wyolbrzymiłem swe spostrzeżenia.

— Strajk generalny, proklamowany przedwczoraj — ciągnął bez pośpiechu Tang-Czu, — objął także robotników elektrowni, gazowni, wodociągów i czegoś tam jeszcze. Ktoś rzucił bombę do oddziału

270

ulatorów. Wybuch uszkodził przewodniki... Stąd ciemności, które tak przstraszyły, piękne ladies... Dżentelmeni od razu przewidy-i rzeczywisty powód zgaśnięcia światła w pałacu... Prawda? Nową „szpilkę” przełknięto w milczeniu.

— Kiedy wszystkie latarnie zgasły, bandy rzeźmieszków wyzyskały ności.

Rozpoczęły rabunek upatrzonych sklepów w chińskiej elnicy Sza-Pei...

— Więc tylko w chińskiej dzielnicy — rzekła z bezmierną ulgą Mrs ily Hedge i opuściła ścierpniętą zapewne dłoń, którą do tej pory ykrywała kurczowo swą kolię.

— Nie tylko — odparł z widoczną satysfakcją Tang-Czu — około opryszków wdarło się do koncesji francuskiej... Mile Lou Thevet wydała głośny pisk przerażenia.

— A nasza koncesja? — wyrwało się jakiemuś Jankesowi.

— Och, sir może spać spokojnie. International Settlement jest skonale strzeżone. Moje niegodne oczy widziały wszędzie posterunki gielskie, nawet samego generała Duncana w aucie... Oglądał miejsce, którym batalion saperów buduje zasieki z drutów kolczastych.

— Co? Niemożliwe!

— Jednakże widziałem, chyba że to były sznury do suszenia elizny, he he he he! Co się zaś tyczy bitwy, "to nie mogłem zdobyć

fednych pewnych informacji. Podobno Czang-Tsu-Czanga przyparli lantoczcycy w odległości 80 kilometrów od Szanghaju... Nic wielkie-L... Ladies mogą się bawić dalej. Mogą spać spokojnie... Dzielny generał Duncan czuwa przeciw...

Umilkł, śledząc uważnie, jaki efekt wywołały jego słowa. A w tłumie aści panowała przygniatająca cisza. Dwie pochodnie w pylonach przy amie dogasały. Na wschodzie,

gdzieś nad Pacyfikiem, perłowa połać ;eba stała w płomieniach zorzy porannej. Wstawał dzień...

I

Rozdział V

Bunt szaleńców

— Telefon do pana — rzekł lokaj, zwracając się do mnie.

— Któż by to mógł być? — dziwiła się Lotte, gdyż całe nasze kółko, z wyjątkiem nieobecnego wuja Tima, znajdowało się w komplecie przy wieczornym obiedzie. Pocziwy Thevet, który w ostatnich dniach zapomniał o moim „cynizmie” i udobruchał się zupełnie, rzekł półgłosem do Lotty:

— Ej, niech go pani pilnuje! Z pewnością jakaś kobieta. Każdy narzeczony na krótko przed ślubem pragnie wykorzystać ostatnie chwile wolności. Wiem z własnego doświadczenia.

Rejent Timberworth, Lou oraz Lotte wybuchnęli śmiechem. Trudno* byłoby wyobrazić siwiuteńkiego doktora w roli niewiernego narzeczonego.

— Śmiećcie się, jeśli wam to do zdrowia potrzebne. Myślicie, że za młodu byłem taki roztargniony jak dzisiaj? Spytajcie doktora Smitha, jak wróci z Nankinu. Niech poświadcz-y, że nie było większego motyla od Theveta... Ho ho.

— Ma się dziadziu do czego przyznawać. Ładny przykład dla wnuczki — chichotała Lou.

— A, do diabła! Zupełnie zapomniałem o obecności tej smarkuli.

Wśród żartobliwego nastroju opuściłem jadalnię i dla zamanifestowania swej lojalności wobec narzeczonej, pozostawiłem drzwi szeroko otwarte.

— Hallo! No, nareszcie! Długo pan daje czekać kobiecie... Tu mówi Cecily Hedge.
272

— Ach, to pani! Czym mogę służyć?

W tym miejscu dr Thevet parsknął na cały głos z drugiego pokoju.

— A co! Nie mówiłem? Jakaś dama... Miss Lotty radzę iść na posterunek i wziąć drugą słuchawkę do ręki. Dowie się pani ciekawych |zeczy.

Lecz Lotte nie tylko, że nie usłuchała tej rady, ale była na tyle delikatna, iż zaczęła coś szybko opowiadać, aby uniemożliwić dalsze podsłuchiwanie.

Tymczasem Mrs Hedge mówiła przez telefon:

— Mam do państwa bardzo wielką prośbę. Wydałam szofera, a samochód sprzedałam. Jutro wyjeżdżam. Kabinę do San Francisco kupiłam dziś u Cooka. Statek odjeżdża dopiero w południe. Przedtem chciałam wpaść do państwa, aby się pożegnać.

— Więc stanowczo odjeżdżamy?

— Ależ naturalnie. Dość mam tej ustawicznej strzelaniny, tych codziennych komunikatów o zbliżaniu się Kantończyków. Dziwię się, że państwo nie czynią tak samo.

— Ze względu na Lottę poszedłbym chętnie w pani ślady, ale na razie nie może być o tym mowy .

— Jak to? Dlaczego?

— Czekamy na powrót wuja.

— Prawda! Zupełnie zapomniałam o wyjeździe Smoota. Także pomysł, by w

przededniu strasznych wypadków udawać się w głąb kraju! Przyzna pan sam, iż krok co najmniej ekscentryczny...

Mrs Hedge urwała nagle, z czego nie omieszkałem skorzystać i w słowach bardzo uprzejmych wtrąciłem, że odbiegliśmy od właściwego tematu rozmowy.

— Przepraszam pana. Zdawało mi się...

— Co? Co takiego. — pytałem, nie rozumiejąc ani dlaczego mnie przeprasza, ani co jej się wydawało.

— Taka jestem zdenerwowana od kilku dni. Wciąż mi się zdaje, jak gdyby ktoś zakradał się do mego ogrodu. I teraz właśnie patrząc w okno, ujrzałam jakiś cień.

— Przywidzenie, Mrs Hedge... Przecież noc ciemna.

— Ale łukowa lampa z ulicy rzuca refleksy... Tak, oczywiście. Musiało mi się przywidzieć. Ach, moje nerwy, moje nerwy! Rozumie

18 Perła Szanghaju

273

mnie pan chyba. Skoro się ma taką biżuterię w domu, trudno nie mieć obaw...

— Dlaczego pani nie trzyma swych skarbów w banku? Trzeba sobie było wynająć jakiś sejf.

— Ech, głupstwo! Przecież jutro wyjeżdżam. Nawiązując właśnie do mego wyjazdu, chciałam państwa poprosić o wypożyczenie mi limuzyny na kilka godzin. Najpierw wpadnę do państwa, pozostawię u was moją walizeczkę z kosztownościami, później załatwię kilka koniecznych wizyt, z powrotem do was i do portu. Niech pan nie sądzi, iż nie chcę wziąć taksówki ze skąpstwa. Nie. Widzi pan, ja nie usiadłabym za nic na poduszkach samochodu, na których rozwalają się może przed godziną Bóg wie jakie indywidua... Może nawet Chińczycy... Brr!

— Dziwię się w takim razie, jak pani może tolerować u siebie chińską służbę.

— Tylko szofera miałam Chińczyka i wydalłam draba zaraz, nazajutrz po przyjęciu u was... Więc dobrze? Nie odmówi pan mej prośbie?

— Ależ nie ma o czym mówić, Mrs Hedge. O której godzinie ma zajeżdżać limuzyna?...

— O dziesiątą... Co to?! Proszę zaczekać! Zamknę okiennicę przy drzwiach balkonowych...

Posłyszałem stuknięcie i chrobot. Widocznie przeczulona milionerka położyła słuchawkę na marmurowej płycie. Potem usłyszałem wyraźnie stukanie wysokich korków o deski podłogi... Kroki oddalały się od telefonu... Nagle zastygłem...

Rozległ się dźwięk stłuczonej szyby, przeraźliwy krzyk kobiety, zagłuszony przez turkot zjeżdżającej gwałtownie okiennicy i odgłos wściekłego szamotania się.

— Cicho, na Boga! — wrzasnąłem z całej siły pod adresem Theveta, który był dziś w wyjątkowym humorze i swymi dowcipami wywoływał salwy śmiechu wśród reszty towarzystwa.

W mym okrzyku było tyle mocy, tyle zgrozy, przerażenia, że wszyscy' umilkli jak na komendę, a LeStte zaniepokojona przybiegła na palcach-i stanęła obok mnie...

Oczyrna wskazałem jej drugą słuchawkę. Nadślu-' chiwaliśmy wspólnie.

A w sypialni czy buduarze milionerki dramat dobiegał końca. Jeszcze rozpoznałem jej zduszony krzyk: — Precz, żółty psie! Potemi

274

i

kilkakrotnie Help!... Help!... Help! —hai^z rozległ się trzask, jakby złamanego krzesła, głuchy łoskot upadającego ciała, wreszcie rżenie, charkot duszonej ofiary i cisza... Nie! W tym złowrogim milczeniu można było pochwyć jakiś szmer delikatny, niby szelest prutego, darteo w strzępy materiału...

— Co to znaczy, Andrzeju? —pytała Lotte szeptem.

«• — Słuchaj, to zrozumiesz — odparłem, uderzając zapamiętałe w widełki telefonu. Stacja odezwała się wreszcie. Kazałem się połączyć natychmiast z główną komendą policji kryminalnej International Settlementu.

— Mówi komisarz Heel.

— Panie komisarzu, popełniono zbrodnię. Mrs Hedge została napadnięta przez jakiegoś bandytę. Zaatakował ją w trakcie rozmowy telefonicznej ze mną. Stąd wiem o tym. Gdzie ona mieszka? Przy ulicy George V, numeru niestety nie pamiętam, ale wiem, który dom... Jednopiętrowy pałacyk w ogrodzie... Jadę tam zresztą natychmiast, to wskażę.

Urządnic spytął jeszcze, kto podaje informację. Wiedząc, że mego nazwiska nie zapamięta, że mu ono nic mówić nie będzie, wymieniłem nazwisko wuja Tima. Wrażenie było duże, jak mogłem zauważyć. Ha, pieniądz to wszystko. t ,

— Jadę z tobą — rzekła Lotte stanowczo.

— Ja się mogę przydać — dodał dr Thevet.

Stanęło w końcu na tym, że pojedą wszyscy. Pięć minut później wielka limuzyna Smoota, a właściwie już Lotty, opuściła park otaczający pałac. Na tylnym siedzeniu uplasowały się obie dziewczyny, na stołeczkach Thevet i Timberworth, ja zaś usiadłem na przedzie, obok szofera.

Kwadrans później skręciliśmy w George V-th Street. Jakies duże auto omal na nas nie wpadło na rogu ulicy. Ujrzałem stłoczoną paczkę olbrzymich Sipajów w mundurach i dwóch agentów w cywilnych ubraniach. Oba samochody zajęchały przed pałacyk prawie równocześnie.

W krótkich słowach opowiedziałem komendantowi patrolu policyjnego przebieg mej telefonicznej rozmowy.

— Rzezimieszek nie przeczuwa z pewnością niczego i prawdopo-

* . 275

dobnie znajduje się jeszcze w pokoju ofiary — rzekłem na zakończenie mych krótkich wywodów i wskazałem na wyłaniający się Z drzew balkon pierwszego piętra.

— Jeśli jest, nie ujdzie nam, ale jeśli już uciekł, hm,... w normalnych warunkach podjąłbym się go wyłowić z półtoramilionowej ciżby, lecz teraz?

Rzucając te sceptyczne uwagi, rozstawił szybko sześciu policjantów wzdłuż sztachetowego parkanu, a sam w towarzystwie drugiego agenta podszedł do żelaznej bramki i zadzwonił. .

Pięć minut później wkroczyliśmy do prześlicznego hallu willi. Odźwierny i dwie kościste pokojówki nie tały zdumienia na widok inwazji tak liczego towarzystwa, ,z tak grobowymi minami. Agent rozpoczął przesłuchanie:

— Gdzie jest Mrs Hedge?

— Śpi.

— Skąd panienka wie o tym? Proszę mnie natychmiast zaprowadzić do sypialni. Gdyby nie nasza obecność, wierna służąca nie usłuchałaby intruza tak szybko. Ale widok znajomych osób, zwłaszcza kobiet, uspokoił ją i wiodąc nas na piętro, wyjaśniała po drodze:

— Pani chodzi zwykle spać około jedenastej. Więc przed chwilą zapukałam do sypialni, by o coś spytać...

— O co? —pytał ciekawy urzędnik kryminalny.

— Chciałam się iść pożegnać do przyjaciółki, bo jutro wyjeżdżamy z panią... Szłam więc zapytać, czy pani nie będzie czegoś potrzebowała ode mnie. Pukałam dwa razy i nic. Pani musiała położyć się spać, gdyż ciemno w pokoju.

— Skąd panienka wie, że ciemno? Czy drzwi były otwarte?

— Nie. Zamknięte od wewnątrz... Pani się zawsze czegoś boi i zamyka na noc... Nawet w dzień także...

— No więc?

— Zajrzałam przez dziurkę... Było ciemno.

Tak rozmawiając dotarliśmy do szczytu schodów. Agent spytał jeszcze szeptem, czy nie ma drugiej klatki schodowej. Otrzymałszy negatywną odpowiedź, polecił notariuszowi pozostać z naszymi paniami, dobrał sobie prócz kolegi mnie jako tego, który pierwszą informację

276

jako lekarza i pokojówkę jako przewodnika. W tak komplecie ruszyliśmy korytarzem aż do drzwi wskaza-z służącą, sypialnia.

ukał dla formy, a nie otrzymałszy żadnej odpowiedzi, i z takim impetem, że deski powinny były pójść w drzazgi, zej. Drzwi ledwie drgnęły.

e tak łatwo — mruknęła pokojówka: —Pani kazała przed awić dębowe drzwi i specjalne zamki dla bezpieczeństwa, rzednicy policji pienili się z wściekłości, skoro kilkakrotne ały żadnego wyniku. Spytali, czy nie ma innego przejścia. — brzmiała odpowiedź. —Następne drzwi prowadzą do e są ze zwykłych desek. Lecz między buduarem a sypialnią są zwi dębowe... Chyba, że pani ich nie zamknęła, idywania okazały się słuszne. Włamałszy się bez trudu do , ujrzelśmy, że drzwi sąsiedniego pokoju są uchylone. Poko-rzeknęła kontakt. Pędem przebiegliśmy krótką przestrzeń śmy na progu sypialni. Kiedy światło zabłysło, obraz strasznego zenia przedstawił się naszym oczom. Wielka szafa była otwarta), stosy wyrzuconych sukni i bielizny walały się po podłodze, i leżały pocięte nożem, rozprute, wypatroszone ze swej zawartoś-

Gdzie Mrs Hedge? —spytałem głośno, rozglądając się po

:U.

okojówka, wiedziona przeczuciem, podeszła do wielkiego dywanu neńskiego, który leżał w pobliżu drzwi balkonowych i przykrywał 1 duży przedmiot. Podniosła go, wydała przeraźliwy okrzyk prze-chu, a zatrzepotałszy rękoma w powietrzu, padła na wznak bez słów. Agenci usunęli dywan. Tam była Mrs Cecily Hedge. Leżała w kałuży własnej krwi, naga zupełnie, z nogami szeroko zrzuconymi, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. ^Nogijej, biodra, zuch oraz ramiona nosiły znaki silnych zadrapań, górna część piersi ^ła jedną wielką krwawą plamą. Tam musiała się znajdować rana. Na yi widniały ślady zakrwawionych palców napastnika.

Widocznie dusił ą ofiarę, na co wskazywał również wyraz twarzy, oczy wybałuszone otwarte usta.

277

Doktor Thevet ukląkł przy leżącej, agenci pośpieszyli do otwartego okna, a ja odsunąłem się na bok, próbując sobie odtworzyć przebieg dramatu.

Słuchawka leżała na marmurowej płycie nocnego stolika przy łóżku, tak, jak ją zostawiła biedna Mrs Hedge, spiesząc ku drzwiom od balkonu, gdzie posłyszała podejrzaną szmery. W pobliżu splamionego krwią dywanu leżało przewrócone, złamane krzesło. Widać napadnięta chciała się nim zasłonić przed napastnikiem. Suknia oraz bielizna milionerki była podarta na strzępy, nie wyłączając jedwabnych pończoch. Ten szmer rozdieranego materiału słyszałem wyraźnie przez telefon...

— Proszę natychmiast przynieść wody! — rozkazał Thevet...

— Więc żyje?

Żadnej odpowiedzi. Widząc, że pokojówka dźwiga się z trudnością z ziemi po omdleniu, a obaj agenci przeszli na balkon, pobiegłem sam po wodę.

Lotte zasypała mnie pytaniami. W dziesięciu słowach zaspokoilem jej ciekawość, zabroniłem stanowczo, by szła za mną i przyprowadziłem drugą pokojówkę z olbrzymią miednicą wody.

— Hram... W takim razie nie był to zwykły napad rabunkowy — mówił właśnie starszy agent, odpowiadając widocznie na jakieś zdanie lekarza. Potem ciągnął dalej swój fachowy wykład: — Zbrodniarzowi nie chodziło tylko o zrabowanie cennej biżuterii Mrs Hedge. Zamiast zgać ją pięć razy płytko, byłby pchnął raz a dobrze. Skoro zaś się nad nią pastwił, skoro ją zgwałcił, jak mniemam, to...

Huk wystrzału przerwał dalsze słowa...

— Mamy draba — rzekł spokojnie agent, nie ruszając się z miejsca. — Tak, panie. Nasi hinduscy policjanci nie zwykli prochu marnować. Gotów jestem się założyć w stosunku jeden do pięciu, że kula dosięgła złoczyńcę...

To musiał być Anglik z krwi i kości. Nawet w takim momencie miał ochotę do zakładów.

— Ali right — rzekł krótko drugi agent, wkraczając do pokoju przez drzwi balkonowe...

— A co, nie mówiłem? Chodź pan, oglądniemy go.

Dałem się pociągnąć. Już na progu odwróciłem głowę, by raz jeszcze

278

rzucić okiem na nie dającą znaku życia kobietę. Thevet zdjął jej ręce z piersi, aby nie zasłaniały ran i nie przeszkadzały opatrunkowi, więc leżała z rozkrzyżowanymi ramionami, z rozchylonymi nogami, jakby rozciągnięta na stole średniowiecznych tortur. Jasna plama wypielegnowanego troskliwie, białego jak alabaster ciała odcinała się wyraziście od tła pomarańczowej sukni, na której łachmanach spoczywała. Tylko złote pantofelki, jedyna część garderoby jakiej napastnik nie zdarł ze swej ofiary, tkwiły na stopach i szpice zadzierały ku górze.

— No, idzie pan ze mną?

Głos urzędnika kryminalnego przerwał moje dumanie. Bo zadumałem się rzeczywiście głęboko. Obraz leżącej bezwładnie Mrs Hedge wżarł mi się w pamięć i budził w sercu bezbrzeżną trwożę

O Lotte. Stała .mi przed oczyma owa straszna noc w Makjan, na Borneo, kiedy to usłyszałem rozpaczliwe wołanie mej dziewczyny, łoskot upadającego ciała, a potem przekłętą ciszę. Jakże niewiele brakowało, by Lotte podzieliła wówczas dzisiejszy los Mrs Hedge...

I nagle zbudziła się we mnie szalona chęć, by wyjechać z Szanghaju, uciec jak najdalej od tych miejsc niebezpiecznych, jak najdalej od wszelkich Harveyów i innych nieznanych wrogów... Tak, przeprowadzę swą wolę. Nasz ślub,znaczony na dzień 30 marca, będzie doskonałą wymówką dla wuja. Wyjedziemy z Lotta do Ameryki w podróż poślubną.

Pograżony w myślach nie zauważyłem nawet, kiedy znaleźliśmy się w hallu. Reszta naszego towarzystwa czekała tu właśnie z niecierpliwością na nowiny. Na własną odpowiedzialność powiedziałem, że Mrs Hedge jest wprawdzie ciężko ranna, lecz życiu jej nic nie grozi. Udało mi się w końcu nakłonić obie dziewczyny do powrotu w towarzystwie Mrs Timberwortha.

— Ale ty także zaraz przyjedziesz...

— Na pewno, darling. Muszę tylko jako świadek poczynić pewne zeznania, co nie powinno się przeciągnąć dłużej niż pół godziny.

— Pamiętaj! Umarłabym ze strachu, gdybyś nie wrócił za godzinę, lub nie zatelefonował... -.

— Ze strachu się nie umiera, co prawda, ale swoją drogą, wróć. Tak jej powiedziałem. Pamiętam jak dziś: „Ze strachu się nie umiera”. Och, po cóż losy wyzwalałem?!!!

279

— Cóż to za zbiegowisko? — spytała jeszcze w chwili wsiadania do limuzyny. Dałem pierwszą lepszą wykrętną odpowiedź i ogromne auto ruszyło w drogę. Zastrzelonego rzezimieszka otaczał tłum gapiów, rozpędzany na próżno przez dwóch policjantów. Pozostali czterej Sipaje tkwili nadal na swych posterunkach w przewidywaniu, że napastników mogło być więcej niż jeden. Ale nie. Późniejsze oględziny śladów w ogrodzie wykazały, że zbrodniarz nie posiadał współników.

— Ja znam tego draba — rzekłem, kiedy agent obrócił zabitego twarzą do góry i przyświecił w oczy mu latarką. — To wydalony szofei Mrs. Hedge. Widywałem go nieraz, jak prowadził jej auto.

— A co, panie! Angielska policja! Nowy rekord! W pół godziny po włamaniu się do mieszkania poszkodowanej sprawca wykryty, ujęty ukarany przykładowo... Trzeba zresztą przyznać, że pan również nie jest bez zasługi tym razem...

Dobrze, że choć tyle przyznał.

— Ale trzyma dobrze — dodał samochwał, usiłując rozprostować zaciśnięte palce szofera, pomiędzy których zwisał łańcuszek bezcennej koliai brylantowej. Na platynowej oprawie klejnotu, na ogromnych diamentach widniały rdzawe plamy krwi.

— Półtorej godziny później wracaliśmy z Thevetem do pałacu. Wróciliśmy pieszo. Prysłana przez Lotte limuzyna wlokła się za nam w pewnym odstępnie. Staruszek chciał się przewietrzyć, jak powiadał..

— Rozumiem jeszcze otwarte auto, ale w takiej dusznej klatce nit lubię jeździć — mówił. Potem rozgadał się na swój ulubiony temat:

— Zaczyna nam być ciepło, panie Andrzeju. Takich wypadków, ja! z Mrs. Hedge,

będzie więcej niebawem... Zaczną się mordy masowe. Par się oczywiście uśmiecha... Pewno!... Stary Thevet to dziwak... Cierpi "m manię chińskiego niebezpieczeństwa... Jak pan myśli? — spytał nagle szarpiając mnie energicznie za guzik kurtki wiosennej. — Dzielnic; międzynarodowej broni 16000 wojska, w czym połowa Hindusów którym ja nigdy nie dowierzam. Kantończyków maszeruje podobne trzysta tysięcy. Zmniejszmy tę mało prawdopodobną cyfrę o połowę lecz dodajmy 24000 żołnierzy Czang-Tsu-Czanga, którzy wraz z gene ralem Czau-Fu przeszli na stronę dotychczasowych zwycięzców. Cz;

280

zatem, pytam, nasze 16000 żołnierzy będzie się mogło długo opierać tej masie, mając do obrony teren wielkości przeszło 2000 hektarów, a w nim z górą pół miliona podstępnej ludności, gotowej każdej minuty uderzyć na znienawidzonych białych od tyłu?

— Jak to pół miliona Chińczyków... Nie rozumiem...

— To jest właśnie nieszczęście, że wy wszyscy nie rozumiecie lub nie chcecie zrozumieć. W International Settlement mieszka ledwie 35 000 białych oraz piętnaście razy tyle żółtych. A weź pan pod uwagę, że milion Chińczyków zamieszkujących właściwe ich dzielnice, da się z łatwością podburzyć wojskom Czang-Kai-szeka i wydatnie zasili szeregi atakujących.

Nie wiedziałem co odrzec. Doktor Thevet był znanym specjalistą w tej materii. Nie mogłem się z nim mierzyć. Sypał cyframi z taką pewnością siebie, że w końcu przejąłem się jego obawami i mój zamiar wyjazdu z Szanghaju utrwalił się we mnie, stał się rzeczą w duchu stanowczo postanowioną.

Thevet zachęcony mą biernością, zaczął się puszyć, triumfować, że on jeden przewidział dzisiejsze warunki i od roku wszystkich nadaremnie ostrzegał...

— Przykro mi jako Europejczykowi, że dostaniemy po skórze, lecz mam pełną satysfakcję, iż moje prorocтва wypełniły się co do joty...

— Jeszcze nie — zaprotestowałem. — Dopóki Szanghaj nie zajęty...

— Za tydzień będzie zajęty.

— Niechże mnie pan nie straszy! Za tydzień mija dopiero termin powrotu Smoota. '

— Pan myśli, iż Tim zakład wygra? Ha ha ha...

Na szczęście w tej chwili nadeszły mi wydatne posiłki w osobie notariusza, którego długa sylwetka wynurzyła się nagle tuż obok nas...

— Panie nie dały mi spokoju. Wysłały mnie naprzeciw was. Cóż słyhać z raną Mrs. Hedge? Będzie żyła?

— Phi! Trudno mi już teraz coś pewnego orzec — odparł wymijająco staruszek, niezadowolony, że odbieглиśmy od jego ulubionego tematu rozmowy. Powtórzyłem w krótkich słowach przebieg naszej świeżej dyskusji. Mr. Timberworth parsknął śmiechem:

— Nasz kochany doktor jest niepoprawny. Jego pesymizm wejdzie w przysłowie...

.Nie, dear friend! Tak źle nie będzie, jak kraczecie

281

złowróźebnie. Naszych żołnierzyków jest w sam raz, by tę żółtą hałastrę utrzymać w karchach...

— He he he he... Chyba tylko ludność International Settlementu i to z wielką biedą.

— But wait a moment. Oczywiście, że tylko tę hołotę.

— A wojska regularne?

• — Będą się jeszcze pół wieku tłukły między sobą.

— Zwariować można, słuchając takich bredni! — irytował się stary lekarz, a kiedy się zirytował, nie przebierał w słowach: — Z kim się Kantończycy pobiją, wedle pana opinii dziecinnie optymistycznej? Zbili ha kwaśne jabłko armię Wu-Pei-Fu, wytepili doszczętnie wojska marszałka Sun-Czuan-Fanga, drugi marszałek Tczang-Tso-Lin może się cieszyć, jeśli nie przekroczą linii Jangcy-kiangu, dni ostatniego obrońcy Szanghaju, imci pana Czang-Tsu-Czanga lub jak go zwą właściwie Czang-Czung-Czanga, są policzone... Więc pytam się, pytam się, pytam się raz jeszcze, kogo mają bić z kolei Kantończycy, z kim się będą tłukli, że użyję pańskiego wyrażenia, Mr. Timberworth...

Myślałem, że notariusz da za wygraną. Nie znałem więcej żadnego nazwiska, żadnego generała ani armii, którą można by przeciwstawić zwycięskiemu pochodowi Czang-Kai-szeka. Ale Mr. Timberworth przeczekał z flegmą wybuch ognistego Francuza, a potem rzek spokojnie:

— Kantończycy będą się tłukli wzajemnie. Pp prostu nacjonaści z komunistami, Już dzisiaj wiemy, że pomiędzy zdecydowanym narodowcem Czang-Kai-szekiem a bolszewizującym Kuo-Min-Tangiem panuje silny rozdźwięk. Wpływy Borodina maleją, a to oznacza klęskę; Sowietów.

— Tak, jak gdyby zwycięstwo Czang-Kai-szeka miało oznaczać? sukces Anglii... Ano, łudźcie się dalej!

— Nie, doktorze! Nikt się nie łudzi. Nasza dyplomacja pracuje' dobrze. Yes, quite well... Every man is on his right place... Nasi ludzie są już dawno przy boku Czang-Kai-szeka i pilnują interesu. Nie takich generałów się obłaskawiało...

Thevet był zaskoczony nowiną, ale jeszcze zaoponował: —. Nię chce mi się wierzyć. Przecież on podobno nie chce w ogóle gadać z żadnym*Anglikiem, tak ich nienawidzi. »

282

— You are right. Na razie żywi dziwną do nas antypatię, lecz to mu przejdzie, kiedy pozna naszą hojność. Chwilowo więc pracują dla nas chińscy pośrednicy... Znam nawet dobrze jednego z nich. Stąd moje informacje. Ale teraz: stop! Powiedziałem już i tak zbyt wiele.

Żadne prośby rozgorączkowanego Theveta, ani podchwytliwe pytania nie odniosły skutku. Mr. Timberworth stał się sfinksem. Zaniemówił, jeśli chodzi o dotychczasowy temat rozmowy. W końcu znudzony natarczywością lekarza, zaczął się żegnać.

— Odprowadzę pana — zaofiarował się usłudźnie dr Thevet.

Mr. Timberworth wpadł z deszczu pod rynnę, wzniosł oczy do nieba, lecz nie mógł odmówić. Nagle przypominał sobie ostatnią deskę ratunku:

— A panna Lou? Czy nie pójdzie doktor po nią?

— Nie, nie. Panie Andrzeju, przenocujcie tam gdziekolwiek moją wnuczkę... Miejsca chwała Bogu nie braknie, co?

— Oczywiście, doktorze. Będzie spała razem z Lotta. A może ma szofer odwieźć panów do domu?

Thevet przestraszył się na dobre. W czasie krótkiej jazdy autem mógłby nie zdążyć wyciągnąć od notariusza pożądaných wiadomości...

— Nie potrzeba! Noc śliczna... Przejdziemy się chętnie. Odprowadzę rejenta pod sam dom, a stamtąd już mam niedaleko...

Pożegnawszy ich, skinąłem na szofera jadącego krok w krok za nami, a rozparłszy się wygodnie na miękkich poduszkach limuzyny, zacząłem analizować w myśli wypadki dnia dzisiejszego. Świeższe wrażenia zacierają zazwyczaj bardzo szybko dawniejsze, choćby te były bardziej ciekawe czy doniosłe. Więc szybko przeszedłem do porządku dziennego nad napadem na Mrs. Cecily Hedge i począłem analizować treść słów notariusza. Jego wynurzenia zainteresowały mnie ogromnie. Tak, tak. Po dyplomacji angielskiej można się wszystkiego spodziewać. Zawsze porzucała bez skrpułów starych, bezsilnych już sprzymierzeńców dla nowych przyjaciół, choćby się rekrutowali, a może nawet właśnie dlatego, że się rekrutowali z dawnych wrogów nieprzeblaga-nych... A to wygrywanie nacjonalistów przeciw komunistom, także stary trik. Zasada: „divide et impera” jest wprawdzie marki austriackiej, lecz któryż mądry dyplomata jej nie stosuje? Więc mają płatnych pośredników-Chińczyków, którzy budują pomost pomiędzy wojowni-

283

czym Czang-Kai-szekiem a Dowingstreet... Hm... Chciałbym takiego obywatela zobaczyć...

I zrządził los, że poznałem jednego takiego pośrednika już tydzień później, wśród niezwykłych okoliczności...

...Siedziałem właśnie w gabinecie wuja Tima, wertując nadzwyczajne wydania miejscowych dzienników. Lotte wraz z Lou grały w ping--ponga w owym odległym pokoiku, gdzie Lou zrobiła mi niezwykłą ofertę w czasie balu maskowego.

Rozłożyłem na szerokim biurku mapę wschodnich Chin i maleńkimi chorągiewkami oznaczałem pozycje dwóch walczących armii. Czerwone sztandary, jakie przydzieliłem wojskom kantońskim Czang-Kai-szeka, tkwiły wszędzie wzdłuż niebieskiej linii potężnej rzeki Jangcy-kiang. Wszędzie, z wyjątkiem jednego miejsca, a punktem tym był Nankin. Od chwili zajęcia chińskich dzielnic Szanghaju przez kantońskiego generała Pai-Czunga, a właściwie już od zdobycia Czang-czeu, najważniejszego punktu węzłowego kolei Szanghaj-Nankin, wszelka komunikacja z Nankinem ustała. Wuj Tim powrócić nie mógł, chyba na pokładzie, jakiego statku wojennego, drogą wodną przez Jangcy-kiang.

Komunikaty, artykuły znawców i doniesienia „własnych korespondentów” (znajdujących się z pewnością w jakiejś kawiarni International Settlementu) kłóciły się ze sobą, zwalczały się wzajemnie. Jedne dzienniki donosiły o ewakuacji Nankinu, inne o olbrzymim zwycięstwie Czang-Tsu-Czanga nad armią południową, inne wreszcie o ucieczce rzezonego generała oraz o zupełnej kapitulacji jego oddziałów, zdemoralizowanych ustawicznymi klęskami. Ta ostatnia wersja najbardziej odpowiadała stosunkom chińskim, ale dla nas Europejczyków, była najgorsza.

W ogóle sytuacja była groźna. Od trzech dni Kantończycy gospodarzyli w chińskich dzielnicach Szanghaju, a echa tej gospodarki dochodziły do nas, zwłaszcza nocną porą, gdy cichł gwar uliczny międzynarodowej koncesji. Wówczas krwawe łuny wzbijały się nad nieszczęsną dzielnicą Sza-Pei, rozlegały się niesamowite wycia

mordowanych masowo kupców chińskich, gwałconych kobiet, zgłodniałych, błąkających się dzieci, detonacje ręcznych granatów, wystrzałów rewolwerowych, a niekiedy trajkotanie kulomiotu lub regularne salwy karabinowe, a nawet wystrzał armatni. Oznaczało to, że wojska

284

kantońskie raczyły w tym czy owym przypadku interweniować i „uspokajają” bandy rabusiów.

Zaprzyjaźniwszy się z adiutantem generała Duncana, miałem dwukrotnie sposobność dotrzeć aż do najdalej wysuniętej linii wojsk międzynarodowych. Ukryty poza stertami worków z piaskiem, patrzyłem rozszerzonymi od grozy oczyma na sceny dantejskie, jakie się rozgrywały często w odległości ledwie stu metrów. Całe korowody obdartych z odzienia kobiet chińskich, kobiet, które przeszły i co noc przechodziły prawdziwe tortury od rozpasanego motłochu, żołdactwa, zawodowych rozbójników, kobiet na pół obłąkanych, wałęsały się wśród dymiących zgliszczy domów, szukały ciał pomordowanych mężów, braci, ojców lub dzieci i wyły nieludzkimi głosami. Niektóre, nie bacząc na ostrzegawcze okrzyki podchodziły do drutów kolczastych, których gruby pierścień otaczał International Settlement, oraz francuską koncesję. Podchodziły, wyciągając dłonie o kawałek chleba, o przytułek, żebrząc o ratunek tych znienawidzonych Anglików i padały jak gromem rażone, zabite prądem elektrycznym o wysokim napięciu.

Wpatrując się uważnie, zauważyłem, że wśród zwłok kobiet przeważają jednak trupy żołnierzy chińskich w pełnym rynsztunku bojowym. Uprzejmy adiutant wyjaśnił mi zagadkę:

— W poniedziałek była tu gorąca robota. Kilka tysięcy żołnierzy armii północnej, uciekając w popłochu przed zwycięzcami, chciało się wdrzeć do naszej koncesji. Strzelało się jak do zajęcy...

— Jak to? — przerwałem zdumiony — strzelaliście do żołnierzy Czang-Tsu-Czanga? Do sprzymierzeńców?!

— Dawno już przestali być naszymi sprzymierzeńcami. Rozumie pan chyba, że udzielając im schronienia, narazilibyśmy się Czang--Kai-szekowi, a tego pragniemy uniknąć. Francuzi pozwali na rycerskość, jak zwykle, i wpuścili do swej koncesji komendanta pobitych wojsk, generała Pi-Szu-Czen wraz z jego sztabem. Czy dobrze na tym wyjdą, to już nie moja sprawa. Zresztą Kantończykom także się oberwało. W nocy z poniedziałku na wtorek próbowali wdrzeć się w obręb zasieków. Przed sobą pędzili bezbronną ludność, zwłaszcza kobiety... Ale się nie wdarli...

— Więc trzeba było strzelać także do kobiet... i • Adiutant wzruszył ramionami:

285

— Na wojnie, jak na wojnie, mówiąc językiem naszych francuskich sprzymierzeńców. Trudno przecież w wirze walki wybierać.

— A dużo ofiar?

— W każdym razie parę tysięcy. Kiedyś będzie to można obliczyć.

— A co będzie dalej?

Oficer zrobił dyplomatyczną minę, to znaczy nie wiedział, ale chciał się osłonić togą tajemnicy służbowej, której nie wolno rzucać na pastw? uszu pierwszego lepszego cywila...

Tak więc wyglądała sytuacja w Szanghaju od 21 marca począwszy. Olbrzymie miasto było przedzielone na dwie części linią kolczastych drutów, które miejscami przepoławiały place lub ulice. Dawni sąsiedzi znaleźli się częstokroć w dwóch wrogich obozach, które za dnia posyłały sobie wzajemnie kurierów, prezentowały przed nimi broń, dawały honorową asystę i świadczyły sobie rozmaite rycerskie grzeczności, a nocą obrzucały się granatami, próbowały celności swych pocisków, by z nastaniem brzasku znowu wysyłać delegatów i psuć cierpliwy papier na spisywanie jałowych protokołów na temat, kto pierwszy wystrzelił, skąd padła pierwsza bomba. Ale nawet owe poselstwa miały gorące chwile. Tak na przykład wczoraj, dnia 23 marca, z polecenia generała Duncana wyjechał konsul generalny brytyjski w towarzystwie dwóch oficerów sztabu do kwatery głównodowodzącego armią kantońską, generała Czang-Kai-szeka, i komendanta Szanghaju, generała Pai-Czunga. Rozsunięto kozły na ulicy, po drugiej stronie rozwalono barykadę i samochód wjechał pomiędzy oddziały kantońskie witany przez kompanię honorową oraz szwadron strzelców konnych. Szwadron otoczył auto i cały orszak znikł z oczu gapiów, tłoczących się poza linią obronną International Settlementu. Nie upłynęło ani dziesięć minut, gdy zagrzmiały karabiny, rewolwery, a potem wycie nieludzkie. Samochód wrócił w szalonym pędzie, zgubiwszy gdzieś po drodze większą część eskorty, którą poturbował srodze tłum, podjudzony przez studentów chińskich. Konsul oberwał kamieniem, mundury oficerów były w strzępach... Godzinę później przyjechali posłowie kantońscy, znów parada, tym razem po stronie angielskiej. Generał Czang-Kai-szek przysyłał kondolencje i przeprosiny za „ubolewania godne wypadki, które się w przyszłości nie powtórzą”.

286

Jednym słowem pomiędzy dwoma wojskami panowały „serdeczne i przyjacielskie stosunki”, jak głosił oficjalny komunikat angielski.

Do wszystkiego się można przyzwyczaić. Przecież człowiek jest zdaniem Niemców „ein Gewohnheitstier”. Toteż oswoiliśmy się szybko z ponocną kanonadą, z szalonym pędem aut, wiozących rezerwy w zagrożone punkty koncesji, oswoiliśmy się z zakazem wychodzenia po godzinie 20. na ulice, nawet najruchliwsze, przywykliśmy do gorszego pożywienia. Gnębiła tylko wszystkich troska o losy Nankinu, gdzie znajdowała się liczna kolonia Europejczyków i Amerykanów. Jakie licho skusiło rozważnego, przewidującego Tima Smoota do wyjazdu w zagrożone okolice w takim właśnie momencie! Myśląc właśnie o wuju Lotty, pochyliłem się nad mapą i zacząłem odmierzać według podziałki odległość, dzielącą oba miasta... Nagle nadstawiłem ucha. Posłyszałem delikatny s^zmer w pokoju. Od czasu napadu na Mrs Cecily Hedge stałem się podwójnie ostrożny, „przesadnie ostrożny” wedle zgodnej opinii całego naszego kółka.

Szmer powtórzył się, lecz ucichł natychmiast. Nie wstając z fotela, jałem się rozglądać. Gabinet wuja Tima znajdował się na parterze i posiadał dwa okna oraz dwoję drzwi. Okna wychodziły na ogród, a jedno z nich było szeroko otwarte. Czyżby tedy wślizgnął się jakiś gość nieproszony? Drzwi prowadzące na korytarz były stale zamknięte na klucz, od dnia wyjazdu Tima. Drzwi do przyległego pokoju stały otworem...

Przeszło kilka minut oczekiwania, w trakcie których tajemniczy szelest powtórzył się

tylko jeden raz. Instynktem wyczuwałem obecność jakiegoś 'człowieka w pokoju. Ale gdzież on mógł tkwić u licha. Skórzana kanapa garnituru klubowego opierała się o ścianę, więc tam się nikt nie mógł schować. Pod biurkiem, gdzie był schowek pierwszorzędny, trzymałem nogi, szafa z książkami dotykała tylną ścianą muru, a bokiem biegunów wyplatanego „rocking-chair”, przez którego siatkę mogłem kąć widzieć doskonale. Mniejsza szafka, „raczej gablotka, dotykała kominka... Stop! Zagadka rozwiązana. Drab wlaźł przez okno z ogrodu, przyciął się w kominku, a skoro mu nogi ścierpły, chciał się poprawić w niezbyt wygodnej kryjówce. Przecież dobrą godzinę ^wertowałem dzienniki...

Postanowiłem go w błąd wprowadzić i wywabić z jego schowka.

Wziąłem więc słuchawkę telefoniczną do ręki, a drugą dłonią przycisnąłem widelki, aby się stacja nie odezwała. Na oczekaniu skomponowałem rozmowę z doktorem Thevetem. Zapytałem go o nowiny z placu boju i oświadczyłem, że zaraz do niego przyjadę, przywożąc obie nasze panie. Odłożyłem słuchawkę z należytym hałasem, równie głośno odsunąłem fotel, podszedłem do okna, zamknąłem je dokładnie, spuściłem drewniane żaluzje, by w ten sposób odciąć opryszkowi drogę powrotu. Lampy wszystkie pozostawiłem zapalone z łatwo zrozumiałych względów. Potem stukając obcasami w tych miejscach podłogi, gdzie między licznymi dywanami perskimi była luka, wyszedłem do sąsiedniego pokoju, przymykając drzwi za sobą tak, iż pozostała wąska szpara dla oka. Tu oczywiście światło zgasilem i czekałem z palcem na cynglu, z drugą dłonią na guziku dzwonka elektrycznego.

Tak minęło długich dziesięć minut. Wreszcie rozległ się przytłumiony dźwięk blachy przy palenisku kominka i z czarnej czeluści wysunęła się głowa w kaszkiecie.

Pomimo, iż oczekiwałem tego, uczułem, że robi mi się trochę ciepło, że serce szybciej bić zaczyna. Dopiero chłód zimnej stali mego browninga przywrócił mi panowanie nad sobą: Tamten jeszcze się namyślał, jeszcze czekał. W końcu wysunął najpierw jedną nogę, potem drugą. Wyskoczył na podłogę, zerkając podejrzliwie ku drzwiom, za którymi stałem. Zaczął iść powoli ku mnie, widocznie w zamiarze zamknięcia się w gabinecie. Był to Chińczyk.

Nacisnąłem taster dzwonka, a kiedy intruz był prawie dwa metry ode mnie oddalony, pchnąłem drzwi z całej siły, wpadłem jak bomba do gabinetu i wymierzyłem z rewolweru prosto w twarz zaskoczonego człowieka.

— Ręce do góry lub kula w łeb! — ryknąłem, nie żałując głosu. Wyciągnął machinalnym ruchem swe żółte dłonie wysoko nad głowę. Światło padło na jego cytrynową twarz, skurczoną w jakimś brzydkim grymasie i z kolei ja stałem się żoną Lota. Poznałem go. To był ten sam Chińczyk, który nas uwięził na Borneo, który mnie na śmierć skazał, a który wreszcie od Lotty odebrał zasłużoną pamiątkę.

— Jakże się cieszę! — rzekłem, opanowując szybko lekkie, mimowolne drżenie głosu. Jakie bogi przywiodły łaskawcę w te skromne progi? Tylko wara ręce opuszczać!... Nie zwykłem żartować z takimi

288

kanaliami. Palec trzymam na cynglu — dodałem groźnie, widząc, że powoli zaczyna zginać ręce w łokciach i dłonie zniżają się do linii głowy.

W drzwiach stanął lokaj, zjawiający się na dźwięk dzwonka i widząc mnie z

rewolwerem, wydał głośny krzyk zdumienia.

— Naciskać dzwonek tam przy drzwiach tak długo, aż się zleci więcej służby... No, słyszałeś?—rozkazałem.

Przestraszony służący podszedł jak automat do biurka i dzwonił, aż się rozlegało po korytarzu pałacowym.

Chińczyk przestał mnie obserwować. Obmyślał widocznie plan ucieczki, gdyż rzucał krótkie, nerwowe spojrzenia na żaluzje okien. Wzrokiem odmierzał odległości.

— Szkoda zachodu — rzekłem, śmiejąc się sarkastycznie: — Pułapkę dobrze zastawiłem, mój panie. Ostatni raz ostrzegam, że ręce należy trzymać wyprostowane w górę. Zrozumiano?

— Kiedy mi ścierpły, u diabła — rzekł gniewnie.

— Nie szkodzi. Wypocznie pan dłuższy czas w więzieniu. Zaraz zatelefonujemy na policję.

Zmierzył mnie nienawistnym spojrzeniem swych skośnych oczu.

Tymczasem w drzwiach pojawiły się sylwetki dwóch dalszych lokajów oraz kilka pokojówek, manifestujących swój przestach okrzykami.

— Hej chłopcy! Przynieść sznury i związać tego draba.

— Jak pan śmie! Jestem obywatelem i poddanym brytyjskim. Byłem pewien, że skłamał, lecz z drugiej strony chciałem mu

pokazać, że żadne wykrety go nie osłonią przed wymiarem sprawiedliwości.

Poleciłem najstarszemu z lokajów podejść do telefonu, połączyć się z główną komendą policji i zażądać przysłania dwóch agentów.

Kwadransowe oczekiwanie uprzyjemniałem sobie dokuczaniem przeciwnikowi i wypominaniem mu jego przechwałek, wyrzeczonych ongiś w Makjan.

Biła właśnie dziewiąta, kiedy do gabinetu wkroczyło dwóch agentów oraz niebotycznie wysoki Sipaj.

W krótkich słowach objaśniłem, w jaki sposób schwytałem obcego człowieka, który się zakradł do pałacu i zaznaczyłem z naciskiem, że rozpoznaję w nim z całą pewnością rabusia, który napadł na naszą

9 Perła Szanghaju

289

karawanę w Sarawak, który ukradł nasze bagaże i czyhał na nasze życie...

— To kłamstwo! —warknął obwiniony.

— Można by wezwać Miss Lotty Nardewitz, ale nie chciałbym jej niepokoić na razie

— odparłem spokojnie — wystarczy, że rozpozna go przy konfrontacji w śledztwie.

Mamy tu bliższe dowody. Człowiek ten napadł w nocy mą narzeczoną i otrzymał od niej pchnięcie sztyletem. Blizna musi być gdzieś w okolicy obojczyka. Panowie mogą łatwo sprawdzić...

— Pokazać! —rzekł agent i przystąpiwszy do Chińczyka, szarpnął go za kołnierz marynarki, ale w tej chwili odleciał, odepchnięty z taką siłą, jakiej bym się nigdy nie spodziewał po szczupłym, niskim człowieku.

— Precz ode mnie! — krzyczał. — Wasze ręce są za krótkie, by mnie dosięgnąć.

— To się przekonasz, żółty psie, zaraz...

— Precz mówię! Jestem poddanym brytyjskim. Generał Duncan zna mnie bardzo dobrze. Proszę natychmiast do niego zatelefonować. Nazywam się Lo-Ming. Proszę

to nazwisko podać w adiutanturze komendanta miasta. Zobaczycie, jak wam miny zrzędą. ,

Pewność siebie, z jaką mówił te słowa, zrobiła duże wrażenie na agentach. Spoglądali po sobie bezradnie, wreszcie jeden z nich podszedł do aparatu telefonicznego i połączył się z główną komendą wojsk brytyjskich.

— Schwytaliśmy złoczyńcę, który podaje się za jakiegoś Lo-Minga, zachowuje się bardzo wyzywająco, a nawet ma czelność powoływać się na osobistą znajomość jego ekscelencji generał-majora, komendanta... Co...

W tym miejscu urwał agent. Widocznie niecierpliwy rozmówca przerwał mu jego wywody. Nie mogłem oczywiście słyszeć, jakie słowa przyplłynęły po drutach z komendy, ale po strapionej minie urzędnika kryminalnego, po niskich ukłonach, jakie składał przed słuchawką, domyśliłem się zaraz, że sprawa bierze niedobry obrót.

Ukończywszy rozmowę, podszedł agent do mnie, wziął mnie na bok i rzucił szeptem: — Mamy go odwieźć do komendy celem stwierdzenia tożsamości

290

osoby... Ano, takie czasy, panie... Dydakтура! Wszystko teraz musi słuchać oficerów... Nawet policja... nawet sądy — dodał ledwie dosłyszalnie.

Chińczyk triumfował głośno. Oświadczył buńczucznie, że jutro zatelefonuje do mnie, że złożyłby mi nawet wizytę, ale brak mu czasu.

— No, bez gadania, w drogę! — upomniał policjant.

— Tylko, żeby wam nie uciekł...

— Nie ma strachu. Weźmiemy go w aucie między siebie.

W tej chwili rozległy się kroki w przyległym pokoju i lokaj zaanonsował przybycie Mr Timberwortha. Na dźwięk tego nazwiska Chińczyk przystanął w pół drogi, co nie uszło uwagi urzędników kryminalnych...

— Aha, masz bratku nieczyste sumienie także wobec tamtego pana. Doskonale...

Zaczekamy, aż pwyjdzie — zdecydował agent starszy.

Notariusz nie wiedzący o niczym, wszedł pewnym krokiem, a ujrawszy policjanta pilnującego jak oka w głowie Chińczyka, dalej dwóch agentów, mnie z rewolwerem w ręku oraz liczny zastęp służby, przystanął zdumiony. Wydało mi się, że Lo-Ming mruga nań porozumiewawczo.

— Czy pan nie zna przypadkowo tego ptaszka? — spytał agent. Lo-Ming opuścił powieki na znak przyzwolenia, zgody.

— Owszem... Znam go... Nazywa się... — chwila wahania: — Lo,-Ming. '

— A co? Nie mówiłem? Generał Duncan powie wam to samo i będziecie mnie musieli grzecznie przeprosić, panowie policjanci.

— Przepraszać w każdym razie nie będziemy — odparł zadraśnięty urzędnik. — A teraz w drogę! Dość tej gawędy!

— Panowie pozwolą jeszcze małą chwileczkę — zaproponował Mr Timberworth. —

Przynoszę smutną wiadomość, która może interesować nie tylko domowników...

Powiedziawszy to zaczął się rozglądać po pokoju i spytał, gdzie jest Lotte.

— Gra w pir\g-ponga z Mile Lou w drugim końcu pałacu.

— Tym lepiej. Nie umiem ogłaszać kobietom smutnych wiadomości. Z mężczyznami inna^sprawa... Najlepiej będzie jeśli przeczytam ten oto dodatek nadzwyczajny, jaki kupiłem przed kwadransem.

Wszyscy przysunęli się do mówiącego, tylko nieufny policeman--Sipaj stał niewzruszenie przy Lo-Mingu, bacząc by nie skorzystał z ogólnej nieuwagi i nie uciekł.

— Więc słuchajcie — rzekł Mr Timberworth i wśród powszechnej ciszy, czytał komunikat przesłany drogą radiotelegraficzną z eskadry wojennej, stojącej na Jangcy-kiang pod Nankinem:

Dzisiaj, to jest dnia 24.3.1927, około godziny ósmej rano wkroczyły wojska; kantońskie do Nankinu, opuszczonego jeszcze wczoraj przez cofające się oddziały armii północnej. Zajęcie odbyło się prawie bez wystrzału. Dwie baterie kantońskie zajęły pozycje na „Wzgórzu Lwa” i ostrzeliwały przez pół godziny ulice, zamieszkałe przez ludność białą, czym zachęcony motłoch rozpoczął systematyczny rabunek sklepów oraz mieszkań Europejczyków.

Uzbrojone bandy, podburzane przez komunistów, dopuściły się szeregu gwałtów. Między innymi zamordowano w okrutny sposób lekarza portowego, dra Smitha.

— Smith zamordowany?! — krzyknąłem na głos.

— To dopiero początek krwawej listy — odparł ponuro rejent i czytał w dalszym ciągu:

Ciężko ranny jest konsul brytyjski, B. Giles, który stając w obronie napadniętej przez kilku rozbastwionych żołdaków małżonki, użył broni palnej. Między zabitymi są: dwaj Jezuici, OO. Vamara i Tuguet, miss MolTet, oraz znany przemysłowiec z Szanghaju, Mr Timotheus Smool. Wszyscy wydaliśmy równoczesny okrzyk zgrozy. Notariusz ścisnął mi dłoń współczująco, lecz dostrzegłem, że patrzy w inną stronę. Pobiegnęłam wzrokiem za kierunkiem jego spojrzeń, przetarłam sobie oczy ze zdumienia i patrzyłam, jak urzeczony... Lo-Ming zwiesił głowę ponuro ku ziemi, a skurcz jego twarzy był tak okropny, że utkwiał mi w pamięci na długo.

Lecz już agent policji, ciekaw dalszych nowin, wziął gazetę z rąk notariusza i szybko czytał co następuje: Nankin, dnia 24.3., godzina czternasta:

Wiadomość podana w poprzedniej depeszy potwierdza się niestety w całej rozciągłości. Ciało Mr T. Smoota przedstawia jedną krwawą masę. Napastników rozwścieklił jego opór. Stary milioner zabarykadował się w swej willi i broniąc się, przez dwie godziny, wystrzelał nieprawdopodobną liczbę przeciwników. Służący, który w ostatniej chwili wmieszał się w tłum napastników i jako Chińczyk uniknął w ten sposób śmierci, opowiada, że jego pan sam pozbawił się życia, widząc, że ładunki się wyczerpały.

Napadnięta zdradziecko biała ludność Nankinu schroniła się pod osłoną

oddziałów marynarki na wzgórze, należące do Standard Oil Company. W czasie tej straszliwej wędrówki zginęło 16 żołnierzy marynarki wojennej USA oraz 12 brytyjskich majtków. Ranny jest również kapitan Spear. Drugi agent palnął pięścią w biurko:

— Gdzie u licha były statki wojenne, kiedy to żółte bydło nad naszymi się pastwiło?!

— krzyknął, nie panując dłużej nad oburzeniem.

Notariusz skierował nań spojrzenie swych posmutniałych oczu i odparł cicho:

— Niech pan słucha cierpliwie dalej. Będzie i o tym mowa.

— Nie przeszkadzaj — dodał pierwszy agent — i nie przerywaj mi, kiedy czytam.

— Więc czytajże szybciej.

— A zatem:

Kantończycy ostrzeliwali jakiś czas budynki firmy Standard Oil Company, przy czym jeden z największych zbiorników nafty stanął w płomieniach. Uzbrojone tłumy ruszyły do ataku na wspomniane wzgórze. Wówczas krążownik brytyjski „Emerald” rozpoczął zaporowy ogień szrapnelami. Bandy rozpierchły się natychmiast, zostawiając licznych zabitych i rannych. Nankin, dnia 24.3., godzina piętnasta: Po otrzymaniu zupełnie pewnych informacji o zdemolowaniu budynków Konsulatu USA oraz Konsulatu Brytyjskiego, admirał Williams przybył ze switą na pokład krążownika „Emerald” w celu omówienia wspólnej akcji, aby zapewnić ochronę życia i mienia obcokrajowców. Po odbyciu dłuższej konferencji wysłano parlamentarzystę do dowództwa wojsk kantońskich z pismem tej treści, że o ile uwięzieni bezprawnie obywatele USA, w liczbie 95 i obywatele Wielkiej Brytanii w liczbie 15 nie zostaną w ciągu godziny wypuszczeni na wolność i o ile dzielnica europejska nie zostanie bezzwłocznie opróżniona z uzbrojonych band rabusiów, połączone floty okrętów wojennych USA oraz Wielkiej Brytanii rozpoczną ogień na miasto i nie wstrzymają go aż do chwili otrzymania pełnego zadośćuczynienia. Wobec potwierdzenia się wiadomości o zamordowaniu konsula japońskiego, cztery torpedowce japońskie przyłączyły się do akcji flot zjednoczonych. W tej chwili wszystkie okręty wojenne zajmują wyznaczone stanowiska. Nankin, 24,3., godzina szesnasta:

Przed dziesięcioma minutami powrócił wysłany parlamentarzysta, przywożąc odmowną odpowiedź dowództwa wojsk kantońskich. O godzinie 15, minut 55 rozpoczęło się bombardowanie miasta. W kilku miejscach Nankinu widać olbrzymie pożary. O ile komenda wojsk kantońskich nie zmieni swego dotychczasowego stanowiska, Nankin będzie o świcie przedstawiał jedno pole gruzów. j
Willa Mr Smoota została podpalona przez motłoch. Dr Smithowi obcięli oprawcy żywcem wszystkie palce u obu dłoni. Mrs Gilcs. żona konsula brytyjskie-
293

go dostała silnego wstrząsu mózgu na skutek strasznych przeżyć. Stan jej budzi .1 poważne obawy.

Dwie dzielnice Nankinu stoją w płomieniach”.

Kiedy agent ukończył czytanie litanii nieszczęść, katastrof, zapanowało na dłuższy czas ciężkie, przyniatające milczenie. Wreszcie Lo--Ming podniósł zwieszoną posepnie głowę i zwrócił się w stronę agentów:

— Teraz już możemy iść. Dziękuję panu serdecznie, Mrs Timber-worth.

Za co on mu dziękował, tego nie mogłem zrozumieć. Agenci pożegnali nas i otoczywszy czule. Chińczyka, opuścili gabinet.

Nagle w sąsiednim pokoju zabrzmiał głośny okrzyk Lotty. Rzuciłem się pędem do drzwi. Moja narzeczona trzymała się dłońmi za piersi i zdumiony wzrok wlepiła w Lo-Minga. A Chińczyk złożył przed nią ukłon niski, bardzo niski, potem stał błądy, wzruszony, aż go agenci siłą musieli wypchnąć na korytarz.

— Co to znaczy, Andrzeju?! — spytała patrząc na mnie niespokojnie. — Och, jak mi serce szybko bije... Spójrz! Co on tu chciał ten człowiek?

Schwyciwszy puls Lotty przeraziłem się prawie. W ciągu 15 sekund naliczyłem 32 uderzenia, czyli 128 na minutę!

— Wszystko ci opowiem, kochanie — rzekłem — ale musisz się najpierw uspokoić.

— Już jestem spokojna... Powiedz! Najgorsza niepewność...

— Więc słuchaj. Chińczyka przychwycono w kawiarni i przyprowadzono go tutaj w celu dokonania konfrontacji ze mną, gdyż odpowiadał rysopisowi człowieka, który nas więził w Makjan.

Lotte nie była prawniczką, nie przeniknęła więc naiwnego wykrętu, że konfrontacja może się odbywać w prywatnym mieszkaniu. Lotte była tak zaskoczona niespodziewanym spotkaniem z Lo-Mingiem, że nie zwróciła uwagi na zupełną niedorzeczność mego powiedzenia...

— Ach, oddycham — rzekła po chwili. — Już myślałam, że ten człowiek urządzał jakiś zamach na ciebie, darling i drżałam na samą myśl.

Tuląc jej główkę do piersi, posyłałem błagalne spojrzenia notariu-

294

szowi i gapiącej się służbie, by ani słowem nie ważyli się napomknąć

o śmierci wuja Tima. Trzeba było moje biedactwo wpiery przygotować na tę smutną nowinę.

Mr Timberworth był domyślny. Wyekspediował całą służbę z pokoju, gazetę ukrył i siłą się na wesołość, zaczął opowiadać jakiś epizod z dnia dzisiejszego.

Ale jego wysiłki zniweczyła Lou, która wpadła w tej chwili jak bomba do pokoju, szlochająca, zapłakana i nim zdążyłem przeszkodzić, rzuciła się swej przyjaciółce i niedoszłej rywalce na szyję z głośnym płaczem:

— Biedna maleńka Lotty! — wołała urywanym głosem, nie reagując na moje znaki

— Taki dobry człowiek... taka straszna śmierć... w takim okropnym piekle...

Nie czekając aż dalsze „takie” okropności nastąpią, uszczypnąłem roztrajkotaną Francuzeczkę powyżej łokcia dość mocno... OdwFÓciła ^się ku mnie oburzona, lecz wreszcie pojęła, o co chodzi.

— Widzisz, kochanie... nie chcieliśmy ci mówić... To był naprawdę sympatyczny człowiek... ten Smith...

— Dr Smith?... Umarł?... Co ty mówisz? Kigdy? -

— Dziś. W Nankinie. i

— A wuj?

— Wuj... tego... owszem... wróci tak... naturalnie—jąkał się Mr Timberworth, doskonały zresztą mówca, lecz jak sam mówił, nieudolny zwiastun hiobowych wieści kobietom.

Lotte spojrzała na nas podejrzliwie:

— Nie! Nie to chciała Lou powiedzieć... Wy coś ukrywacie przede mną... To źle!

Powiedzcie, bo oszaleję, patrząc na wasze miny grobowe.

Milczeliśmy wszyscy. Wreszcie Lou trzęsąc się jak osika, wyszeptwała:

— Twój wuj... także... umarł...

Myślałem, że ta wiadomość wywoła silniejsze wrażenie i pochwyliłem Lotte w pół, obawiając się, iż zemdleje. Odsunęła mnie lekko

I zwracając się wyłącznie do popłakującej dziewczyny, spytała głosem wcale opanowanym oraz spokojnym:

— Jak to? Wuj umarł, dr Smith umarł?... Tak jednego dnia? Czy i jaka choroba zaraźliwa panuje w Nankinie?

— O, bardzo zaraźliwa, Miss Lotty... Widzę, że jest pani dzielną
295

dziewczyną, więc powiem prawdę — rzekł Mr Timberworth.

— Tyfus? Dżuma?

— Jeszcze gorzej, bo bolszewizm... Tak, droga pani. Jej wuj padł na posterunku, jak na Anglika przystało. Swoją śmierć drogo okupił. Jego wspaniała obrona więcej warta niż kunsztowne noty pustogłowych dyplomatów. Więcej takich ludzi, więcej armat, okrętów wojennych, więcej karabinów, a mniej papierów... Wówczas żółte draby rozumieją, co znaczy zadzierać z Wielką Brytanią. Droga Miss Lotty, jestem, zachwycony pani hartem ducha. Znać, że po matce płynię w pani żyłach nasza wspaniała, krew angielska...

Mr Timberworth był na najlepszej drodze do kropnięcia sobie patriotycznej mówki, którą należało odłożyć raczej na dzień pogrzebu. Z trudem udało mi się powstrzymać zapędy oratora. Lotte była w dalszym ciągu spokojna.

— Pomódlmy się wspólnie za duszę Tima Smoota i za doktora Smitha — rzekła. Pociągnęła Lou za rękę do gabinetu wuja, gdzie na ścianie, poza biurkiem wisiał mały krucyfiks. Obie dziewczyny uklękły obok siebie, ja zgiąłem kolano, a Mr Timberworth pochylił głowę.

Nagle Lotte schwyciła się za serce i padła bez zmysłów na dywan...

Od owego pamiętnego wieczora upłynęły dwa tygodnie. W międzyczasie zaopatrzone we wszelkie możliwe przepustki obu stron walczących, udałem się statkiem do Nankinu w celu przywiezienia statkiem zwłok wuja Tima. Powróciłem z próżnymi rękami. Nadaremnie szukali-, śmy ciała wśród gruzów spalonej willi. Musiało się spalić na popiół lub tłum rozwścieczony dzielną obroną zabitego wywłócił trupa, rozszarpał i gdziekolwiek resztki rozrzucił. Spoczęło zapewne we wspólnym grobie, jaki Kantonczycy wykopali dla blisko trzech tysięcy rodaków, którzy, zginęli skutkiem wielogodzinnej kanonady wojennych statków flot połączonych.

Z powodu żałoby odsunęliśmy datę naszego ślubu z Lotta na jesień bieżącego roku. Obecnie czekałem z niecierpliwością na chwilę, kiedy moja kochana dziewczyna ukończy załatwianie przewlekających się formalności z notariuszem, by wyjechać do Stanów Zjednoczonych i odpocząć należycie po smutnych przejściach. Mr Timberworth przyparty przeze mnie do muru oświadczył pewnego dnia z miną dość
296

tajemniczą, że wobec planów Lotty, ostateczne wykończenie aktów prawnych pociągnie się jeszcze z tydzień. Jakiej treści były owe „nowe akty prawne” nie mogłem się dowiedzieć. Oboje uwzięli się na robienie tajemniczości. To było tylko pewne, że Lotte spędza w kancelarii notariusza kilka godzin dziennie...

Nie mając lepszego zajęcia, zacząłem się interesować miejscowymi historiami.

Dowiedziałem się najpierw, że Lo-Ming został z polecenia generał-majora Duncana wypuszczony na wolność zaraz nazajutrz po aresztowaniu. Z ogólnikowych informacji notariusza dowiedziałem się, że mały Chińczyk był jedną z najważniejszych osobistości, zajętych przy wzmacnianiu pomostu, rzuconego między

dotychczasowych nieprzejednanych wrogów, to jest Czang-Kai-szeka a Anglików. Dowiedziałem się później, iż Mrs Cecily Hedge przychodzi szybko do zdrowia w prywatnej lecznicy oraz, że w ogrodzie przy jej willi znaleziono wszystkie bez wyjątku kosztowności, co sprawdzono według spisu. Podobno ta pomyślna wiadomość wpłynęła najsukuteczniej na tempo rekonwalescencji zapamiętałej kolekcjonerki.

Pewnego wieczoru otrzymałem od wspomnianej Mrs Hedge bajecznych rozmiarów bukiet róż oraz bilecik, zawierający najgorętsze podziękowania dla „kochanego pana Andrzeja, który uratował moje życie i mój majątek”. Mrs Hedge prosiła, by ją kiedykolwiek odwiedzić i zapewniała o swej dozgonnej wdzięczności.

Wypadki polityczne rozwijały się tymczasem dokładnie według przepowiedni doskonale poinformowanego Mr Timberwortha. Więc zwycięski Kanton podzielił się na dwa obozy, zwalczające się nie tylko piórem, lecz i orężem. Więc Tczang-Tso-Lin przestraszony zwycięstwami Czang-Kai-szeka, a zwłaszcza jego cichym porozumieniem z potężną Anglią, zaczął spuszczać z tonu. Na widownię wyłonił się dawno zapomniany Wu-Pei-Fu oraz „chrześcijański” generał Feng. Nieprzebrany rezerwuar ludzki dostarczył nowych tysięcy młodzieży na żer armatom, dla zaspokojenia ambicji poszczególnych strategów. I tłukli się Chińczycy między sobą, według przepowiedni notariusza, zapomniawszy o swych wspólnych wrogach, białych najeźdźcach.

Jednego poranku Lotte oświadczyła mi, że z powodu wyjazdu rejenta nie będzie miała dzisiaj żadnych konferencji i może mi dzień całkowicie poświęcić.

297

— Najwyższy czas, iż odpoczniesz, ptaszyno — odparłem, patrząc na jej podkrążone oczęta. — Pamiętaj, co mówił dr Thevet... Wadę sercową można wyleczyć w twym wieku, lecz trzeba się do tego zabrać od razu...

— Już dobrze, nudziarzu. Za tydzień opuścimy Szanghaj na długo...

— Czyżby nie można na zawsze?

— Jeszcze zobaczę... Możliwe, że twe pium desiderium się spełni... | A teraz przejdźmy do ogrodu.

Dzień był pogodny, słoneczny, przecudny...

Czerwone tło alei wysypanej proszkiem z tłuczonej cegły podkreślało soczystość zielonej barwy oraz szmaragdową przezroczystość przylegających trawników i liści strzyżonych szpalerów. Z delikatnym poszumem chwiały się ciemnoczerwone liście mahoniów, zielone listki wierzb, wysokopiennych paproci, wawrzynów. Z każdym tchnieniem ciepłego wietrzyku spływały chmury kwiecica z grusz, jabłoni, drzew wiśniowych, pigwowych, migdałowych, brzoskwiniowych, spływały na kształt białych lub różowych motylków. Całe połacie trawy, rosnącej u stóp przepięknych drzew, były obsypane jedwabistymi płatkami kwiatów, a mimo to wszystkie te jabłonie, grusze, wiśnie brzoskwinie były dosłownie pokryte kożuchem śnieżnym lub różowym. Były pokryte tak szcudrze, że miejscami nie dostrzegałem zupełnie liści. A kiedy oko oślepięte lśniąca bielą drzew owocowych szukało spokojniejszych widoków przy ziemi, spotykało długie, białe miotełki kwitnących ligustrów pekińskich, rozwijające się kielichy lilii, spotykało maki, zawilce, jaskry, skalne azalie, fiołki, żółte słoneczniki i piwonie, piwonie, piwonie. Piwonii było bez liku,

jak w każdym ogrodzie Chin. Wysuwały ku nam swe potężne kielichy purpurowe, pomarańczowe, miedziano-różowe, czystoróżowe, białe, a nawet ciemnogrnatowe, prawie czarne.

Szliśmy w milczeniu, trzymając się za ręce jak dzieci, weseli, szczęśliwi jak dzieci. Bo serca nasze były czyste i przepojone wdzięcznością dla Stwórcy, że z niczego uczynił świat tak piękny, że szarą ziemię okrył tęczowym kobiercem tak cudnych, wonnych kwiatów, że wreszcie prowadząc każde z nas z osobna krętymi ścieżkami życia sprawił, iż , poznaliśmy się i pokochali wielką miłością nawzajem. A myśli mej towarzyszki biegły tym samym szlakiem co moje, bo nagle wysunęła swą

298

rączkę z niewoli mych palców, złożyła dłonie jak do modlitwy i zaszczę-biotała swym najśladszym głósikiem, naśladując szczebiot małego dziecka:

— Dziękuję ci Boziu, żeś mi dał zdrowie, urodę, a przede wszystkim żeś mi dał spotkać mego kochanego Jędrusia...

Uściskałem ją serdecznie i poszliśmy razem w głąb parku, w stronę stawu. Staw ten liczył według mapki morzę powierzchni, lecz na oko zdawał się znacznie większy dzięki dużej wyspie, jaka się pośrodku wznosiła, niby zielona oaza wśród lazuruwej tafli wody. Prymitywnie z bambusów sklecony most, podobny do tych, jakich pełno na Jawie czy Sumatrze, łączył brzeg z wyspą, przeskakując nurty trzema zgrabnymi łukami. Środkowe przeszło wspierało się na dwóch filarach, fdarach naturalnych, bo utworzonych przez maleńkie wysepki, których każda piędź ginęła pod gęstym kobiercem zieleni. Wyrastały z nich długie pędy powojnika, wilce, imópeje, wdzierały się po fdarach na przeszło, na jego chodnik, barierki, pełzały po bambusowych poręczach aż do obydwóch końców mostu, na kształt bajecznie długich węzów. Pod ich gęstwiną znikwały bambusy całkowicie i całość wyglądała jak zielony, naturalny most wzniesiony przez kaprys przyrody czy figlarność swawolnego wiatru, wyglądała jak jeden z tych wiszących mostów, jakie widzieliśmy w czasie naszej podróży przez dziewicze lasy Borneo.

Most kołysał się pod naszymi stopami jak resory rozklekotanej bryczki. Ze śmiechem przebiegliśmy go szybko i przed skwarem słońca schroniliśmy się do małej grotki, wzniesionej tuż nad wodą. Ławeczka była tak wąska, że byliśmy zmuszeni siedzieć całkiem blisko przy sobie. Wyczuwałem więc doskonale żar młodego ciała Lotty, bijący poprzez pajęczą siatkę jej pończochy, przez cienki jedwab jej sukni. Krew zaczęła mi szybciej krążyć w żyłach, może także z tej przyczyny, że od chwili śmierci Tima nie miałem ni razu odwagi przekroczyć progu pokoju Lotty. Więc nieśmiało wyciągnąłem rękę, objąłem jej smukłą kibić i spragnionymi wargami począłem szukać jej ust. Nie wzbroniła mi pocałunku, lecz kiedy chciałem ją porwać w ramiona, odsunęła mnie stanowczym ruchem ręki...

•— Nie teraz! Później! — rzekła, rumieniąc się po uszy — teraz chciałam z tobą porozmawiać poważnie.

— Dobrze, darling — odparłem zgodliwie, a wobec zapowiedzi, że

299

rozmowa będzie poważna, zapaliłem papierosa. Nic tak nie ułatwia palaczowi skupienia się, jak nikotyna...

— Drogi Andrzeju... Zanim przejdę do właściwej treści naszej rozmowy, chciałabym

się zapytać, czy pamiętasz jeszcze opowiadanie Harveya. Mam na myśli ową historię wschodnią, jaką...

— Jaką nam opowiadał podczas przejażdżki na jeziorze Men-salch — przerwałem.

— Pamiętam oczywiście, ze wszystkimi szczegółami, tylko nazwiska bohaterów trochę mi się poplątały...

— Uzupełnimy te braki. Więc główną rolę odgrywał bogaty przemysłowiec, wzbogacony na handlu narkotykami, nazwiskiem Snake...

— To imię zapamiętałem.

— Dobrze. O księżniczce Mirzy mówić nie będziemy, ponieważ umarła. Ale pozostał jej syn imieniem... no? Nie pamiętam?... Singh.

— Prawda... Singh... W języku Hindusów znaczy to tyle co „lew”.

— Tak. Jednakże Snake posiadał jeszcze dwóch innych nieślubnych synów. Młodszy był zrodzony z matki Chinki. Nazywał się Lo -Ming.

Co? — zawołałem, zrywając się z ławki... — Czy jesteś pewna, że tak brzmiało jego imię?

— Zapisałam sobie w swym pamiętniku. Mogę ci pokazać. Idźmy jednak dalej.

Oprócz Lo-Minga oraz Singha był najstarszy brat, który wstąpił do zakonu i poświęcił się tępieniu zła, jakie szerzył między innymi jego rodzony ojciec. Zakładał szpitale, przytułki dla sierot po rodzicach, którzy umarli lub popadli w obłąkanie skutkiem nadużywania opium. Ten dzielny kapłan miał na imię, jeśli pamiętasz opowiadanie Harveya... no?... George... Czy ci to czegoś, a raczej, kogoś nie przypomina? Pomyśl... Czy nie znasz jakiegoś zakonnika imieniem Jerzy...

— Ależ darling... domyśliłem się tego już przed chwilą, tylko myślę teraz o czymś innym. Skoro Lo-Ming jest bratem Singha, skoro dalej siedząc w piwnicy słyszałem dokładnie treść jego rozmowy z drugim ptaszkiem i słyszałem, że mówili sobie „bracie”, skoro wreszcie ten zagadkowy Hindus przyznał się wówczas, że jest tym, który ciebie napadł w slipingu, to znaczy, że Harvey, bo mam dowody, że owym napastnikiem był Harvey... to znaczy, że Harvey jest bratem zakonnika Jerzego, Jezuity.

300

Zagmatwałem się trochę w pośpiechu, lecz Lotte potakiwała głową, chcąc mnie naprowadzić na rozwiązanie głównej zagadki. Gdy skończyłem, spytała:

— Czy przypominasz sobie dalej przemowę biednego wujaszka, jaką wypowiedział w dniu balu maskowego? Mówiłeś mi wówczas, że nie rozumiesz, do jakiej „trójki hultajskiej” (tak się wyraziłeś) Tim robił aluzje... Mówiłaś mi jeszcze, że wujowi zrobiło się niedobrze, że dostał ataku sercowego, kiedy wymieniłaś nazwisko nieszczęśliwej księżniczki Mirzy i jej małżonka, radży z Jaipur...

— Stop! — zawołałem, zrywając się z ławki... Że mnie to wcześniej nie przyszło do głowy! Takie proste! Tak, tak. Wszystko się zgadza... Handlarz opium, bogaty przemysłowiec Snake i Tim Smoot, są jedną i tą samą osobą...

— Raczej byli — wtrąciła Lotte.

— Czemuż ten Harvey ochrzcił go imieniem „Snake”... Po angielsku snake znaczy wąż... Hm... Więc nazwisko było niejako symbolem... Ale dziwię się jednemu...

— Mianowicie?

— Mianowicie, że Harvey miał tyle tupetu i ośmielił się opowiedzieć nam historię

twego wuja, zmieniając tylko kilka szczegółów.

— Już to dowodzi najlepiej, iż nie jest wyrafinowanym zbrodniarzem, lecz popędliwym, dużym, dobrym dzieckiem Wschodu... Naradziwszy się z braćmi wyjechał do Berlina, aby obserwować siostrzenicę swego ojca, aby ją próbować odwieść od zamiaru przyjazdu do Szanghaju i nie dopuścić do wydziedziczenia przez ojca siebie oraz swych braci...

— No, pozwolisz, ale jego metody...

— Zaczekajże, niecierpliwcze! Zanim rozpoczął pierwszy . atak, śledził mnie czas dłuższy, stosownie do rady George'a... Chciał poznać mój charakter, wady, zalety, chciał się przekonać, czy dam się pozyskać dla szlachetnych planów ojca Jerzego. I co się stało—ciągnęła Lotte szybko, widząc, że otwieram usta, aby jej przerwać — Byłam wówczas pustą dziewczyną, lekkomyślną, rozflirtowaną, myślącą tylko o dansingach, toaletach, zabawach, byłam niesolidną narzeczoną, która za plecami Kurta Weissmullera naznaczała sobie schadзки z innymi... Opowiadałam ci, darling, przecież o epizodzie z doktorem G. w hotelu...

301

I Harvey, czyli Singh, chodził za mną krok w krok. Badając mój tryb życia skrupulatnie, musiał przyjść do przekonania, że jestem kobietą złą, która z pewnością zlakomi się na wujową fortunę, a zasmakowawszy w dobrobycie, przepychu, riie rzeknie się za nic łatwo zdobytego majątku.

Rozpoczęcie starań o uzyskanie paszportu utrwaliło Singha w jego przypuszczeniach. I kiedy ostrzeżenia nic nie pomogły, uciekł się do bardziej radykalnych środków. Oto geneza pierwszego napadu, tam w slipingu. Przypadek zrządził, że poznałam ciebie, że przybiegłeś mi z pomocą. Zresztą Singh przysiągł na cienie przodków, że wówczas nie miał zamiaru mordować, lecz chciał mnie dobrze nastraszyć, a raczej odstraszyć od dalszej podróży. Nie mam powodu temu nie wierzyć. Przecież mógł mnie bez trudności pchnąć sztyletem, zamiast bawić się w zarzucanie mi chustki na szyję i nieudolną komedię z duszeniem.

Śledząc nas nieustannie, przybył do Rzymu. Przyznał mi się, że ciebie się bardzo obawiał. Dlatego postanowił nas rozdzielić. Napisał anonim, w którym nie żałował pióra ani fantazji, byle mnie jak najbardziej w twych oczach oczernić. Przeliczył się jednak. Zdołałam sobie pozyskać twe zaufanie, a list biura wywiadowczego z Berlina rozproszył do reszty te obawy. Wobec tego Harvey zabrał się do ciebie. Jego oszczerza denuncjacja spowodowała twe aresztowanie w Kairze.

— Więc to on najał Arabów, którzy nas napadli w kawiarence?

— To już było trikiem angielskiej policji, my dear. Doszliśmy do tego przekonania z Harveyem, omawiając dokładnie każdy szczegół owej intrygi. Policja otrzymała denuncjację, bała się, że jej znikniesz z oczu, a równocześnie nie miała w ręku żadnych poważnych atutów, które by pozwoliły na przymknięcie spokojnego turysty. Zaażarowano więc awanturę z arabskim sprzedawcą monet. Równocześnie zaś fałszywy przewodnik podał ci takie nazwisko, które upoważniało] władze do przytrzymania cię przez dwie doby w areszcie... Było to prawdopodobnie nazwisko jednego z narodowych działaczy egipskich.; Tak mniema Harvey. Dobrześ przeczuwał, że przewodnik był agentem...

Singh, czyli Harvey, nie wątpił, że po zbadaniu twych papierów oraz rzeczy

pozostawionych w hotelu będziesz natychmiast wypuszczony na wolność. Chodziło mu tylko o to, byś przesiedział się do niedzieli

302

południa, to jest do momentu odjazdu „Albionu” z Suez. Pozbywszy się ciebie, mógł się łatwiej załatwić ze mną.

Pokrzyżowałam mu te plany, przerywając podróż i sprzedając swą kabinę.

Rozwścieczony moim postępowaniem, poważił się na krok bardzo ryzykowny, jakim był incydent na jeziorze Mensaleh. Tym razem, jak sam przyznał, chciał, bym utonąła, bym poniosła śmierć. Znowu się nie udało. Właściciel czółna wyratował mnie z nurtów... Potem nastąpił okres miesięcznej „znajomości”, wspólnych wycieczek itd. Singh twierdzi, że wówczas dopiero otworzyły mu się oczy. „Kiedy ujrzałem, z jaką dobrocią odnosi się pani do biedaków, do kalek, bezdomnych dzieci, a wreszcie tych najniezwyklejszych ze wszystkich, do trędowatych, zrozumiałem swój błąd” — mówił dosłownie.

Wtedy nastąpiło pamiętne opowiadanie o handlarzu opium Snake'u i jego ofiarach.

Pamiętasz chyba, co odpowiedziałam na jego pytanie... Był uszczęśliwiony.

Postanowił mi powiedzieć całą prawdę przy najbliższej sposobności. Lecz powróciwszy z dwudniowej wycieczki do Aleksandrii, nie zastał nas już w Kairze.

Wyjechaliśmy... Singh zawrzał gniewem, ale... wyłącznie przeciw tobie, Andrzej.

Sądził, że ty mnie nakłoniłaś do nagłego wyjazdu. Najbliższy statek odpływał

dopiero za cztery dni. Nie mogąc nas doścignąć, zatelegrafował do brata. Wówczas

Lo-Ming wysłał depezę rzekomo od wuja Tima, sam zaś wyjechał czym prędzej na Borneo, by przygotować pułapkę, w którą te± wpadliśmy

oboje... Resztę znasz dobrze...

Kiedy jeszcze byłeś w okresie rekonwalescencji po postrzale, poznałam ojca Jerzego.

Porwana jego słowami, olśniona wspaniałymi wynikami jego dotychczasowej pracy, a przede wszystkim do głębi wstrząśnięta i przerażona widokiem spustoszenia, jakie

wśród nieszczęśliwych Chińczyków spowodowało opium, postanowiłam zostać jego współpracownicą, postanowiłam zwrócić tyfn biedakom wszystko, co im

przedsiębiorczość (o umarłych należy dobrze mówić, więc używam terminu

„przedsiębiorczość”, acz ciśnie mi się na usta inne określenie),... postanowiłam zatem zwrócić im to wszystko, co im wuj Tim w ciągu lat wydarł.

Nie mogłam się oczywiście wobec wuja demaskować, inaczej byłby mnie spotkał los jego trzech nieślubnych synów. Dlatego to podczas pamiętnej rozmowy na temat, czy należy potępiać handlarzy narkoty-

303

ków, stanęłam po stronie wuja, ku bezmiernemu oburzeniu Theveta. Cel uświęca środki, mój drogi...

— Czy to wpływ zacnego Jezuity? Lotte roześmiała się wesoło.

— Całkiem przypadkowy zbieg okoliczności, że działając pod wpływem ojca

Jerzego, postąpiłam wówczas według maksymy, której ongiś Jezuici hołdowali i

skłamałam. Jak się miałaś okazję przekonać, opłaciło się. Wuj był tak uszczęśliwiony moją odpowiedzią, że jeszcze tego wieczora szkicował z notariuszem akt darowizny

całego majątku na' moją rzecz...

— Skąd wiesz, że już wtedy?

— Dzisiaj mogę ci powiedzieć wszystko. Otóż poczciwy, zacny Timberworth był zawsze cichym sprzymierzeńcem pokrzywdzonych dzieci wuja Tima, a tym samym później i moim. Ojciec Jerzy powiedział mu wszystko i w zamian dowiedział się o niespodziance, jaka miała mieć miejsce w czasie balu maskowego.

— I ty wiedząc o wszystkim, robiłaś przede mną tajemnice!

— Kochanie, nie gniewaj się na mnie. Gdyby chodziło o moją osobę, powiedziałabym ci wszystko... Ale tu szło o rzecz wielką, świętą... Tu chodziło o uratowanie tych milionów dla najniezwyklejszych istot pod słońcem.

— Hm... — rzekłem po chwili namysłu — wszystko to bardzo pięknie, lecz jest jeden punkt ciemny, którego ani ty mi nie potrafisz wyjaśnić.

— Mianowicie?

— Anonim z pogrózkami, jaki znalazł się w moim pokoju na kilka czy kilkanaście dni przed maskaradą. Nie mówiłem ci o tym...

— Ale mówił mi ojciec Jerzy... Tak. Widziałam to pismo. Otóż wiedz, że z chwilą, kiedy zdeklarowałam się jako sojuszniczka ojca Jerzego, nie zagrażało mi żadne niebezpieczeństwo ze strony Singha czy Lo-Minga. Ale... nie wiem... jak się to stało,... że oni obaj...

— Zakochali się w tobie... Zgadłem?

Lekki rumieniec był wystarczającą odpowiedzią...

— Nie moja wina, Jędrusiu... Wierzysz mi chyba, że nie starałam się o to. Więc dlatego właśnie ty miałeś w nich nadal wrogów zawziętych, rywali... Singh, spokojniejszy, powściągliwszy, przestrzegał raJ ojca

304

Jerzego. Staszy brat zawsze wywierał nań wpływ przemożny... Ale Lo--Ming, to natura pierwotna. Jego trudno ujarzmić. Jego musisz się strzec; dopóki nie wyjedziemy, darling. Z powodu owego anonimu omal nie przyszło do zupełnego zerwania między braćmi. Ojciec Jerzy opowiadał mi o tym. Wreszcie Lo-Ming udał skrucę, rozczulił się prawie do łez i przysiągł, że będzie posłuszny woli starszego brata.

— No to szybko o przysiędze zapomniiał...

— A ty skąd wiesz o tym? Przecież mówiłam ci... Lotte machnęła ręką wyrozumiale...

— Wymyśliłaś na poczekaniu niezręczny wybieg, widząc, jaka jestem zaniepokojona... Dowiedziałam się o wszystkim. Byli przecież świadkowie całego zajścia...

— Służba.

— Nie mogę zdradzić autora — odparła z uśmiechem: — Ale słuchaj dalej.

Wszystkie moje zamiary się spełniły. Wuj Tim jeszcze za życia zapisał mi cały swój olbrzymi majątek... Mogę nim swobodnie rozporządzać. Chciałam nim rozporządzać jeszcze za życia wuja,... ale nie miałam serca. Wiedziałam, że takiego ciosu, by nie przeżył. Przecież uczynił mnie bogatą tylko z myślą, że razem z tobą będę nadal prowadzić jego przedsiębiorstwo, będą nadal truć setki tysięcy niewinnych ofiar... Bóg zrzucił inaczej. Zabrał Tima... Oszczędził mu tej chwili... Dziś mogę...

— Lotte! — zawołałam, a coś niby przestrasz zadźwięczało w moim głosie — ty zamierzasz popełnić coś bardzo nedorzecznego.

— Nie, najdroższy — odparła bardzo poważnie. — Chcę tylko naprawić zło wyrządzone przez wuja. Majątek zdobyty w taki sposób nie przyniósłby nam szczęścia. Zresztą stawiam cię wobec faktów dokonanych. Wszystko, co otrzymałam od wuja, jest już własnością fundacji imienia Timotheusa Smoota, której dożywotnim zarządcą jest ojciec Jerzy...

— Jak to?! Cóżes ty najlepszego zrobiła, Lotte... Jak można się było nie pytać mnie o radę... Nie! Nie przypuszczałem, że ten chytry Jezuita...

— Tylko proszę cię... o nim nic złego... Ten chytry Jezuita właśnie zmusił mnie do wyłączenia kwoty 100000 dolarów, które zdeponowałam na imię twoje i moje w Guaranty Trust Company. Odsetki od tej sumy wystarczą nam na życie... Zresztą przypomnij sobie naszą

20 Perła Szanghaju

305

Rozmowę w Kairze. Powiedziałeś wówczas, że największą przeszkodą do zawarcia małżeństwa byłby dla ciebie mój majątek. Nie ma go już. Twoje życzenie spełnione. Wiadomość ogłuszyła mnie do tego stopnia, że nie mogłem słowa więcej powiedzieć. Prawda! Mówiło się to i owo, lecz kto raz zasmakuje przepychu, kto przeszło pół roku pędzi próżniacze, luksusowe życie milionerów, temu trudno wyrzec się tego wszystkiego, nawet za cenę spełnienia szlachetnego uczynku wobec najnieszcześliwszych bliźnich.

Więc trzeba będzie opuścić wspaniały pałac, jeździć rozklekotanymi taksówkami zamiast rozpierać się na poduszkach pięknego rolls--royce'a, trzeba będzie się znowu wprzągnąć w jarzmo ciężkiego życia inteligenta, zrezygnować z poroży po słonecznych krajach i wracać do chmurnej, mglistej, biednej ojczyzny, gdzie słońce tylko ćwierć roku widać, a reszta deszcze, deszcze, deszcze...

Przelotnym, jakby pożegnalnym spojrzeniem, objąłem całą przestrzeń dokoła. Powierzchnia stawu marszczyła się i drgała od maleńkich kółeczek, wywoływanych ruchami przemnogich owadów. Koło olbrzymich kwiatów brazylijskiej Victoria regia pluskały wesoło rzesze ryb złotych, czerwonych, szarych, srebrnych. Z wysokości grotty widać było je w' przezroczystej wodzie jak na dłoni. Na tonący w zieloności most wkroczyły cztery tęczopióre pawie, których mnóstwo wałęsało się po ścieżkach parkowych. Szły teraz przez elastyczne, kołyszące się przęsła i skrzeczeniem dodawały sobie wzajem odwagi. Opodal, na tle przybrzeżnego sitowia, brodziły śnieżnobiałe czaple. W pobliżu wodotrysku, bijącego ze sztucznie wzniesionej piramidy głazów, przechadzały się z ospałym wdziękiem perłowe zórawie. Dwie małe oswojone sarenki, zakupione przez Lotte z ogrodu zoologicznego, podkradały się ku nam poprzez płat łączki, której zieleń ginęła wśród mrowia złotych jaskrów. Rozstawiwszy nóżki szeroko, przekrzywiały pociesznie swe kształtne łebki, wypatrując, czy maleńki pinczer pekiński jest z nami, gdyż obawiały się panicznie jego piskliwego szczekania. A ponad stawem, pokrytym koronami żółtych, seledynowych, różowych, purpurowych, białych grzybni, padm i innych kwiatów, których nazw nie znam, ponad ogrodem owocowym, tonącym w białej szacie kwiecica, ponad parkiem pociętym czerwonymi drózkami... rozpiął się lazurowy baldachim

306

ogodnego nieba. Na jego niepokalanym tle kołowały białe jak śnieg ociany mandzurskie.

— I ten uroczy zakątek trzeba opuścić — rzekłem mimowoli półgło-em.

Lotte ujęła delikatnie moją dłoń...

— Dopiero za rok. To zastrzeżenie zrobiłam także dzięki radzie „chytrego” Jezuity, jak go z przekąsem nazywasz — rzekła.

— Spójrz no, darling... Tam ścieżką idzie jakiś człowiek...

— To lokaj — dodała Lotte, która miała wzrok lepszy ode mnie. Rzeczywiście chwilę później przy drugim końcu mostu pojawił się służący.

— Telefon do pana — rzekł, odpowiadając na moje pytanie. Lotte pogroziła mi palcem i żartując, wyraziła przypuszczenie, że zapewne Mrs Hedge pragnie widzieć swego zbawcę.

— Wątpię — odparłem. —Może Lou raczej. —Potem zwróciłem się do wyprężonego sztywno lokaja: —Czy to jakaś dama?

— No, Sir. Męski głos. Nie chciał powiedzieć, kto.

— Nie chciał powiedzieć? Hm... Ciekawe... Pójdiesz ze mną? LoUe potrząsnęła głową przecząco. Chciała się pobawić z ulubionymi sarenkami.

— Jak skończysz, przyjdź do mnie.

Przeszedłem szybko bambusowy most. Już chciałem zniknąć między strzyżonymi wiciokrzewami szpaleru, gdy jakaś siła kazała mi się obrócić i spojrzeć raz jeszcze na Lotte. W swej białej sukni, na tle szmaragdowej roślinności, na tle jaskrów, które wyciągały ku niej złote kielichy, na tle pstrego kobierca fiołków, lilii, storczyków, rezedy, piwonii, głógów, dzikich różyczek... wyglądała jak jakaś nimfa, która co dopiero opuściła swe miękkie posłanie na dnie jeziora i płąsa w lasku przybrzeżnym. Oswojone sarny podeszły do niej bez obawy, skoro ja się oddaliłem i dopełniały malowniczości obrazku.

Zauważyła, że patrzę na nią i słała mi dłonią całusy. Ogarnęła mnie przemożna ochota polecić lokajowi, by powiedział, że mnie w domu nie ma. Coś mnie przykuwało do miejsca. Jakiś głos tajemniczy szeptał mi w ucho: „Wróć do niej! Nie odchodź! Nie odchodź! Bądź przy niej wciąż!” Już usta otwierałem, by zamiar wykonać... Ale lokaj oddalił się tymczasem. Zniknął właśnie między drzewami głównej alei... „Non-

307

sens” — pomyślałem sobie — przecież wrócę zaraz”.

I poszedłem. Nie usłuchałem głosu przecucia, niestety...

...Mój rozmówca musiał być człowiekiem bardzo cierpliwym. Jeszcze czekał przy telefonie, a przecież zanim mnie służący odnalazł, zanim przeszedłem całą długość parku, musiało upłynąć dobre dziesięć minut, lub kwadrans...

— Mr Timberworth prosi pana o natychmiastowe przybycie. Sprawa bardzo ważna...

.

— Mr Timberworth? — rzekłem zdziwiony. Lotte mówiła przecież, że notariusz wyjechał z Szanghaju. Powiedziałem więc: —O ile mi wiadomo, pan rejent wyjechał z miasta.

— Zupełnie słusznie, ale przed kwadransiem wrócił i polecił mi natychmiast do pana zadzwonić. Tu mówi jego zastępca Smallways. Mr Timberworth przebiera się

właśnie.

Przyszła mi nowa myśl do głowy. Może trzeźwo myślący rejent ^osądził, że Lotte popełniała szaleństwo, wyrzekając się całego olbrzymiego majątku i chce mi poufnie doradzić, bym wpłynął na swą narzeczoną... A jeśli nawet wzywa mnie w jakimś innym celu, to ja mu o tym napomknę. Lotta twierdziła wprawdzie, że stawia mnie wobec faktów dokonanych, ale co się tam kobieta może rozumieć na kwestiach prawnych. Może akt nie jest jeszcze prawomocny. Może jeszcze coś się da uratować... Rozumiem fiantropię, sam gdzie mogę i jak mogę przyczyniam się do wspierania instytucji dobroczynności, ale żeby się rujnować na takie cele, to nonsens... Tak rozumowałem wtedy i oświadczyłem panu Smallwaysowi, że za chwilę przybędę do ich kancelarii.

Zastanowiłem się, czy wrócić do Lotty do ogrodu, czy nie. Wybrałem to drugie. A nuż by jej przyszła ochota towarzyszyć mi w przejażdżce do notariusza?

Zdecydowałem się szybko.

— Proszę powiedzieć panience, że wrócę najdalej za godzinę. Mam do załatwienia pewien interes — rzekłem do lokaja, który mi podawał laskę i kapelusz.

Notariusz mieszkał dość daleko, prawie przy końcu francuskiej koncesji, toteż dobry kwadrans upłynął, nim auto zajęchało przed kamienicę, w której się mieściła jego kancelaria i mieszkanie prywatne.

W poczekalni było kilka osób. Zająłem się oglądaniem ilustrowanych tygodników, czekając cierpliwie, aż nadejdzie moja kolejka. Tak

308

upłynęło dwadzieścia minut, co sprawdziłem na zegarku. Jeszcze dwóch interesantów miało wejść przede mną do sąsiedniej kancelarii. Zacząłem się niecierpliwić, a kiedy wreszcie otworzyły się drzwi i na progu stanął szpakowaty jegomość, usiłujący się pozbyć czym prędzej gadatliwej klientki, podszedłem do niego i rzekłem:

— Mam wrażenie, że interesanci wezwani przez pana rejenta mają pierwszeństwo przed innymi. Czekam już dość długo... Czy mam przyjemność z panem zastępcą?

— Tak jest. Jestem zastępcą Mr Timberwortha.

— Ach tak. Pan do mnie telefonował przed pół godziną, Mr Smallways.

— Smallways? Jaki Smallways... Pan się zdaje się pomylił. Tu jest kancelaria Mr Timberwortha.

— Wiem o tym — odparłem niecierpliwie. — Dzwonił do mnie jakiś pan, przedstawiając się jako Mr Smallways, zastępca notariusza Timberwortha, który powrócił przed chwilą z podróży i chce ze mną mówić w bardzo ważnej sprawie. Szpakowaty jegomość popatrzył na mnie jak na niebezpiecznego wariata. Na wszelki wypadek cofnął się nawet o dwa kroki. Poirytowany do ostatnich granic podałem mu swój bilet wizytowy oraz zaznaczyłem, że jestem narzeczoną dobrej klientki ich kancelarii, Miss Lotty Nardewitz...

Na dźwięk tego nazwiska złożył mi piękny ukłon.

— Ach Sir... — zawołał — w takim razie ktoś spłatał panu niesmacznego figła. Mr Timberworth wraca dopiero za dwa dni, nikt od nas do państwa nie telefonował i nie ma u nas żadnego Smallwaysa. Pierwszy raz słyszę takie nazwisko.

Podaliśmy mu rękę na pożegnanie, potem przypomniałszy sobie, co miałem powiedzieć rejentowi, spytałem:

— Czy akt darowizny Miss Nardewitz na rzecz fundacji imienia Smoota jest już sporządzony?

Szpakowaty prawnik zerknął na mnie z ukosa i rozłożył ręce:

— Nie umiem panu objaśnić — rzekł. — Tę sprawę załatwił Mr Timberworth osobiście.

Wiedział oczywiście, lecz nie chciał powiedzieć. Ano, chwalebna przezorność.

309

Stanąwszy na ulicy, począłem rozmyślać, kto mógł być autorem głupiego figla. Lou? Chyba nie... Tym bardziej poważny Thevet.. A może Singh false Harvey lub jego braciszek Lo-Ming... To bardziej prawdopodobne... Nagle zamarłem z przerażenia. Może to nie jest tylko figiel, ale pierwszy akt dobrze uplanowanego zamachu na Lotte. Po prostu chcieli mnie wywabić z pałacu. Wprawdzie Lotte zapewniała, że obecnie nic jej nie grozi ze strony dawnych przeciwników, lecz czy; można wierzyć Hindusowi, a tym bardziej Chińczykowi...

— Do domu, całym gazem! — krzyknąłem, wskakując do samochodu.

Przewiew wiatru podczas ostrej jazdy ochłodził mnie trochę. Za-cząłem myśleć trzeźwiej. Przecież to biały dzień. Cóż mogło zagrażać mej kochanej dziewczynie w pałacu, rojącym się od służby lub w ogrodzie, gdzie pełno było ogrodników, zajętych nieustannie przy flancowaniu kwiatów, roślin, krzewów. Nie, stanowczo, moje przeczulenie doprowadzi mnie do manii prześladowczej...

— Czemu stajemy? — spytałem, kiedy szofer przyhamował gwałtownie.

Wskazał mi ręką jakiegoś człowieka czarno ubranego, który, dawał znaki ręką, by stanąć...

Zmrużyłem oczy, jak czynią krótkowidze i poznałem wreszcie:

— Ojciec Jerzy! Czyżby do nas? Bardzo się cieszę — mówiłem.

— Właśnie idę do państwa. Nie widzieliśmy się już tyle czasu. Posadziłem go obok siebie. Auto ruszyło w dalszą drogę. Musieliśmy przejeżdżać Aleją Frencha, czyli dawną Ulicą rododendronów. Chcąc zrobić Lotte niespodziankę, zatrzymałem auto w chwili, gdy mijało furtkę. Klucz miałem przy sobie i za chwilę znaleźliśmy się wraz z zakonnikiem wewnątrz parku. Prowadziłem go szybko w stronę stawu. Niebawem stanęliśmy na bambusowym mostku.

Przebiegłem wyspę wzdłuż i wszerz. Lotte nie było już tutaj. Widocznie poszła gdzie indziej lub wróciła do pałacu.

— Tak, panie... Panienska poszła do domu... Wołali ją — odpowiedział zapytany w tej sprawie ogrodniczek.

W pałacu czekała nas niemiła niespodzianka.

— Ledwie pan odjechał, przyszedł jakiś człowiek z listem. Panienska ubrała kapelusz, wzięła małe auto i pojechała z tym człowiekiem. Nawf

310

na podanie płaszcza nie chciała zaczekać, tak się spieszyła — użalała się pokojówka Lotty.

Machinalnie postąpiłem kilka kroków naprzód aż do małego biurka. Na środku teczki leżały zapomniane rękawiczki oraz rozdarta koperta, z której wychylał się niedyskretnie róg listu. Jakies przeczucie skłoniło mnie do popełnienia nietaktu, by

cudzy list przeczytać. Lecz ledwie przebiegłem wzrokiem pierwsze linijki, pociemniało mi w oczach. Była to ni mniej ni więcej tylko gorąca prośba konającego ojca Jerzego, który pragnie przed śmiercią uścisnąć dłoń Lotty i powierzyć jej opiece swych nieszczęśliwych pupilków.

Zawierz, droga córko, człowiekowi, którego ci posyłam, On cię przeprowadzi przez obie linie wojsk. Spiesz się, gdyż nie godziny, ale minuty moje są policzone.

Pater George S. J.

Tak brzmiało zakończenie sfalszowanego listu.

— Czytaj ksiądz! — wrzasnąłem chrapliwym głosem.

— Jak to? Mam czytać list nie do mnie adresowany?

— Proszę czytać, na Boga!!

Spojrzał na mnie zdziwiony, lecz posłuchał. Nagle jego brunatna twarz stała się popielata, szara jak popiół...

— Boże wielki! — zakrzyknął, odczytawszy do końca. — Tu nie ma chwili do stracenia...

— Czyje to pismo? Gadaj ksiądz, albo...

— Synu, pojmuje twe wzburzenie... Doprawdy trudno mi orzec... Mój podpis doskonale sfalszowany... Chyba by...

— Więc ja księdzu powiem. To pisał Singh,... ten łotr przeklęty!

— Nie on, na pewno... Nie ma go w Szanghaju od kilku dni.

— Zatem Lo-Ming. Trzeba zawiadomić policję. Ale tym razem mu nie ujdzie... Przy wszystkich mu w łeb strzelę, jak psu!

Ojciec Jerzy powstrzymał mnie za rękę. Powiedział spokojnie:

— Ramię angielskiej policji nie sięga poza International Settlement, a Lo-Ming mieszka w chińskiej dzielnicy. Ja cię tam zaprowadzę, synu. Pójdź ze mną. Da Bóg, że przybędziemy na czas...

— Auto, do stu jasnych piorunów! — zakląłem na szofera, kiedy opuszczaliśmy hall pałacowy. Potem dodałem pod adresem zakonnika:

— Wskazuj ksiądz drogę!

— Proszę jechać aż do linii zasieków. Tam zobaczymy dopiero.

311

Szofer patrzył na nas ze zdumieniem. Przynaglany do pośpiechu jechał w takim tempie, że przynajmniej z dziesięć razy sterczący na skrzyżowaniach ulic Sipaje dobywali notesów, by zapisać numer zwariowanego samochodu.

Wreszcie! Wreszcie ukazały się z daleka kozły, zamykające przerwy w gęstym pierścieniu drutów kolczastych. Z chińskiego domku, zamienionego na wartownię, wysypała się garść zdziwionych żołnierzy angielskich. Na końcu nadszedł oficer. Ksiądz Jerzy pertraktował z nim dobre dziesięć minut, przy czym pokazywał mu jakieś papiery, rzęsiście pieczęciami upstrzone. Oficer skinął głową potakująco. Poleciał roz-1 sunąć kozły. Auto ruszyło wolniuteńko, pierwszym biegiem. Zakon- i nik szedł pieszo przodem, niosąc wysoko nad głową magiczne papiery. | Tak dotarliśmy na odległość piętnastu metrów od linii przeciwnego obozu.

— Stój! — zabrzmiała komenda i spoza stert worków z ziemią pochyliły się ku nam lufy kilkunastu karabinów.

Ojciec Jerzy polecił wstrzymać auto. Sam szedł * śmiało dalej, krzycząc coś

przerażliwie szybko po chińsku. Nie zrozumiałem oczywiście- ani słowa. W końcu wyruszył naprzeciw nas oficer kantoński, dobrawszy sobie dla bezpieczeństwa aż dziesięciu uzbrojonych od stóp do głowy żołnierzy. Rozpoczęły się długie targi, narady.

W końcu oficer zabrał ze sobą zakonnika i ruszyli w stronę wartowni, aby się połączyć telefonicznie z komendą miasta.

Tymczasem żołnierze otoczyli auto. Przyglądali mi się ciekawie, jak jakimś okazowi fauny przedpotopowej, zaglądali do wnętrza samochodu, gęgając obficie swym dźwięcznym językiem.

Minuty wlokły się jak godziny. Moja cierpliwość była wystawiona . na próbę ogniową, a przecież staliśmy dopiero na progu kwarantanny pamiętnego po koniec życia, dnia.

Po kwadransie wrócił ksiądz Jerzy z wiadomością pomyślną, że I komendant miasta, generał Pai-Czung nie tylko pozwala na wjazd w obręb chińskich dzielnic, ale dla bezpieczeństwa przysłała jeszcze szwadron konnych strzelców.

— Pojedziecie z paradą — dorzucił oficer i dodał: —Komendant zrobił wielkie ustępstwo, jak mniemam tylko ze względu na osobę księdza.

312

Zaczęło się męczące oczekiwanie na konwój. Pogryzłem sobie wargi do krwi z niecierpliwości.

Nareszcie rozległ się tętent koni idących kłusem. Z wylotu najbliższej ulicy wyjechał oddział strzelców konnych, którzy równie dobrze mogli uchodzić za watahę uzbrojonych rzezimieszków. Otoczyli nasz samochód zwartym pierścieniem i ruszyliśmy „z paradą”.

Mogłem się teraz naocznie przyglądać spustoszeniu, jakie wyrządziły walki marcowe pomiędzy oddziałami wojsk północnych i południowych oraz późniejsze rabunki motłochu. Trupy już usunięto co prawda, ale spalone domki, kamienice szczerzące ku nam puste oczodoły swych okien, zdemolowane doszczętnie sklepy, stosy rupieci na jezdni czy chodnikach dawały wymowne świadectwo prawdzie.

Wszędzie snuły się tłumy bezrobotnych, bezdomnych mężczyzn, osieroconych dzieci, głośno zawodzących kobiet. Gdzieś skupiały się rzesze słuchaczy dokoła przygodnych mówców-agitatorów, w których po ubiorze poznałem akademików chińskich, nieprześląga-nych wrogów Anglii. Miejscami leżały sterty ulotek lub wisiały wielo-^{SS} "J-^J^J,^jL~-L^«J-J-~-^..^s~-

tgjratoLotn

ne

^ademicówl- rf^--^^torów Pachty olZ^T^1 kż**y n,eprZeb'aga-'

mnie pisma.

njezrozumiałe-

' Wolę nie

nie.

a maska na motorze nosiła liczne N^^gE? d których nie brakło sporych ćwierć-c " iy do tej pory żywi, nawet nieranm

Zaczęło się męczące oczekiwanie na konwój. Pogryzłem sobie wargi do krwi z niecierpliwości.

Nareszcie rozległ się tętent koni idących kłusem. Z wylotu najbliższej ulicy wyjechał oddział strzelców konnych, którzy równie dobrze mogli uchodzić za watahę uzbrojonych rzezimieszków. Otoczyli nasz samochód zwartym pierścieniem i ruszyliśmy „z paradą”.

Mogłem się teraz naocznie przyglądać spustoszeniu, jakie wyrządziły walki marcowe pomiędzy oddziałami wojsk północnych i południowych oraz późniejsze rabunki motłochu. Trupy już usunięto co prawda, ale spalone domki, kamienice szczerzące ku nam puste oczodoły swych okien, zdemolowane doszczętnie sklepy, stosy rupieci na jezdni czy chodnikach dawały wymowne świadectwo prawdzie. Wszędzie snuły się tłumy bezrobotnych, bezdomnych mężczyzn, osieroconych dzieci, głośno zawodzących kobiet. Gdzieś skupiały się rzesze słuchaczy dokoła przygodnych mówców-agitatorów, w których po ubiorze poznałem akademików chińskich, nieprześląga-nych wrogów Anglii. Miejscami leżały sterty ulotek lub wisiały wielobarwne płachty odez, pokrytych pionowymi rządками niezrozumiałego dla mnie pisma.

Nasze auto robiło sensację, lecz o żywiołowych „owacjach” wolę nie wspominać. Zajęty myślą o Lotte, schylałem się, raczej machinalnie, przed gradem cuchnących pocisków i kamieni, które potrafiły ominąć pierścień jeźdźców i wylądować zgrabnie w aucie czy na aucie. Niebawem latarnie samochodu oraz szyba przed szoferem były strzaskane, a maska na motorze nosiła liczne blizny po celnych pociskach, pośród których nie brakło sporych ćwierć-cegłówek. Prawdziwy cud, że byliśmy do tej pory żywi, nawet nieranni.

Tłumy przystawały na nasz widok na chodnikach i zaczęły naciskać od boków. Setki wyrostków wrzeszczących w niebogłosy biegly za autem, a zastęp ten rósł z minuty na minutę. Inne rzesze poczęły się tłoczyć przed nami. W końcu zagroziły drogę tak skutecznie, że trzeba było przystanąć. Myślałem, że koniec nadchodzi. Jak okiem sięgnąć nic tylko ohydne żółte gęby, skośne oczy ziejące nienawiścią, usta miotające przekleństwa, nad głowami zaciśnięte pięści.

Padła komenda, siekąc, płazując tłumy, dwa plutony zaatakowały. Droga była oczyszczona, ale czy na długo?

313

— To wykluczone — rzekłem, pochylając się do ucha mego towarzysza, gdyż niesłychana wrzawa zagłuszała słowa: — Jakże by mogła Lotte przedrzeć się tą drogą. Skąd by wydostała przepustki na przybycie dwóch frontów.

— Oby tak było, jak mówisz, synu... Lecz niestety Lo-Mingmaduże wpływy po obu stronach i mógł ją przewieźć z łatwością.

— Czy daleko jeszcze do jego mieszkania?

— O, jeszcze kawałek. To prawie w sąsiedztwie mego zakładu. Może pięćset kroków od bramy albo niewiele dalej.

Znów upłynęło wiele, wiele minut... Nie jeden raz śmierć zaglądała nam w oczy. Przekonałem się dowodnie, że Kantończycy nie posiadają żadnego autorytetu wśród mas szerokich. Bombardowano, lżono, obrzucano bryłami lepkiej gliny strzelców oraz ich oficera na równi z nami, znieprawionymi przedstawicielami rasy białej.

— Jesteśmy — zawołał w pewnym momencie ojciec Jerzy, wstrzymując pochód orszaku. Potem stanąwszy w aucie, wskazał najbliższe skrzyżowanie ulic i

powiedział: — Tam się zaczyna plac...

Motor przestał warczeć. Tłumy gdzieś odpłynęły pospiesznie, szwar-gocąc między sobą zawzięcie. Zrobiła się względna cisza. Wówczas oc strony zakładu doleciało nas echo piekielnej wrzawy, odgłosy jakby, walki, zgiełku... Czasem górował ponad wszystkim głuchy huk. Tak musiały dudnić tarany, którymi wyłamywano bramy dębowe. Wycie tysięcznych tłumów zagłuszyło inne odgłosy...

Lecz zakonnik już wpadł w bramę jednopiętrowego domu. Nie namyślając się dłużej nad genezą niezwyklej wrzawy, pospieszyłem w jego ślady.

Przebiegłszy szybko mroczną sień, wpadliśmy na schody. Na szóstym czy siódmym stopniu leżało bezwładne ciało w kałuży krwi.

. — To jego służący — rzekł zakonnik, kiedy przyświeciłem trupowi latarką elektryczną w oczy.

Przy końcu schodów leżał drugi człowiek. Dawał słabe odznaki życia. Kula wybiła mu oko. Twarz cała wyglądała jak jedna krew. Ojciec; Jerzy potrząsnął głową przecząco:

— Tego nie znam... Jakiś obcy człowiek.

Potem ruszył szybko w kierunku drzwi, zamkniętych od wewnątrz i zaczął je bombardować pięściami, krzycząc równocześnie:

314

— Lo-Ming otwórz! Rozkazuję ci! Otwórz natychmiast! Żadnej odpowiedzi. Coś jakby ostrożny szmer i cisza bezwzględna... Trzech strzelców wyważyło drzwi w mgnieniu oka. Wpadliśmy do

wnętrza mieszkania. Najpierw był mały przedpokój... Żywego ducha... To samo w pierwszym, drugim, trzecim, czwartym i ostatnim pokoju. Wszędzie wzorowy porządek, żadnych śladów walki, szamotania się, obrony napadniętej kobiety.

Wszystko stało na swoim miejscu. Samowar syczał dyskretnie.

— Obstawcie wyjście. Słyszałem wyraźnie, szmer — komenderował przytomnie mały Jezuita.

Wydało mi się nagle, że kapa spływająca z łóżka drgnęła podejrzenie. Z rewolwerem w dłoni schyliłem się i ujrzałem nogi. W pół minuty wywindowaliśmy przyczajonego jegomościa spod łóżka. Był to jeden z naszych szoferów, poczciwy Szkot, który zazwyczaj towarzyszył mej narzeczonej w jej automobilowych wycieczkach. Trząśnięty teraz jak w febrze, lecz przyszedł trochę do siebie, skoro mnie poznał.

— James... Na Boga! Gdzie panienka?! — krzyknąłem.

— Nie wiem... Nie wiem... Uciekła z wozem... Nic nie wiem..., Przez otwarte okno wdarł się odgłos rosnącej wrzawy.

James, wstrząśnięty przeze mnie za kołnierz, oprzytomniał do reszty. Opowiadał urywanym głosem:

— Wyjechaliśmy z pałacu... panienka, ja i jakiś obcy człowiek. Chińczyk. Kazali pędzić w stronę granicy koncesji. Ow^człowiek miał wszystkie przepustki.

Puszczono nas, tylko nasi dziwili się, że mamy odwagę jechać. Ledwie minęliśmy linię kantońską, opadło nas dwóch drabów. Ten co z nami jechał, był ich

wspólnikiem. Panienka w krzyk. Mnie jeden łotr przystawił lufę do skroni. Kazał dać gazu. Tłumy nas goniły. Kiedy stanęliśmy, oni wzięli panienkę pod ręce i zawlekli do bramy. Zeskoczyłem i nuże za nimi. Przyciłem się w sieni, patrząc gdzie poszli.

Nagle... strzał... jeden, drugi! Coś runęło na schodach. Panienska przemknęła koło mnie jak wichur z rewolwerem w dłoni. Wskoczyła do auta. Motor szedł na szczęście. Nie zamykałem go. Już chciałem wyleźć z swej kryjówki, słyszę szybkie kroki. To pędził ten mały, najgorszy z nich. Podłożyłem mu nogę. Runął, lecz dźwignął się zaraz i wybiegł. Wysunąłem głowę z bramy. Auto już było daleko. Gnało jak strzała, tratując ludzi po drodze. Z tyłu leciał on, ten mały,...

375

za nim całe tłumy... Bałem się wyjść... Zastałem tu drzwi otwarte... Posłyszawszy pukanie, schowałem się pod łóżko...

— Dość. —przerwałem — w którą stronę odjechała?

— Tam — wskazał przez okno w kierunku zakładu, skąd dochodziły odgłosy ogłuszającej wrzawy...

Zbiegliśmy jak szaleni po schodach. Oficer konwoju rozmawiał właśnie z jakimś starym Chińczykiem. Ujrawszy, że wskakujemy do auta, podszedł i rzekł:

— Jakaś szalona Amerykanka przejechała na śmierć dwoje dzieci, a wiele poraniła. Schroniła się podobno do zakładu. Tłum wywala bramy.

— Naprzód!!! —jęknął ojciec Jerzy.

Auto pomknęło w drogę, wyprzedzając konnych. W czterdzieści sekund osiągnęliśmy wylot placu i krzyk zgrozy wydarł nam się z piersi. Przy murze leżało auto Lotty, przewrócone do góry kołami zdemolowane całkowicie. Przez wywaloną bramę zakładu sączyło się do wnętrza mrowie ludzkie. Tłumy zalegające plac, parły na towarzyszy, rozgniatyły ich formalnie o mury.

— Za późno! —krzyknąłem rozdzierającym głosem.

Oficer wyciągnął szwadron w linię. Na widok żołnierzy motłoch przybrał groźną postawę. Oficer zawahał się na chwilę. Od pnia głównej masy oderwało się kilka setek uzbrojonych w kamienie mężczyzn, sunąc na nas z wyciem, krew w żyłach mrozącym.

Padła jakaś komenda. Nie schodząc z grzbietów końskich, wymierzili żołnierze swe krótkie karabinki...

Salwa! Kilkudziesięciu demonstrantów zaryło się twarzami w błoto. Inni biegli jeszcze, lecz z mniejszym zapalem.

Druga salwa! Tłum zwolnił, przystanął... Na tyłach wszczęła się panika. Padło kilka strzałów rewolwerowych. Studenci komenderowali motłochem.

Trzecia salwa, czwarta, potem bezładna strzelanina i szarża okładanych kolbami rumaków, rozwścieczonych oporem jeźdźców...

Ale szarża była błędem. Szwadron opadnięty przez tłum, co najmniej 40 razy liczbą żołnierzy przewyższający, znalazł się w nader krytycznym położeniu. Kilkunastu jeźdźców spadło z siodeł... W tym momencie przybyły nie oczekiwane przez nas posiłki. Patrolujące w pobliżu dwa

316

auta pancerne, zwabione strzelaniną, wpadły na plac z bocznej ulicy. Wżarły się w mrowie ludzkie, plunęły gradem kul i nabytym rozpędem oraz ciężarem zgmiotły, stłamsiły, rozpędziły na cztery wiatry oszalały z przerażenia motłoch. Większość napastników widziała zapewne po raz pierwszy niesamowite żelazne potwory, których nóż się nie ima ani kula, a które sieją dokoła bezprzykładne zniszczenie.

Plac był wolny, oczyszczony z żywych przeciwników. Auto nasze, skacząc po trupach wdeptanych na pół w błoto, zajęchało pod bramę zakładu...

Oficer strzelców obstawił wejście jednym plutonem. Pancerki ustawiły się w wylotach dwóch przeciwległych ulic. Konie wprowadzono pospiesznie w obręb murów. Trzy plutony strzelców rozpoczęły dzikie polowanie na tych, którzy po salwach nie zdołali, czy nie chcieli wyjść na zewnątrz. Strzelcy używali sobie z prawdziwą satysfakcją na ziomkach. Mam wrażenie, że hołdowali zasadzie; „wszystko jedno kogo bić, byle bić jak najwięcej”.

Ojciec Jerzy prowadził mnie pod ramię, gdyż ślaniałem się na nogach.

— Miej nadzieję w Bogu — pocieszał mnie co chwilę.

— Znienawidzę Go, jeśli ją skrzywdzić pozwolił — odparłem ponuro.

Wpadliśmy do refektarza. Przyczało się tam kilkunastu łotrzyków, których strzelcy „zlikwidowali” na poczekaniu.

Przebiegliśmy sypialnie konwiktorów, sale rekreacyjne, salki szkolne. Ani śladu Lotty, ani śladu trzystu dzieciaków.

— Do ogrodu! — zakomenderował ksiądz Jerzy.

W gęstwie tamaryszków, tui, paproci coś się ruszyło podejrzenie. Z trudem powstrzymaliśmy rozgrzanych walką strzelców od dania salwy w tę stronę „na wszelki wypadek”, jak mówił oficer. W ten sposób ocaliliśmy życie kilkunastu pocziwych „ahm” oraz setce najmniejszych dzieci.

— Gdzie tamte?... Gdzie pani?

— Nie wiemy. Nie wiemy... Pani przeleciała tędy w tamtą stronę. Wskazały w kierunku, gdzie leżał zakład obłąkanych. Jeszcze jedna mała potyczka z zabłąkanymi intruzami. Dalsza część olbrzymiego parku wyglądała jak dawniej. Nie było tu ani połamanych ławek, ani

317

I

zdeptanych klombów. Widocznie napastnicy, zajęci rabunkiem budynku głównego, nie dotarli tu jeszcze.

— Oddycham— rzekł ksiądz Jerzy i wzniosł oczy ku turkusowej kopule nieba.

W zagajniku, przytykającym do muru, jaki otaczał część ogrodu wraz ze szpitalem dla obłąkanych, natknęliśmy się na drugą grupę dzieci, znacznie większą od pierwszej.

— Dobra pani uciekała tędy i wołała na nas, żebyśmy się ukryły w krzakach — mówiła przez łzy czternastoletnia dziewczynka. Dzieci otoczyły wieńcem ojca Jerzego. Bały się same dłużej pozostać. Z trudem zdołał się od nich uwolnić. Poleciałem Jamesowi, by zaopiekował się dziećmi, dopóki nie wrócimy.

^ — Teraz już jestem spokojny — zaczął Jezuita i umilkł nagle. Gdzieś w głębi ogrodu obłąkanych zabrzmiały przeraźliwe wycia.

— Słyszysz ksiądz?

To nic — odparł. — Odgłosy kanonady dochodziły tam i rozdrażniły biedaków.

Uspokoją się szybko. *

Chcieliśmy ruszyć w dalszą drogę, gdy niespodziewanie oficer zaprotestował:

— Słyszysz wrzawę na placu. Mój obowiązek tam mnie wzywa. Tu nie ma więcej nic do roboty... Nie dotarli tak daleko jeszcze...

Po długich targach zostawił nam czterech strzelców i zawrócił ze swoim oddziałem w stronę konwiktu.

Przekonawszy się* naocznie, że napastnicy rzeczywiście nie dotarli tak daleko w głąb parku, szliśmy bez zbyteń pośpiechu w kierunku bramy drugiego ogrodu. Była zamknięta od wewnątrz na klucz i zasuwę...

— Tai-Lin! Otwórz! Hej! Tai-Lin! Rozległ się rozdzierający jęk...

— Tai-Lin! Czy nie słyszysz?

Jakaś złowroga cisza czała się w kolo domku klucznika ogrodu w przeciwstawieniu do wrzawy, panującej gdzieś w okolicy szpitala,...

— Tai-Lin! Gdzie jesteś?

— Tu, ojczy... Umieram!

Spoza narożnika domku wysunęła się zakrwawiona dłoń, potem głowa... Odźwierny czołgał się z największym wysiłkiem...

318

— Jezus Maria! Co tu się znów stało! ^

— Ojczy! Kiu-Pai... łotr... zabił dozorcę Czi-Szana... och! jego wypuścił z klatki... otworzył wszystkie przedziały... och!... wody..!

Czułem, że kolana uginają się pode mną, że w oczach robi się ciemno.

— Wyłamać bramę!

Zakonnik zawstydził mnie swą przytomnością umysłu... Strzelcy oparli się plecami o kratę, lecz sztachety ani drgnęły.

— Przejdziemy górą — komenderował znów Jerzy. Jemu też poszło najgorzej, gdyż zawisł na sutannie i podarł ją sobiew strzępy, że wlokła się za nim, niby żałobny welon.

Zarzuciliśmy pytaniami konającego klucznika. Nie rozumiał lub zaczynał bredzić, bowiem mówił to, o co go wcale nie pytano: "

— Ojczy! Kiu-Pai, to nie wariat... Właśnie wpuszczałem panią i zamykałem bramę, kiedy nadszedł... och!... nie mogę więcej!... Pani pobiegła w głąb ogrodu... Wówczas Kiu-Pai wypuścił Czi-Szana... Mój syn zabity... Mnie nożem pchnęli...

— Czy prócz pani nie wpuszczałeś nikogo? — spytałem, myśląc o Lo-Mingu.

Nie było odpowiedzi. Tai-Lin zastygł w bezruchu... skonał... Jego szklane oczy patrzyły na mnie jakby szyderczo.

Pędziliśmy środkową aleją na wyścigi... Dokoła nas rozgrywały się sceny dantejskie. Furiaci uzbrojeni w okrągłaki drzewa opałowego ścigali spokojnych szaleńców, bili ich, kaleczyli, mordowali... Kobiety wypuszczone ze swych przedziałów szybko znalazły wielbicieli i zażywały z nimi rozkoszy na trawnikach, na ścieżkach, wszędzie... Chichot zadowolenia, spazmatyczne jęki, wycie torturowanych na zimno, ryk zwycięzców, całusy, klaśnięcia, jazgot, sprośne okrzyki rozbrzmiewały z każdego zakątka. Spod każdego krzaka wyłaniały się obnażone nogi, splątane w uścisku miłosnym lub morderczym.

— Ach,... rozbili mnie! — jęknął ktoś, kogo napadnięto biegnąc na oślep. Był to człowiek-porcelana. Broczył krwią obficie...

Potem gęsto usłane trupy, wijące się ciała rannych, odrąbane członki znaczyły drogę, którą przeszedł straszliwy olbrzym Czi-Szan i jego niesamowity sprzymierzeniec, prorok Kiu-Pai. /

Nagle padł strzał. Pojedynczy strzał rewolwerowy... Pięć sekund ciszy, potem ryk jeszcze przeraźliwszy...

319

Biegłem w kierunku źródła głosu na samym przedzie naszej garstki. Ojciec Jerzy raczej do trupa niż do żywego podobny, spieszył za mną, łkając głośno na widok bezprzykładnego spustoszenia. Pochylał się nad leżącymi ciałami, obracał je twarzą do góry, żegnał krzyżem, nazywał każdego po imieniu i doganiał mnie znowu. Tu leżał starzec ogarnięty obłędem religijnym. Pomimo straszliwej rany na piersiach, twarz jego wyrażała nadal ekstatyczne skupienie, jego wybałuszone, oczy modliły się do nieba, jego ręce były splecione. A przecież był zimny zupełnie, przecież duch dawno już opuścił materię.

Człowiek-drzewo zbierał swe liście. Gruby płaszcz gałązek ochronił go od śmierci, której nie uszedł młodzieniec z rurką bambusową w ustach.

Wreszcie natknęliśmy się na leżącego człowieka w europejskim ubraniu. Pochyliłem się z ciekawością i poznałem Lo-Minga. Krwawymi rękami podtrzymywał własne trzewia, wyprute na zewnątrz dosłownie. Żył jeszcze, lecz jego minuty były policzone... Jego oczy spotkały mój wzrok i zabłyśły żywszym ogniem. Poznał mnie widać. Spoglądał teraz w stronę mego rewolweru, który trzymałem cały czas w dłoni...

— Dobij! —jęknął. —Cierpię piekielnie...

— Gdzie ona?!

Nie zdołał odpowiedzieć. Przeszkodził mu inny jakiś głos, raczej cienki głosik, zadyszany, zmęczony...

— Ojcze! Jesteś nareszcie!

Z zarośli paproci i głógów wybiegł mały chłopiec chiński z dymiącym browningiem w ręce... To był mój mały przewodnik, Pei-Czang. Rewolwer także poznałem i uczułem krople zimnego potu na skroniach. Ten browning podarowałem niegdyś mej narzeczonej, prosząc ją, by go na wszelkie wycieczki brała do torebki.

— Gdzie pani? —zacharczałem, gdyż głos dawno zamarł w mej krtani.

— Zamknęła się w kaplicy... Spieszcie!

Ojciec Jerzy przeżegnał konającego brata i biegł najszybciej. Z wysiłkiem utrzymywałem tę samą odległość pomiędzy nami. Pei-Czang, lekki jak motyl, towarzyszył mi, objaśniając po drodze, co nastąpiło w międzyczasie.

320

— Ja poradziłem dobrej pani, by się tutaj schroniła. Tai-Lin nam bramę otworzył, po czym zamknął ją zaraz. Pani odrzuciła rewolwer, myśląc, że jest już bezpieczna... Podniosłem go z ziemi... Błądziliśmy po ogrodzie, szukając kryjówki, gdyż strzały na placu padały gęsto... Byliśmy blisko kaplicy, kiedy rozległ się straszny ryk. Za nami pędził olbrzym z siekierą, dalej cały tłum... Ja wpadłem w krzaki, pani do kaplicy... Zasunęła sztachety, zatrzasnęła się w środku... Oni zaczęli się dobijać... Pozdzierali z siebie odzienie, tańczyli, wyciągali ręce przez kratę do pani... Potem olbrzym jął rąbać siekierą kratę... Pani zakrzyknęła tak przeraźliwie, że się rozplakałem. Jedna sztacheta pękła...

— Prędzej! —ryczałem... Pod wpływem opowiadania chłopca wszystkie włosy zjeżyły mi się na głowie, a nogi omdlewały... Obejrzałem się w biegu... Strzelcy

pozostali w tyle o dobre dwadzieścia metrów... Ojciec Jerzy wciąż jeszcze prowadził...

— Wówczas — zaczął znów Pei-Czang, dotrzymując mi kroku — wówczas pojąłem, że trzeba przyjść z pomocą. Wycelowałem dobrze... Strzeliłem. Olbrzym chwycił się za piersi... Padł na wznak...

— Co? Ty zabiłeś Czi-Szana? * — Kto to Czi-Szan?

Chłopiec nie znał imienia olbrzymiego furiata. Gdzieś bardzo blisko zabrzmiały śmiechy szaleńców... Och, tego śmiechu nie zapomnę nigdy!

— Jeszcze sto kroków do kaplicy—dyszał ksiądz...-Seledynowie i błękitne tuje rozstały się przed nami na obie strony.

Ujrzałem mur-ogrodzenie, a bliżej maleńką kapliczkę. Przed zasuniętymi sztachetami kłębił się tłum nagich szaleńców. Jedni tańczyli, inni wtykali ręce między pręty, mlaskając obrzydliwie wargami. Dwa pręty były wyłamane. Przez wyłom wdzierał się do środka obrośnięty jak małpa nagus, lecz zazdrośni towarzysze trzymali go za nogi i ciągnęli z powrotem.

— Erotomani!

Kto krzyknął to słowo, nie wiem. Może zakonnik, może ja... Dość, że na dźwięk głosu zerwał się z ziemi starszy Chińczyk, na którego dotychczas nie zwróciłem uwagi. Klęczał obok potwornie wielkiego cielska Czi-Szana. Podniósł się szybko, przyskoczył do wdzierających

2 I Perła Szanghaju

321

się przez sztachety szaleńców i wskazał na nas. Mówił coś gorączkowo, pospiesznie, a cicho.

Cały tłum zwrócił się do nas frontem... Ruszył do ataku.

— Nie strzelać! —jęczał ksiądz, widząc, że żołnierze składają się do karabinów. — Nie strzelać! Przecież oni nie wiedzą co czynią.

Ale już gruchnęła salwa. Cztery ciała zwały się na wznak. Nie stało czasu na oddanie drugiej serii strzałów. Nasza szczupła garstka została w mig otoczona przez wyjący tłum opętańców. Przeklęty prowodyr, sprawca nieszczęścia, Kiu-Pai, chwycił mnie pod gardło oburącz... Ktoś palnął mnie przez głowę polanem... Kapelusz osłabił siłę ciosu, lecz mimo to zamroczyło mnie na kilka sekund... Spod zgniecionego okrycia głowy wypłynęła nitka krwi i zaczęła mi zalewać oczy... Wówczas ja oszalałem... Zacząłem strzelać w rozwarte od krzyku pyski, w gorejące ślepia, przykładając lufę mego rewolweru do samych zębów, do samych powiek. Wyłem jak oni. Rąbałem, gryzłem, kopałem, jak oni. Wystrzelawszy naboje wyrwałem karabin z rąk ciężko rannego strzelca i siałem spustoszenie dokoła. Zrobiło się jakoś przestronniej. Dojrzałem na ziemi wykrzywioną twarz Kiu-Pai. Siadłem mu na piersiach. Zacząłem go okładać, torturować z wprawą zawodowego rzeźmiesza. Wkrótce nienawistna gęba tworzyła jedną miazgę, masę bezkształtną...

Ktoś mnie odciągał za kołnierz... Ktoś mi wyrwał karabin...

Zwyciężyliśmy!...

Potykając się co krok, mając pełne usta krwi, dowlokłem się do kraty ogrodzenia...

— Lotte!

Siedziała skulona na najwyższym stopniu ołtarza, z głową opartą o kolumnienkę

menzy, z której spływało purpurowe okrycie obrusu. Od tego tła szkarłatnego odcinała się wyraziście blada, niby opłatek twarzyczka dziewczyny. Ręce miała zaplecione kurczowo na piersiach...

Wielkie, gorące łzy zaczęły mi spływać wraz z krwią po twarzy. Moje słodkie maleństwo! Na co ono musiało patrzeć przez te kraty. Jakie straszne chwile przeżywało kiedy pod ciosami siekiery drżała słaba zaporą, kiedy przez wyłom wsuwały się pożądliwe ramiona wariatów.

Przedarłem się przez otwór w kracie. Sztachety ociekały płatomii gęstej śliny, jaka spływała po gębach rozdrażnionych szaleńców...

Krew zalewała mi oczy coraz więcej, w głowie szumiało dziwnie. Nie

322

mogłem ustać na nogach. Czołgałem się cal po calu, aż dotarłem do pierwszego stopnia schodów. Wczepiłem palce w dywan...

— Lotte! Kochanie! To ja, Andrzej... Jesteś ocalona — szeptałem, szlochając ze szczęścia...

Nie miałem odwagi dotknąć jej sylwetki, przytulonej z taką ufnością do ołtarza... W kapliczce było chłodno, mroczno, straszno...

Wreszcie wyciągnąłem ręce.

Dłonie Lotty były prawie zimne. Teraz dopiero spostrzegłem, że były przyciśnięte do lewej piersi, w tym miejscu, gdzie ma swą siedzibę potężna, a zarazem krucha maszyna, serce. Przyciągnąłem jej dłonie ku sobie. Lotte zakołysała się, zgięła w pół i padła na czerwony dywan jak złamana lilia ...

EPILOG

Lotte znowu jest przy mnie. Siedzimy na puszystych dywanach, wśród gąszczu szmaragdowej zieleni. Olbrzymie lampy zwisają z drzew na złotych linach, niebotyczne kaliny szemrzą z poszumem wiatru, potrząsając białymi kulami. Lotte karmi z ręki oblaskawione sarenki, niebieskie pawie i bociany mandzurskie o błękitnych szyjach, a śnieżnych płaszczech z puchu. Jesteśmy tacy szczęśliwi. Wyciągam ręce, by ją przytulić do siebie. Boćki zrywają się przestraszone. Płyną na skrzydłach przez rozświetloną atmosferę i niosą w szponach sarenki... Lotte płacze rzewnie...

Nie! To nie ona! To Kwiat Wiśni. Całuje mnie w usta purpurowymi wargami, które pachną jak wargi Lotty... Szepcze:

— Zapal jeszcze jedną fajkę.

— Oj daj! daj, błagam! Chcę ją znów ujrzeć...

Morze. Bezmiar wody, fosforyzującej miliardami tęczyowych światełek. Księżyc zlał całe swe bogactwo srebra na spokojną toń oceanu. Okręt pruje ostrym dziobem liliowym opar mgieł i szczerosrebrną wodę. Rozgwiazdy, osłonice, meduzy tworzą fioletowe, szmaragdowe, turkusowe wysepki. Delfiny wyrzucają gejzery krwawych rubinów i tańczą, stojąc sztywno na ogonie.. Różowy flaming zapowiada następny numer programu: „Balet nocy księżycowej”... v

— -Brawo... Brawo! — woła Lotte, klaszcząc w dłonie jak dziecko... | Jacyś ludzie porywają mnie... Niosą... Szarpiają... Czy to okręt? Nie.

Auto... Lecz gdzie Lotte? Jest! Widzę ją. Leży na wznak w białym,*j

324

oszklonym pudle. Ciało jej jest jako śniegi szczytów górskich i dusza jej jest jako śnieg czysta. Migocą żółte płomyki świec tysiąca. Mnichy szepczą pacierze grobowym głosem... Przeklęty sen!

— Kwiat Wiśni! Dawaj nową fajkę! Chcę ją widzieć... Jakiś ponury, czarny człowiek pochyła się nade mną. Mówi:

— Synu mój!... Bóg z tobą... Musisz wyjechać... Słuchaj uważnie. Mrs Hedge wraca jutro do Stanów. Zabiera cię ze sobą. Wypoczniesz...

— Kwiat Wiśni! Wyrzuć tego kjechę! — ryczę z wściekłością. Potem spoglądam ze zdumieniem na drugą postać wysoką... Pytam:

— Co tu Harvey robi?

— To już nie Harvey, synu... To skromny braciszek Leon z Towarzystwa Jezusowego. Przyszedł cię błagać o przebaczenie...

Długa, czarna postać przyklękła przy mnie na dywanie. Na znak ślubowanej w zakonie pokory całuje moją zimną dłoń. Widzę twarz ziemistą i oczy zgasłe... A niegdyś błyszczały jak gwiazdy...

— Synu, czy chcesz zobaczyć jej grób? Ona leży tam, gdzie pękło jej złote serce...

— Ha ha ha ha ha ha ha ha ha... Wśród szaleńców?!

— Nie ma ich tam już dawno. Tylko niewinny szczebiot dziatwy rozbrzmiewa wokoło grobu twej świętej dziewczyny.

— Jak to... Więc Lotte umarła? Łżesz, klecho! Widziałem ją przed chwilą. Karmiła bociany i sarny... Kwiat Wiśni, daj fajkę! Niech mu pokaże, bo nie wierzy. I? Coś się łamie w piersiach... Jakiś chrobot... Łkanie? Czemu z oczu płyną dwie strugi słonych łez?... Wszystko sen... Wszystko kłamstwo... .. Cisza wielka, przeogromna cisza. Seledynowe, błękitne, srebrne tuje szepczą pacierze za zmarłych. Płowe tamaryszki, wierzby płaczące modlą się liśmi poszumem za tych, co odeszli...

— Lotte odeszła do Boga — szepcze ojciec Jerzy.

Kapliczka tonie w powodzi kwiatów. Lilie, lilie, lilie... Chińska dziatwa, której tysiące Jej chleb zawdzięcza, nuci pieśń smutku, rozpaczy, pożegnania.

— Tu zostanę — mówię bardzo stanowczo.

— Nie, synu. Masz odjechać. Tak ONA kazała.

Zwieszam głowę posłusznie. Wola JEJ jest święta... Muszę usłuchać.

— Daj mi na drogę grudkę ziemi z JEJ grobu i rąbek JEJ sukni.

325

Poniosę je jak najświętszą relikwię... Każę sobie to na oczy położyć, gdy umrę.

.... Ryk syreny... Olbrzymi okręt wypływa na mętne wody żółtej Jangcy-kiang...

Łódź, która mnie przywiozła, kołysze się na falach. Stoi w niej grono osób, które niegdyś znałem... Poznają ich. Oto poważny Timberworth, zapalczywy Thevet i Lou, jego wnuczka krzykliwa. Oto bogacz chiński Tang-Czu, który pałac Smoota kupuje. Oto ojciec Jerzy, dzielny chłopiec Pei-Czang i braciszek Singh, czyli Lew, czyli Leon.

— 'Good bye! Żegnajcie!

Mrs Hedge trzyma mnie pod ramię... Wyzdrowiała już zupełnie i teraz chce spłacić dług wdzięczności wobec zbawcy. Chce się opiekować rozbitkiem. Schudła bardzo, co jej na dobre wyszło, gdvż wyładniała. Jakby jej dziesięć lat ubyło.

Śruba pracuje wydatnie. Olbrzym-statek drży od jej ciosów, którymi sieka żółte

odmęty na miazgę...

Sine, fioletowe mgły spływają na przystań. Miasto zaciera się zwolna. Znika... Znika przeklęty Szanghaj, który mi wydarł to, co miałem najdroższego na świecie... W serce sączy się strumykiem wściekła, szalona, przepotężna tęsknota za Lotta...

— Słuchaj! — mówię bez ceremonii i gniotę brutalnie w dłoni białe, wypieszczone paluszki Mrs Hedge... — Słuchaj! Ja muszę JA zaraz zobaczysz, lub skoczę w wodę...

Daj mi palić. Rozumiesz?

Amerykanka pochyla się nieco bliżej. Rozgląda się przez chwilę, czy kto nie nasłuchuje. Potem wpija we mnie spojrzenie swych zielonych oczu i szepcze:

— Ujrzysz JA za chwilę... Zabrałam fajki i brunatne kuleczki opium. Są w mojej kabinie... Dostaniesz, ale bądź spokojny i posłuszny. Bardzo posłuszny... Będziesz?

— Będę — odpowiadam, patrząc w jej drapieżne oczy z bezgraniczną wdzięcznością i psim przywiązaniem.

... Statek mijał właśnie szare, stalowe cielska pierwszych okrętów wojennych... A jest ich dużo pod Szanghajem... Osiemdziesiąt sztuk z górą...

' Mrs Hedge bawiła się jeszcze kwadrans moją męką bezmierną, a potem rzekła krótko:

— Pójdź teraz.

326

ri

Niniejsza edycja opracowana została na podstawie wydania b. d. nakładem Instytut Wydawniczego „Renaissance” w Drukarni A. Dittmanna w Bydgoszczy.

Redagował: Zespół Korekta: Zespół

Ark. druk. 20,5. Ark. wyd. 19,0. Druk ukończono w kwietniu 1990 r. Papier offset, kl. 111 g. rola 61 cm. Zakłady Graficzne w Katowicach, ul. A. Czerwonej 138. Zam. 1407/7123/9 A-88.